fabryka słów
WYDAWNICTWO
ADAM PRZECHRZTA
DEMONY
LENINGRADU

Spis treści

Karta tytułowa
Cykl Wojenny Adama Przechrzty
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Posłowie
Adam Przechrzta
Karta redakcyjna
Okładka

ADAM PRZECHRZTA

DEMONY LENINGRADU

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Cykl Wojenny Adama Przechrzty

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju
5. Demony zemsty. Abakumow

Dla Aldony

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 3084914

Rozdział pierwszy

Któraś ze sztabowych kurewek, chyba cycasta i dupczasta Dazdrapierma – miałem już dobrze w czubie, a powietrze zasnute było machorkowym dymem – podała pieliemieni. Nie odmówiłem. Swoją drogą, trzeba być niezłym idiotą, aby wybrać dla dzieciaka imię pochodzące od zwrotu: *Da Zdrawstwujet Pierwoje Maja... Nu, niczego* – u nas, w Rosji, *durakow* nigdy nie brakowało. Wychyliłem kieliszek wódki, zakąsiłem niewielkim, oblanym śmietaną pierożkiem. Przez moment poczułem się syty. Gospodarz naszego małego przyjęcia, Wania Bondaruk, rżnął na harmoszce, od załadowanej trocinami, rozgrzanej do czerwoności kozy rozchodziło się ciepło, pachniała wódka, mięsiwa i perfumy dziewcząt. Tak jakby nie był to Leningrad 1942 roku. Co prawda już dwa miesiące wcześniej zwiększono racje chleba dla robotników do trzystu pięćdziesięciu gramów dziennie – cała reszta dostawała po dwieście, ale i tak ludzie umierali z głodu, dalej mnożyły się przypadki napadów w celu zrabowania żywności, przybywało ofiar kanibalizmu. Ba, żeby tylko tyle...

Ksenia, mała czarnulka w mundurze telefonistki, stanęła przede mną, zadrobiła nogami, zapraszając na parkiet.

Zatańczyliśmy. Jakiś podpułkownik zwalił się mordą w talerz – znaczy niezła zabawa, gospodarz wódki nie żałuje, ktoś śpiewał do wtóru harmonii. Po dłuższej chwili zdyszany przysiadłem na ławie, poczęstowałem się kolejnym pierożkiem, oganiając niemrawo przed rozochoconą dziewczyną. Trochę, kurwa, nie honor, tyle że sztabowe dziwki rzadko wychodziły poza teren dowództwa, a ja musiałem krążyć po mieście, bywałem w domach, których mieszkańcy nie mieli nawet siły, by wynieść własne ekskrementy na zewnątrz – okien nikt nie otwierał, oszczędzając nagromadzone ze stłoczonych ciał, żałosne ciepło – więc wylewali je jak szło, na schody, i wokół rozchodził się smród na wpół zamarzniętego gówna. O korzystaniu z usytuowanych na podwórzach wspólnych kibli nikt nawet nie myślał. Nie przy tej temperaturze, nie przy tych racjach żywnościowych. Ja nie głodowałem, choć zdarzało mi się nie dojadać – nic dziwnego, bywało, że nawet oficerowie NKWD umierali z niedożywienia – ale samo wyjście na zewnątrz przy temperaturze minus dwudziestu, a nierzadko trzydziestu stopni wysysało tyle energii, że na wiele spraw nie wystarczało wigoru. Tym bardziej że darzyłem już atencją mającą niczego sobie wymagania szefową oficerskiej kuchni, Nadię Elizarownę. Po chwili nadąsana Ksenia przykleiła się do wysokiego, muskularnego matrosa – ten mimo ciepła siedział w płaszczu, popijając wódkę szklankami. Pewnie wrócił biedaczysko z akcji. Ze względu na kolor mundurów i fakt, że marynarze atakowali, nie licząc się ze stratami, Niemcy nazywali ich „Czarną Śmiercią”. Dowództwo już od jakiegoś czasu wykorzystywało marynarzy Floty Bałtyckiej do operacji lądowych, na wszelki wypadek rozmieszczając za ich plecami oddziały zaporowe mające strzelać do każdego, kto odważyłby się zawrócić. No to się nie cofali. Głupio jakoś ginąć od kul swoich, a wiadomo, że NKWD zidentyfikuje ciała zabitych uciekinierów i zajmie się

troskliwie ich rodzinami... Matros miał stopień kapitana, ja nosiłem na sobie mundur porucznika z oznaczeniami wojsk łączności. Gdyby nie to, że Wańka mnie lubił, nie załapałbym się na zabawę, za wysokie progi. W rzeczywistości byłem majorem *wojennoj razwiedki*, jednym z nielicznych, jacy ostali się po Wielkiej Czystce. Tyle że obecnie w błyskawicznym tempie odbudowywano wywiad wojskowy. Nasz Głównodowodzący, ojczulek Stalin, nie był głupi i szybko zauważył, że armii brakuje rzetelnych danych wywiadowczych. No bo kto miał je zbierać? – przecież nie matoły z NKWD.

Wychyliłem kolejny kieliszek, po kościach rozlało się miłe ciepło, skosztowałem gulaszu. Poczułem w ustach charakterystyczny słonawy smak. Kurważ jego mać! Ludzina. Jedna z dziewczyn popatrzyła na mnie spod oka – może kokietuje, a może... Trzeba się pilnować, za kanibalizm, świadomy kanibalizm groziła kara śmierci. Wielu milicjantów i agentów NKWD zginęło już z rąk ludojadów: silniejszych, bardziej sytych, bezlitosnych, bo wiedzących świetnie, co ich czeka w razie wpadki. No gap się, panienko, gap... Podniosłem do ust kolejną łyżkę, przełknąłem jakoś, popiłem wódką. My, z *wojennoj razwiedki*, mamy w emblemacie nietoperza, nie miecz jak NKWD. Nie udajemy, że walczymy z mrokiem, sami jesteśmy jego częścią. A ludzkiego mięsa próbowałem już wcześniej – taka praca. Kobieta uśmiechnęła się do mnie, odwróciła wyraźnie uspokojona. Poczekaj, kochanie, jeszcze o tym porozmawiamy, na pewno porozmawiamy, pomyślałem mściwie.

Wstałem i zataczając się lekko – w sumie nie musiałem specjalnie udawać, wypiłem z pół litra – podszedłem do raczącego się szaszłykiem Wańki.

– Hej, kim jest tamta dziewucha? – Szarpnąłem go lekko za rękaw, pokazując ruchem głowy kobietę.

Teraz tańczyła walca z łysym lotnikiem do wtóru muzyki z patefonu. Wania beknął przeciągle, podniósł czerwoną, obrzmiałą od alkoholu twarz. Musiał nieźle się starać, by wyrównać zaległości – harmonię odłożył parę minut temu.

– Gdzie? – wybełkotał.

– Na godzinie dwunastej – warknąłem zniecierpliwiony.

Zbystrzał nagle, wytężył zmętniały wzrok.

– A, ta – mruknął. – Uważaj, to dupa pułkownika Bieliajewa. Jest o nią zazdrosny – zarechotał.

Wzruszyłem ramionami, nie miałem zamiaru wikłać się w romanse. A jeśli zapoznam się z dziewuszką służbowo, Bieliajew uda, że nigdy o niej nie słyszał. Przynajmniej o ile dochodzenie nie wykaże, że trzeba zająć się bliżej także panem pułkownikiem...

– Jak się nazywa?

– Wiera Jakaśtam – oznajmił, ziewając.

– Dzięki, baw się dobrze. – Pożegnałem go przyjacielskim klepnięciem.

Pomaszerowałem do przedsionka i założyłem kożuch, wcisnąłem na uszy ciepłą futrzaną czapkę, dodatkowo obwiązując głowę babskim szalem. Teraz w Leningradzie liczyło się tylko przeżycie, nikt nie pilnował przestrzegania przepisów ubiorczych. Zresztą któż mógłby to zrobić? Patrol żandarmerii? Milicja? O drugiej w nocy? Wolne żarty. Miesiąc temu, w styczniu, odnotowano, że z zimna zmarło niemal dwustu milicjantów.

Wyszedłszy, musiałem zacisnąć usta, pochyliłem głowę; silny, lodowaty wiatr niemal pozbawił mnie tchu. Gmerając niezgrabnie w prawej kieszeni kożucha – miała rozcięcie, przez które łatwo sięgnąć do kabury pistoletu – upewniłem się, że broń jest odbezpieczona. Na samotnych przechodniów czyhali bandyci starający się zabrać ofiarom żywność, zdarzały się też

morderstwa dla mięsa, ludzkiego mięsa. W grudniu aresztowano za ludożerstwo niecałe trzydzieści osób, w styczniu już ponad trzysta, do połowy lutego – pięćset. A był to jedynie wierzchołek góry lodowej... Wracając do domu w tumanach zacinającego w twarz śniegu, rozmyślałem o swojej misji, o kanibalach. Nie, nie chodziło o zwykłych ludożerców, tymi zajmowała się milicja, a w przypadku zorganizowanych band – NKWD. Ja miałem odnaleźć kogoś szczególnego, przywódcę grupy – a może sekty? – antropofagów. Człowieka, który organizował napady na patrole i odosobnione posterunki wojskowe, szerzył terror na linii frontu, mordował żołnierzy. Dlatego właśnie to zadanie powierzono *wojennoj razwiedce*. Nie dalej jak przedwczoraj na ziemi niczyjej, pomiędzy liniami naszymi i Niemców, znaleziono trzech martwych żołnierzy z elitarnej Wydzielonej Brygady Piechoty Morskiej Floty Bałtyckiej. To byli weterani: sprawni, odważni, doświadczeni. Łuski po wystrzelonych pociskach świadczyły, że podjęli walkę z tym, co ich zabiło, jednak w ruinach, gdzie założyli posterunek obserwacyjny, znaleziono jedynie ich krew – tak jakby napastnika nie imały się kule. No i, rzecz jasna, natknięto się na ciała, wszystkie pozbawione serc. Kilka minut po strzelaninie na miejscu zjawił się wzmocniony patrol – piechota morska dbała o swoich – lecz nie wykryto żadnych intruzów, tylko pojedyncze ślady na śniegu. Dwieście metrów dalej zniknęły w śnieżnej zadymce. Inny niedaleko położony posterunek zameldował, że nikt nie powrócił do niemieckich okopów, rozgardiasz i gorączkowo wystrzeliwane po szwabskiej stronie flary oświetlające – rzecz miała miejsce po północy – świadczyły, że tamci byli równie zaskoczeni. Czy tak samo zaniepokojeni? Być może tajemniczy kanibal działał także po drugiej stronie frontu? To również musiałem wyjaśnić, choć priorytetem było powstrzymanie

morderców ludojadów. Żołnierze zaczynali się bać, szeptano o ludożercach, których zabić może jedynie poświęcona lub srebrna kula, ograniczono aktywność patroli, co samo w sobie było rzeczą niedopuszczalną, skądś wypłynęła nazwa Doskonali. Co oznaczała? Tego nie wiedział nikt.

Tuż przed bramą kamienicy, w której mnie zakwaterowano, zamajaczył jakiś potężny cień. Cofnąłem się odruchowo, usiłując zdrętwiałą z zimna dłonią wyciągnąć broń. Powstrzymał mnie uspokajający gest – poznałem Riumina, jednego z przydzielonych mi do pomocy agentów *wojennoj razwiedki*. Otworzył solidne wierzeje, już w korytarzu uniósł postawioną na schodach lampę naftową, poświecił.

– Dobrze, że wróciliście, majorze – mruknął. – Natknęliśmy się na mały problem.

Nie odpowiedziałem; szczękając zębami, dopadłem przedpokoju, dwaj inni moi ludzie, Pietia Drozd i Tima Kotuszew, pomogli mi ściągnąć kożuch, podali gorącą, słodką jak ulepek herbatę.

– Gadaj! – poleciłem po chwili Riuminowi.

Tamten bez słowa wyszedł z pokoju, powrócił, popychając przed sobą jakieś wychudzone, opatulone po czubek nosa stworzenie.

– Nie kazałem jej się rozbierać, bo jest przemarznięta, znaleźliśmy dziewuchę, kiedy patrolowaliśmy okolicę, chowała się w jednej z piwnic – wyjaśnił.

– Ją? – Uniosłem pytająco brwi.

– To córka dozorczyni, jej matka zmarła miesiąc temu, mieszkały na parterze, niedawno ktoś wyważył drzwi i splądrował mieszkanie. A zatrzymałem panienkę, bo wyglądało, jakby nas szpiegowała, ale... – urwał, krzywiąc się wymownie.

Ponownie zwróciłem wzrok na okutaną w stare łachy postać.

– Ściągnij to z niej – rozkazałem.

Riumin zdarł z nieznajomej jakieś bynajmniej nie wytworne palto, gwizdnął z lekka, widząc pod spodem futro z soboli.

– Mądra dziewczynka – powiedziałem z uznaniem. Gdyby nałożyła futro na wierzch, już dawno ktoś by ją zabił.

– Sobole, *komandir*? – wtrącił się Drozd. – To takie... kontrrewolucyjne. Coś mi tu śmierdzi – oznajmił.

– Mnie też – odparłem, powstrzymując gestem Riumina, który zaczął rozpinać wiszące na dziewczynie zbyt obszerne futro. – Zostaw, bo zasmrodzi nam cały dom.

Znajda wyraźnie cuchnęła – nic dziwnego, zapewne chodziła w tych samych łachach ładne parę tygodni, może dłużej.

– Kąpiel? – spytałem.

– Gotowa – zameldował dziarsko Drozd.

Podreptałem do łazienki, nieco drętwymi jeszcze dłońmi zdjąłem ubranie, mundur złożyłem starannie na wyszabrowanym skądś krześle o zdobionym, wysokim oparciu i z westchnieniem ulgi zanurzyłem się w gorącej wodzie. Na brzegu okazałej, przedrewolucyjnej wanny znalazłem nawet kawałek pachnącego bzem mydła. Z jednej strony gorąca woda była luksusem, bo brakowało opału, z drugiej – pozwalała utrzymać się w jakim takim zdrowiu. Nasz przydział pozwalał na gorącą kąpiel raz na kilka dni, choć musieliśmy się moczyć w tej samej wodzie. No, ściślej mówiąc, po mnie kąpali się chłopcy – jeden z przywilejów rangi... Czasem któryś trafiał na coś ekstra; ostatnio mój imiennik, Sasza Riumin, znalazł na nieodległym podwórzu orzech. Poradził sobie z drzewem w pojedynkę, a pocięte fachowo polana przytargał do naszej kwatery – umieściliśmy je w przedpokoju, chomikując na specjalne okazje, jak dziś. Zbyt długie okresy wychłodzenia skutkowały zapaleniem płuc, do czego przyczyniała się też skąpa w kalorie dieta.

Moczyłem się jakieś pół godziny, od czasu do czasu dolewając blaszanym czerpakiem na długiej drewnianej rączce nieco wrzącej wody – gotowała się w wiadrze stojącym na własnej roboty piecyku. To właśnie wszelkiego rodzaju „burżujki" i „kozy", jak leningradczycy nazywali podobne samoróbki, utrzymywały ludzi przy życiu. No, przynajmniej tych, którzy mieli co wrzucić do pieca... Z niechętnym stęknięciem wygramoliłem się z wanny, sięgnąwszy po ręcznik, zawołałem dziewczynę. Po chwili pojawiła się w łazience, ponaglana przez Timę Kotuszewa. Zatrzasnąłem drzwi, aby zatrzymać ciepło, nonszalanckim gestem nakazałem się rozebrać.

– Kąpiel? – zaproponowałem.

Zadrżały jej wargi, zaczęła gorączkowo szarpać się z futrem. Cóż, dziewicza skromność – załóżmy, że była dziewicą – musiała ustąpić desperackiemu pragnieniu ogrzania się. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna. Zrzuciła futro, zdarła parę warstw ubrań, z obrzydzeniem na twarzy cisnęła w kąt brudną bieliznę. Znaczy wybredna... Czyżby jakaś niedotłuczona arystokratka? Nie, doszedłem do wniosku, jest na to zbyt młoda. Dałbym jej co najwyżej dwadzieścia lat. Zanurzyła się w wodzie, wydając zdławione, niemal erotyczne westchnienie rozkoszy. Wreszcie ciepło... Rozumiałem ją. Tropiłem sektę kanibali już drugi miesiąc, niepewny, czy prędzej wykończy mnie głód, czy mróz. Zerknąłem na dziewczynę – była wychudzona, ale sporo brakowało jej do żywych szkieletów, jakie oglądałem na co dzień w Leningradzie. Być może ktoś jej pomagał, a może była sprytniejsza, niż się na pozór wydawało? Krzywiąc się lekko, rozgarnąłem brudne ubrania – na szczęście niezawszone, zerknąłem na metkę przy futrze. Przedrewolucyjna. Znaczy i metka, i futro, teraz takich nie robią. Mydląca bez skrępowania drobne piersi dziewczyna spojrzała na mnie z przestrachem, domyśliła się, co robię. Nie

odezwałem się ani słowem, odwróciłem do lustra, ogoliłem. Niech się trochę pomartwi, nie zaszkodzi jej to, a mnie ułatwi przesłuchanie. Riumin był starym wyjadaczem, jeśli zatrzymał dziewuchę, musiał mieć jakiś powód. Zresztą pogadać zawsze warto, może powie coś ciekawego?

Wróciłem do kuchni, ze względu na opalaną węglem kuchenkę było tu najcieplej, zasiadłem za stołem.

– Na chuj nam ta mała? – rzuciłem do Riumina. – Podupczyć chcesz czy co?

Drozd i Kotuszew poszli spać, nie potrzebowałem ich już dzisiaj, dlatego nie owijałem w bawełnę, znaliśmy się z Saszką zbyt długo, by utrzymywać dystans dowódca – podwładny. Zresztą nigdy nie byłem zwolennikiem nadmiernych formalności. Dopóki moi ludzie wiedzą, kto wydaje rozkazy, wszystko jest w porządku.

– To miejscowa, jako córka dozorczyni mogła pomagać matce, zna wszystkie okoliczne zakamarki. Cmentarz, na którym parę tygodni temu znaleziono pozbawione serca zwłoki grabarza, jest niedaleko, z pół kilometra stąd. Może ma jakieś informacje na ten temat? – odparł ze słabym uśmiechem.

Widziałem po nim, że kręci, musiało być coś jeszcze. Oczywiście mogłem mu nakazać, by powiedział, co wie, ale mróz i niedożywienie wpływały nie tylko na ciało, otępiały także umysł. A od sprawności tego ostatniego zależało nasze życie, w dużo większym stopniu niż od stanu muskułów. Dlatego włączyłem się do gry.

– Dlaczego ukrywała się w piwnicy? – zapytałem. – Miała przecież do dyspozycji mieszkanie. Najwyżej po śmierci matki kogoś by jej dokwaterowali.

Przelotny błysk w oczach Riumina podpowiedział mi, że trafiłem.

– Bała się – wyjaśnił obojętnym na pozór tonem.

– Wywalili drzwi... – mruknąłem z namysłem. – Jak to zrobili?

– Toporkami strażackimi, może siekierami.

– Widać nie obawiali się hałasu...

Riumin przytaknął bez słowa.

– Jakaś miejscowa banda? – zgadywałem. – Chcieli zabrać jej jedzenie?

Pokręcił przecząco głową.

– Od paru dni nie zgłosiła się do sklepu po przydział, dojadała resztki.

Sapnąłem zniecierpliwiony.

– Więc? – zapytał kpiąco. – Poddajesz się?

– Widziała, jak mordowali grabarza? Zabójcy chcieli ją...

– Nie, nie widziała samego morderstwa. Pytałem – wszedł mi w słowo.

– Uch, ty... – warknąłem, szturchając Riumina w bok.

Zarechotał.

– No dobra, powiem ci – zadecydował. – Pochodziłem trochę po lokatorach, rozpytywałem o te drzwi.

– I?

– Nikt nic nie widział, niczego nie słyszał. Najlepsze jest to, że miejscowi obywatele, blednący na samą wzmiankę o mieszkaniu na parterze, niemal srali ze strachu, kiedy z głupia frant połączyłem to z cmentarzem. Rozumiesz, nie z samym morderstwem, o tym nic nie wiedzą, tylko z cmentarzem. A ta mała wolała umrzeć z głodu, niż wrócić do domu.

– Zastanawiające – przyznałem. – Żadna rewelacja, ale zastanawiające.

– A ty masz coś lepszego? – rzucił zaczepnie.

– Gulasz z ludziny na przyjęciu u majora Bondaruka. I dziewoję, która mało nie zabiła mnie wzrokiem,

podejrzewając, że coś zauważyłem – poinformowałem z uśmiechem podwładnego.

– Nic ciekawego. – Wzruszył ramionami. – Ot, jedna kanibalka więcej.

Obaj wiedzieliśmy, że dwie trzecie osób aresztowanych za ludożerstwo stanowiły kobiety.

– Ludzina na przyjęciu u sztabowców?! – parsknąłem pogardliwie. – Oni nie głodują. Jeśli ktoś zaserwował tam ludzkie mięso, to nie z konieczności, ale dlatego, że chciał.

– Może, może... – mruknął niezdecydowanie. – Tyle że my nie szukamy chorego na umyśle maniaka, który napawa się kanibalizmem, czy nawet pogrywa z milicją w „złapcie mnie, jeśli potraficie". Szukamy mistrza, guru.

Machnąłem lekceważąco ręką – kiedy dyskusja staje się dla niego niewygodna, Riumin zaczyna używać trudnych słów, taki odruch obronny. Już od dawna nie robił na mnie wrażenia. Zresztą wiedziałem, co znaczy słowo „guru". No, tak mniej więcej...

– Znaczy półnagiego fakira z... – zacząłem, przywołując z pamięci jakieś mętne skojarzenie, może rysunek z dawno zapomnianej gazety.

– Słowo „guru" oznacza to samo co mistrz – przerwał mi bezceremonialnie – ale sugeruje, że jego zwolennicy są bardziej wyznawcami niż uczniami.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, obaj skończyliśmy wyższe studia – Saszka jeszcze przed rewolucją. Czasem zastanawiałem się, czy różnica pomiędzy nimi polegała jedynie na tym, że Riumin nie miał wykładów z marksizmu-leninizmu...

Zadumę przerwały nam ciche stąpnięcia – do kuchni weszła dziewczyna. Wykąpana, z umytymi włosami, ociekająca wodą. Najwyraźniej nie odważyła się użyć żadnego z naszych ręczników, a brzydziła wycierać własnymi brudnymi łachami.

Przeraźliwie chuda, z widocznymi gruzłowatymi stawami kolanowymi, sterczącymi żebrami i kępką jasnych włosów w kroczu. Skrajnie wyczerpana, niczym nie zasłaniała swojej nagości. Nie żeby budziła w którymś z nas bestię – niedostatek kalorii skutecznie ograniczał popęd płciowy. Nie sądziłem, żeby nasza reakcja była inna, nawet w stosunku do kogoś dużo ładniejszego i bardziej... odkarmionego. Riumin podniósł się ze stęknięciem i wrócił po chwili, niosąc stertę ubrań.

– Możesz się tym wytrzeć – powiedział szorstko, rzucając starą flanelową koszulę.

Resztę położył na krześle: ciepłe kalesony, spodnie, dwie koszule i gruby wełniany sweter.

– To dla ciebie – oznajmił.

Wytarła się i ubrała w błyskawicznym tempie, widać było, że kąpiel jej dobrze zrobiła, rozgrzała zesztywniałe od zimna stawy. Wskazałem dziewczynie krzesło, Riumin poczęstował hojnie osłodzoną herbatą.

Odesławszy Saszkę do łóżka, patrzyłem bez słowa, jak znajda łyka łapczywie gorący płyn, grzeje dłonie o poobijany blaszany kubek.

– Chodźmy spać – mruknąłem wreszcie, widząc, że skończyła.

Herbata i ciepła kąpiel powinny jej umożliwić spokojny sen, karmienie dziewczyny nie miało sensu, po parodniowym poście pewnie by się porzygała. Wziąwszy ją za rękę, zaprowadziłem do swojego pokoju, wskazałem zarzuconą pierzynami kanapę. Ściągnęła wierzchnią warstwę ubrań, posłusznie wślizgnęła się pod piernaty, po chwili przytuliłem się do jej pleców. Nie, nie miałem zamiaru jej wykorzystać! – w tym momencie była dla mnie tylko dodatkowym źródłem ciepła. Pewnie każdy z chłopaków chętnie wziąłby ją do łóżka z tych samych powodów, ale ranga ma swoje przywileje...

Dotknąłem dłonią szyi dziewczyny, położyłem palce na tętnicy.

– Dlaczego uciekłaś z mieszkania? – wyszeptałem.

Poruszyła się niespokojnie, jednak tętno pozostało niemal bez zmian – była na granicy snu: śmiertelnie zmęczona, po raz pierwszy od dłuższego czasu względnie syta, ogrzana, bezpieczna.

– Bałam się ludojadów – powiedziała cichutko.

– Dlaczego?

Poczekałem parenaście sekund, ale czując, że zasypia, nacisnąłem nerw pod uchem. Nie na tyle, by sprawić ból, lecz wystarczająco, żeby wybić ze snu.

– Matka... matka ich podsłuchała. Na cmentarzu. Mówili o jakiejś ceremonii... Nie, nie wiem nic więcej – zapewniła sennym głosem. – Mama strasznie się ich później bała.

– Zabili ją? – spytałem ostro.

– Nie, była chora na serce. Któregoś dnia...

Stłumiłem te słowa, kładąc palce na ustach dziewczyny. Nie chciałem, by opowiadała mi historię swojego życia. Nie teraz.

– Dlaczego uciekłaś?

– Chyba się domyślili, że mama o nich wie. Przyszli, bo nie byli pewni, czy mi czegoś nie powiedziała przed śmiercią, więc...

– Zaczęli się dobijać do drzwi i uciekłaś? Jakim cudem?

Odpowiedziało mi lekkie pochrapywanie. Zatkałem znajdzie nos, póki się nie ocknęła.

– W jaki sposób im się wymknęłaś? – powtórzyłem.

– Zobaczyłam... zobaczyłam ich przez okno. Nadchodzili z siekierami, otaczali dom. Zanim weszli w bramę, uciekłam do piwnic.

– Skąd wiedziałaś, że to kanibale?!

– Byli w cienkich koszulach, bez płaszczy, bez czapek. Mama mówiła, że oni nie boją się zimna. Nie boją się niczego... Są... dokonani.

– Doskonali – poprawiłem odruchowo, a potem pozwoliłem dziewczynie usnąć.

Wreszcie otrzymałem jakąś sensowną informację – ktoś, kto w czasie trzaskających mrozów chodzi bez ciepłego okrycia czy czapki, wyróżnia się jak fioletowa żyrafa na promenadzie. Nietrudno będzie takich znaleźć. Byłem całkowicie pewien, że chodzi tu o „moich" kanibali. Ci zwykli nie odznaczali się specjalną tolerancją na zimno, sprawdziłem to osobiście – czterech z nich skłoniłem do zeznań, polewając wodą na mrozie. Sinieli i umierali z wychłodzenia jak zwykli ludzie. Ziewnąłem i przytuliwszy się do dziewczyny, zasnąłem smacznie, czując woń bzu i świeżo umytych włosów.

Po śniadaniu rozdzieliłem robotę, wokół unosił się jeszcze zapach dziwnej, upichconej przez najmłodszego stopniem i wiekiem Timę potrawy. Składała się z amerykańskich konserw mięsnych wymieszanych z jajkami w proszku... Nie powiem, żeby było co chwalić, ale przynajmniej pozwalała nasycić głód. Zagryźliśmy cienkimi jak papier, oszczędnie krojonymi kromkami chleba, łyknęliśmy wódki. Odrobinę, na rozgrzewkę. Pospiesznie upichcona breja nie wymagała długiego podgrzewania, więc kuchenka nie zdążyła podnieść temperatury w mieszkaniu. Było minus pięć stopni Celsjusza. Wewnątrz. Na umieszczonym za oknem termometrze słupek rtęci spadł poniżej dwudziestu siedmiu.

– Pietka, szoruj do biblioteki i archiwum – zarządziłem. – Dalej będziesz sprawdzał gazety i kroniki, może natrafisz na przypadki rytualnego kanibalizmu w Leningradzie.

Drozd jęknął boleśnie, wyrzucając wyraźnie widoczny w powietrzu obłoczek pary – miał już serdecznie dość grzebania w papierach, zajmował się tym od kilku tygodni, jak dotąd bez rezultatu.

– Tima – spojrzałem na krótko ostrzyżonego chłopaka – odbierzesz nasze racje żywnościowe, przy okazji weźmiesz te zaległe od niej. Bo masz je przy sobie, prawda? – spytałem, zwracając się do dziewuchy.

Potwierdziła skinieniem głowy. Nie byłem zdziwiony, w Leningradzie ludzie nigdy i pod żadnym pozorem nie rozstawali się z kartkami żywnościowymi. Zgubić je oznaczało umrzeć.

– Dasz mu swoje kartki – poleciłem. – U niego będą bezpieczniejsze.

Pokiwała posłusznie głową, cały czas wpatrując się tęsknym wzrokiem w owinięty w papier kawałek razowca.

– I żadnego żarcia do obiadu! Jak się pochorujesz... – zawiesiłem złowrogo głos.

Zerknęła na mnie z przestrachem, przytaknęła gorliwie.

– Potem jeszcze raz opowiesz Timie o tych ludojadach. Tak jak mnie wczoraj, tylko ze szczegółami.

– Dobrze – odparła cicho.

W ogromnych, zdawało się, zajmujących większość trójkątnej, kociej twarzy oczach dziewczyny po raz pierwszy dojrzałem przebłysk nadziei.

– Saszka pójdzie ze mną, musimy przesłuchać pewną wielbicielkę gulaszu z ludziny – zakończyłem.

Nie było pytań, więc rozeszliśmy się do pracy. Maszerowaliśmy wraz z Riuminem energicznym krokiem,

starając się do minimum ograniczyć przebywanie na mrozie. Do sztabu mieliśmy jakieś trzy kilometry. Musieliśmy ustalić personalia tajemniczej Wiery, pogadać z kimś z NKWD. Chciałem, żeby to oni aresztowali kobietę, na tym etapie wolałem się nie demaskować. Z drugiej strony jako major GRU na pewno otrzymałbym do dyspozycji wóz z kierowcą... Rozmyślałem o tym całą drogę, oddychając przez zasłonięty szalikiem nos, niewiele to pomagało, i tak mroźne powietrze paliło żywym ogniem śluzówkę.

Machnąwszy dokumentami przed oczyma znajomego wartownika, weszliśmy do westybulu, starannie otrzepując śnieg z butów. Siedząca za kontuarem kobieta w zarzuconej na mundur pelisie obojętnie uniosła głowę.

– Słucham, poruczniku?

– Jestem umówiony z generałem Manuilskim – powiedziałem.

Przerzuciła kilka kartek, pokręciła głową.

– Nie mam was w wykazie wizyt na dzisiaj. Napiszcie, towarzyszu, raport do swojego bezpośredniego przełożonego, on...

– Proszę zadzwonić do generała – przerwałem szorstko.

Poczerwieniała ze złości, nie przywykła, by ustawiał ją byle poruczniczyna, ale powstrzymała cisnące się na usta słowa. Manuilski stał na czele referatu personalnego, zajmował się aktami oficerów, był szychą. Prawdopodobieństwo, że będzie chciał gadać z nikomu nieznanym porucznikiem, było niewielkie, jednak konsekwencje pomyłki mogły okazać się poważne – istniały dużo gorsze przydziały niż praca w sztabie, więc panienka ostatecznie podniosła słuchawkę. Nie bałem się o wynik telefonicznej konsultacji, generał został poinformowany, że prędzej czy później złożę mu wizytę.

– Drugie piętro, pokój trzysta dwanaście – poinformowała po chwili dużo pokorniejszym tonem.

Machnięciem ręki nakazałem Riuminowi pozostać na parterze, sam popędziłem w górę po schodach. Tchu zabrakło mi już na pierwszym piętrze, resztę drogi przebyłem stopień po stopniu, trzymając się poręczy. Mimo że od śniadania minęła co najwyżej godzina, czułem w żołądku potworne ssanie. Dopadła mnie jedna z wyniszczających Leningrad plag – głód.

Zapukałem i poczekawszy na wezwanie, wszedłem do gabinetu generała. Manuilski, szczupły, siwy mężczyzna pod sześćdziesiątkę, przywitał się ze mną serdecznym uściskiem dłoni, ale widoczny na jego twarzy szeroki uśmiech nie obejmował oczu.

– W czym mogę pomóc, poruczniku? – zagaił.

– Majorze – poprawiłem, pokazując dokumenty. – Prowadzę śledztwo w sprawie ataków na żołnierzy, wiecie, towarzyszu generale, tych rytualnych.

Skinął ze sposępniałą nagle twarzą, co prawda starano się całą sprawę utrzymać w tajemnicy, ale ludzie, jak to ludzie – plotkowali, zresztą Manuilski miał zapewne dostęp do najbardziej nawet tajnych informacji.

– Jak mogę pomóc? – powtórzył, wskazując mi krzesło, sam zasiadł za biurkiem.

– W zasadzie potrzebuję jedynie pomocy przedstawiciela NKWD – poinformowałem. – Z dostępem do akt personalnych oficerów. Macie tu kogoś takiego, prawda? Bezpieczeństwo sztabu wymaga...

Przerwał mi gestem, sięgnął po telefon.

– Towarzyszu Kutiepow, proszę do mnie – rzucił szorstko w słuchawkę. – Koniaku, majorze? – zaproponował.

– Odrobinę, nie chciałbym się spić na służbie – odparłem z krzywym uśmieszkiem. – Racje żywnościowe porucznika nie są zbyt obfite – wyjaśniłem, widząc uniesione brwi rozmówcy. – A na pusty żołądek...

– No tak, wasz kamuflaż... – mruknął w zamyśleniu.

Wystawił na biurko butelkę gruzińskiego koniaku, rozlał do kryształowych kieliszków, wyjąwszy z szafki puszkę kawioru i kilka kromek razowego chleba, zaprosił gestem do poczęstunku.

– Za GRU! – wzniósł toast, używając stosowanej od niedawna nazwy *wojennoj razwiedki*.

– Za armię! – odwzajemniłem się, unosząc szkło.

– To dobrze, że armia prowadzi śledztwo dotyczące armii – odezwał się po chwili. – NKWD jest czasami zbyt... – nie dokończył, zacisnąwszy usta. – Proszę się nie krępować – powiedział, widząc, jakim spojrzeniem obrzucam chleb. – Mamy czas. Mimo że towarzysz Kutiepow ma gabinet w końcu korytarza, raczej nie należy się go spodziewać wcześniej niż za kwadrans – oznajmił kwaśno.

Mruknąłem coś niezobowiązująco, pochłaniając żarłocznie obłożoną kawiorem kromkę. Manuilski jak wielu innych wojskowych miał nadzieję, że *Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije* stanie po stronie armii w ewentualnym starciu z bezpieką. Nie miałem zamiaru rozwiewać jego złudzeń, ale musiałbym być idiotą, aby dążyć do konfrontacji z NKWD. Ono mimo wielu niepowodzeń nadal było potęgą, *wojennaja razwiedka* walczyła o prawo do istnienia.

– Zapewne musi się pan wyprawiać w miasto, majorze, przy tej temperaturze... – zawiesił głos, spoglądając na mnie z pytaniem w oczach.

Przytaknąłem, zastanawiając się, dlaczego zamiast obowiązującej formy „towarzyszu” użył słowa „gospodin”. *Gospodin major* – to brzmiało jak przed rewolucją... Wyraz sympatii? Solidarność oficera armii z drugim oficerem, a może niechęć do NKWD?

– Mógłbym oddelegować pana czasowo do sztabu, przyznać wóz z kierowcą i... – zawahał się – racje żywnościowe przysługujące majorowi sztabu. Tyle że pobranie tego przydziału pewnie by was zdekonspirowało...

– Niekoniecznie – odparłem po namyśle. – Mógłbym realizować swoje kartki żywnościowe bezpośrednio w kuchni oficerskiej, jej szefowa jest moją dobrą znajomą.

– Tak, to chyba niezły pomysł – przyznał.

Wypełnił szybko dwa wyjęte z szuflady formularze, podpisał i przybiwszy pieczątkę, przesunął w moją stronę. Jeden z nich stwierdzał, że jestem oficerem do specjalnych poruczeń generała Manuilskiego, w związku z czym przysługuje mi prawo do korzystania z samochodu służbowego, drugi – upoważniał do pobierania racji żywnościowych majora sztabu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego.

Zanim zdążyłem podziękować, rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł krępy oficer o chłodnych niebieskich oczach.

– Pułkownik Kutiepow, na rozkaz – zameldował się, stuknąwszy obcasami.

– Spocznijcie, towarzyszu – odparł zimnym jak wzrok tamtego głosem Manuilski.

Kutiepow rozejrzał się po pomieszczeniu i przysunąwszy do biurka krzesło, przysiadł na nim, nonszalancko zakładając nogę na nogę.

– Czym mogę służyć, generale? – zapytał z podszytą drwiną uprzejmością. – A raczej czym może wam służyć NKWD?

Dłonie, zdumiewająco delikatne i zadbane, jak na przedstawiciela mas pracujących w *Narodnym Komissariatie Wnutriennich Dieł*, pułkownik złożył skromnie na podołku, nie gestykulował jak jarmarczny kuglarz, nie musiał. Zapewne dokonywał wielokrotnie sztuczek, które nie przyszłyby do głowy najwybitniejszemu nawet prestidigitatorowi. Był lepszy

niż cyrkowy magik i wiedział o tym. Kiedy chciał, aby ktoś zniknął, nie stosował sprytnych trików, nie używał zapadni. Znał inne sposoby... Westchnąłem – moje marzenie, aby nie wchodzić w drogę reprezentowanej przez niego instytucji, gwałtownie zderzyło się z rzeczywistością. Kutiepow nie wyglądał na kogoś, kto chciałby mi pomóc w prowadzeniu śledztwa. Niemniej jednak jego pomoc była mi niezbędna, nie miałem sił i środków, żeby doprowadzić je samodzielnie do końca.

– Kiedy widzicie, towarzyszu, tak naprawdę to waszej pomocy potrzebuje bratnia służba – wymamrotał, udając roztargnienie, Manuilski. – GRU – dorzucił.

Ostatnie słowo zabrzmiało niczym trzaśnięcie z bicza.

– Jestem pewien, że bez problemu dopracujemy... eee... szczegóły – odparł bez mrugnięcia okiem enkawudzista.

Na przyzwalający gest generała odmeldowaliśmy się i opuściliśmy gabinet. Najwyraźniej Manuilski miał zamiar kibicować mi z bezpiecznej odległości...

Po chwili znowu siedziałem w cudzym gabinecie – zza biurka mierzył mnie wzrokiem Kutiepow, z wiszącego na ścianie portretu czujnie spoglądał Dzierżyński. Stojące wzdłuż ścian regały wypełniały akta. Tym razem gospodarz nie zaproponował poczęstunku, nie uśmiechnął się, czekał.

– Potrzebna mi teczka pułkownika Bieliajewa, wykaz znajomych, kochanek, przyjaciół – zagaiłem.

– Nie macie własnej? – zdziwił się obłudnie Kutiepow. – Coś takiego nie wystawia najlepszego świadectwa...

Przerwałem mu ospałym gestem, podsunąłem pod nos wyjęty z kieszeni munduru dokument.

– Przeczytajcie – poprosiłem.

Wziął papier bez specjalnego zainteresowania, prześlizgnął się wzrokiem po tekście, niemal niedostrzegalnie wzruszył

ramionami.

– Te wszystkie pieczątki mają zapewne mną wstrząsnąć?

– Trzeci akapit od góry – powiedziałem znużonym tonem.

Znowu byłem głodny.

– „Major Razumowski dokooptuje w Leningradzie do powołanego decyzją Gławkoma zespołu członków służb i wojsk, jakich uzna za przydatnych w prowadzonym przez siebie śledztwie" – przeczytał na głos. – To wszystko? – spytał z udaną beztroską.

Widać było, że ten fragment mu się nie spodobał, zadrzeć z oficerem desygnowanym przez samego Stalina to wyjątkowo głupi sposób popełnienia samobójstwa – fakt, że nigdy w życiu nie spotkałem Głównodowodzącego, nie miał nic do rzeczy. Jednak każde dochodzenie można dyskretnie sabotować, dlatego wskazałem mu jeszcze jeden punkt.

– „Działania zespołu dochodzeniowego podlegać będą wyłącznie ocenie Gławkoma"... – czytał coraz wolniej Kutiepow.

– Teraz rozumiecie, pułkowniku?

Ponieważ milczał, postanowiłem doprecyzować.

– Kiedy tylko skończymy naszą rozmowę, zejdę do pokoju łączności złożyć swój codzienny raport, ponieważ towarzysz Stalin chce być na bieżąco informowany o sytuacji, i zamelduję o fakcie włączenia do śledztwa doświadczonego pracownika leningradzkiego NKWD, pułkownika Kutiepowa. Od sukcesu mojej, a właściwie teraz naszej już misji zależy los Leningradu. W razie niepowodzenia cały zespół zostanie rozstrzelany. Tak przypuszczam – dodałem. – Gdyby nawet udało się wam jakimś cudem uniknąć śmierci, wylądujecie w łagrze. A wiecie, co więźniowie robią z byłymi bezpieczniakami...

Mimo panującego w pomieszczeniu chłodu – ze względu na przechowywane w gabinecie dokumenty nie ogrzewano go,

zbyt łatwo byłoby zaprószyć ogień – na czole mojego rozmówcy pojawiły się krople potu. Wiedział.

– Co… co mam zrobić? – wyjąkał.

– Na początek udostępnić mi akta Bieliajewa. Muszę sprawdzić jego kochankę, ma chyba na imię Wiera – odparłem. – Chcę ją przesłuchać i wolałbym, abyście to wy dokonali aresztowania i umieścili tę babę w takim miejscu, żebym…

Kutiepow poderwał się z fotela i podszedł do jednego z regałów.

– Bieliajew, Bieliajew… – zamruczał, wodząc palcem po grzbietach ciasno upakowanych teczek. – Nie trzymam w tym miejscu wszystkich dokumentów – wyjaśnił. – Mamy specjalne archiwum na parterze, ale Bieliajew jest pułkownikiem, więc jego dossier powinno tu być.

– Nie znacie go?

Enkawudzista westchnął i spojrzał na mnie z politowaniem.

– W Leningradzkim Okręgu Wojskowym służy ponad stu dwudziestu pułkowników, nie znam osobiście nawet połowy. Jest – powiedział, wyjmując ze stęknięciem sporą kartonową teczkę.

Rzucił z trzaskiem akta na biurko, zdmuchnął kurz i zaczął przeglądać. Cofnąłem wyciągniętą odruchowo po dokumenty rękę.

– Te dane, jak i nasze archiwum – skinął w stronę regałów – są oczywiście do waszej dyspozycji, majorze, ale sam znajdę szybciej notatkę o znajomych Bieliajewa. Osobiście ją sporządzałem.

W głosie Kutiepowa nie zauważyłem agresji, raczej chłodną uprzejmość, co wcale mi się nie spodobało. Świadczyło o inteligencji. Najwyraźniej Kutiepow zrozumiał od razu, że jesteśmy chwilowo od siebie zależni, niczym para akrobatów na trapezie. Jednak później, kiedy skończy się wspólny występ,

przyjdzie czas na wyrównanie rachunków, to było równie pewne co zachód słońca...

– Wiera Bachałowa, dwadzieścia dziewięć lat, kapitan wojsk łączności – powiedział, nasadziwszy na nos binokle. – Jeśli chcecie, za godzinę pani kapitan będzie na was czekała... – zastanowił się przez chwilę – w Jedenastce. Przydzielić wam samochód? – spytał troskliwie.

Podziękowałem uprzejmie. Co prawda więzienie numer jedenaście Leningradzkiego Garnizonu Wojskowego znajdowało się kawał drogi od sztabu, ale dzięki generałowi Manuilskiemu miałem już transport.

Najpierw zatroszczyłem się o raport i zameldowałem o dokooptowaniu do ekipy śledczej pułkownika Kutiepowa, lepiej nie kusić losu, w końcu wypadki chodzą po ludziach: śmierć z wychłodzenia, napad kanibali czy przypadkowy postrzał to rzeczywistość skutego lodem Leningradu. Nikt by się nie zdziwił, gdyby dopadła i mnie. Wolałem, jak to mawiano przed rewolucją, nie wodzić na pokuszenie swojego nowego współpracownika... Teraz gdy włączyłem Kutiepowa formalnie do zespołu, zrobi, co w jego mocy, aby nic mi się nie przytrafiło, w przeciwnym razie musiałby jako najstarszy stopniem poinformować Głównodowodzącego o postępach śledztwa. I przyjąć za nie odpowiedzialność. A miałem nieodparte wrażenie, że wolałby tego uniknąć... No i nie dziwota – ojczulek Stalin nie znał się na żartach, a misja była ważna, ważniejsza, niż ktokolwiek mógłby na pierwszy rzut oka przypuszczać. Wbrew niemieckiej propagandzie przełamanie obrony Leningradu okazywało się niemożliwe. No bo i jak? Od zachodu

Zatoka Fińska z polami minowymi, przez które nie prześlizgnęłoby się nawet czółno, dodatkowo pilnowana przez działa twierdzy morskiej Kronsztad i potężną Flotę Bałtycką: dwa krążowniki, dwa pancerniki, trzynaście niszczycieli, kilkanaście dozorowców, ponad czterdzieści okrętów podwodnych, dziesiątki kutrów torpedowych... Na wschodzie jezioro Ładoga strzeżone przez Flotyllę Ładoską. A wszystko to w sytuacji, gdy Niemcy o jednostkach pływających podobnej klasy mogli jedynie pomarzyć, ich marynarka miała inne zajęcia. Od północy budowany przez dwadzieścia lat Karelski Rejon Umocniony obsadzony przez 23. Armię generała Pszennikowa, nie bez kozery zwany „Tarczą Leningradu". Na odcinku południowym – stosunkowo najbardziej narażonym na atak – rozmieszczono Newską Grupę Operacyjną oraz 8., 42. i 55. Armię, osłonę z powietrza zapewniały setki samolotów 7. Korpusu Myśliwskiego, pułków lotniczych 23. Armii i Floty Bałtyckiej... Nie, w otwartym boju Niemcy nie mieli szans. Pozostawała jednak inna możliwość – zagłodzenie miasta. Co prawda nie było mowy, by wróg opanował jezioro Ładoga, ale nie wykluczało to ostrzału artyleryjskiego czy bombardowania wiodącej przezeń „Drogi Życia". Już dwukrotnie Niemcy uniemożliwili transport żywności, gdyż poszukiwani przeze mnie kanibale wymordowali mające ubezpieczać operację aprowizacji Leningradu patrole piechoty morskiej, co pozwoliło zwiadowcom wroga na skuteczne kierowanie ogniem własnej artylerii. Wystarczyło parę tygodni, aby wśród twardych, zahartowanych żołnierzy Floty Bałtyckiej zaczęły się szerzyć panikarskie nastroje i budzące grozę plotki na temat sekty ludojadów. Spadło morale i mimo grożących za niesubordynację w obliczu wroga drakońskich kar odnotowano pierwsze przypadki odmowy wykonania rozkazu. Wszystkie dotyczyły służby patrolowej w okolicach atakowanej przez

kanibali „Drogi Życia”. Dlatego Gławkom się niecierpliwił, jeszcze trochę i polecą głowy...

Załatwiwszy sprawy w dziale łączności, odesłałem Riumina i zszedłem do magazynów, królestwa Nadii Elizarowny. Już na schodach usłyszałem jej głos. Otulona w futro z jenotów dyrygowała grupką przenoszących worki z mąką szeregowców. Ci zwijali się jak w ukropie – Nadia nie dawała sobie w kaszę dmuchać, a etat w sztabowej kuchni był marzeniem każdego niemal żołnierza. Tu nikomu nie groził głód, nawet niski stopniem personel jadał lepiej niż frontowi pułkownicy.

– Witaj, kochanie – wymruczałem, obejmując Nadię w talii.

– Saszka, łobuzie! – Trzepnęła mnie w ramię z udanym gniewem. – Gdzieś ty się podziewał?!

– Trwoniłem czas na domysłach, co masz pod tym futrem – skłamałem szarmancko, gładząc ją po pupie.

Nie była brzydka, choć może nieco zbyt pulchna – ryzyko związane z funkcją, jednak dręczony głodem miałem nadzieję co najwyżej na dodatkowy posiłek. Zresztą co tu gadać, nie tylko ja tak reagowałem – statystycy prognozowali drastyczny spadek urodzeń, a ilość gwałtów w, było nie było, liczącym mimo ewakuacji ponad milion mieszkańców mieście spadła prawie do zera. Można by ukuć nowy slogan: „Głód gwarantem moralności”. No, przynajmniej w tej dziedzinie, bo w innych nie za bardzo...

Zachichotała, ale odepchnęła mnie lekko.

– Przyjdź po południu – szepnęła. – Teraz jestem zajęta.

– Niestety, służba nie drużba – powiedziałem. – Nie dam rady. Ja właśnie w sprawie służbowej, gołąbeczko.

Złapawszy Nadię za rękę, zaciągnąłem do jednego z otwartych pomieszczeń magazynowych. Na jej twarzy pojawił się wyrozumiały uśmiech właściwy kobietom nieustannie

otaczanym męską atencją, lecz oczy zdradzały zniecierpliwienie.

– Mówiłam ci, że nie mam czasu – prychnęła ostrzej.

Bez słowa podsunąłem wystawiony przez Manuilskiego dokument uprawniający do pobierania racji żywnościowych majora. Przeczytała szybko pismo, zerknęła na mnie spod opuszczonych rzęs.

– W czym mogę pomóc... majorze? – spytała.

Przechyliła nieco głowę, kokieteryjnym ruchem odgarnęła opadające na czoło włosy, wyprężyła kształtny biust. No tak – dla majora warto się postarać, co innego jakiś marny poruczniczyna... Nie bałem się dekonspiracji, dokument nie precyzował mojej funkcji, zapewne wzięła mnie za jednego z wszechobecnych pasożytów sztabowych, niemal każdy z nich przygotowywał mniej czy bardziej tajny raport. Jak mawiał Dzierżyński: „Ufać, ale kontrolować". Nic nadzwyczajnego, ludziska się przyzwyczaili.

– Chciałbym odebrać racje na tydzień naprzód.

– To sporo waży...

– Mam samochód – uciąłem. – Dasz radę przygotować wszystko na jutro?

– Oczywiście – zapewniła. – To wszystko, towarzyszu majorze?

Zawahałem się na chwilę – pytając o kochankę Bieliajewa, mogę wzbudzić w Nadii podejrzenia, z drugiej strony, jeśli coś wie... Śledztwo postępowało powoli, na razie nie mogłem się pochwalić szczególnymi sukcesami, a czas naglił.

– Co wiesz na temat Wiery Bachałowej? – zdecydowałem się wreszcie.

Wątpiłem, aby zaczęła rozpuszczać plotki na mój temat, nawet jeżeli się domyśli, że nie pytam z czystej ciekawości. My,

ludzie radzieccy, już dawno nauczyliśmy się, że lepiej nie zaglądać władzy w rękaw.

Wydęła z namysłem usta, nadal nie patrząc mi w oczy, tak jakby wolała kontemplować brudną betonową podłogę.

– Niewiele mogę o niej powiedzieć – odparła w końcu. – Rzadko ze mną rozmawia, uważa się za klasę wyższą, jak i cała reszta tych sztabowych kurewek. Słyszałam, że pomagała szykować menu na przyjęcie u Bondaruka.

Skinąłem odruchowo głową, to by się zgadzało.

– Dlaczego akurat ona? Myślałem, że prędzej ty...

Tym razem podniosła wzrok, zmierzyła mnie kpiącym spojrzeniem.

– Jej kochanek Bieliajew odpowiada za zaopatrzenie, sam rozumiesz, czasem coś się zawieruszy po drodze... Dlatego ludzie starają się z nią dobrze żyć, w razie czego jest w stanie załatwić to i owo.

– Ale nie tyle, co ty – stwierdziłem domyślnie.

Uśmiechnęła się skromnie, choć nie odpowiedziała. Nie musiała, sam czasem korzystałem z „wygospodarowanej" przez Nadię dodatkowej żywności. Nie żeby było tego wiele, szefowa kuchni lubiła mnie co prawda, ale raczej nie miałem szans, żeby zostać miłością jej życia.

– Dlaczego Wania nie zwrócił się do ciebie?

– To twój kumpel. – Wzruszyła ramionami. – Dla mnie to tylko jeden z wielu majorów.

No tak... Znaczy za wysokie progi na Wańki nogi. I kto tu mówił przed chwilą o klasie wyższej? Ech, baby...

– A skąd to zainteresowanie Bachałową, towarzyszu majorze? Chcecie mnie wymienić na nowszy model?

– Słyszałem, że NKWD chce jej zadać kilka pytań – skłamałem bez żenady. – Nie bardzo orientuję się, o co chodzi, jednak nie sądzę, aby dalej robiła ci konkurencję.

– Chodzi o dostawy? – spytała szybko. – Jakaś kontrola?

Po raz pierwszy widziałem Nadię przestraszoną. No tak – mogła być po imieniu z większością generałów, ale gdyby padł na nią czujny wzrok naszych czekistów, żaden ze sztabowców nie wystąpiłby w jej obronie. Nie śmiałby. A nie wątpiłem, że wolałaby uniknąć zbyt dociekliwych pytań na temat dystrybucji powierzonych jej dóbr. Pewnie nie kradła więcej niż inni, lecz w odpowiednich okolicznościach to aż nadto. Obecnie najbardziej popularną w Leningradzie przyczyną wydawania wyroków śmieci był bandytyzm. Podciągano pod ten termin wszystko: od kanibalizmu czy napadów rabunkowych po kradzieże i defraudację mienia. Pewnie znalazłby się paragraf i na Nadię. A może nawet kilka?

Roześmiałem się swobodnie, widząc pełną niepokoju twarz szefowej kuchni.

– Może o tym porozmawiamy? – wymruczałem, przymykając kopniakiem drzwi.

Z jakichś przyczyn poczułem podniecenie, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Może sprawiła to zmiana sytuacji? Tym razem to Nadia potrzebowała czegoś ode mnie. Riumin mawia, że poczucie władzy to najlepszy afrodyzjak.

Wyłuskałem Nadię z futra, pchnąłem w stronę brudnego, niedbale oheblowanego stołu. Jęknęła zmuszona do oparcia się o blat, ale nie zaprotestowała. Nie nosiła na sobie wielu ubrań – przez większość czasu przebywała w dobrze ogrzewanych pomieszczeniach, więc już po chwili uniosłem spódnicę i poczułem pod palcami pulchne pośladki. Wszedłem w nią po krótkich pieszczotach, bez zbędnych ceregieli – wyglądało, że sytuacja jest i dla Nadii wystarczająco podniecająca. Szczytowała w chwilę później, wydając urywane, przeszywające okrzyki. No cóż, najwyżej paru żołnierzy na

korytarzu dojdzie do wniosku, że towarzysz porucznik nie traci czasu...

Zapiąłem rozporek i pomogłem kobiecie doprowadzić się do porządku. Syknęła, podnosząc zakrwawioną rękę. Drzazga. Jednym ruchem wyszarpnąłem drewnianą zadrę, ucałowałem dłoń, czując słony smak krwi.

– Już nie boli? – spytałem z uśmiechem.

– Nie – burknęła. – Na drugi raz, towarzyszu...

– Postaram się być delikatniejszy – wszedłem jej w słowo.

– Może jutro przywiozę ci twój przydział? – zaproponowała nieoczekiwanie. – I tak jadę ciężarówką do portu, marynarze świętują, jakiś kontradmirał dostał awans, więc mogę zabrać skrzynkę czy dwie więcej.

– Chętnie, mieszkam na Marata, pod szóstką, trzecie piętro, mieszkanie numer dwadzieścia siedem.

– To ta uliczka niedaleko dworca?

Przytaknąłem. Zanim wyszedłem, wsunęła mi do kieszeni kożucha butelkę koniaku i płaską, owiniętą w przetłuszczony papier paczkę – suszone owoce, prawdziwy rarytas w oblężonym Leningradzie. No, no... Nie zapytała powtórnie o Bachałową, doceniłem tę powściągliwość.

– Nie chodzi o kradzież żywności – zapewniłem, szczypiąc Nadię na odchodnym w policzek. – Śpij spokojnie.

Naburmuszyła się ponownie, choć wyraźnie jej ulżyło. No cóż, nie dość, że była bezpieczna, to jeszcze pozbędzie się konkurencji. Wątpiłem, by Bieliajew kontynuował swój proceder, nawet jeśli ominie go śledztwo, co wcale nie było takie pewne. W trakcie umiejętnie prowadzonego przesłuchania podejrzani przypominali sobie nieprawdopodobne ilości własnych i cudzych grzechów. A cokolwiek by powiedzieć o NKWD, śledczych miało kompetentnych, nad wyraz kompetentnych...

Spodziewałem się, że jadąc samochodem – skorzystałem z przydzielonego mi rozkazem Manuilskiego transportu – oderwę się wreszcie od codziennych bolączek oblężonego miasta. Głupiec, głupiec... Dopiero teraz, siedząc w wygodnym aucie, może nie rozgrzany, ale z pewnością wolny od ukąszeń lodowatego wiatru, zauważyłem leżące na ulicach, zamarznięte ciała. Przemierzając ulice pieszo, widziało się tylko to, co pod nogami. Czasem majaczył gdzieś z boku niewyraźny, przysypany śniegiem kształt, ale wyciskający łzy z oczu mróz nie zachęcał do rozglądania się, ciekawość ginęła zabijana udręką ciała. Teraz, wieziony nie za szybko, choć i niezbyt wolno do garnizonowego więzienia, miałem wrażenie, że jadę alejkami jakiejś koszmarnej, rozciągającej się w nieskończoność kostnicy. Mijaliśmy zwłoki, setki zwłok. Kierowca coś mówił – musiałem natrafić na towarzyskiego szofera – lecz jego głos huczał mi w uszach jak po ostrym strzelaniu, dźwięki dochodziły z opóźnieniem, jakby musiały się przedrzeć przez gęstą, na wpół zastygłą masę. Milczałem. Gdy mijaliśmy bulwar Smoleński, usłyszałem czyjś ryk, wozem zarzuciło, kiedy kierowca wykonał mój rozkaz – dopiero teraz dotarło do mnie, że kazałem mu stanąć. Na chodniku leżała kobieta, w objęciach trzymała kilkumiesięczne na oko, opatulone w stary płaszcz dziecko, śnieg wokół barwił się na czerwono. Wypadłem z wozu, podbiegłem. Zrzuciła okrycie z głowy – obok leżał postrzępiony kraciasty koc – i wyła ponuro, ukazując światu pokrwawione usta, rozwarte szeroko, oszalałe oczy. Trzymany przez wariatkę w ramionach tłumok poruszał się jeszcze, ale widziałem, że z każdą chwilą słabiej i słabiej. Wyrwałem jej niemowlę, rozwinąłem tobół – dzieciak miał przegryzione

gardło. Przystawiłem tokariewa do ucha kobiety, nacisnąłem spust. Opadła bezwładnie na śnieg, do otulonych niewidzialną watą uszu przedarły się trzy suche trzaski.

– Panie ...czniku, ...czniku! Panie poruczniku! – Szofer szarpał mnie za rękaw.

Lunatycznym ruchem skierowałem lufę w jego stronę, odskoczył w tył z przerażeniem w oczach.

– Jedziemy! – zarządziłem drewnianym, nieswoim głosem.

Przez uliczny głośnik ktoś recytował z pasją wiersz Baudelaire'a:

Dzwony nagle z wściekłością dziką się rozdzwonią,
Śląc do nieba rozpaczy szalejący głos.
Jak duchy potępieńców, co od światła stronią
I nocami się skarżą na swój straszny los.

A w duszy mej pogrzeby bez orkiestr się wloką,
W martwej ciszy – nadziei tylko słychać jęk,
Na łbie zaś mym schylonym, w triumfie, wysoko,
Czarny sztandar zatyka groźny tyran – Lęk.

Zatrzasnąłem z hukiem drzwiczki samochodu, ruszyliśmy. Miejscowa rozgłośnia radiowa nadawała utwory poetyckie na zmianę z najnowszymi informacjami – w celu podtrzymania morale. Pomysł nie był głupi, mieszkańcy Leningradu od zawsze słynęli z zamiłowania do liryki – nie zaszkodziło im o tym przypomnieć, w momencie kiedy nadszedł czas totalnego chaosu, ale wydawało się, że dobór tekstów pozostawia nieco do życzenia... Wiedziałem jednak, że radiowcy otrzymali od władz carte blanche, mogli mówić o wszystkim z jednym jedynym wyjątkiem – głodu. Ten temat był tabu w Leningradzie.

– Co za suka! – odezwał się kierowca, najwyraźniej odzyskując nadwątloną widokiem broni odwagę. – Inne matki oddają dzieciom swój przydział żywności i umierają...

– Milczeć! – warknąłem.

Nie miałem ochoty wysłuchiwać rozważań na temat moralności. Nie teraz. Szofer posłusznie ucichł. Wiedziałem, że ma rację – rzeczywiście, po oddaniu własnych racji dzieciom umierało z głodu tak wiele matek, że sformowano specjalne patrole, które sprawdzały regularnie, czy w mieszkaniach pozostał ktoś żywy. W wielu rodzinach jedynym dostarczycielem jedzenia była matka, ponieważ ojcowie przeważnie przebywali na froncie, po jej śmierci szybko umierały także młodsze dzieci, starsze wychodziły czasem na ulice żebrać i kraść, usiłując desperacko wytargować od losu kilka dodatkowych dni. Bez specjalnego powodzenia – leningradczycy nie mieli już czym się dzielić, a kariera młodocianych złodziei trwała zazwyczaj krótko; tych, którzy ukończyli dwanaście lat, karano śmiercią jak dorosłych. Za bandytyzm.

Wjechaliśmy na dziedziniec więzienia; kierowca zawinął autem w ciasnym skręcie, czy to popisując się, czy też chcąc okazać dezaprobatę wobec mojego zachowania – w efekcie brawurowego manewru poleciałem na bok, boleśnie uderzając się w łokieć – i ustawił wóz obok paru innych na specjalnie wydzielonym parkingu. Wysiadłszy bez słowa, pomaszerowałem do biura naczelnika, po załatwieniu niezbędnych formalności zażyczyłem sobie widzenia z Bachałową. Wyznaczony na przewodnika strażnik poinformował mnie, że kobieta jest właśnie przesłuchiwana. Mimo kiepskiego nastroju uśmiechnąłem się pod nosem – najwyraźniej mój przyjaciel z NKWD nie zasypiał gruszek w popiele, ot, co znaczy odpowiednia motywacja...

Nie wiem, co widział w niej Bieliajew, być może kiedyś była ładna. Teraz jej uroda należała do przeszłości; półnaga, w porwanej bluzie mundurowej, ze zwisającymi, sinymi z zimna piersiami, na których dostrzegłem kilka śladów po oparzeniach, nie wzbudziłaby zainteresowania w żadnym mężczyźnie. Obrzmiała, fioletowa twarz sugerowała, że przesłuchanie trwa już jakiś czas. Bachałowa siedziała na przyśrubowanym do betonowej podłogi stołku, otaczało ją trzech oficerów NKWD, w tym Kutiepow. Wywołałem go na korytarz skinieniem głowy, kiedy wyszedł, poprosiłem o sprawozdanie. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, podsunął uprzejmie. Poczęstowałem się chętnie, znowu czułem głód, a dłonie zdrętwiały mi z zimna – cele nie były ogrzewane. Zapaliliśmy.

– Co z nią? – spytałem.

– Przyznała się do przyrządzenia gulaszu z ludzkiego mięsa – poinformował Kutiepow. – Ale – wydmuchnął dym energicznie – mieliście nosa, towarzyszu, jest w tym też coś więcej. Chciała dostać się do sekty, do Doskonałych.

Mimo wygłoszonego z pełnym uznania uśmiechem komplementu oczy enkawudzisty pozostały czujne i podejrzliwe.

– Oni przecież zjadają serca. – Zmarszczyłem brwi. – A ten gulasz był...

– Gulasz to tylko preludium, część rytuału – wszedł mi w słowo. – Nazywają to „zatratą duszy” – poinformował z ironią. – Zanim zostaną zaakceptowani przez mistrza... tak, jest ktoś taki... muszą udowodnić, że porzucają wszelkie zasady moralne. Dlatego zabijają i dopuszczają się kanibalizmu, spożycie serca to komunia, ukoronowanie długiej drogi. Wszystko razem ma im przynieść wyzwolenie od ograniczeń ludzkiej egzystencji, wierzą, że zjadłszy serce własnoręcznie

zabitego człowieka i otrzymawszy błogosławieństwo mistrza, osiągną status półboga.

– A konkretnie? Poza odpornością na zimno?

Już wymawiając te słowa, wiedziałem, że popełniłem błąd – przeklęty, odmóżdżający głód! Nie wspomniałem Kutiepowowi wcześniej o tym, co powiedziała mi córka dozorczyni – ba! – nie zapytałem nawet dziewczyny, jak się nazywa, teraz trudno będzie wytłumaczyć, że nie zrobiłem tego celowo, nie ukryłem informacji.

Westchnąłem ciężko i zgasiwszy niedopałek papierosa, spojrzałem prosto w oczy Kutiepowa.

– Przesłuchałem osobę, która uszła cało z zasadzki sekciarzy. Twierdzi, że oni nie czują chłodu. Ani strachu – dodałem po namyśle. – Być może dlatego właśnie nazywają się Doskonałymi.

Milczał przez chwilę, mierząc mnie wzrokiem z natężoną, wręcz kliniczną uwagą. Zamarłem jak zahipnotyzowany, jeśli dojdzie do wniosku, że za jego plecami prowadzę jakąś grę... Wreszcie pokręcił głową – lekkim, niemal niezauważalnym ruchem, sam nie wiem, czy litując się nad moją naiwnością, czy też nie dowierzając, że mogę być tak głupi.

– Powinienem być informowany na bieżąco – stwierdził.

Przytaknąłem gorliwie i zrelacjonowałem wszystko, czego dowiedziałem się od dziewczyny.

Wysłuchał mnie bez słowa, stukając odruchowo brzegiem dłoni o metalową framugę drzwi; palce: środkowy, serdeczny i wskazujący zgiął w taki sposób, że ich czubki ułożyły się w równą linię, żaden nie wystawał. Tuk, tuk – przerwa – tuk, tuk, tuk. Widać naprawdę przejął się nowinkami, na moment stracił czujność. W taki sposób uderza się, aby zmiażdżyć krtań, tętnicę szyjną, zdruzgotać skroń. Znaczy towarzysz Kutiepow nie jest jedynie urzędasem. Warto zapamiętać.

– Co mamy zrobić z Bachałową? – zapytał, gdy skończyłem.

– A co mnie to obchodzi? – Wzruszyłem ramionami. – Zna kogoś z sekciarzy? Wyjawiła, skąd brała... mięso?

– Sądziła, że tamci ją obserwują i jeśli dostatecznie „splugawi duszę", nawiążą kontakt. Nie można powiedzieć, starała się... A ludzkie mięso wzięła podobno z cmentarza przy dworcu, tam jest sporo niepogrzebanych ciał, grabarze nie nadążają.

– Warto sprawdzić, czy nie skłamała – zauważyłem.

– To znaczy? – zmarszczył brwi enkawudzista.

– No, te zwłoki – mruknąłem. – Czego w nich brakuje, czy – skrzywiłem się – polędwicy, czy może jednak serca.

Zacisnął usta, znowu zadźwięczała uderzana kantem dłoni framuga. Tuk, tuk, tuk.

– Przyprowadziliśmy tu Bieliajewa, widziała go – poinformował. – Nie sądzę, aby... – urwał wymownie.

Też nie sądziłem. Nie przypuszczałem, żeby upokorzona, pozbawiona nadziei na pomoc swego protektora – ekipa NKWD musiała to wyeksponować, byli fachowcami – kobieta skłamała. Może kazali pułkownikowi oskarżyć Bachałową, dali do zrozumienia, że uwierzą w jego wersję? – oczywiście, jeśli obwini kochankę... Przymus fizyczny, jaki zastosowali, był raczej symboliczny; kilka policzków, przypalanie papierosem – tylko tyle, żeby zrozumiała, że jest na ich łasce, że mogą zrobić z nią wszystko. Dość, by śmiertelnie wystraszyć, zbyt mało, żeby wywołać traumę skłaniającą do uprzedzania życzeń śledczych, konfabulacji w celu uniknięcia bólu. Jednak nie mogłem kierować się przekonaniami, nie w tej sprawie, stawką było życie. Gławkom dodałby pewnie, że przede wszystkim los Leningradu...

– Jednak lepiej sprawdzić, sami rozumiecie, towarzyszu – odparłem stanowczo. – W razie pomyłki będziemy tłumaczyć się przed...

Powstrzymał mnie niecierpliwym gestem.
– No dobrze – zadecydował. – Jedziemy.

Rozdział drugi

Kamienne, przysypane śniegiem nagrobki – niektóre przedrewolucyjne, z krzyżami podobnymi do wyciągniętych ku niebu w daremnym geście ramion – przypominały las. Zimowy, okrutny, pozbawiony soków i życia. Groźny. Nawet ostentacyjnie ateistyczne płyty nagrobne z czerwoną gwiazdą tchnęły jakimś ponurym mistycyzmem. Być może sprawiały to porzucone na cmentarzu zwłoki. Większość spoczywała niedaleko bramy – zapewne grabarze starali się ułożyć je w schludny stos, jednak wyglądało, że pomysł nie wypalił. Tylko pierwsza, kładziona wprost na ziemi warstwa, została sformowana na kształt regularnego czworoboku; reszta zwalona byle jak tworzyła nieforemny kopiec. Tu i ówdzie w głębi cmentarza widać było też pojedyncze ciała; w alejkach, czasem przytulone do ścian dawnych grobowców, tak jakby nieboszczykom zabrakło sił, aby spocząć w wybranym przez siebie miejscu. Przypominały sztywne połcie mięsa, ciśnięte niedbale gdzie bądź, bez śladu należnego zmarłym szacunku. Niepokoiły.

Bachałowa poprowadziła nas do mogiły strzeżonej przez figurę dzierżącego pęk lilii anioła, na marmurowej płycie wyryto lakoniczny napis: *Raisa Fiodorowna Małkina, diewica, skończałas' 19 diekabria 1897 goda.* Bez słowa wskazała leżące tuż obok zwłoki. Jeden z ludzi Kutiepowa przydeptał trupa ciężkim wojskowym buciorem, szarpnął brutalnie za

okrywający go długi do kostek płaszcz. Rozległ się suchy chrzęst i enkawudzista poleciał w tył, trzymając w dłoni kawałek zamarzniętej tkaniny. Ktoś zaśmiał się nerwowo, po dłuższej chwili daliśmy radę odsłonić nogi nieboszczyka; przez rozcięte spodnie dostrzegliśmy ubytki na udach martwego mężczyzny. Odplułem w śnieg podchodzącą do gardła żółć, trzasnąłem Bachałową w twarz. Kutiepow poprawił, zwalając kobietę z nóg, zajęczała bezradnie, kopana ze wszystkich stron. Na chwilę zapomnieliśmy o wzajemnej wrogości, zjednoczeni w obliczu złamania jednego z najważniejszych tabu ludzkości – zjadania osobników tego samego gatunku. Wkrótce Bachałowa przypominała bardziej zakrwawiony łachman niż człowieka. Już nie jęczała. Wreszcie pułkownik spojrzał na mnie wymownie, jakby chciał spytać, czy jest jeszcze do czegoś potrzebna. Pokręciłem przecząco głową. Szczęknął bezpiecznik pistoletu, rozległ się strzał.

– Wracajmy – zaproponowałem znużonym tonem.

Uniosłem brwi, widząc, że Kutiepow siada w przydzielonym mi wozie – na cmentarz przyjechał własnym, eskortując Bachałową, jakby chciał podkreślić fakt, że to on kontroluje więźnia. Ruszyliśmy natychmiast; kierowca czekał, nie wyłączając silnika, wolał nie ryzykować przy tej temperaturze. Nikomu nie uśmiechał się marsz ulicami Leningradu.

– Możecie mi wyjaśnić, gdzie podział się kapitan Riumin? – zapytał enkawudzista, zapalając papierosa.

Tym razem mnie nie poczęstował, tak jakby wyczerpał zapasy uprzejmości na dzisiaj. Nie zdziwiłem się, że zna stopień Saszki. Pewnie miał jego akta, może kazał śledzić?

– Właśnie chciałem z wami o tym porozmawiać, towarzyszu...

– Słucham. – Zachęcił mnie gestem.

– Wysłałem go do sztabów armii i floty, ma tam poprosić o listę żołnierzy ponadprzeciętnie odpornych na chłód. Na pewno są tacy i trudno, aby ktoś tego nie zauważył. Raczej nie afiszują się, biegając po mrozie w *gimnastiorkach* – przyznałem – ale tak czy owak, przynajmniej część z nich poznamy.

– Myślicie, że w ten sposób znajdziecie sekciarzy? A co, jeśli traficie na zwykłych, tyle że nieco bardziej wytrzymałych *sołdatów*? Zabijecie wszystkich?

– Kazałem Riuminowi powiedzieć, że szukamy ludzi na misję specjalną. Nagrodą dla ochotników ma być parę kilogramów konserw i wódka... Przetestujemy ich, wystawiając na działanie mrozu, tuż przy szpitalu, żeby w razie czego udzielić natychmiast pomocy. Myślę, że nie zabraknie chętnych, bo Riumin ma zasugerować, że nie chodzi o akcję przy „Drodze Życia". Niemniej jednak będę potrzebował waszej pomocy...

– Jak zwykle – odburknął Kutiepow.

Puściłem to mimo uszu.

– Zakładam, że część sekciarzy się zgłosi. Dodatkowe racje żywnościowe to gratka nie do pogardzenia, ale pewnie nie wszyscy. Chciałbym, żebyście skorzystali z waszej agentury i wyłowili pozostałych. Tych... ostrożnych.

– Rozumiem, że liczycie na to, iż zdemaskowani członkowie sekty w czasie przesłuchania wydadzą innych?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– A co, jeżeli okażą się odporni nie tylko na mróz, ale i ból?

– Wątpię. Nie doszukujcie się w tym jakiegoś mistycyzmu, towarzyszu – odparłem z pobłażliwym uśmiechem. – Być może są pod działaniem narkotyków albo uprawiają jakieś ćwiczenia...

– Ćwiczenia?! – przerwał mi poirytowanym tonem.

– Tybetańscy mnisi potrafią topić śnieg ciepłem własnego ciała – zauważyłem. – Zresztą będziemy się tym martwić, jak

przyjdzie pora. Na razie priorytetem jest wyłapanie wszystkich mrozoodpornych.

– Wytłumaczcie mi w takim razie te morderstwa oraz fakt, że nie złapano żadnego z ludojadów, którzy jak się zdaje, bez większego trudu zabijali naszych żołnierzy, nie byle jakich żołnierzy – poprosił z ironią.

– Zastanawiałem się nad tym, jednak to tylko hipoteza – zacząłem ostrożnie. – Jeśli się nie mylę, to nasi byli mordowani przez własnych kolegów, członków sekty. Nikt ich nie podejrzewał, mieli sposobność, przewagę zaskoczenia.

– I byli kuloodporni. Ten ostatni patrol piechoty morskiej został wybity przez jednego człowieka, znaleziono łuski...

– Owszem, znaleziono – wszedłem Kutiepowowi bezceremonialnie w słowo. – Ktoś, niekoniecznie jedna osoba, uśmiercił żołnierzy, prawdopodobnie nożem, tak jak i innych wcześniej. Rozstrzygnie to sekcja. Napastnicy wycięli ofiarom serca i wystrzeliwszy uprzednio trochę amunicji, zniknęli. Jeśli byli żołnierzami, nic w tym dziwnego, znali teren. Odeszli, stawiając stopy w tych samych miejscach. Każdy, kto kiedykolwiek walczył w zimie, zna tę sztuczkę. A padający wówczas śnieg błyskawicznie zatarł kontury śladów, pozwalając jedynie na określenie, w jakim kierunku się oddalili.

– Znakomita dedukcja. I, jakże godne szacunku! odrzucenie wszelkiego mistycyzmu. Imponujące! – rzucił Kutiepow z wyraźną złośliwością w głosie.

Jego oczy błysnęły w półmroku, niczym ślepia polującego tygrysa.

– Tak zostałem wychowany – odparłem ostrożnie. – Komsomoł, później partia...

– Razumowski to raczej szlacheckie nazwisko?

– To nazwisko pastuszka, którego caryca wzięła sobie do łóżka i obdarowała paroma tytułami – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Zresztą niejeden Razumowski na świecie.

– Oczywiście, macie rację – przytaknął grzecznie enkawudzista. – Wracając do sprawy, mam coś dla was, znaleźliśmy to w mieszkaniu podejrzanej. – Podał niewielką, oprawioną w czerwony marokin książkę. – Wydaje się, że została dopiero co podrzucona, tak zeznała Bachałowa, a ponieważ nie znaleźliśmy na kartkach należących do niej odcisków palców, wypada przypuszczać, że mówiła prawdę.

Z największym trudem powstrzymałem się przed złapaniem Kutiepowa za gardło. Dał mi książeczkę dopiero teraz, kiedy Bachałowa już nie żyła, zabita za moim przyzwoleniem, w obecności trzech świadków z NKWD. Brawo, towarzyszu Razumowski! Cóż za przykład wybitnej inteligencji i sprytu... Mogłem tylko mieć nadzieję, że kobieta rzeczywiście nic nie wiedziała na temat przekazanego jej tekstu. Przez resztę drogi milczałem – wolałem się nie odzywać, konfrontacja z NKWD nie poprawiłaby mojej sytuacji, choć mina zadowolonego z siebie bezpieczniaka działała mi na nerwy. Pożegnałem Kutiepowa pod kamienicą na Marata, gdzie przesiadł się do swojego samochodu, i poinstruowawszy szofera, ruszyłem na górę. Chłopcy przywitali mnie gorącą herbatą i kieliszkiem wódki. Wypiłem jedno i drugie, zakąsiłem wyczarowanym nie wiadomo skąd kiszonym ogóreczkiem, po czym odesławszy wszystkich poza Riuminem, przewertowałem książeczkę przy stole. Wbrew moim oczekiwaniom nie zawierała żadnych wskazówek czy inkantacji, nie opisywała bluźnierczych ceremonii. Napisana mętnym, bełkotliwym językiem odnosiła się do kwestii „zatraty duszy”, nawiązując ni to do doktryny gnostyków, ni to do teorii okultystycznych. Nie znalazłem żadnej wzmianki o kulcie kanibali.

– Co o tym myślisz? – spytałem, podawszy książkę Saszce.

Otworzył ją ostrożnie, powąchał – pachniała jak świeża gazeta – i mruknąwszy coś pod nosem, zagłębił się w lekturze. Widząc, że zajmie mu to chwilę, wyjąłem z szafki puszkę świńskiej mielonki, otworzyłem paroma ruchami noża i wygarnąłem zawartość na talerz. To skutecznie oderwało Saszkę od tekstu, zerknął na mnie z niepokojem w oczach – sytuacja wymagała rygorystycznego racjonowania żywności, co wśród permanentnie wygłodzonych ludzi nie było rzeczą łatwą, złamanie zasad, przekroczenie dziennego przydziału skutkowało przymusowym postem. Przy tych temperaturach można go było nie przeżyć.

– Spokojnie! – roześmiałem się, widząc minę Riumina. – Załatwiłem na jutro dodatkowe żarcie, wiesz, racje majora. Ma je przywieźć osobiście moja słodka Nadia Elizarowna, cesarzowa kuchni oficerskiej.

Podzieliłem konserwę, polałem wódki. W GRU obowiązuje, rzecz jasna, hierarchia służbowa, ale dowódcy nie trzymają na dystans swoich ludzi, starają się żyć tak jak oni. No, przynajmniej w czasie akcji...

Rozpogodzony Riumin ochoczo sięgnął po kieliszek, zagryzł tuszonką i powrócił do czytania. Zanim zjadłem swoją część, w drzwiach pojawili się Kotuszew i Drozd, za ich plecami ujrzałem dziewczynę z parteru. No tak, wywąchali żarcie.

– Jak ta mała ma na imię? – Trąciłem Saszkę w bok.

– Wiera – wymruczał, nie przerywając lektury.

Pokiwałem głową, czyszcząc talerz z resztek konserwy. Wiera... Tak jak Bachałowa. *Niczego!* Tamta nie żyje, nie będą mi się mylić.

– Słucham, panowie? – zwróciłem się surowym tonem do podwładnych.

– Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy *komandir* zwariował, czy może... – Kotuszew zawiesił głos z nadzieją.

Chłopak wciągnął policzki, udając przesadnie wychudzonego, zakończył grymas niewinnym uśmiechem.

– Po pół konserwy na łeb – oznajmiłem, patrząc na niego spod oka.

– A ona? – zerknął za siebie Drozd.

Prychnąłem rozbawiony – jeszcze trochę i wraz ze zwiększonymi racjami żywnościowymi powróci cywilizacja, porucznik Drozd właśnie ujął się za damą...

– Niech tam! – Machnąłem ręką. – Ona też.

Syknąłem, dotknąwszy nieostrożnie rozgrzanego piecyka, z cichym przekleństwem przymknąłem drzwiczki. Z trudem oderwałem się od obserwacji płomieni, ogień wywoływał wrażenie domowej przytulności, rzadko obecnie dostępne w Leningradzie ze względu na wszechogarniający chłód. Tu marzło się nawet w łóżku, pod grubym okryciem, dzień po dniu. Po prostu czasem mniej niż zwykle. W rogu kuchni – tak czy owak najcieplejszego pomieszczenia w całym mieszkaniu – przy oknie, stała zainstalowana jeszcze przez poprzednich lokatorów burżujka. Nie używaliśmy jej wcześniej, bo miała zapchaną rurę kominową, ale teraz, w przypływie dobrego humoru po dodatkowej kolacji, Drozd – syn kominiarza – doprowadził instalację do stanu używalności. Ot, co może zdziałać odrobina żarcia... Riumin jeszcze raz obejrzał dokładnie marokinową okładkę i rzucił niedbale książkę na stół. Mimo półmroku widać było wyraźnie obłoczki naszych

oddechów. Nawet nie chciało mi się sprawdzać, jaka jest temperatura. Co to w końcu za różnica? Kurewski ziąb i tyle.

– Okładka wyszła chyba ze szkoły paryskiej: linearne tłoczenia, dublura – mruknął wreszcie Riumin. – Nasi robili to trochę inaczej. Musieli ją zedrzeć z jakiejś innej książki, nie daliby rady wykonać takiej na miejscu. Koźla skóra, złocenia... Na ich szczęście żadnych napisów. Za to zawartość jest ewidentnym fałszerstwem. Czuć jeszcze farbę drukarską.

– Tyle to sam wydedukowałem, Watsonie – podsumowałem zgryźliwie jego wywody. – Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– No więc nasuwa się pytanie: po czorta ci to dali? Przecież Bachałowa nie żyje, nie musieli w ogóle o tym mówić.

– Fakt. – Zagryzłem z namysłem wargi. – Może Kutiepow obawiał się zataić informację? W końcu Gławkom...

– Kiedy to fałszywka, a nie żadna informacja. Bełkot skompilowany z paru idiotycznych tekstów w ciągu godziny czy dwóch. Strach może Kutiepowa powstrzymać przed sabotowaniem śledztwa, w końcu wie, że jedziemy na jednym wózku, jednak w tym jest coś więcej... On musiał się czegoś dowiedzieć od Bachałowej.

– Więc... Zaraz! – krzyknąłem. – Ten gnojek próbuje mnie zniechęcić do poszukiwania tekstu, prawdziwego tekstu, opisującego idee, jakimi kierują się Doskonali, na wypadek gdyby ktoś mi szepnął o jego istnieniu. Chce, żebym zbagatelizował tę wiadomość, myśląc, że to jakieś bzdury! Kochanka Bieliajewa musiała go o tym poinformować.

– Tak! – potwierdził Riumin, waląc pięścią w stół. – O to mu chodzi! Ale dlaczego? Jeżeli księga, ta autentyczna, zawiera coś istotnego dla naszego dochodzenia, nie wykonamy zadania i postawią nas między ślepym murem a plutonem egzekucyjnym, to jego także. Nie wywinie się. Decyzję będzie

podejmował osobiście towarzysz Stalin, a jemu *wsio rawno*, pułkownik czy major, NKWD czy GRU... – dokończył ciszej.

– A gdyby tekst nie miał nic wspólnego ze śledztwem? – spytałem. – Nie zawierałby żadnych ważnych informacji, jedynie...

– Tak?

– Jedynie opisywał, jak stać się Doskonałym. Nie w sensie dołączenia do sekty, ale podawał szczegóły techniczne tej... przemiany. Bo rzecz chyba nie w mrozoodporności, a przynajmniej nie tylko.

– Unoszenie się w powietrzu? Przechodzenie przez ściany? Niewidzialność? – zadrwił Riumin.

– Nieważne – mruknąłem. – Nie ma co dywagować, jednak nasuwa się jeden oczywisty wniosek: musimy być szybsi i uprzedzić towarzysza Kutiepowa, pierwsi znaleźć tę książkę. O ile, rzecz jasna, takowa istnieje... Głupio by było tracić czas na jakieś bzdury.

Przytaknął ruchem głowy, jednak widziałem, że coś go gnębi, kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, jakby nie mógł się zdecydować, czy powiedzieć mi o czymś, czy lepiej milczeć. Czekałem cierpliwie.

– Rumunia – wymamrotał wreszcie. – Pamiętasz akcję w Rumunii?

Zacisnąłem zęby. Pamiętałem. My, ludzie radzieccy, odrzucamy wszelkie burżuazyjne przesądy, nie wierzymy ani w Boga, ani w czary. I mamy rację; Boga nie ma – historia ludzkości jest najlepszym tego dowodem, a magia i wszelkie hokus-pokus to wymysły zabobonnych wieśniaków. Jednak czasem... Każdy oficer GRU od kapitana w górę otrzymuje dostęp do akt opisujących szczególnie niebezpieczne akcje – dla przestrogi i nauki. W zeszłym roku wysłano doborowy oddział *wojennoj razwiedki – Moskowskij Otriad Spiecjalnowo*

Naznaczenija – do jednego z rumuńskich klasztorów. Nie wiem, na czym polegała sama misja, dokumenty tego nie precyzowały, jednak kilka kwestii podkreślono dobitnie: zadanie zostało wykonane, straty własne wyniosły trzydziestu dwóch zabitych na czterdziestu ośmiu biorących udział w akcji, a przeciwnicy wykazywali alergię na srebro. No, alergia normalna rzecz, sam widziałem, jak jeden z moich ludzi umarł ukąszony przez zwykłą pszczołę, choć fakt zgromadzenia tylu alergików w jednym miejscu mimo wszystko zastanawiał, ale te straty... W klasztorze mieszkało szesnastu mnichów, a każdego z chłopaków, których tam wysłano, postawiłbym śmiało przeciwko dziesięciu żołnierzom, naprawdę dobrym żołnierzom... Być może wyjaśnieniem całej sprawy były narkotyki, w czasie walk na Filipinach amerykańskich żołnierzy przez dłuższy czas masakrowali wyskakujący z dżungli, uzbrojeni jedynie w maczety tubylcy – byli tak naćpani, że nie czuli strachu ani bólu, podobno nawet mniej krwawili. Można ich było oczywiście zabić, tyle że z trudem, z wielkim trudem...

– Spokojnie, Saszka – westchnąłem. – Wystarczy większy kaliber i trzeba strzelać w łeb. Może ktoś zdąży nacisnąć spust czy pchnąć nożem z kulą w sercu, ale z mózgiem na suficie nie ma szans. Co do tej książki...

– Mam pomysł – wszedł mi w słowo Riumin. – Byłem dziś w bibliotece i archiwum, chciałem zobaczyć, jak radzi sobie Drozd, ale...

– Tak?

– To beznadziejna robota. – Wzruszył ramionami. – Sami nic nie znajdziemy, nie ma mowy. Próbowano wywieźć część zbiorów, w efekcie powstał taki burdel, że nikt nie wie, gdzie co jest. Poza pracownikami – dodał. – Tyle że większość z nich ma

jakie takie pojęcie jedynie o swoich działach. Całością zbiorów opiekuje się niejaki profesor Dankell.

– To Niemiec z pochodzenia, prawda? – wtrąciłem.

– Tak, miał niemieckich przodków, co prawda jest członkiem partii, lecz w obecnej sytuacji naprawdę niewiele potrzeba, aby posądzić kogoś o szpiegostwo, więc powinien być otwarty na... perswazję.

– Dobry pomysł – pochwaliłem. – Zaraz z rana wybierzemy się do pana profesora. Ale teraz – ziewnąłem szeroko – czas spać. To był męczący dzień.

Zza drzwi dobiegły mnie dźwięki gitary, po chwili zawtórował im całkiem zgrany damsko-męski trójgłos – najwyraźniej panienka porzuciła nieśmiałość:

Kak na kijewskom wokzalie
mienia bladju obozwali.
Nu kakaja że ja blad',
jesli niekomu jebat'.

– Dzieciaki – wymamrotałem. – Dzieciaki.

Ktoś zatykał mi nos i usta, brakowało mi tchu. Wychynąłem gwałtownie ze stanu nieświadomości, odpychając napastnika. Blada jak płótno Wiera wskazywała na okno, wydając dziwne, charkotliwe dźwięki. Czułem kwaśny zapach jej strachu, w porannym półmroku widziałem wykrzywioną przerażeniem twarz. Z ulicy dobiegł mnie tupot ciężkich wojskowych buciorów. Kilkanaście osób kłębiło się pod bramą kamienicy, pękały z hukiem rąbane siekierami deski. Doskonali.

W cywilnych ubraniach, ale uzbrojeni w pepesze i pistolety, bez płaszczy, futer i czapek. Nieczuli na mróz. Oprzytomniałem błyskawicznie i nie zważając na kąsający bose stopy chłód, wypadłem do przedpokoju, porywając w przelocie trzymaną pod poduszką broń.

– *Ko mnie, riebiata, ko mnie!* – ryknąłem.

Drozd i Kotuszew przyczaili się za stosem drewna, Riumin krzyczał coś do telefonu – miałem nadzieję, że zdąży wezwać pomoc, na sąsiadów nie było co liczyć. Załomotały schody, posypały się drzazgi z prutych długimi seriami drzwi. Rozległ się trzask – wejście do mieszkania stanęło otworem. Zakląłem bezsilnie; pistolety to niewiele przeciwko takiej przewadze, jedynie pochodzący z Syberii Kotuszew przywarł do kolby mosina, no tak – myśliwy nigdzie nie rusza się bez karabinu... Przez głowę przelatywały mi tysiące myśli, oderwanych od siebie obrazów, zastanawiałem się gorączkowo: skąd ten napad? Co zrobiłem, aby go sprowokować? Kto nasłał na mnie Doskonałych? Rozjuszony aresztowaniem kochanki Bieliajew? Bzdura, Bachałowa sypnęłaby go natychmiast, gdyby miał cokolwiek wspólnego z kanibalizmem. To tylko złodziej i oportunista, nikt więcej. Kutiepow? Wprowadził mnie w błąd i zabił Bachałową, zanim zdążyłem ją przesłuchać, to fakt. Jednak gdybym się uparł, żeby z nią pogadać, nie mógłby mi przeszkodzić – ba! – nie odważyłby się nawet. Jeśli zginę, będzie pierwszą osobą, od której Gławkom zażąda wyjaśnień, a to nie żarty, oj, nie... No i skąd sekciarze znali mój adres? Gdyby ktoś mnie śledził, zorientowałbym się z łatwością, teraz po ulicach Leningradu chodzili tylko ci, którzy musieli, nie było jak schować się w tłumie. Kutiepow wiedział, gdzie mieszkam, ale poza nim... Nadia! Podałem jej swój adres! Zaproponowała mi dostarczenie racji żywnościowych dopiero po tym, kiedy zasugerowałem, że Bachałową interesuje się NKWD. No

i wyznałem, że nie jestem porucznikiem, tylko majorem. Jeżeli należała do Doskonałych, nietrudno jej było skojarzyć fakty... Nadia, ty suko!

Brodata twarz o błyszczących fanatyzmem oczach pojawiła się nagle, by zniknąć sekundę później w krwawym rozbryzgu, sucho szczęknął mosin. Riumin wychylił się ze swojego pokoju i zamaszystym gestem rzucił granat na schody. Przypadliśmy do podłogi, nad głowami zaświszczały odłamki.

– *Ko mnie!* – wrzasnąłem ponownie, strzelając do nacierających sekciarzy.

Któryś odpowiedział ogniem, na szczęście niecelnie. Kotuszew, osadziwszy bagnet na karabinie, zablokował wąskie przejście między stertą drewna a ścianą i walczył po mistrzowsku, dając mi czas na przeładowanie broni. Drozd z Riuminem zniknęli w jednym z pomieszczeń, atakowani przez kilku napastników. Zdążyłem załadować trzy naboje, wszystkie wystrzeliłem w muskularnego draba pochylającego się nad porąbanym siekierami Kotuszewem. Obok leżały jakieś ciała, chłopak nie sprzedał życia darmo. Widząc kolejnych wrogów przeskakujących zaimprowizowaną barykadę, uciekłem do pokoju. Pierwszego, który wbiegł za mną, uderzyłem kolanem w krocze. Kiedy zgiął się wpół, łupnąłem w kark kolbą pistoletu. Skończyły się naboje? *Niczego!* – dalej miałem w garści prawie kilogram żelaza. Następnego trzasnąłem tokariewem w bark, ale z jakichś względów nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Stalowy obojczyk czy co? Pchnął mnie otwartą dłonią, niczym w przyjacielskiej sprzeczce, ale poleciałem na ścianę jak po zderzeniu z ciężarówką. Chciałem wstać, jednak moje ciało ni stąd, ni zowąd przybrało konsystencję ciężkiego roztopionego metalu, gapiłem się bezradnie na pędzące ku mojej szyi ostrze siekiery. Zanim doszedł mnie pocałunek śmierci, w nagłym, bolesnym rozbłysku światła ujrzałem Wierę

wirującą z przyczepioną do dłoni stalową smugą, twarz obryzgała mi ciepła krew. Potworne uderzenie wyparło resztki powietrza z moich płuc i zapadłem w ciemność.

Ocknąłem się, słysząc podniesione głosy.

– Trzeba natychmiast zameldować o sytuacji!

– Poczekajmy, może odzyska przytomność.

Moi przyjaciele – Manuilski i Kutiepow... Uniosłem z wysiłkiem spuchnięte, jakby nie swoje powieki, przez chwilę widziałem tylko szarobiałą plamę, poczułem, że ktoś zwilża mi usta. Zawzięcie mrugając, przegoniłem sprzed oczu mamiącą wzrok mgłę. Tuż przy szpitalnym łóżku siedział Riumin – pobladły, z posiniaczoną twarzą, ale na oko cały i zdrowy. No, względnie zdrowy. Odgłosy kłótni dochodziły z korytarza. Spróbowałem usiąść, przeszył mnie jednak tak przeraźliwy ból, że natychmiast opadłem na poduszki.

– Leż – mruknął Riumin. – Masz połamane żebra i wstrząśnienie mózgu.

– Co z chłopakami? – spytałem, z trudem wypychając słowa przez wyschnięte gardło.

– Drozd zarobił kulkę w brzuch, ale wyjdzie z tego, Kotuszew stracił ucho, ma pękniętą czaszkę i przerąbany siekierą bark. Jest nieprzytomny.

– Jakie... rokowania?

Saszka apatycznie wzruszył ramionami.

– A kto to wie?

– Jakim cudem ocalałem?

– Uratowała cię nasza znajda, Wiera Turkuł. Zerwała szablę ze ściany i ścięła łeb gnojowi, który chciał cię wykończyć. Zaraz

potem przyjechał pluton alarmowy z garnizonu.

– Szablą?! – zawołałem z niedowierzaniem.

– Szablą. Wygląda na to, że kupiłeś sobie życie za pół konserwy – stwierdził cierpkim tonem.

– Mówisz, że nazywa się Turkuł?

Przytaknął.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś?!

– Nie pytałeś. – Znowu wzruszył ramionami. – A zresztą, chyba dobrze zrobiłem?

– Możliwe – odparłem, unikając jego wzroku. – Zawołaj lekarza i tamtych dwóch – poleciłem.

Westchnął ciężko, lecz podniósł się z krzesła, po chwili ujrzałem starszego, otyłego mężczyznę w białym kitlu, za nim do pokoju weszli Kutiepow i Manuilski.

– Major Daduszew – przedstawił się lekarz.

– Proszę postawić mnie na nogi, doktorze. Muszę być w stanie chodzić.

– Nie ma mowy! – rzucił ostro. – Stan, w jakim się znajdujecie, towarzyszu, wyklucza...

– Z rozkazu Gławkoma – wyszeptałem.

Niespodziewanie poczułem mdłości, zwymiotowałem w podsuniętą pospiesznie przez Riumina miskę.

– Sami widzicie – powiedział lekarz już łagodniej. – Mógłbym co prawda obandażować wam mocniej klatkę piersiową i podać środki pobudzające, jednak każdy większy wysiłek spowodowałby prawdopodobnie przebicie płuc i wewnętrzny krwotok. Nie mogę wziąć odpowiedzialności za...

– Z rozkazu Gławkoma! – powtórzyłem.

– No dobrze, skoro żądacie tego przy świadkach... Za parę minut będę gotowy – obiecał.

– Towarzyszu Kutiepow! – zawołałem niegłośno.

Enkawudzista podszedł bliżej, stanął w nonszalanckiej pozie, mierząc mnie ponurym wzrokiem. Najwyraźniej miał mi coś za złe. Wkurzyła go moja nieostrożność? Bał się, że będzie musiał składać wyjaśnienia Stalinowi? Nieważne, *chuj jemu w rot*!

– Z rozkazu Głównodowodzącego! – zacząłem twardo, poczekałem, aż przyjmie postawę zasadniczą: butek przy butku, pięty razem. Coś nie bardzo mu szło, widać było, że nie lubi stawać na baczność, a tu, kurwa, trzeba, ludzie patrzą. – Zadanie: dokonać aresztowania porucznik Nadii Elizarowny Uspienskiej, nie przesłuchiwać, uniemożliwić ucieczkę, popełnienie samobójstwa, wszelki kontakt z osobami postronnymi, zameldować o wykonaniu – kontynuowałem.

– Ale...

– Milczeć! – warknąłem.

Umilkł. Z ceglastymi wypiekami na policzkach. Wiedział świetnie, że w tym momencie liczy się tylko fakt, że mam prawo wydawać rozkazy w imieniu Gławkoma. Najmniejsza niesubordynacja i towarzysz Kutiepow wyląduje w łagrze, pułkownik nie pułkownik.

– Przejąć kontrolę nad odpornymi na mróz ochotnikami, nie dopuścić do ucieczki, paniki, powstania plotek. Do czasu mojego przybycia zapewnić im wszelkie wygody, gorący posiłek, możliwość odpoczynku w ogrzewanym pomieszczeniu – zakończyłem.

Enkawudzista zacisnął usta tak mocno, że przypominały ranę po cięciu brzytwą, ale nie zaprotestował.

– Czy wzięliście żywcem jakichś sekciarzy? – zapytałem.

– Tylko dwóch – odparł. – Obaj znajdują się w stanie wykluczającym przesłuchanie. Być może za tydzień, dwa...

– Trzeba ich pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę – poleciłem.

Skinął posłusznie głową.

– Wydałem już rozkazy – zapewnił.

Z pomocą Riumina, który podparł mi plecy, usiadłem na łóżku, do niewielkiego pomieszczenia – dopiero teraz zauważyłem, że dostałem izolatkę – wszedł lekarz w towarzystwie dwóch pielęgniarek.

– Aha, przydzielcie mi ekipę z samochodem – zawołałem za wychodzącym Kutiepowem.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał Manuilski.

Syknąłem, kiedy pielęgniarki ujęły mnie pod ręce, zmuszając do przybrania dziwacznej, na poły ptasiej pozycji z odwiedzionymi od ciała łokciami. Zabolało.

– Jest coś takiego, towarzyszu generale – przyznałem.

– Oddychajcie przeponą – nakazał Daduszew, owijając mi pierś kolejnymi warstwami płótna.

Wyjaśniłem Manuilskiemu, w czym rzecz, obserwując spod oka uwijającego się medyka. Lekarz uformował wokół mojej klatki piersiowej coś w rodzaju grubej na pół centymetra zbroi; sztywnej, wyraźnie ograniczającej ruchy. Miałem nadzieję, że to wystarczy, aby zapobiec przemieszczaniu się złamanych żeber. Nie jestem wariatem, ale intuicyjnie wyczuwałem, że niewiele brakuje, aby towarzysz Stalin rozliczył mnie z wyników dochodzenia – adiutant Gławkoma, któremu meldowałem się przez radio, wykazywał coraz większe zniecierpliwienie.

– Możecie uważać to za zrobione – obiecał Manuilski, po czym skierował się do wyjścia.

Nie zdziwiłem się, co prawda mógł spełnić moją prośbę jednym telefonem, lecz zapewne wolał to załatwić w bardziej dyskretny sposób, zachować pewien dystans. Dosłownie. Jeżeli, jak mawiają Amerykanie, gówno trafi w wentylator, lepiej się odsunąć. Tyle na temat solidarności armii z wojskowym wywiadem...

Ubrałem się z pomocą Riumina i wysłuchawszy na odchodnym napomnień lekarza, ruszyłem szukać enkawudzistów. Miałem nadzieję, że Kutiepow zostawił mi takich, którzy będą w stanie doliczyć do dziesięciu. Nie miałem wyboru, musiałem skorzystać z ich pomocy, bo ani ja, ani Saszka nie nadawaliśmy się do pościgów czy też czynności śledczych. Przypuszczałem co prawda, że profesora Dankella trzeba będzie raczej cucić, niż ścigać albo walić po pysku, ale nigdy nic nie wiadomo, najlepszym przykładem Nadia Elizarowna czy choćby Wiera Turkuł. Wiera... Teoretycznie rzecz biorąc, mogła nie mieć nic wspólnego z generałem majorem białej armii Antonem Turkułem, jednak mocno w to wątpiłem. Kosztowne i raczej niekradzione ubrania, nawet jej bielizna wyglądała na jedwabną, dopiero teraz to skojarzyłem – głód naprawdę otępiał – sposób, w jaki posłużyła się szablą... Nie, nie była szermierzem, ale pewnie ktoś jej pokazał, jak się nią posługiwać. Choćby dla zabawy. Nie tak łatwo ściąć głowę. Turkuł przebywał na emigracji, lecz mógł tu zostawić rodzinę, byłoby dziwne, gdyby jego krewni popierali bolszewików. Jeśli miałem rację, panna Turkuł żyła tylko dzięki karygodnemu przeoczeniu naszych organów bezpieczeństwa. No, to akurat niewielki problem, w każdej chwili można go rozwiązać.

Dankell wyglądał, jakby przekroczył sześćdziesiątkę, ale mogło być to efektem niedożywienia. Ostro wyrzeźbioną, surową twarz przecinała spora blizna. Czyżby pojedynkował się za młodu? Czerwono-sina szrama kontrastowała z woskową cerą i jasnymi, rybimi oczyma. Uniesiona nieco – skurcz mięśni

wyrobiony używaniem monokla? – prawa brew mężczyzny wywoływała wrażenie nieprzystępności i pychy.

Siedziałem za biurkiem w jego gabinecie, pan profesor musiał zadowolić się skromnym, kulawym krzesełkiem. Cóż, czasem najlepiej od razu zaznaczyć, kto tu rządzi.

– Potrzebne mi są wszelkie dane na temat Doskonałych i kanibali – powiedziałem bez wstępu.

Nie wylegitymowałem się, mundury towarzyszących mi enkawudzistów wyjaśniały wszystko.

– Jednak prosiłbym o... – zaczął, mierząc mnie chłodnym wzrokiem.

– Książka! – wycharczałem, wchodząc mu w słowo. – Wiem, że w waszych zbiorach przechowujecie książkę na temat sekty!

W gruncie rzeczy wcale nie byłem tego taki pewien, ale pulsujące bólem mimo opatrunku żebra i ciągłe zawroty głowy nie nastrajały zbyt przyjaźnie do aroganta. Najwyraźniej pan profesor wierzył święcie w brednie o komunistycznej praworządności i nie czuł się zagrożony. Jeśli będzie trzeba, wyprowadzę go z błędu; dwójka ponurych, zwalistych bezpieczniaków czekała tylko na mój rozkaz – poinformowałem ich wcześniej, że dochodzenie nadzoruje osobiście Gławkom.

– W istocie mamy coś takiego – odchrząknął nieco nerwowo Dankell. – Rzecz dotyczy praktyk, które przywędrowały do nas prawdopodobnie z Chin, jeszcze w dziewiętnastym wieku. Być może któryś z marynarzy albo podróżników... Książka została napisana tu, na miejscu, wpadła w ręce agentów ochrany w czasie jakiegoś śledztwa.

– Pamięta pan, profesorze, o co chodziło w tym śledztwie? – spytałem szybko.

Odruchowo użyłem słowa „gospodin”, enkawudziści zerknęli na mnie koso, w oczach Dankella błysnęła iskra rozbawienia.

– O rytualny kanibalizm – poinformował mnie z pobłażliwym uśmiechem. – Wycinanie serc. Nie jestem pewien, ale chyba pisały o tym „Wiadomości Sądowe”. Wydaje mi się, że na początku lat siedemdziesiątych. – Potarł z namysłem skroń.

– Saszka – zwróciłem się do Riumina – idź z profesorem, przynieście książkę i te gazety.

Riumin skwapliwie podążył za Dankellem, ruchem dłoni skierowałem za nimi obu bezpieczniaków. Trzy uzbrojone osoby jako eskorta podstarzałego naukowca to pewna przesada, lecz nie mogłem pozwolić sobie na najmniejszy błąd, nie teraz. Wiedziałem, że albo zamknę śledztwo w ciągu kilku najbliższych dni, albo zapłacę głową za brak kompetencji. Takie życie.

Czekając na powrót Dankella, zastanawiałem się, co zrobić z Wierą Turkuł. Nie żeby było nad czym deliberować – istniały tylko dwie możliwości: denuncjacja albo wciągnięcie dziewczyny do agentury GRU. Skłaniałem się ku tej drugiej opcji, choć w ostatecznym rozrachunku wszystko zależało od niej. Gdyby odmówiła… Niemniej jednak ze swoimi koneksjami, bo założyłbym się, że jest spokrewniona z Antonem Turkułem, stanowiłaby cenny nabytek. Także ze względu na predyspozycje psychiczne. Nasze życie wypełnione jest przemocą: mężowie tłuką żony, silniejsi znęcają się nad słabszymi, trwa wojna światowa, a jednak tylko znikomy procent zamieszanych w ową przemoc ludzi jest w stanie walczyć w obliczu zdecydowanej przewagi wroga. Stąd dysponujący władzą wydawania i natychmiastowego wykonywania wyroków śmierci komisarze w oddziałach frontowych, stąd oddziały zaporowe i drakońskie kary grożące za tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela. Wiera udowodniła, że należy do owej mniejszości, byłoby głupotą tego nie wykorzystać.

Rozmyślania przerwał mi stukot butów: spokojne, wolno odmierzane kroki kogoś, kto nigdzie się już nie spieszy, przeplatały się z odgłosami energicznych stąpnięć. Wracała moja ekipa.

– Mamy! – zawołał Riumin, stając w drzwiach.

Rzucił na biurko plik pożółkłych gazet, zademonstrował niewielką, oprawioną w skórę książkę. Przejrzałem pobieżnie kilka numerów „Wiadomości Sądowych" – nic specjalnego: opisywały w typowym dla zeszłego wieku afektowanym tonie śledztwo w sprawie rytualnych morderstw. Autor sugerował niejasno, że owe, jak to nazwał, „obce rosyjskiemu duchowi potworności" mogły mieć miejsce tylko z inspiracji wrogich, najpewniej anarchistycznych lub komunistycznych sił. Ciekawe, co by napisał, wiedząc, że ponad pół wieku później komuniści będą walczyć z tym samym problemem? Być może obciążając tym razem odpowiedzialnością ugrupowania nacjonalistyczne czy monarchistyczne? Mówiłem już, że historia bywa zabawna?

Wyciągnąłem dłoń po książkę, westchnąłem na widok rosyjskiego tekstu przemieszanego z łacińskimi i francuskimi wstawkami. Był okres, kiedy takie mieszanie języków uważano za szatańsko sprytne. Spojrzałem pytająco na Saszkę – znał łacinę i francuski lepiej ode mnie. Prawdę powiedziawszy, dużo lepiej.

– Książka zawiera szczegóły techniczne – zameldował. – Omawia kwestie dotyczące sekty.

Nie dopytywałem o detale, wolałem, aby ludzie Kutiepowa nie dowiedzieli się zbyt wiele.

– Towarzyszu profesorze – zwróciłem się do Dankella – udacie się teraz do garnizonowego więzienia numer jedenaście, gdzie zostaniecie przesłuchani. To formalność, ale dość istotna – dodałem, widząc, że zamierza protestować. – Zresztą leży to

w waszym dobrze pojętym interesie, będziecie tam bezpieczni, Doskonali nie przebierają w środkach, mówię to z własnego doświadczenia. – Skrzywiłem się boleśnie.

– Jak długo mam tam siedzieć?! – warknął Dankell. – Moja praca...

Przerwałem mu ospałym gestem. O dziwo, nie wyglądał na wystraszonego, raczej rozzłoszczonego. To nie było naturalne, nawet jeśli nie bał się sekciarzy, znalazł się przecież w kręgu zainteresowań NKWD, co – zupełnie słusznie – uchodziło za mocno niesprzyjającą okoliczność. Czyżby liczył, że ochroni go partia? Niech sobie liczy, biedaczysko, na zdrowie...

– Myślę, że jeszcze dzisiaj rozbijemy organizację Doskonałych – stwierdziłem pewnie. – Później odwieziemy was do domu.

Zmierzył mnie ponurym spojrzeniem, ale, ponaglony przez enkawudzistów, wyszedł, rezygnując z dalszej kłótni.

– Co teraz? – spytał Riumin.

– A co ma być? Zabieramy się do testowania naszych „ochotników".

Wstałem zza biurka i opierając się na ramieniu Saszki, pokuśtykałem do wyjścia.

Kiedy jechaliśmy do szpitala, Riumin tłumaczył mi naprędce fragmenty książki.

– „Nieśmiertelni przysięgają nie przekazywać nikomu sekretu. Krew Mistrza tworzy we krwi adepta Zarodek, który wzrasta przez dziewięć miesięcy, nazywa się to Przemianą Rzeczywistości. Kiedy Zarodek staje się Dzieckiem, trzeba go karmić"... Do cholery, co znaczy *principe vital*?! – warknął. – Podstawa żywotności? Zasada...

– Nieważne – mruknąłem. – Co dalej? W skrócie.

– No więc najważniejszy jest mistrz, ktoś, kto rozwinął świętą chorobę, tak to nazywają, do ostatecznych granic. Wykarmił Dziecko.

– Niech zgadnę, trzeba je karmić sercami?

– Dokładnie. No więc oni nazywają mistrza ojcem, niezależnie od płci, pewne fragmenty wskazują, że może być to także kobieta, bo tylko „ojciec” może ich „zapłodnić”.

– W celu?

– Wiesz, mimo tego całego mistycznego żargonu przypomina to w zdumiewającym stopniu szczepionkę. Zarazki choroby przekazuje się przez krew mistrza, krew samego adepta stanowi przez dziewięć miesięcy pożywkę, później trzeba ją... hmm... wzbogacać.

– A czym się różni serce od jakiejkolwiek innej części ciała?! To przecież bzdury!

– Bo ja wiem? – Riumin poskrobał się po głowie. – Żaden z nas nie jest lekarzem, a i medycyna nie powiedziała przecież ostatniego słowa. Może chodzi o skład krwi albo witaminy? Serce od dawna jest traktowane szczególnie...

– Przez kanibali – dokończyłem. – Nie pieprz, Saszka. Co dalej?

– No więc oni wierzą, że są w stanie uzyskać status nadczłowieka. Wiesz – parsknął śmiechem – jest taki amerykański komiks...

– Saszka!

– Odporność na zimno to tylko pierwszy objaw, występuje jeszcze w stadium Zarodka, na samym początku. Później dochodzi do tego nadnaturalna wytrzymałość i siła, cytuję: „diamentowa twardość ciała”. No, to ostatnie chyba nie dosłownie... Wreszcie długowieczność i nieśmiertelność fizyczna. Wszystko to zależy od czasu, im dłużej żyje adept, tym więcej otrzymuje „darów”. W ostatecznym stadium „choroby” staje się „Prawdziwym Człowiekiem” i „żyje wolny, przemierzając stulecia”.

– Cały czas musi jeść ludzkie serca?

– Chyba nie – odparł z wahaniem Riumin. – Nie przeczytałem do końca, ale kanibalizm dotyczy chyba głównie fazy „karmienia Dziecka”.

– A co ma znaczyć ta wzmianka o „wolności”?

– Skąd mam wiedzieć? Może chodzi o to, że taki Doskonały jest całkowicie niezależny od otoczenia? Nie choruje, nie starzeje się, podobno przez dłuższy czas nie musi jeść ani pić, może wstrzymywać oddech całymi tygodniami, zapadać w rodzaj transu. Wyobraź sobie, że żyjesz w czasach, które ci się nie podobają, więc znajdujesz sobie jakieś ustronne miejsce, zasypiasz i budzisz się po latach już w innej rzeczywistości, nieskrępowany...

– Kapitanie Riumin!

– Przepraszam – mruknął. – Zagalopowałem się.

Dojechaliśmy do szpitala w milczeniu.

Ochotnicy już czekali; rozebrani do pasa, przykuci do solidnego, otaczającego szpital ogrodzenia. Grube jak męskie ramię żelazne pręty gwarantowały, że żaden z nich nie ucieknie, nawet jeśli jest sekciarzem. Na wszelki wypadek teren otaczali uzbrojeni po zęby żołnierze NKWD. Nie pogniewałem się, że Kutiepow rozpoczął test beze mnie, czas naglił. Na twarzach wystawionych na mróz mężczyzn wychwyciłem przemieszaną z niepokojem nadzieję. Pewnie niezbyt im się spodobały kajdanki i enkawudowska straż, z drugiej strony odporność na mróz nie jest przestępstwem. No a przynajmniej nie była do tej pory...

Podbiegł do mnie Kutiepow, zauważyłem w jego ruchach coś nerwowego.

– Towarzyszu majorze! – wydyszał. – Muszę wam...

Przerwałem mu gestem, podszedłem bliżej do szeregu półnagich *sołdatów*. Paru zaczynało już sinieć.

– Proszę odprowadzić ich do szpitala, umożliwić gorącą kąpiel, ogrzać. Trzeba też sprawdzić, czy nie mają odmrożeń – poleciłem.

– Tak jest! – odparł ponuro.

W tonie bezpieczniaka dosłyszałem nową nutę, jakieś żałosne, upokorzone okrucieństwo. Czyżby coś się stało? No tak, pewnie dowiedział się, że znalazłem książkę.

Widząc, że najbardziej zmarzniętych rozkuto i zabrano do budynku, reszta ochotników nabrała ducha: wyprostowali się, zaczęli zerkać na współzawodników. Riumin obiecał zwycięzcom po pięć kilogramów konserw i dwa litry wódki, mieli o co walczyć.

Usłyszałem za plecami skrzypienie śniegu – to był jeden z tych jasnych, bezwietrznych dni, kiedy mroźny obuch leningradzkiej zimy wydawał się mniej dokuczliwy niż zwykle, niemal przyjazny.

– Muszę wam o czymś zameldować – powiedział niepewnie Kutiepow.

– Tak?

– Dankell... Samochód, którym go wieziono, wpadł do wody.

– Do wody?!

– W porcie, wiecie, przy brzegu kruszą lód, żeby zapewnić manewrowość okrętom.

– Jak się tam znalazł, przecież to nie po drodze?! – wrzasnąłem z wściekłością.

– Nie wiem. – Spuścił głowę.

Wziąłem głębszy oddech, momentalnie zakłuło mnie w piersiach.

– Jeśli on należał do sekty...

– Biorę pełną odpowiedzialność za to zdarzenie, tam jechali moi ludzie – wymamrotał. – Ale może wszyscy zginęli.

– Zobaczymy – westchnąłem.

Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Zresztą jeśli wpadli do wody, to przy tej temperaturze... Nie będę rozpaczał po Dankellu, tym bardziej po dwóch bezpieczniakach.

Niecierpliwym gestem kazałem uwolnić kolejnych żołnierzy – dygotali z zimna, jeden osunął się na kolana, na granicy utraty przytomności. Przyjrzałem się pozostałym, ci mieli się nieźle, zdumiewająco nieźle. Nienaturalnie bladzi – nic dziwnego, dwadzieścia stopni poniżej zera to nie przelewki – nie wykazywali jednak żadnych innych oznak wychłodzenia: dreszczy, sztywnienia mięśni, skurczów. Co prawda widziałem, jak pochodzący z Syberii żołnierze co rano nacierają się śniegiem, ale trwało to jedynie kilka minut, zaraz potem wracali do ciepłych izb i ziemianek.

– Zawołaj jakiegoś lekarza – zwróciłem się do Riumina.

Bez słowa powlókł się do szpitala. Sam również byłem zmęczony, marzyłem o gorącej kąpieli i odpoczynku.

Daduszew miał nieszczególną minę, białe obłoczki ulatujące z ust mężczyzny przywoływały skojarzenie z sapiącą pospiesznie lokomotywą: puf, puf, puf. Korpulentny lekarz nie wyglądał na specjalnie sprawnego fizycznie, jednak to nie zmęczenie przyprawiało go o zadyszkę, Daduszew się bał.

– Co o tym myślicie, doktorze? – zagaiłem.

– To nie są ludzie – wyszeptał. – Stoją tu prawie godzinę...

– Więc?

– Powinni mieć dreszcze, przecież organizm broni się przed wychłodzeniem, generując ciepło poprzez ruch, przez drżenie mięśni. To jest całkowicie niezależne od woli, nie można tego powstrzymać, a oni... – załamał mu się głos, nie dokończył.

– Oblejcie ich wodą! – poleciłem.

Kilku enkawudzistów pospieszyło spełnić mój rozkaz, w oknach szpitala widziałem coraz więcej twarzy. Dobrze, niech patrzą.

– Co teraz? – zapytał nerwowo Kutiepow.

– Poczekamy – odparłem, patrząc na ociekających wodą żołnierzy. – Wydaje mi się, że zostali sami sekciarze, ale chciałbym...

Przerwał mi wściekły ryk. Jeden z przykutych do ogrodzenia żołnierzy rzucił się naprzód i skruszywszy potężnym zrywem kajdany, uderzył w pierś stojącego obok enkawudzistę. Tamten legł na śniegu z rozłożonymi nad głową rękoma niczym śpiące dziecko. Rozległy się strzały.

– W nogi! – zawyłem. – Strzelać w nogi!

Spanikowani żołnierze rozpoczęli zrazu chaotyczną palbę, ale z każdą chwilą ostrzał koncentrował się coraz precyzyjniej na uciekającym zygzakiem sekciarzu. Zanim upadł, postrzelono go kilkanaście razy, nie tylko w nogi.

– Idziemy! – rozkazałem białemu jak ściana lekarzowi. – Pozostałym – wysyczałem wściekle do Kutiepowa – natychmiast założyć dodatkowe kajdany!

Nie patrząc, czy wykonano mój rozkaz, pospieszyłem do powalonego.

– Ożeż kurwa... – Riumin przewrócił żołnierza na plecy. – Siedemnaście, trafili go siedemnaście razy! – powiedział po chwili.

Rany niemal nie broczyły krwią, mięśnie Doskonałego drgały, jakby chciały dźwignąć z ziemi bezwładne ciało.

– Płuca, dwukrotny postrzał w brzuch, powinien krwawić jak zarzynana świnia – powiedział Daduszew trzęsącym się głosem.

Powieki leżącego uniosły się nagle, z ust wydarł się pełen wściekłości i bólu krzyk.

– Do szpitala z nim! – zadecydowałem.

– Chcecie go ratować? – zapytał medyk.

– Chcę go przesłuchać – odparłem zimno.

– Zabezpieczyłem pozostałych – wydyszał Kutiepow. Wyraźnie zdenerwowany pułkownik deptał mi po piętach. – Podwójne kajdany na ręce i nogi, miejmy nadzieję, że wystarczy... Przecież to carskie, jeszcze z zapasów ochrany – dodał, wskazując na ręce niesionego przez enkawudzistów sekciarza.

Rzeczywiście – grube na palec stalowe ogniwa sprawiały wrażenie solidnych. Tyle że były zerwane...

– To nie wasza wina – przyznałem. – Takie łańcuchy powinny powstrzymać byka.

Kutiepow pospieszył naprzód, zniknął mi z oczu wraz ze swoją ekipą.

– Spokojnie – mruknął Riumin, ujmując mnie pod ramię. – Poczekają na nas.

Kiedy dokuśtykałem do sali, w której umieszczono sekciarza, leżał już na stole operacyjnym, przypięty skórzanymi pasami do masywnego blatu.

– To pozostałość po dawnym zakładzie psychiatrycznym – wyjaśnił Daduszew. – Znaczy stół. Wątpię, aby nasz... pacjent zerwał więzy.

– Mam nadzieję – mruknąłem. – Mam nadzieję...

– Zaczynamy? – Kutiepow spojrzał na mnie pytająco.

Skinąłem przyzwalająco głową, usiadłem na podsuniętym przez Riumina krześle. Dwóch bezpieczniaków przekręciło na bok głowę sekciarza, przycisnęło ją do stołu, Kutiepow kapnął parę kropel przezroczystego płynu na blady od mrozu policzek. Ranny zareagował przeraźliwym, mrożącym krew w żyłach wyciem.

– Co robicie... Tu są chorzy! Towarzyszu pułkowniku! – wybełkotał nieskładnie medyk.

– Używam kwasu solnego – odparł chłodno enkawudzista. – Jeszcze chwila i odsłonię nerw twarzowy. Chyba że nasz przyjaciel zacznie ze mną rozmawiać.

Z trudem opanowałem mdłości; najwyraźniej połamane żebra albo wywołane śledztwem napięcie wykończyły mnie psychicznie. W końcu tym razem miałem całkowitą pewność, że przesłuchiwany jest wrogiem władzy radzieckiej, bezwzględnym mordercą i członkiem nielegalnej organizacji religijnej. A jednak żółć podchodziła mi do gardła, nozdrza drażnił smród krwi i leków.

– Dajcie mu mówić! – warknąłem, wstając z krzesła.

Podszedłem bliżej, spojrzałem w przepełnione szaleństwem i bólem oczy sekciarza.

– Kto jest mistrzem? – spytałem.

Zanim odpowiedział, na jego ustach pojawiła się krwawa piana.

– Dwóch... stary i młody – wyszeptał.

– Ilu was jest?

– Było trzydziestu... część zginęła. Młody mistrz rozkazał...

– Chodzi o tych, którzy zaatakowali kamienicę na Marata?

– Tak...

– Kto jest młodym mistrzem?

– Nadia Elizarowna.

Riumin gwizdnął cicho.

– No, no – mruknął. – Boska Nadia...

– Jak się nazywa stary mistrz?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – wyrzęził z rozpaczą ranny.

Spalona kwasem twarz zastygła w grymasie przerażenia.

– Ja nie wiem, naprawdę...

– Pułkowniku Kutiepow, proszę kontynuować przesłuchanie – poleciłem. – Po zakończeniu natychmiast rozstrzelać wszystkich członków sekty! Egzekucję przeprowadzicie

w obecności grupy żołnierzy i marynarzy. Trzeba uciąć raz na zawsze te plotki o Doskonałych. Niech wiedzą, że zagrożenie przestało istnieć.

– Tak jest! – odparł z ledwie uchwytnym akcentem pogardy należnym słabeuszowi, który nie może patrzeć na cudze cierpienie.

Wyszedłem bez pożegnania, słysząc za plecami skowyt torturowanego mężczyzny.

– Więc została nam tylko Nadia – zagaił przy śniadaniu Riumin.

– I „stary mistrz” – odburknąłem.

Mimo że śledztwo – po raz pierwszy od dwóch miesięcy – posunęło się naprzód, nie wstałem w szampańskim nastroju. Jeśli mistrzem był Dankell, jeżeli wyszedł cało z wypadku...

– Nie miał prawa przeżyć – stwierdził Saszka, najwyraźniej myśląc o tym samym. – Pomijając wszystko inne, aby wyjść bez niczyjej pomocy na brzeg, musiałby się wdrapać po pionowej, wysokiej na siedem metrów ścianie. Tyle liczy sobie nabrzeże i pirs. Pytałem.

– Mógł popłynąć dalej...

– Przy temperaturze, która powoduje śmierć po paru minutach? No i oczywiście później wybił głową dziurę w grubym na metr lodzie, bo ten jest kruszony tylko w porcie? Brednie – zakonkludował.

Odetchnąłem głębiej, wyprostowałem zgarbione ramiona. Może Riumin miał rację? Mimochodem zauważyłem, że ból żeber nieco zelżał, najwyraźniej spokojny sen mi posłużył. Nie

obawiałem się już napadu, domu dzień i noc pilnowali przysłani przez Manuilskiego żołnierze.

– Co zrobiłeś z książką? – zapytał nagle.

– Jest w pokoju Drozda, pod kluczem – odparłem obojętnie. – Przejrzałem ją, to rzeczywiście tylko technikalia, nie mają nic wspólnego z naszym śledztwem.

Riumin skinął głową, lecz umknął wzrokiem w bok, tak jakby się denerwował. Idiotyzm, przez to wszystko popadam w paranoję.

– Co ze mną będzie? – odezwała się Wiera.

Odsunęła ze zbolałą miną resztki konserwy. Jeszcze tego brakowało, żeby się porzygała, pomyślałem. Kończyłem dochodzenie, a zostały nam racje Drozda i Kotuszewa – ci chłeptali teraz szpitalny kleik, o ile w ogóle coś jedli. Dlatego nie żałowaliśmy sobie, nie było po co oszczędzać żarcia. No i panna Turkuł nieco przesadziła...

– Zabiorę cię ze sobą – obiecałem.

– Jako kogo?

– Nie wiem! – warknąłem. – Kochankę, agentkę *wojennoj razwiedki*, małpę kucharza?

– Małpę kucharza?! – zawołała z oburzeniem.

– Dawniej na żaglowcach tak nazywali pomocnika kucharza – wyjaśnił roztargnionym tonem Riumin.

– Nie mogę tu zostać?

– Nie, jeśli choć trochę zależy ci na życiu. NKWD cię wykończy. Pierwsze, co zrobi po moim wyjeździe Kutiepow, to wezwie cię na przesłuchanie. Pomyśli sobie, że jesteś dla mnie kimś ważnym, i choćby dlatego cię zabije. W końcu... Nienawidzi mnie i chce się zemścić – wyjaśniłem.

– Za co?

– Nie twój interes, smarkulo. No już, decyduj się!

– Jeśli się nie zgodzę...

– To osobiście poinformuję bezpiekę, że w pięknym mieście Leningradzie przebywa krewna Antona Turkuła – oznajmiłem przez zaciśnięte zęby. – Tym samym wszelkie podejrzenia, że cię chroniłem, upadną jako bezzasadne, a pułkownik Kutiepow będzie się musiał długo tłumaczyć, dlaczego pozwolił żyć wrogowi władzy radzieckiej. Tuż pod swoim nosem.

– Nie jestem wrogiem władzy radzieckiej!

– Wszyscy krewni generała Turkuła są nimi z definicji!

Przez chwilę patrzyła na mnie gniewnie, wreszcie jej wzrok złagodniał, spuściła oczy.

– Wykorzystaliby mnie, żeby was oskarżyć, prawda?

– Tak to już u nas jest, dziewczyno – westchnął ciężko Riumin. – Tak to już jest...

– Będę musiała szpiegować wujka? – Zagryzła wargi. – Później?

– Wątpię. To zbyt grubymi nićmi szyte, ale niewykluczone, że zostaniesz wykorzystana jako agentka – przyznałem. – Twoje nazwisko sporo znaczy w pewnych kręgach...

– Ja...

– Nie zastanawiaj się nad tym, co będzie – wszedłem jej w słowo. – Nie możesz tego przewidzieć, nie możesz na to wpłynąć. Ciesz się życiem, spoglądaj w gwiazdy, kochaj, a jeśli już zarazisz się tym melancholijnym szaleństwem i zechcesz stanąć na drodze śmierci, zrób to dla przyjaciela, dla kochanka, nigdy w imię polityki czy jakichś abstrakcyjnych zasad!

Zapadła niezręczna cisza, panienka zamarła z otwartymi ustami, Riumin zmierzył mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Więc? – Uniosłem brwi.

– Pojadę z wami – powiedziała pokornym tonem. – Mogę być małpą kucharza – dodała z nieśmiałym uśmiechem.

Prószył śnieg, białe płatki opadały z nieba łagodnie jak karnawałowe konfetti, osiadały na włosach i rzęsach Nadii, siejąc diamentowe błyski, topniały, spływając po twarzy niczym łzy. Nadia nie płakała. Stała przykuta do dziwnej stalowej konstrukcji w kształcie litery T, w spódniczce i bluzie mundurowej, z której nie zerwano nawet pagonów, być może przez niedopatrzenie, możliwe, że ze strachu. Wszyscy wiedzieli, kim była. Dziedziniec więzienia otaczali żołnierze piechoty morskiej, enkawudziści mieli tu tylko skromne przedstawicielstwo w osobie Kutiepowa – rzecz w tym miejscu niespotykana, jednak tak właśnie zarządziłem: formułka „z rozkazu Gławkoma” pozwalała na wiele... Chciałem zakończyć tę sprawę osobiście, grając według własnych reguł. O tym, że to koniec działalności sekty, wiedzieli wszyscy; poprzedniego dnia rozstrzelano niedobitki Doskonałych, żaden nie ocalał, nie umknął obławie. Kutiepow tym razem stanął na wysokości zadania. Została tylko Nadia.

Kiedy stanąłem przy niej, spojrzała na mnie spod ozdobionych lodowymi okruchami rzęs, uśmiechnęła się ni to kpiąco, ni to smętnie.

– Przyszedłeś – powiedziała. – Dlaczego?

– Sam nie wiem – mruknąłem. – Odpowiesz na moje pytania?

Milczała, więc wyciągnąłem dłoń do Riumina, poczułem pod palcami obłą kolbę skałkowego pistoletu. Był załadowany srebrną kulą.

– W zamian za szybką śmierć? – doprecyzowałem.

Parsknęła śmiechem, dobrą chwilę chichotała radośnie jak dziewczyna na myśl o pierwszej potańcówce.

– Nadia – wyszeptałem, łagodnie gładząc ją po policzku – nie zmuszaj mnie...

Umilkła.

– Masz już dosyć zabijania?

– Mam dość – przyznałem, zamykając na moment oczy. – Jestem zmęczony.

– Dobrze – oznajmiła nagle. – Odpowiem, choć pewnie najpierw powinnam spytać o gwarancje, zażądać słowa komsomolca, a może komunisty?

Puściłem kpinę mimo uszu.

– Dankell to stary mistrz? – spytałem.

– Tak, pierwszy Doskonały. Podróżował do Chin jeszcze w zeszłym wieku i przywiózł...

Powstrzymałem Nadię gwałtownym gestem, nie miałem zamiaru słuchać sekciarskich legend.

– Ocalał? Wiesz, że wpadł do wody razem z bezpieczniakami Kutiepowa?

– Nie mam pewności. – Pokręciła głową. – On był zawsze – zawahała się – dość tajemniczy. Nie chwalił się swoimi... możliwościami. Jednak rzecz jest wątpliwa, nawet Dankell nie mógł długo przeżyć w lodowatej wodzie. Co innego odporność na chłód, co innego całkowita niewrażliwość.

– A co z resztą? Czy kogoś... pominęliśmy?

– Nie, nikogo – odparła szybko.

Wyczułem kłamstwo, zanim dokończyła zdanie. Mawiają, że doświadczony spowiednik odkryje łgarstwo, nawet nie widząc penitenta. Myślę, że to samo dotyczy śledczych. W końcu, tak samo jak duchowni, wysłuchujemy mniej czy bardziej prawdziwych wyznań, tyle że mamy możliwość ich weryfikacji. Do krwawej piany na ustach pełnych wytłuczonych zębów, do ostatka wyprutych z głębi brzucha bebechów. Nie miałem wątpliwości – Nadia skłamała.

Patrząc jej w oczy, nacisnąłem spust. Huknęło, na piersi kobiety rozlała się czerwona plama.

– Zanotujcie, kapitanie Riumin – poleciłem. – Brak alergii na srebro.

Zimny metal pistoletu ukąsił mnie w dłoń, pospiesznie wciągnąłem rękawicę.

– Nie oszukałam cię – wyszeptała Nadia. – To... prezent.

Odwróciłem się, skinąłem na Riumina.

– Dokończ to, Saszka – poprosiłem.

Zza moich pleców dobiegł tupot żołnierskich podkutych butów, rozległa się szorstka komenda. Salwa padła niemal jednocześnie z okrzykiem: „Pli!”. Zabrzęczały naciągane ciężarem bezwładnego ciała łańcuchy. Nie mogłem się powstrzymać, spojrzałem przez ramię – niepotrzebnie. Spodziewałem się odczuć satysfakcję, zamiast tego po raz kolejny dopadły mnie mdłości. Prześlizgnąwszy się wzrokiem po twarzy Kutiepowa – tak, to już koniec naszej spółki, towarzyszu! – pomaszerowałem do samochodu. Ruszyliśmy, kiedy tylko dosiadł się Riumin.

Auto sunęło wolno po oblodzonych ulicach: mijaliśmy nielicznych przechodniów, kolejki pod sklepami spożywczymi i sztywne, prawie niewidoczne, okryte warstwą białego puchu ciała. Jeśli władze się nie sprężą, na wiosnę ani chybi wybuchnie epidemia. No ale to już nie mój problem. Zdecydowanie nie mój...

Zameldowałem się w sztabie, przeprowadziłem przez radio krótką rozmowę z adiutantem Gławkoma i odebrawszy powściągliwą pochwałę, umówiłem się co do wyjazdu, czy raczej wylotu z Leningradu. Otrzymałem zezwolenie, aby za kilka dni opuścić miasto. Nareszcie... Ledwo pamiętam, jak dotarliśmy do kamienicy na Marata. Kiedy tylko położyłem się

na łóżku, zapadłem w sen tak nagły, jakby ktoś jednym gestem wygasił moją świadomość.

Obudził mnie wybuch, już klęcząc na podłodze z gotowym do strzału pistoletem, usłyszałem chrzęst miażdżonego szkła. Przez chwilę nie mogłem pozbierać myśli. Czyżby Niemcy przerwali front? A może jakiś ocalały sekciarz przyszedł dokończyć robotę? *Napliewat'!* Lepsze to niż spotkanie z ojczulkiem Stalinem, po tym jak zapewniłem jego adiutanta, że sprawa Doskonałych została zamknięta... I znowu na schodach załomotały ciężkie buciory, znowu zajęczały pod kolbami karabinów nowo wstawione drzwi.

– Otwórz! – wrzasnąłem do kulącej się w kącie Wiery.

Sam popędziłem do pokoju Drozda. Riumin leżał na wznak z odrzuconą za głowę prawą ręką, lewą urwało mu w łokciu, kikut tryskał krwią w rytmie uderzeń serca. Wyciągnąłem pasek ze spodni, założyłem opaskę uciskową. To był odruch – zmasakrowana odłamkami pierś, widoczne spod strzępów munduru żebra wskazywały, że długo nie pożyje. Wiedziałem, że nie dowiozę go nawet do szpitala. Zresztą nie było po co. Zdradził.

Wiszące na jednym zawiasie skrzydło szafy nadal oklejone było szeroką papierową taśmą z pieczątką GRU. Moją pieczątką. Tak zabezpiecza się cenne dowody, nie zawsze mamy pod ręką sejf, ale każdy, kto naruszy pieczęć, wie, co ryzykuje. Jak Riumin.

– Ile ci zapłacił Kutiepow?! – wysyczałem.

– Nie on... – wyszeptał. – Ja sam... Ta książka to wolność...

Nie zdążyłem odpowiedzieć, w drzwiach stanęli żołnierze Manuilskiego.

– Wszystko w porządku, towarzyszu majorze? – zapytał niespokojnie młody porucznik.

– W najlepszym – odparłem. – Sprowadźcie ambulans i zabierzcie stąd ludzi – rozkazałem.

Ponownie pochyliłem się nad Riuminem. Usiłował coś powiedzieć.

– Przeczytaj książkę – wycharczał. – To wol... – nie dokończył, z ust pociekła mu strużka krwi, skonał.

– Pieprzony gnojek! – zawyłem, kopiąc trupa. – Zdrajca! Pieprzony...

Podeszła Wiera, podała mi chusteczkę.

– *Poszła won!* Nie jestem ranny!

– Płaczecie – odparła drżącym głosem.

Potężne silniki pasażerskiego lisunowa mruczały uspokajająco, krzepiąco błyskały widoczne na skrzydłach eskortujących nas myśliwców gwiazdy. Wracaliśmy do domu. Trzymałem na kolanach książkę Doskonałych, jednak przez większość czasu gapiłem się w okno. Podobnie jak reszta mojego zespołu. Nie rozmawialiśmy, nie było o czym. I Drozd, i Kotuszew znajdowali się już w całkiem niezłym stanie – teraz leżeli w wygodnych, przeznaczonych do transportu chorych kojach – ale ciążyła nam wszystkim śmierć Riumina. Gdybym pomiędzy zdarte z książki okładki nie włożył odbezpieczonego granatu, nie zastawił pułapki, nie próbował zapobiec nieuchronnej, jak mi się zdawało, próbie kradzieży tekstu...

Siłą woli zmusiłem się do czytania:

„Oddajcie cześć Mistrzowi, albowiem nawet kropla jego krwi ma moc Przemiany, to właśnie ona tworzy Zarodek, aby w końcu doprowadzić…”

Ożeż kurwa, kropla krwi... To chyba niemożliwe, żebym wtedy, całując Nadię w skaleczony palec... A jednak przypomniałem sobie wszystko z detalami, ponownie poczułem w ustach żelazisty smak. No ładnie, towarzyszu Razumowski, tym razem przeszliście samych siebie. Wykończyliście sektę, ale przeoczyliście jednego z adeptów. Uprzejmie donoszę, że właśnie leci do Moskwy...

Zachichotałem histerycznie, przez moment poczułem przeraźliwy ból strzaskanych żeber, jakby jakieś dzikie zwierzę orało mi pazurami boki. Dlaczego Nadia nie powiedziała nikomu, że piłem jej krew? Co mnie czeka? Czy skończę, polując na serca spacerowiczów w parku Gorkiego? Potrząsnąłem głową jak bokser po zainkasowaniu nokautującego ciosu.

– *Wnimanije, riebiata!* – zawołałem.

Trzy pary posępnych oczu spoczęły na mojej twarzy.

– Kapitan Riumin zginął w walce z sekciarzami – oznajmiłem. – Zostanie pochowany z wszelkimi honorami, awansowany pośmiertnie, jego rodzina otrzyma rentę.

– Ale jeśli się dowiedzą? – zaczął niepewnie Kotuszew.

– Swoim powiemy... prawdę, przyznamy, że Sasza – pierwszy raz po śmierci Riumina wymówiłem jego imię – zginął przypadkowo, zakładając pułapkę. Na moje polecenie – dodałem twardo. – W GRU nie ma zdrajców! A teraz przestańcie się zamartwiać, wypełniliśmy misję, zasłużyliśmy na wdzięczność Gławkoma. Po powrocie czekają nas nagrody, być może awanse. Ponieśliśmy straty, wojna to suka, ale nadal jesteśmy razem. Niepokonani. Naplujmy jej w twarz!

Sięgnąłem po wystającą z tobołka gitarę, nastroiłem struny.

– No dalej, ludziska, żywo!

Zaintonowałem czastuszkę, po chwili zawtórowały mi głosy chłopaków i Wiery.

Kto to spizdił bałałajku
i nasrał na patiefon,
pojebał moju choziajku,
a na stoł kinuł gandon!

Rozdział trzeci

Adiutant w stopniu kapitana otworzył drzwi do gabinetu, przepuścił mnie przodem. Przemaszerowałem przepisowe trzy kroki, czując, jak stopy grzęzną mi w grubym i zapewne cennym dywanie, zameldowałem się, stając na baczność. Siedzący za biurkiem mężczyzna nie podniósł wzroku, nadal studiował jakieś dokumenty, po chwili niedbałym skinieniem dłoni zezwolił, abym usiadł. Przycupnąłem czujnie na brzeżku krzesła – nigdy wcześniej nie byłem w gabinecie dowódcy GRU. Gdyby nie fakt, że moją ostatnią misją zainteresowany był sam Stalin, pewnie nie znalazłbym się tu przed oficjalnym zwolnieniem na emeryturę, o ile w ogóle bym jej dożył – trwała Wielka Wojna, a żołnierze *wojennoj razwiedki* bili się na pierwszej linii, czasem na tyłach wroga. Tak czy owak, szansa na niańczenie wnuków niewielka...

Generał major Aleksiej Pawłowicz Panfiłow nie wyglądał na agenta wywiadu, bardziej na żołnierza: szczera, wyrazista twarz, lekko asymetryczne, jakby skrzywione w ironicznym uśmieszku usta, wyraźne, niczym niemaskowane zakola, podkrążone z niewyspania oczy. Fama głosiła, że błyskawicznie pozrażał do siebie sztabowych urzędasów, dając do zrozumienia, że nie weźmie udziału w żadnych gierkach i personalnych podchodach będących sednem egzystencji większości sztabowców. Tych, którzy stanęli mu na drodze,

miażdżył niczym ciężki czołg – ot, generał *tankowych wojsk*... Wyższe szarże traktowały Panfiłowa z zaprawioną niechęcią ostrożnością, na razie był pupilkiem Głównodowodzącego, który znał go jeszcze z czasów walk nad jeziorem Chasan, gdzie Panfiłow poprowadził swoją brygadę do brawurowego, na poły samobójczego kontrataku.

Wreszcie doczekałem się generalskiej uwagi, Panfiłow zmierzył mnie badawczym wzrokiem, po trwających przynajmniej minutę oględzinach pokiwał głową, jakby przyznając sobie rację w niewiadomej postronnym sprawie.

– *Smirno!* – rzucił znienacka przyciszonym głosem.

Zerwałem się z krzesła, zastygłem w postawie zasadniczej.

– Za męstwo – oświadczył krótko, przypinając mi do munduru niewielką, przedstawiającą rozwiany na wietrze sztandar odznakę.

No, no... Order Czerwonego Sztandaru to nie byle co. W naszym kraju nie rozdają garściami najwyższych odznaczeń bojowych. Idziecie w górę, towarzyszu Razumowski...

– *Służu Sowietskomu Sojuzu!* – wyskandowałem służbiście.

– Siadajcie – powiedział, ściskając mi rękę.

Tym razem usadowiłem się nieco swobodniej – generał wyciągnął butelkę i dwie szklanki. Wypiliśmy, obyło się bez toastów i gromkich słów.

– Opowiedzcie, jak zginął Riumin – polecił nagle.

Zacisnąłem zęby, starając się opanować wściekłość. Ciekawe, kto mu doniósł? Tima Kotuszew? Pietka Drozd? A może nasza znajda Wiera Turkuł? Nie ma mowy, żeby Panfiłow zainteresował się śmiercią Saszki przypadkiem. Wśród sztabowych gnid mógł sprawiać wrażenie prostolinijnego, ale gdyby był naiwny, na pewno nie zostałby szefem wojskowego wywiadu. Ojczulek Stalin nie popełniał takich błędów.

– Jak zaznaczyłem w raporcie... – rozpocząłem ostrożnie.

– Majorze – przerwał mi bezceremonialnie – nie interesuje mnie, co napisaliście w raporcie. Chcę wiedzieć, czego nie napisaliście.

Odetchnąłem głęboko, w mojej głowie kłębiły się dziesiątki chaotycznych myśli. Powiedzieć prawdę? Przyznać, że Saszka zdradził, zafascynowany jakąś nonsensowną i wyraźnie antykomunistyczną ideą? Ryzykowne. Odpowiedzialność za zachowanie Riumina spadała na mnie – byłem jego dowódcą. Udawać, że nic się nie stało? Skłamać szefowi GRU w sytuacji, kiedy nie wiem, kto i co mu wyjawił? Wolne żarty. Generał rozgniecie mnie jak pluskwę. Nie minie tydzień, jak znajdę się w karnym batalionie i będę torował drogę przez niemieckie pola minowe. Bez użycia wykrywacza... Z drugiej strony, gdyby Panfiłow chciał mnie ukarać, nie dałby mi orderu. Zawsze to kłopot tłumaczyć się, dlaczego zdrajca czy nieudacznik otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń. Samo przypięcie medalu było jedynie formalnością, gdzieś tam, w otchłaniach biurokracji, musiały istnieć dokumenty potwierdzające ten fakt. Chyba że to podstęp, w końcu wszystko odbyło się w gabinecie generała, bez świadków...

– Czekam – ponaglił mnie wyraźnie zniecierpliwiony Panfiłow.

Westchnąwszy, wyjaśniłem okoliczności śmierci Riumina. Pominąłem jedynie uwagi Saszki na temat manuskryptu – nawet jeśli ktoś je usłyszał, to na pewno nie zrozumiał. A lepiej było nie zastanawiać się nad kwestią kontekstu, w jakim Riumin użył słowa „wolność". Tak jakbyśmy żyli w zniewolonym kraju...

– Dlaczego zatuszowaliście przewinienie swojego zastępcy? – spytał, popatrując na mnie surowo spod krzaczastych brwi.

– Kapitan Riumin został ukarany – wymamrotałem, opuszczając wzrok. – Zginął. W dużej mierze to właśnie dzięki

jego inicjatywie śledztwo w sprawie Doskonałych zakończyło się sukcesem i likwidacją sekty. Gdyby został uznany za zdrajcę, jego rodzina...

Nie dokończyłem, nie musiałem. Obaj wiedzieliśmy, jaki los czekał rodzinę zdrajcy – Riumin miał żonę i trzyletniego synka. Dzieciak wylądowałby w przytułku, a żona stała się zabawką zeków na zonie. Prawda, że nie na długo – nie sądziłem, aby dożyła w takich warunkach następnej wiosny.

– Więc kierowaliście się troską o rodzinę kapitana Riumina? A może należałoby powiedzieć: byłego kapitana Riumina?

Skuliłem się, słysząc lodowaty ton Panfiłowa. Jeżeli uznają zdradę Saszki, zdegradują go pośmiertnie, i ja stracę pagony. Nie pomoże mi żaden order. Będę miał szczęście, jeśli nie skończę w *sztrafbacie*.

– Przede wszystkim kierowałem się zasadą, że w GRU nie ma zdrajców – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Ach tak? – zadrwił generał. – Bardzo wygodna dla was zasada. Skoro nie ma zdrajców, nie ma i winnych zaniedbań dowódców.

– Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje – wydusiłem z siebie.

Słowa z trudem przechodziły mi przez ściśnięte gardło. Nie ma co, rzeczywiście poszedłem w górę...

– Mam rozumieć, majorze, że sami ponosicie winę za zaistniałą sytuację? Nikt inny z waszego zespołu nie dzieli z wami odpowiedzialności?

I znowu spojrzenie Panfiłowa uderzyło we mnie z siłą kowalskiego młota. Do diabła, ten facet powinien pracować w cyrku jako hipnotyzer.

– Tak jest! – odparłem ponuro ze wzrokiem wbitym w dywan. – Tylko ja za to odpowiadam.

Przez moment zastanawiałem się, czy nie pociągnąć kogoś za sobą. Gdybym wiedział, kto mnie wydał, zrobiłbym to bez chwili namysłu. Problem w tym, że nie wiedziałem. Co innego iść na dno, niszcząc kapusia, co innego rzucić podejrzenie na przyjaciela, kogoś, kto wcześniej ratował mi życie. Bo przecież nawet panna Turkuł... Cóż, istnieją granice, których nie przekroczę.

– Czekam na waszą decyzję, towarzyszu generale! – przerwałem przedłużającą się ciszę.

– Na moją decyzję? – mruknął Panfiłow.

Ku swojemu zdumieniu ponownie usłyszałem bulgot nalewanej do szklanek wódki.

– Musicie zrozumieć, majorze, że bywają okoliczności, kiedy trzeba wiedzieć, z kim ma się do czynienia. Czasem trudno odróżnić bojowego oficera od tyłowego szczura, lojalnego dowódcę od sprzedajnej kanalii... A trzeba to wiedzieć na pewno, skutki pomyłki byłyby tragiczne. Wypijmy – rozkazał.

Brzęknęło trącane szkło. Łapczywie łyknąłem palący płyn, oddychałem ciężko jak po długim biegu.

– Wasi ludzie was nie zdradzili, nie pisnęli słowa, nawet ta, jak jej tam?... Turkuł. Donos przyszedł z NKWD, od niejakiego pułkownika Kutiepowa. Rozumiem, że kojarzycie nazwisko? – spytał, widząc, że zaciskam pięści.

Kojarzyłem.

– To jest ta dobra wiadomość – kontynuował.

– Dobra?! – wyrwało mi się mimo woli.

– Tak jest – przytaknął. – Bo uznaję sprawę za wyjaśnioną i popieram to, co zrobiliście. Mieliście rację: w GRU nie ma zdrajców, a rodzina kapitana Riumina nie jest niczemu winna. My mamy inne standardy niż czekiści. Niestety, mam dla was i drugą, tym razem złą nowinę: do Moskwy przybędzie niedługo

sam pułkownik Kutiepow. Poprosił o przeniesienie, najwyraźniej trudno mu się z wami rozstać...

– *Gawniuk!* – zawarczałem.

– *Gawniuk* – powtórzył spokojnie Panfiłow. – Problem w tym, że na pewno nie skończy się na donosach. Te trafiające do mnie mógłbym odpowiednio potraktować, więc prędzej czy później wasz znajomy wymyśli coś innego. A z tym będziecie musieli dać sobie radę sami. Nie mogę wdawać się w walkę z NKWD, nie teraz. Możecie liczyć co najwyżej na moją – zawahał się – cichą akceptację...

Skinąłem w podziękowaniu głową, to i tak dużo więcej, niż mogłem się spodziewać.

– Być może w przyszłości sytuacja ulegnie zmianie, na rozkaz Gławkoma struktury wywiadu wojskowego są intensywnie rozbudowywane, jednak tak czy owak pewne sprawy najlepiej załatwić po cichu.

Nie sposób było się z tym nie zgodzić – o ile towarzysz Stalin nie miał nic przeciwko rywalizacji NKWD i *wojennoj razwiedki*, na pewno nie tolerowałby otwartej konfrontacji. Nie w czasie wojny. Nie miałem zamiaru wciągać GRU w swoje prywatne sprawy, byłem dłużnikiem pułkownika Kutiepowa i miałem zamiar spłacić należność osobiście, w terminie i z procentami.

– Jeszcze jedno, zajmijcie się tą Turkuł. Może być dla nas cennym nabytkiem. Jeśli okaże się bystra, postarajcie się znaleźć jej jakieś samodzielne lokum. Jak dawniej mawiano: strzeżonego Pan Bóg strzeże...

– Tak jest, towarzyszu generale!

– Jeżeli stwierdzicie, że nie nadaje się do służby w *razwiedgrupie*, skierujemy ją na kurs dla radiotelegrafistów albo co... Jesteście wolni – zakończył rozmowę Panfiłow.

Zerwałem się z krzesła i zasalutowawszy, opuściłem generalski gabinet. Na korytarzu musiałem oprzeć się o ścianę,

spóźnione emocje, cholera. A może nie doszedłem jeszcze do siebie? Żebra już mnie nie bolały, lekarze pozwolili chodzić bez krępującego pierś kokonu, ale nadal czułem się osłabiony. No i nic dziwnego – miałem piętnaście kilogramów niedowagi, pobyt w Leningradzie drogo mnie kosztował.

Z wojskowego szpitala wyszedłem zadowolony: Kotuszew i Drozd szybko dochodzili do siebie. Podejrzewałem, że niedługo wyślą mnie w kolejną misję, spodziewałem się, że do tego czasu chłopcy całkiem wydobrzeją, nie miałem zamiaru kompletować nowego zespołu. Co prawda Tima Kotuszew nie będzie już taki przystojny – jeden z Doskonałych obciął mu ucho, ale cóż... widziałem już gorsze rany. Choćby u pancerniaków. Bezrzęse, beznose, pozbawione warg twarze zamienione przez ogień w potworną bryłę spalonego mięsa. Ci dopiero będą mieli problemy z dziewczętami... A blizna po uchu to tylko dodatkowe miejsce do całowania.

– Dlaczego muszę wynieść się z hotelu? – spytała po raz kolejny Wiera.

Ton panny Turkuł świadczył, że była wyraźnie niezadowolona. Normalnie zdrowo bym ją objechał – podwładni powinni zachowywać swoje humory dla siebie – teraz jednak machnąłem ręką: dziewucha okazała się lojalna, a to wypadało docenić. Dlatego pozwalałem jej na więcej niż komu innemu. Nie dziwiłem się też jej reakcji. W wykorzystywanym przez GRU hotelu była jedną z nielicznych kobiet, obiektem adoracji. W mieszkaniu, które jej wybiorę, ponownie stanie się częścią anonimowego tłumu, nikt nie będzie jej nawet podejrzewał o związek z wojskową

razwiedką. Będę musiał kiedyś wytłumaczyć pannie Turkuł, że unikamy popularności, nawet wśród swoich.

– Dlatego – oznajmiłem zwięźle.

Spojrzała na mnie ostro, po chwili odwróciła wzrok. No i dobrze – trzeba znać swoje miejsce w szyku. Dopiero kiedy upewniłem się, że zrozumiała przesłanie, podjąłem temat.

– Będziesz pracowała z nami, przejdziesz przeszkolenie, na razie podstawowe, nie ma czasu na nic więcej. I lepiej, aby nikt cię nie kojarzył z GRU. Ten hotel to teoretycznie bezpieczne miejsce, zakamuflowane jako ośrodek szkolenia szyfrantów. Szczególne środki bezpieczeństwa i ochrona nie powinny budzić niczyjego zdziwienia, ale...

– Tak? – ponagliła mnie, widząc, że nie kończę zdania.

– Abwehra także nie zasypia gruszek w popiele, w naszej branży nie można być zbyt ostrożnym.

– To paranoja – burknęła niechętnie.

– Być może – przyznałem zgodliwie. – Tylko że lepiej być żywym paranoikiem niż martwym sceptykiem.

Po minie dziewczyny poznałem, że raczej nie zrozumiała ostatniego określenia, nie zamierzałem jednak niczego tłumaczyć. W końcu dlaczego nie pocieszyć się przez chwilę przewagą intelektualną? Bogiem a prawdą, z Saszką rzadko kiedy miałem taką okazję. Te jego przedrewolucyjne studia...

Pożegnałem się z Wierą jakieś dwieście metrów przed znajdującym się niedaleko Arbatu hotelem. Kiedy odeszła kawałek, powlokłem się za nią. Dzień był niepogodny, szarobure, zaciągnięte chmurami niebo i błotnista breja na chodnikach – efekt opadów deszczu ze śniegiem – nie zachęcały do spacerów. Jednak wypadało zorientować się w sytuacji. Panna Turkuł dotarła do hotelu, nie oglądając się za siebie – no i dobrze. Na wszelki wypadek przystanąłem w bramie jakiejś kamienicy. Zamiast pokazać przepustkę, rozpoczęła

przyjacielską pogawędkę z wartownikami. Ech... najwyższy czas zmienić jej lokum, jeszcze trochę i konspirację diabli wezmą. Nie podejrzewałem co prawda, aby zdążyła opowiedzieć żołnierzom o wydarzeniach w Leningradzie, cała sprawa zbyt drogo ją kosztowała, ale w przyszłości – kto wie? Fakt, że łatwo nawiązuje znajomości, mógł się przydać, tu i teraz jedynie przeszkadzał. Obiecałem sobie, że gdy tylko wrócę do domu, podzwonię w sprawie mieszkania.

Drgnąłem, usłyszawszy dźwięk, który w pierwszej chwili wziąłem za odgłos artyleryjskiej salwy. Niebo przecięła błyskawica, lunął deszcz. Przez dłuższą chwilę oddychałem głęboko, starając się uspokoić. Niemcy zostali odepchnięci od Moskwy, teraz, w kwietniu 1942 roku, nic już stolicy nie groziło. Byliśmy bezpieczni, to tylko wiosenna burza. Tylko burza...

Zaparzyłem herbatę – wreszcie earl grey, nie jakaś gruzińska plujka – nakroiłem kiełbasy i czarnego chleba. Od czasu powrotu z Leningradu byłem nieustannie głodny, nic dziwnego, zważywszy, jak schudłem w czasie wykonywania misji. Na szczęście moje kartki żywnościowe pozwalały na takie ekstrawagancje, inni musieli liczyć kromki chleba, a o kiełbasie mogli jedynie pomarzyć. Zza drzwi, z klatki schodowej, dochodził zapach gotowanej kaszy z grzybami, ani chybi dzieło mojej sąsiadki Nataszy Aleksandrowny Pokrowskiej. Ta mimo wojny zawsze potrafiła wyczarować coś smakowitego. Czasem trochę zazdrościłem Władowi, mężowi Nataszy; miła i ładna żona, kilkuletni syn, spokojny dom... No, to wszystko, rzecz jasna, przed wojną. Teraz Władik był na froncie – o ile jeszcze żył, bo czasem wiadomości o śmierci bliskich przychodziły

z opóźnieniem – i podrywał żołnierzy do ataku z okrzykiem: *Za rodinu, za Stalinu!* A o Nataszy wiedziałem tyle, że pracowała w fabryce produkującej amunicję i wystawała w kilometrowych kolejkach, starając się zrealizować swoje kartki żywnościowe. Jak wszyscy. Lecz nadal można było na niej z przyjemnością oko zatrzymać. To się nie zmieniło...

Otrząsnąłem się z zamyślenia, z westchnieniem sięgnąłem po słuchawkę. Od kilku już dni próbowałem załatwić jakieś mieszkanie dla Wiery. Bezskutecznie. Niestropione bynajmniej takim drobiazgiem jak wojna światowa zastępy urzędasów broniły każdego pokoiku niczym nasze wojska Leningradu. Mogłem oczywiście zaświecić im w oczy legitymacją GRU, tyle że wówczas nie byłoby mowy o jakiejkolwiek konspiracji. Mogłem też zapłacić, bo przecież o to chodziło bohaterskim strażnikom przestrzeni mieszkalnej w Moskwie. Wystarczyłaby skrzynka, może dwie konserw i parę butelek wódki. Tyle że, kurwa, wstyd. Chluba wywiadu wojskowego major Razumowski opłaca się jakiemuś tłustemu dekownikowi? Nie, tu trzeba wymyślić coś innego... Gdyby chłopcy byli na chodzie, kazałbym im zorganizować jakiś drobny wypadek – mało to osób zebrało po mordzie w ciemnej uliczce? Założę się, że następnego dnia niejeden z urzędasów dużo bardziej skłaniałby się do negocjacji. No ale samemu nie wypada, a włączać w sprawę postronnych nie można. Ech, życie...

Niespodziewany dzwonek telefonu tak mnie zaskoczył, że mało nie oblałem się herbatą. Nie ma co, trzeba zadbać o nerwy. Inaczej będę musiał zmienić zawód albo co gorsza – nie zdążę go zmienić... Odebrałem, klnąc pod nosem.

– Kto tam?! – warknąłem w słuchawkę.

– I ja wam życzę dobrego dnia, towarzyszu majorze – usłyszałem spokojny głos generała Panfiłowa.

– Najmocniej przepraszam...

– Dajcie spokój – przerwał mi z lekkim zniecierpliwieniem. – Mamy mało czasu. Dzwonię do was, majorze, aby poinformować, że najdalej za dwa miesiące zostaniecie wysłani na misję. Przez ten czas albo pozostaniecie w Moskwie, albo zajmiecie się jakimiś drobiazgami, robotą o niewielkim stopniu ryzyka. Natomiast ten wasz... wyjazd będzie sprawą nietuzinkową. Nawet jak na standardy GRU.

Zacisnąłem zęby – niedawno załatwiłem dla Głównodowodzącego inną „nietuzinkową sprawę". I ledwo co uszedłem z życiem. W dodatku prawdopodobnie zostałem zarażony chuj wie czym. Na efekty „świętej choroby" pewnie przyjdzie mi trochę poczekać, jednak mogłem się założyć, że będą niebanalne.

Generał zapewne odpowiednio zinterpretował sobie moje milczenie, bo jego ton zmienił się na współczujący. A może tylko tak mi się wydawało? W końcu trwała wojna i los jakiegoś majora nie był w tym momencie najważniejszy.

– To osobisty rozkaz towarzysza Stalina – wyjaśnił. – Zanim skierowano was do Leningradu, zginęło kilku dobrych oficerów. Dopiero wy daliście sobie radę. No i nie dziwota, że Głównodowodzący o was pamięta...

Zmełłem w ustach kolejne przekleństwo, wolałbym, żeby Gławkom nie przypominał sobie o mnie, kiedy przychodzi do wyciągania kasztanów z ognia. Bo nie ulegało żadnej wątpliwości, że nowa misja nie okaże się spacerkiem. Kto wie czy i w tym wypadku nie przepadła już wcześniej jakaś ekipa?

– Straciliśmy już dwie grupy – odezwał się jakby w odpowiedzi na moje myśli Panfiłow. – Za kilka dni zrzucimy trzecią. Oczywiście, jeżeli zakończą sprawę, uznamy naszą rozmowę za niebyłą.

Sam także chciałbym mieć taką nadzieję, ale w głosie generała dało się wyczuć rezygnację. Najwyraźniej dowódca

GRU nie spodziewał się sukcesu.

– Problem w tym, że...

Urwał gwałtownie, zapewne zastanawiając się, ile może wyjawić. Nie miałem o to pretensji, lepiej nie wiedzieć zbyt wiele, w przypadku fiaska operacji najbardziej podejrzani są ci, którzy dysponowali kluczowymi informacjami...

– To nie jest nic konkretnego, gdybyśmy mieli pewność, wstrzymałbym akcję – podjął Panfiłow z namysłem. – Istnieje możliwość, rozumiecie, tylko możliwość, że chodzi o dokumenty.

Zbaraniałem. Papiery fabrykowane przez GRU były znakomitej jakości. Jakieś pół roku temu słyszałem zabawną anegdotkę na ten temat. Ktoś z naszych został zatrzymany przez niemiecki patrol do rutynowej kontroli. Wraz z nim sprawdzano kilka innych samochodów. Żandarm, zniesmaczony wyglądem wyświechtanej i najwyraźniej wydrukowanej na kiepskiej jakości papierze przepustki jednego z kontrolowanych Szwabów, zabrał dokumenty przebranemu w niemiecki mundur agentowi *wojennoj razwiedki* i podsunął tamtemu pod nos, wrzeszcząc, że tak powinien wyglądać prawdziwy rozkaz wyjazdu...

– O dokumenty? – spytałem z niedowierzaniem.

– Jesteście doświadczonym oficerem, majorze – odparł Panfiłow. – Jak to się mówi: mądrej głowie dość dwie słowie.

Czyżby rzecz była tak śmierdząca, że nawet generał nie odważył się nazwać sprawy po imieniu? Ale o cóż mogło chodzić? Nagłe pogorszenie jakości? Bzdura. Winny zszedłby na ciężką ołowicę, a reszta ekipy pracowała ze zdwojoną energią, bojąc się – i słusznie – że w przypadku recydywy i im uzupełnią niedobory ołowiu w organizmie. Zresztą ludzie, których przerzucano przez linię frontu na lewych papierach, nie byli nowicjuszami. Potrafili poznać się na kiepskiej robocie i nie

wzięliby złej jakości dokumentów. Nie bez protestów. A tylko idiota zignorowałby zdanie zawodowców. W GRU nie było idiotów, wyginęli. Tak więc musiało chodzić o co innego. Tylko o co? Zaraz, zaraz... Zimny pot zrosił mi czoło. A jeśli to celowy sabotaż? Dokumenty mogły wyglądać świetnie, ale miały na przykład jakiś umieszczony w znanym tylko wtajemniczonym miejscu znaczek. Coś, co odróżniało je od autentycznych. Wtedy wystarczyło je skontrolować i... Tak, to musiało być to! Generał milczał, nie mając dowodów – gdyby podniósł raban, unieruchomiłoby to cały wydział fałszerski na nie wiadomo jak długo, uniemożliwiło realizację zaplanowanych operacji. A tego ojczulek Stalin nie darowałby nikomu, nawet Panfiłowowi. Jeśli moje podejrzenia były słuszne, to przeciwko sabotażyście podjęto już odpowiednie działania, lecz te mogły potrwać. Zapewne „zaznaczał" on jedynie niektóre, starannie wybrane dokumenty, dbał, aby wpadki nie zdarzały się zbyt często. Tyle że z tego, co powiedział generał, wynikało, iż akcja, na którą zostanę wysłany, cieszyła się niesłabnącą uwagą „kreta". Być może otrzymał rozkaz sabotowania jej za wszelką cenę...

– Rozumiem – odezwałem się niepewnym tonem. – Jednak nie widzę alternatywy dla naszych specjalistów.

– To postarajcie się zobaczyć! – uciął szorstko Panfiłow. – Zresztą wasza wola, jeśli nic nie wymyślicie, otrzymacie taki towar jak inni przed wami...

Ożeż kurwa! Ciekawe, gdzie znajdę fałszerzy takiej klasy?! Owszem, na czarnym rynku można dostać lewe papiery, tylko że to był drugi, albo i trzeci sort. Ot, podrobiona przepustka, kartki żywnościowe – drobiazgi. Coś, co może przeoczyć sklepowa czy patrol wojennej komendantury, ale na pewno nie pracownik niemieckiego kontrwywiadu. Zresztą i specjalizacja inna, nastawiona – jak by to powiedzieć? – na wewnętrzny rynek. Skąd wziąć wzory dokumentów, pieczątki, jak podrobić

znaki wodne? Do tego potrzeba nie tylko fachowca, ale i techniki. Niepodobieństwo.

– Rozmawiamy nieoficjalnie – przerwał mi rozmyślania generał. – Nikt nie może dowiedzieć się o naszej rozmowie. Niestety, to sprawa nie tylko... techniczna, ale i polityczna. Nasza konkurencja tylko czeka, żeby zarzucić nam niekompetencję i ograniczyć nasze wpływy.

No tak, kochane NKWD...

– Dlaczego rozmawiamy przez telefon? – spytałem. – Skąd pewność, że nie jest na podsłuchu?

– Oczywiście, że jest na podsłuchu! – w głosie generała pojawiła się nutka rozbawienia. – Na naszym podsłuchu. Czekiści nie mają prawa inwigilować GRU, zresztą sprawdzamy to regularnie. Oczywiście obejmuje to też obserwację innego typu, jednak tu trudno byłoby im cokolwiek udowodnić, ich agenci mogą przecież spacerować po ulicy, na której mieszka major Razumowski, mogą spotkać przypadkiem na mieście generała Panfiłowa. Nawet w moim gabinecie... Cóż, ktoś może coś zauważyć, zameldować, było nie było, bratniej służbie. Jednak podsłuch to inna rzecz. Nie ośmieliliby się. Jeszcze nie...

– Dziękuję za ostrzeżenie, towarzyszu generale.

Odpowiedziało mi milczenie, generał Panfiłow odłożył słuchawkę.

Zacisnąłem kilkakrotnie zesztywniałe z zimna palce, postawiłem kołnierz. Dochodziła dwudziesta, wieczorny mrok rozjaśniały jedynie mdłe błyski niebieskich żarówek, ledwie widoczne przez zasłonięte okna. Zakląłem, potknąwszy się o wystający brukowiec. Zaciemnienie, cholera. Co prawda

niemieckie lotnictwo nie odniosło specjalnych sukcesów, bombardując Moskwę – stolicę ubezpieczały tysiące dział przeciwlotniczych i setki samolotów, ale rozkaz to rozkaz. Pewnie jeszcze przez rok albo dwa będziemy po zmroku potykać się o każdy kamień. No nic, bywają gorsze problemy. Na przykład niemożność znalezienia fałszerza dokumentów, o wolnym pokoiku dla Wiery nie wspominając, choć w świetle rewelacji przekazanych mi przez Panfiłowa sprawa lokum dla panny Turkuł zeszła na dalszy plan. Pewnie, że lepiej, żeby mieszkała poza należącym do GRU hotelem, ale jeśli nie znajdę speca od lewych papierów, kwestia, gdzie mieszkają moi podwładni, przestanie się liczyć – wszyscy będziemy gryźli ziemię...

Skręciłem w wąską, pamiętającą jeszcze ostatnich Romanowów uliczkę, gdzieś z oddali doszedł mnie rytmiczny stukot żołnierskich butów; ani chybi patrol. Bliżej, z zionącego ciemnością zaułka, rozległ się cichy, zduszony jęk. Cóż, może jakaś pracująca dziewczyna dorabia sobie do kartek żywnościowych. Moskwa zapchana była wojskiem, chętnych nie brakowało...

Przystanąłem zaalarmowany złowrogim, metalicznym dźwiękiem – ktoś otworzył nóż sprężynowy. Sięgnąłem po broń. Cichy gwizd uświadomił mi, że zostałem zauważony. W chwilę później runąłem na bruk, powalony uderzeniem barku. Wystrzeliłem dwukrotnie w powietrze, nie zdążyłem zrobić nic więcej – przebiegając tuż obok, któryś z napastników kopnął mnie w ledwo zagojone żebra, drugi poprawił w łokieć. Zawyłem z bólu, ze zdrętwiałej nagle ręki wypadł mi pistolet. Kolejne kilka minut spędziłem na szukaniu broni, w końcu wymacałem ją w większej niż inne kupie błota. Dobre i to, musiałbym nieźle się tłumaczyć z utraty swojego tokariewa. Wstałem z bolesnym stęknięciem, bok rwał, jakby przebiegło po

mnie stado koni. Ech, majorze Razumowski, przeżyliście Leningrad, a tu mało nie zatłukli was jacyś chuligani... I za co? I o co? Czort jeden wie.

Z zaułka dobiegły mnie odgłosy wymiotów, kiedy wypełzł z niego ciemniejszy niż otoczenie kształt, bezceremonialnie rozpłaszczyłem nieznajomego na ziemi, przytknąłem do głowy lufę pistoletu. Nie żeby było to trudne, mężczyzna ledwo trzymał się na nogach.

– Kim jesteś?! – wysyczałem ze złością.

Zabełkotał coś w odpowiedzi, wskazał na ramię. Zapaliłem trzymaną do tej pory w kieszeni latarkę – w okolicy nie plątał się żaden patrol – zerknąłem. Spod warstwy brudu błysnęły pagony. Najwyraźniej mój niefart jeszcze się nie skończył – właśnie przed chwilą kopniakiem w dupę posłałem w błoto pułkownika...

Wartownicy dwukrotnie sprawdzili moje dokumenty – legitymowałem się jak zwykle papierami oficera wojsk łączności – zanim wpuścili do budynku. Jeden uprzejmie poinformował, gdzie znajduje się gabinet pułkownika Poliakowa. Tak jakbym sam nie wiedział... Co prawda Poliakowa poznałem dopiero wczoraj, za to nasza znajomość od pierwszej chwili miała intensywny charakter. Rzadko kiedy zapoznajemy się z kimś, wciskając mu mordę w błoto... Z ociąganiem, bo nie miałem do czego się spieszyć, pomaszerowałem na piętro. Generalnie rzecz biorąc, pułkownik milicji to żadna szycha, niestety, Poliakow nie był zwykłym pułkownikiem. Od ponad roku pełnił funkcję zastępcy dowódcy moskiewskiej milicji, w praktyce spełniając wszelkie obowiązki

generała Szołkina. Ten ostatni – o czym wiedziała cała Moskwa – był jedynie figurantem. W rzeczywistości bezpieczeństwa stolicy pilnował Poliakow. I pilnował dobrze. „Polak", bo tak go nazywano, okazał się prawdziwym postrachem niesfornych żołnierzy, bandytów i wszelkiej maści swołoczy. Problem w tym, że stał się także postrachem wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób weszli mu w drogę... Miał znajomości na najwyższych szczeblach władzy – zapewne nie raz i nie dwa przyszło mu zamiatać pod dywan efekty generalskich czy partyjniackich zabaw, niejednokrotnie wyciągać z gówna prominentnych urzędników. A fama głosiła, że Poliakow potrafi upomnieć się o swoje. Dlatego był nie do ruszenia, liczyli się z nim nie tylko urzędnicy i partyjni bonzowie, ale nawet NKWD. No i do tego wszystkiego – cóż za zaskoczenie! – miał opinię strasznego skurwysyna. Zanim zjawiłem się na komendzie, wykonałem kilka telefonów, sprawdziłem, co wiadomo na temat wczorajszego zajścia. Nie było tego wiele: w zaułku, gdzie rozegrała się cała akcja, znaleziono dwóch żołnierzy czwartego korpusu powietrznodesantowego. Martwych. Jeden miał skręcony kark, drugiego zabito zadanym z potworną siłą uderzeniem w serce. Ślady – wreszcie pokrywające ulice błocko na coś się przydało – wskazywały, że napastników było więcej. W sumie czterech albo pięciu. Jak przypuszczałem, reszta uciekła zaskoczona moją interwencją, przy okazji obijając mi żebra. Wątpiłem, aby całe zajście okazało się dziełem przypadku, czwarty powietrznodesantowy operował obecnie na tyłach wroga. Dodawszy dwa do dwóch, można było wnioskować, że Poliakow ma nie tylko potężnych przyjaciół, ale i wrogów, którym lepiej nie wchodzić pod rękę. Niestety, było po sprawie; nie tylko wypolerowałem ulicę pułkownikiem Poliakowem, ale i – nieważne, że przypadkiem –

przeszkodziłem komuś w porachunkach z szeryfem miasta Moskwy. A teraz miałem zebrać za swoje...

Zapukałem energicznie i wszedłem do gabinetu, nie czekając na pozwolenie. Po wczorajszym zajściu pan pułkownik mógł mieć pewne problemy z wymową, a nie sądziłem, żeby przesadna uprzejmość coś mi dała. Nie w tym wypadku, nie u Poliakowa.

Twarz pułkownika mieniła się wszelkimi odcieniami fioletu i czerwieni, pokrywały ją strupy i krwawe wybroczyny, czoło było sine, lewa ręka w gipsie, jednak oczy milicjanta patrzyły ostro i czujnie, cała sylwetka wyrażała nieludzką niemal determinację i z trudem tłumioną furię. W tym momencie przestałem się dziwić, że zabił dwóch desantowców i walczył z pozostałymi do mojego nadejścia. To była bestia, jedna z rzadko spotykanych osób, których nie można złamać, lecz co najwyżej zabić. Wnioskując z tego, co osiągnął: inteligentna bestia. Nie jestem specjalnie strachliwy, ale poczułem na plecach dreszcze – temu facetowi było obojętne, kim jestem, jeżeli postanowi mnie wykończyć, po prostu to zrobi. Bez wahania, bez litości, bez wyrzutów sumienia. A o rachunek, jaki przyjdzie mu za to zapłacić, będzie martwił się później.

Zameldowałem się służbiście, strzelając obcasami energiczniej niż przed niejednym generałem.

– To wy mnie wczoraj w tej uliczce? – zapytał, sepleniąc lekko.

– Tak jest! – wymamrotałem ze wzrokiem wbitym w ścianę powyżej głowy rozmówcy.

– Major Razumowski z *wojennoj razwiedki*? – upewnił się, zaciskając zdrową dłoń w pięść.

– Tak jest! – powtórzyłem.

Nie ma co, na wiele mi się przydały lewe dokumenty...

– Na co czekacie?! – warknął. – Siadajcie!

Usiadłem.

– Może nie powinienem o to pytać – powiedział już spokojniej – ale czy moglibyście wyjaśnić, majorze, co GRU ma przeciwko generałowi Baranowowi?

Zamurowało mnie. Nazwisko kojarzyło mi się jedynie z pewnym niespecjalnie lubianym kolegą ze szkoły, choć wątpiłem, że to o niego właśnie chodziło Poliakowowi. I co ma do tego GRU?!

– Proszę wybaczyć, pułkowniku, nie znam nijakiego Baranowa.

– Rozumiem wymogi konspiracji, jednak... – zaczął milicjant.

Urwał i przyjrzał mi się uważniej.

– Wy naprawdę nie kojarzycie tego nazwiska?

– Naprawdę.

– No tak... – Poliakow z namysłem postukał zagipsowaną ręką w stół. – To znaczy, że miałem wczoraj szczęście. I nie zawdzięczam go *wojennoj razwiedce*, a jedynie majorowi Razumowskiemu, który po prostu spacerował sobie po nocy i znalazł się w porę w odpowiednim miejscu.

Milczałem, bo i co mogłem powiedzieć?

– A gdzie i w jakim celu szedł major Razumowski? – padło znienacka pytanie.

Wysiłkiem woli stłumiłem instynktowną odpowiedź na temat prawa moskiewskiej milicji do przesłuchiwania pracowników wojskowego wywiadu. Wyglądało, że pułkownik nie pyta z czystej ciekawości, a w końcu w moich wędrówkach po mieście nie było niczego, co musiałbym ukrywać, więc...

Opowiedziałem krótko o problemach związanych ze znalezieniem niekrępującego lokum dla Wiery, wymieniłem nazwiska urzędasów, z którymi rozmawiałem na ten temat.

Spojrzenie Poliakowa złagodniało, podejrzliwość zniknęła z twarzy.

– Gdzie ma być to mieszkanie? – spytał, podnosząc słuchawkę.

– Niedaleko Arbatu – odparłem pospiesznie.

Trzeba korzystać z okazji...

– Może być na Arbacie? Jakieś dodatkowe warunki?

– Warunki?

– No, metraż, towarzystwo, standard. Jeśli to wasza kochanka, mogę umieścić ją pod dyskretnym nadzorem, tak że będziecie wiedzieli, jak się prowadzi pod waszą nieobecność.

Powtórnie oniemiałem. Coś, co w wojennych warunkach trudno by było załatwić i generałowi, Poliakow traktował jako rzecz oczywistą, wręcz niewartą wzmianki.

– To nie jest moja kochanka – wykrztusiłem wreszcie. – Wystarczy jej jakiś pokoik, żadnego nadzoru nie potrzebuję, chociaż... – zawahałem się na moment – przydałoby się coś w rodzaju matczynej ręki. Rozumiecie, ona nie zna miasta.

– Matczynej ręki? – mruknął milicjant. – A może być babcina? Znam mieszkanko z wolnym pokojem, lokatorki to dwie urocze staruszki. Jak ta wasza podopieczna odnosi się do starego reżimu?

– Znaczy do caratu?

– Dokładnie. Starsze panie były damami dworu Aleksandry Fiodorowny. Ostatniej carycy – dodał, widząc, że nie rozumiem. – Wolałbym, żeby panienka nie pisała donosów do Komsomołu, kiedy odkryje ten fakt. Staruszki są w pewnym sensie pod moją opieką.

Cóż, biorąc pod uwagę, że sama Wiera była krewną białego generała Antona Turkuła, sądziłem, że znajdzie wspólny język z właścicielkami mieszkania...

– Pozytywny – odparłem bez namysłu. – To znaczy chciałem powiedzieć...

Poliakow powstrzymał mnie leniwym gestem.

– Uratowaliście mi życie, majorze – powiedział z naciskiem. – Od dzisiaj macie we mnie przyjaciela. Ja zawsze spłacam swoje długi. Wasze poglądy polityczne... Nie żebym podejrzewał, iż są nieprawidłowe, zupełnie mnie nie obchodzą. Podobnie jak wasza orientacja seksualna czy zadania, jakie wykonujecie dla GRU. Czym mogę, to pomogę – zakończył, wzruszając ramionami.

Odetchnąłem z ulgą, dyskretnie poluźniłem kołnierzyk munduru. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że napinam mięśnie, jakbym oczekiwał niespodziewanego ciosu. A tutaj proszę – zamiast śmiertelnie groźnego wroga zyskałem sojusznika. Nie byle jakiego sojusznika. No, chyba że ów nieznany mi bliżej Baranow postawi jednak na swoim. Jak przypuszczałem, spotkani wczoraj desantowcy mieli w jego właśnie imieniu przekazać „Polakowi" pozdrowienia... Tak, to była sprawa, którą należałoby wyjaśnić.

– Kim jest generał Baranow? – spytałem bezceremonialnie. – I czego od was chciał, pułkowniku?

– Czego chciał? Niczego szczególnego. Chodziło o podział wpływów, kilka niezałatwionych kwestii z przeszłości, takie tam drobiazgi... Był, od niedawna zresztą, dowódcą komendantury wojskowej miasta Moskwy. Nasze strefy zainteresowań poniekąd się przenikały, lecz to już przeszłość. Pan generał zginął dzisiaj w wypadku samochodowym o – spojrzał na zegarek – trzynastej dwadzieścia, może dwadzieścia pięć.

Ponownie poczułem mróz na plecach, było wpół do drugiej...

– A teraz może przejdziemy na ty? – zaproponował Poliakow, wyciągając szklanki. – Musisz mi wybaczyć, że ja tylko symbolicznie, rozumiesz, po tym wczorajszym lekarze zabronili.

Otworzyłem butelkę z wódką, nalałem.

– Za przyjaźń! – uniósł szkło milicjant.

– Za przyjaźń! – zawtórowałem mu nieco nerwowo, przełykając ślinę.

Kamienica była przedrewolucyjna, lecz zadbana, okolica wyglądała na bezpieczną: koncentracja dział przeciwlotniczych na kilometr kwadratowy porażała – nic dziwnego, to przecież Arbat. Schron wyglądał także niczego sobie, co sprawdziliśmy przed chwilą. Poliakow z rewerencją przepuścił nas przodem, pomaszerowaliśmy na trzecie piętro. Drzwi otworzyła nam krucha z wyglądu staruszka, zaczęła krzyczeć, zanim się przedstawiłem.

– Nie dam! Nie dam więcej na kredyt!

– Mario Aleksandrowno... – wymamrotał Poliakow, wychodząc zza moich pleców. – Znowu nie płacą?

– Nikołaj! – ucieszyła się starsza pani. – Nie płacą huncwoty! Wańka Sielin i jego kumple. Walczymy za ojczyznę, powiadają. No zachodźcie, nie stójcie tak w progu!

Uniosłem brwi, patrząc na zastawiony stół: gruziński koniak, herbata, wędliny... Najwyraźniej staruszki nie były biedne. I skąd to wszystko? Bo przecież nie z carskiej emerytury? W tym momencie pojawiła się druga lokatorka niosąca parującą wazę.

– Siadajcie do stołu – zaprosiła.

Pociągnąłem nosem – niech mnie diabli! Toż to prawdziwa rybna solanka...

– Jestem Praskowia Aleksandrowna – skłoniła się wytwornie kobieta. – Maria to moja siostra.

Dokonaliśmy pospiesznej prezentacji, Wiera dygnęła niczym na królewskim dworze. Przez jakiś czas rozlegał się tylko szczęk sztućców, nikt z nas nie był niedożywiony, ale stołówkowe jedzenie nie umywało się do potraw zaserwowanych nam przez starsze panie. Zachęcony przez gospodynie popróbowałem koniaku, tak smacznego nie piłem chyba nigdy w życiu... Widząc moją minę, wyższa z kobiet, Praskowia, zachichotała.

– To jeszcze z zapasów papy, sprzed rewolucji – poinformowała. – Tysiąc osiemset osiemdziesiąty drugi rok. Zostało nam już niewiele, ale tacy goście...

Odchrząknąłem dyplomatycznie, wolałem nie dopytywać o papę. Jeśli staruszki dotrzymywały towarzystwa carycy, strach pomyśleć, kim był ich ojciec.

Po kilku minutach ostrożnej rozmowy o wszystkim i o niczym – widać staruszki badały grunt – na stół wjechała wódka. Posłuszny wymownemu spojrzeniu Poliakowa pozwoliłem zabrać ze stołu koniak – ech, a dobry był, czort! – i podstawiłem szklankę. Trzeba przyznać, że Praskowia Aleksandrowna nam nie żałowała. Jedynie Wiera dostała symboliczną porcję, pewnie za cara dobrze wychowane panienki nie piły wódki... Będę musiał kiedyś o to spytać. Alkohol okazał się niezły, choć wyraźnie swojej roboty. Kiedy pochwaliłem bimber, Maria Aleksandrowna rozpromieniła się, jakbym odznaczył ją Orderem Lenina.

– Trzykrotnie go destyluję! – pochwaliła się konfidencjonalnym szeptem. – Nie jest to co prawda ta jakość co dawniej – przyznała. – Kiedyś, w manufakturach Jusupowów czy Kurakinów... – Rozmarzyła się, mrużąc oczy.

– Znaczy panie same...? – upewniłem się.

Zamiast odpowiedzieć, zaprosiła dumnym gestem w głąb mieszkania. Przeszliśmy przez kuchnię, potem wąski korytarzyk, poczułem lekki zapach zacieru. Przestąpiwszy próg

sporego pomieszczenia, złożyłem usta do bezgłośnego gwizdnięcia: aparatura destylacyjna nie była bynajmniej chałupniczej roboty. Potężną maszynerię ozdobiono herbem z carskim, dwugłowym orłem, napis poniżej głosił: „Piotr Arseniewicz Smirnow – dostawca dworu Jego Imperatorskiej Wysokości i Wielkiego Księcia Siergieja Aleksandrowicza".

– Zaraz po rewolucji lutowej przewiozłyśmy maszynę do naszego mieszkanka – wyjaśniła. – Tak to sobie wymyśliłyśmy z Daszą Smirnową. Niestety, Daszka – starsza pani sięgnęła po chusteczkę – niedługo później zmarła. Zapalenie płuc, a tu walki na ulicach, znikąd pomocy... No i został nam ten aparat.

– Ile pokoi ma to mieszkanie? – spytałem.

– Niewiele – odparła smętnie staruszka. – Salon, destylarnia, nasze dwie sypialnie, pokój gościnny. Do tego oczywiście kuchnia i łazienka.

– Nie próbowali wam kogoś dokwaterować?

– Próbowali, kochany, och, jak próbowali! Na szczęście dzięki naszemu małemu... hobby mogłyśmy się wykupić. Nie masz pojęcia, młody człowieku, jak naród jest spragniony. Odrobina wódki i można załatwić naprawdę wiele spraw...

Nieco zaskoczony spojrzałem na rozmówczynię. Rzecz jasna, orientowałem się, co można zdziałać za pomocą alkoholu, ale skąd dama dworu...?

Siwe, wyblakłe ze starości oczy patrzyły na mnie spokojnie, usta Marii Aleksandrowny rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

– Przeszłyśmy naprawdę niezłą szkołę zaraz po rewolucji – poinformowała, jakby domyślając się moich wątpliwości. – I tak nie było najgorzej, nie miałyśmy mężów ani dzieci. Inni stracili wszystko, my tylko majątek. – Wzruszyła ramionami.

No tak, w sumie racja... Ktoś, kto przetrwał rewolucję, będąc wcześniej po tej drugiej, niewłaściwej stronie barykady, nie mógł być mięczakiem. Ani głupkiem. Tacy nie przeżyli.

Wróciliśmy do stołu, ale nie siedzieliśmy już długo. Nasze gospodynie były zmęczone, no i nie dziwota, ich wiek określiłbym na co najmniej siedemdziesiąt lat. Sygnał do wyjścia dał Poliakow, pożegnaliśmy się krótko, na odchodnym rozkazałem Wierze, żeby słuchała staruszek. Panna Turkuł nie protestowała, chyba spodobało jej się i nowe lokum, i towarzystwo. To i dobrze, jeden kłopot mniej.

Następnego dnia udałem się do szpitala, zamierzałem pogadać z lekarzem zajmującym się chłopakami. Jeśli miałem otrzymać nowe, najwyraźniej niebezpieczne zadanie, wolałem, aby towarzyszyli mi sprawdzeni ludzie, o których lojalność ani też walory bojowe nie muszę się martwić. Mimo młodego wieku i Tima, i Pietka byli już weteranami, niejednokrotnie brali udział w rajdach na tyły przeciwnika. Jeżeli nie wykurują się w ciągu dwóch, trzech tygodni, nie dojdą do dawnej sprawności, co też zabierze trochę czasu, trzeba będzie myśleć o werbowaniu nowej ekipy. A z tym może być problem. Ze względu na wojnę wszyscy co bardziej rozgarnięci dawno otrzymali już swoje przydziały. Jeśli wykluczyć szczęśliwy traf, będę musiał wybierać spośród nowego narybku. Zabrać na poważną akcję nieznajomych to prosić się o kłopoty. Zabrać nieznajomych nowicjuszy to niemal gwarancja klęski. Mógłbym co prawda wziąć ze sobą Wierę, jej mogłem zaufać, lecz przechodziła dopiero podstawowy trening i choć nie ulegało wątpliwości, że posiada pewne predyspozycje do naszej roboty, była zielona jak szczypiorek na wiosnę. Oj, bieda z tym, bieda...

Wartownikowi na pierwszym piętrze pokazałem legitymację GRU – szpital miał status „specjalnego”, dla pacjentów, którzy

z takich czy innych względów powinni być leczeni w warunkach konspiracji – a więc nie musiałem niczego ukrywać. Zresztą z dokumentami oficera wojsk łączności nikt by mnie tu nie wpuścił.

Lekarka, ognista brunetka pod trzydziestkę, zwięźle wyjaśniła mi wszelkie niuanse dotyczące rehabilitacji moich podwładnych i z uśmiechem odrzuciła propozycję nawiązania bliższych kontaktów. Cóż, jak to na wojnie – raz się wygrywa, raz się przegrywa... Z relacji sympatycznej pani doktor wynikało, że z chłopakami wszystko w porządku, zostaną wypisani w ciągu tygodnia, jedynie Kotuszew ma nadal nieco sztywny bark, z czym i w przyszłości mogą być kłopoty. Bo rehabilitacja albo pomoże, albo i nie. Też mi, kurwa, nowoczesna medycyna...

Tima i Pietka grali w szachy, zauważywszy mnie, zerwali się na równe nogi. Wiedzieli dobrze, że nie muszą co chwila trzaskać przede mną obcasami, więc albo się stęsknili, albo chcieli zademonstrować, że są już sprawni. Kiedy wyjąłem z kieszeni dwa czerwone pudełeczka, bez komendy stanęli na baczność. Pewnie dla kogoś z zewnątrz wyglądałoby to pociesznie: dwóch rozczochranych, wyprostowanych jak struna młodzieńców w przykrótkich szpitalnych piżamkach. A to bojowi oficerowie po udanej akcji – ot co!

– Za męstwo i wzorowe wypełnianie zadań! – rzuciłem krótko, wręczając im medale.

– Służę Związkowi Radzieckiemu! – odparli unisono.

Chrząknąłem pobłażliwie, widząc, jak napawają się widokiem odznaczeń. No, Order Czerwonej Gwiazdy to nie byle co. Z pozoru tandetna blaszka, ale każdy żołnierz wie, że czegoś takiego nie dostaje się darmo. Zanim przypniesz ją sobie do munduru, musisz przelać sporo – nie tylko cudzej – krwi.

– Jakie rozkazy, *komandir*? – spytał Tima, wracając do rzeczywistości.

– Jak sytuacja? – zawtórował mu Pietka.

No tak, on wiedział, że mimo wypełnienia zadania nasze problemy niekoniecznie skończyły się po wyjeździe z Leningradu. Jeszcze parę lat i pewnie będę mógł pogadać z Drozdem jak kiedyś z Saszką Riuminem. O ile dożyjemy...

– Szykuje się grubsza akcja – poinformowałem przyciszonym głosem.

Wątpiłem co prawda, aby ktoś nas podsłuchiwał. Podłoga na korytarzu skrzypiała przeraźliwie, więc usłyszelibyśmy, ale strzeżonego...

– W dodatku do Moskwy przenosi się znany nam wszystkim pułkownik Kutiepow. Zdążył napisać już donos do centrali GRU, byłem na dywanie u generała Panfiłowa.

– Donos? A o czym? – zdziwił się Kotuszew.

– Chodziło o okoliczności śmierci kapitana Riumina...

– I? – uniósł brwi Pietka.

– Wyłgałem się – odparłem, wzruszając ramionami. – Generał jest po naszej stronie. Jednak uważa, i pewnie ma rację, że na donosach się nie skończy.

Nie podziękowałem im, że żaden nie sypnął mnie przed dowództwem – sam fakt takiego podziękowania byłby obrazą, sugerowałby, że spodziewałem się po nich czegoś innego. Nikt z chłopaków nie zapytał: po chuj kładziemy łby pod topór dla nieżyjącego kumpla? A dokładniej, dla jego rodziny? To oni przecież najboleśniej odczuliby konsekwencje zdrady Saszki – gdybym o niej poinformował... Tyle że w robocie takiej jak nasza podobne sprawy załatwia się wśród swoich, we własnym zakresie. No bo jakże inaczej liczyć, że przyjaciel osłoni ci plecy? Złamiesz choć raz zasadę lojalności i będziesz musiał

troszczyć się o siebie sam. A w takiej sytuacji długo nie pożyjesz. Nie, donosicielstwo to nie u nas...

– Może załatwić gnoja? – zaproponował bez mrugnięcia okiem Tima Kotuszew. – Ulice po zmroku bywają niebezpieczne...

– Nieee – odparłem niezdecydowanie.

Sam miałem ogromną ochotę rozliczyć się z pułkownikiem Kutiepowem. Niestety, rzecz była skrajnie niebezpieczna, okoliczności jego śmierci – niezależnie od tego, co byśmy wymyślili – stałyby się przedmiotem bardzo dokładnego śledztwa. I pewnie nasi przyjaciele z NKWD nie zapomnieliby o wrogach pana pułkownika. Nie miałem nic przeciwko temu, aby ujrzeć Kutiepowa martwym, lecz nie za taką cenę.

– To zbyt ryzykowne – mruknąłem.

– A gdyby tak upozorować bandycki napad? – zaproponował Pietka. – *Gop-stop, my podoszli iz za ugła*... – zanucił.

Roześmiałem się, pomysł nie brzmiał źle, choć nadal pozostawał ryzykowny. Uliczni bandyci nie byli w Moskwie rzadkością. Tylko który *gopnik* odważy się zaatakować pułkownika NKWD? Chyba że Kutiepow będzie w cywilnych ciuchach. No właśnie, całą sprawę należało jeszcze przemyśleć. W tym momencie przyszło mi do głowy co innego: zastanawiając się nad kwestią fałszywych dokumentów, założyłem z góry, że miejscowi przestępcy to drobnica. A co, jeśli w kryminalnym światku Moskwy egzystują też grubsze ryby? Ludzie, którzy mogliby mi przykładowo załatwić naprawdę dobre papiery? Nasze władze twierdziły co prawda, że takowych od dawna nie ma, ale – jak by to powiedzieć? – przyjmowałem podobne oświadczenia z pewną... ostrożnością. Jeszcze tydzień temu kwestia ta pozostawałaby w sferze czysto teoretycznych rozmyślań, bo nie miałem dojścia do kryminalistów, a tym bardziej prominentnych kryminalistów,

ale od tego czasu sytuacja się zmieniła. Mój nowy kumpel „Polak” z pewnością wie wszystko o podziemnym świecie Moskwy. O ile taki, rzecz jasna, istnieje...

– Na razie siedźcie cicho – zadecydowałem. – Wracajcie do zdrowia i dobrze by było, gdybyście zaczęli powoli trenować... – Popatrzyłem na chłopaków pytająco.

– Nie ma problemu, *komandir* – zadeklarował Tima.

Pietka przytaknął energicznie.

– Mam trochę sztywny bark – kontynuował Kotuszew – ale z czasem wszystko powinno wrócić do normy. Już zacząłem trochę ćwiczyć.

W jego dłoni znikąd pojawił się nóż, zawirował obracany między palcami z cyrkową zręcznością. Ostrze kilkakrotnie przecięło ze świstem powietrze trzymane to zwykłym, to odwrotnym chwytem.

Pokiwałem z uznaniem głową – widać było, że Tima wraca do siebie, a i ćwiczenia wybrał rozsądnie, starał się nie nadwerężyć mięśni.

– Kiedy was wypiszą i zaczniecie regularne zajęcia, zwróćcie uwagę na Wierę, prawdopodobnie pojedzie z nami.

Nie odrywałem od nich surowego wzroku, dopóki obaj z pewnym ociąganiem nie skinęli głowami. Cóż, nowi zawsze płacą frycowe, nikt i nigdzie nie podaje im własnoręcznie wypracowanych patentów na sukces. Rozumiałem i popierałem tę filozofię, tyle że w tym momencie nie mogliśmy sobie pozwolić na podobne gierki. Kiedy, czy może raczej o ile, zabierzemy na misję pannę Turkuł, ta musi być naprawdę w formie. Dlatego Pietka i Tima pomogą dziewczynie w treningu, wyuczą sztuczek, które oszczędzą jej miesięcy, może lat ciężkich ćwiczeń. Kotuszew był mistrzem walki nożem i świetnie strzelał, Drozd zaś znakomicie posługiwał się gołymi rękoma i potrafił czytać z niewiarygodną wręcz szybkością,

a wszelkie informacje zapamiętywał z taką dokładnością, jakby zamiast mózgu miał kliszę fotograficzną. Obaj będą doskonałymi instruktorami dla Wiery. Tak więc zadania zostały przydzielone – moja ekipa zajmie się treningiem, a ja... Cóż, ja sprawdzę, ile jest warta przyjaźń pułkownika Poliakowa...

Rozdział czwarty

Prominentni kryminaliści? – spytał po raz kolejny Poliakow.

W jego głosie brzmiało niedowierzanie, spoglądał na mnie uważnie, a nawet, jak mi się wydawało, z pewną troską, tak jakby nie był pewien, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

– Jest w ogóle ktoś taki? – warknąłem zniecierpliwiony. – Bo jeśli nie, to trudno. Postaram się załatwić sprawę inaczej. Nie mam czasu na pogoń za jakąś fatamorganą.

Zamarłem, widząc, że kręci głową.

– Nie powiem ani słowa, zanim nie dowiem się, po co ci to potrzebne – stwierdził stanowczo.

Odetchnąłem, przez chwilę bałem się, że mój pomysł zmarł śmiercią naturalną. Tymczasem skoro milicjant nie chce gadać, znaczy coś jest na rzeczy...

– Myślałem, że jesteś mi co nieco winien – zaznaczyłem z naciskiem.

– Jestem – przyznał Poliakow. – I dlatego właśnie usiłuję uratować ci życie. Jak ty to sobie wyobrażasz? Znajdziesz *wora w zakonie*, a on jak ta złota rybka spełni twoje życzenie?!

– Kogo?

– *Wora w zakonie*, bandyckiego herszta. Kryminalny świat, *błatni*, tak jak i my ma swoją hierarchię, przywódców. *Wor w zakonie* to władca podziemnego świata. Jeden z władców, bo

takich jest więcej. Jego słowo jest prawem, rozkazy wykonywane są bez szemrania, sprzeciw karany śmiercią.

– Właśnie kogoś takiego mi potrzeba.

Pułkownik westchnął z głębi potężnej piersi, popatrzył w sufit, wyraźnie zmuszając się do cierpliwości.

– W świecie *błatnych* obowiązuje wiele reguł, a wśród nich jest jedna podstawowa: nigdy i w żadnym wypadku nie współpracować z komunistami i przedstawicielami państwa. Jeśli udałoby ci się nawet dotrzeć do kogoś ważnego, ten albo zabiłby cię osobiście, albo kazał zabić. Nawet by cię nie wysłuchał, bo i po co? Oni nienawidzą naszego ustroju – wyjaśnił, wzruszając ramionami.

– I państwo to toleruje?!

Wyraźnie ubawiony Poliakow zarechotał.

– A ma jakieś wyjście? Oczywiście od czasu do czasu łapiemy kogoś z ferajny, lecz to przeważnie płotki. Rzadko kiedy zdarzy się ktoś ważniejszy. To hermetyczny, niedostępny dla nas świat. Nie możemy wysłać tam szpiegów, bo ktoś taki musiałby myśleć jak *błatny*, mówić jak *błatny*... Tak, oni mają nawet własny język! Wreszcie być wytatuowany jak *błatny*. Jednym słowem: być *błatnym*. A dla nich nie ma większej winy niż zdrada...

– Wytatuowany? Jak dzikus albo marynarz?

– Coś w tym rodzaju.

Mój rozmówca z lekkim stęknięciem sięgnął do szuflady – wyglądało, że odczuwa jeszcze skutki pobicia – i wyciągnął pokaźny, oprawiony w skórę album.

– Niewiele osób to widziało – powiedział poważnie. – Niektóre tatuaże to znak, kim w złodziejskiej hierarchii jest dana osoba, inne *błatni* wykonują siłą tym, którzy naruszyli zasady. Popatrz – powiedział, przewracając kartki – to na przykład tatuaż, jaki robią kobietom, które zabiły własne dziecko.

Zerknąłem. Rysunek przypominał do złudzenia cyfrę trzy albo literę Z w cyrylicy.

– No i na co komu ten znaczek?

– Takie osoby będą odpowiednio traktowane w więzieniu czy na zonie – odparł Poliakow. – *Błatni* nie lubią dzieciobójczyń... A to z kolei tatuaż, jaki wykonuje się kobietom, które nie dotrzymują słowa i zaniedbały się fizycznie i duchowo.

– To znaczy?

– Na przykład nie dbają o higienę.

Hmm... Tu już wyraźnie można było zobaczyć litery: „S" i „Ch", tuż obok malutkie „i".

– *Suczonka i chriuszka*, suczka i świnia – wyjaśnił Poliakow.

– A to? – Wskazałem tatuaż przedstawiający głowę kota.

– Kot.

– Przecież widzę! Pytałem, co to znaczy?

– KOT. *Koriennoj Obitatiel Tiurmy*.

– Stały mieszkaniec więzienia?!

– Mniej więcej. Taki tatuaż mogą nosić tylko recydywiści.

– Skąd to wszystko wiesz? Skąd te ryciny? Bo to przecież nie jest powszechna wiedza?

– Od więźniów.

– Wyjaśnili ci to, ot tak?

– Wyjaśnili mi to – odparł chłodno milicjant. – W jakich okolicznościach, nie ma najmniejszego znaczenia. A teraz do rzeczy, czego ci potrzeba od *błatnych*?

Milczałem przez chwilę, zastanawiając się gorączkowo, co robić. Powiedzieć, nie powiedzieć? Im mniej osób orientuje się, o co chodzi, tym lepiej. Do tej pory o konieczności wykonania fałszywych dokumentów poza strukturami GRU wiedział tylko generał Panfiłow. No i ja. Żaden z nas nie zdradzi, bo obaj, każdy na swój sposób, kładziemy głowę pod topór. Poliakow... No właśnie, co zrobi Poliakow? Czy jeśli powiem mu

o dokumentach, nie domyśli się wszystkiego? I czy nie wykorzysta tej wiedzy? Z drugiej strony zdawałem sobie już sprawę, że bez pomocy milicjanta nie mam najmniejszej szansy nawiązać kontaktu z *błatnymi*, czy też raczej z, jak on ich nazwał, *worami w zakonie*. Ech, wybór mam niewielki...

– Potrzebne mi dokumenty – powiedziałem w końcu. – Bardzo dobrej jakości. Takie, które przeszłyby każdą kontrolę po tamtej stronie. Dla czterech, może pięciu osób.

– Po jakiej stronie? – nie zrozumiał w pierwszym momencie Poliakow.

Bez słowa popatrzyłem mu w oczy.

– O kurwa – wymamrotał. – Po tamtej... A wasi nie mogą...?

– Mogą – odparłem. – Ale wolałbym tych naszych papierów nie używać.

Zapadła cisza, Poliakow zacisnął wargi. Pewnie już domyślił się, w czym rzecz. No i chuj z tym! Istnieje co prawda możliwość, że mnie nie zdradzi, ale jeśli posłużę się dokumentami *wojennoj razwiedki*, nie mam żadnych szans...

– Jest tylko jedno wyjście – stwierdził spokojnie. – Skieruję cię do pewnego człowieka...

– *Wora w zakonie*? – spytałem niecierpliwie.

– Nie przerywaj!

Umilkłem posłusznie.

– Jeżeli spodobasz się staremu... Być może, ale tylko być może będzie w stanie rozwiązać twój problem. I na pewno nie za darmo. Ile możesz na to wyłożyć?

– Kilka, może kilkanaście tysięcy.

– Dolarów? Mało – pokręcił głową Poliakow. – Chyba że w carskich rublach...

– Jakie, kurwa, carskie ruble?! Informuję was, pułkowniku, że caratu już nie ma! Wziął i zdechł! A pensję dostaję w zwykłych sowieckich rublach, nie w dolarach!

Usta milicjanta ułożyły się do bezgłośnego gwizdnięcia.

– No to mamy problem – powiedział. – Bo ci ludzie przyjmują tylko złoto albo dolary.

W oczach zabłysły mu iskierki złośliwości, założę się, że chciał, abym poprosił go o pieniądze. Nie doczekacie się, towarzyszu! Inna sprawa, że łatwo nie będzie. Z dwojga złego łatwiej chyba zdobyć carskie ruble. Tylko skąd? Najbardziej popularne nominały to pięciorublówki i dziesiątki zwane imperiałami, do tego trochę monet po siedem i pół oraz piętnaście rubli. Tymi ostatnimi nie ma co się przejmować, to numizmatyczne rarytasy. Hm... na pięciorublówki przypadało ponad cztery gramy złota, na imperiały – osiem z kawałkiem. Niczego sobie lokata kapitału... Problem w tym, że nielegalna. Dlatego nikt się nie pochwali, że zachomikował carskie złoto, a skądś je trzeba przecież wziąć.

– Ile muszę mieć? – spytałem, otrząsając się z zadumy.

– Trudno powiedzieć, myślę, że przynajmniej tysiąc, półtora. Albo ze czterdzieści tysięcy dolarów...

Półtora tysiąca rubli w złocie... Niezła sumka. No nic, do rozpoczęcia operacji zostało jeszcze trochę czasu. Może coś wymyślę...

Otworzyłem wejście do piwnic, namacałem przełącznik. Rozległ się suchy trzask, ale ciemności nie rozjaśniła nawet najmniejsza iskierka światła. Pewnie ktoś ukradł żarówkę jak zwykle, chyba że się przepaliła... Klnąc pod nosem, sięgnąłem po latarkę, znalazłem swoją piwnicę. Otwarcie kłódki zajęło mi trochę czasu. Nie byłem najtrzeźwiejszą osobą w okolicy – właśnie świętowaliśmy wypisanie chłopaków ze szpitala. Zapaliłem

starą lampę naftową, zawiesiłem na haku. Od razu zrobiło się jaśniej. Gdzie, do cholery, są te ogóreczki? Może by przynieść jeszcze parę konserw? Bo inaczej chłopcy schleją się raz-dwa, a miałem z nimi do pogadania.

Na chybił trafił włożyłem do kieszeni kilka puszek, nie przepadam za rybami, a w zeszłym roku Saszka Riumin załatwił skądś pół ciężarówki rybnych konserw. Co było robić? Wziąłem swoją dolę, a nuż się przydadzą? No i leżały tak sobie do dzisiaj. Gdzie, do diabła, postawiłem te słoiki? Bo nawet pachniało kiszonymi ogórkami. Tak jakby...

Zwinąłem się w błyskawicznym półobrocie, w piwnicznym półmroku zabłysło wąskie ostrze składanego noża. Niby głupio tak targać ze sobą majcher, a tu proszę, przydał się. Teraz dopiero dostrzegłem słoik z ogórkami – otwarty. W kącie leżał jakiś łachman. Albo się ruszał, albo ja już po wódce nie tego... Kopnąłem lekko, rozległ się cienki, dziecięcy pisk. Ośmio-, może dziesięcioletni dzieciak. Chudy, wystraszony, zasłonił głowę rękoma.

– Nie bij, wujku – poprosił cichutko.

– Coś ty za jeden? Co robisz w mojej piwnicy? – Potrząsnąłem nim jak terier szczurem.

– Już sobie pójdę, ja tylko...

– Jak tu wlazłeś?!

Bez słowa wyciągnął rękę z kawałkiem zagiętego drutu. Otworzył piwnicę wytrychem? No, no, zdolniacha... Ale przecież kłódka była zamknięta.

– Pokaż, jak zamknąłeś z wewnątrz kłódkę! – zażądałem.

Sam dzierżąc lampę, wyszedłem na korytarz. Po chwili w szparze pomiędzy framugą a drzwiami – dopiero teraz zwróciłem uwagę, że te ostatnie nie były szczelnie dopasowane – pojawiła się chuda dłoń, szczęknęła zapadka. Tylko kołysząca

się kłódka świadczyła o tym, że ktoś tu był. Zakląłem. Niezły gagatek z tego dzieciaka.

– Otwórz! – poleciłem.

Przyświeciłem sobie, obserwując, jak smarkacz po omacku wsuwa drut w otwór kłódki, po chwili drzwi znowu stanęły otworem.

– Skąd jesteś? – spytałem szorstko.

– Z *DietDomu* – wyszeptał.

– Uciekłeś?

Ponuro skinął głową.

– Dlaczego?

– Biją, jeść nie dają – wymamrotał.

– Kto bije? Wychowawcy?

– Wychowawcy, starsi... Wszyscy. – Wzruszył ramionami.

No cóż, dom dziecka to nie kurort, szczególnie teraz, tylko co to mnie obchodzi? Wezwę milicję, odwiozą gnojka gdzie trzeba i już. Będzie mi tu drań jeden buszował po kiszonych ogóreczkach...

Najwyraźniej szczeniak wyczytał coś z mojej twarzy, bo sprężył się do skoku, ale cóż – stałem w przejściu i miałem nóż... Mięśnie chłopaczka zwiotczały, opuścił głowę. Po umorusanej buzi popłynęły łzy, ale nie poprosił, żebym go wypuścił. Widać poznał już prawdę, że każde życzenie ma swoją cenę. No, no... A może dać mu spokój? W przytułku go nie pogłaskają za ucieczkę, pewnie pobiją, zamkną w jakiejś norze. W końcu co mnie obchodzi jakiś *biesprizornik*? Ech, Razumowski, Razumowski, zgubi was kiedyś miękkie serce...

Z rozmachem przebiłem nożem grubą blachę, otworzyłem konserwę.

– Na! – Podałem żarcie dzieciakowi. – I znikaj! Żebym cię tu więcej nie widział!

Przez dobrą chwilę mały gapił się na konserwę, jakby nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Kiedy usunąłem się z przejścia, wypadł z piwnicy jak wystrzelony z procy. Cóż, dzisiaj miał fart, jutro pewnie ktoś zatłucze go w ciemnym zaułku, w najlepszym wypadku zaciągnie z powrotem do bidula.

W końcu wygrzebałem jakiś słoik z ogórkami i z pewnym trudem zamknąłem piwnicę. Cholera by to wzięła! Szpara pomiędzy brzegiem drzwi a framugą miała z sześć centymetrów. Też mi, kurwa, robota! Pewnie niesieni socjalistycznym zapałem budowlańcy przekroczyli normę, tylko o drobiazgach jakby zapomnieli. A, chuj z nimi!

Pomaszerowałem dziarsko na górę – zbyt dziarsko, nie wyrobiłem na zakręcie. Runąłbym na schody i obił sobie nieźle pysk, gdyby nie podtrzymała mnie silna dłoń. Natasza Aleksandrowna. Sąsiadka.

– Nic wam nie jest? – spytała troskliwie.

– Wszystko w porządku – wymamrotałem niezbornie.

– Dzień dobry, wujku – usłyszałem nieśmiały głos.

Zerknąłem w dół, następny dzieciak – jak mu tam? Losza?

– Dzień dobry, Leonidzie Władysławowiczu – odparłem z rewerencją.

Zachichotał, podał mi rękę. Z roztargnieniem rozwichrzyłem mu czuprynę.

– Lubisz ryby, Loszka?

– Pewnie! – odparł z zapałem. – Tylko dawno już nie jadłem. Wojna – dodał poważnie.

– Wojna wojną, a rybki rybkami – wymruczałem.

Po krótkiej szarpaninie udało mi się wydostać z kieszeni dwie puszki.

– Trzymaj! – powiedziałem.

– Loszka, biegnij na dwór – poleciła nieswoim głosem Natasza Aleksandrowna. – No już! Tylko nigdzie nie odchodź! Nie mogę tego przyjąć – oznajmiła, kiedy ucichł już tupot dziecięcych bucików. – Nie mam jak się odpłacić. A i wy jesteście... – zawahała się na moment.

Usiłowała mi podać zabrane dzieciakowi konserwy.

– No owszem, jestem – przyznałem, siadając z westchnieniem na stopniu. – Niemniej jednak pozostaję na tyle trzeźwy, aby wiedzieć, co robię. A nie jest to nic wielkiego, dałem drobny prezent synowi kolegi oficera.

– Ale...

– Na litość boską, Natasza! Mam w piwnicy całą stertę takich konserw, nie przejem ich sam, bo nie lubię, te – wskazałem na wypchaną kieszeń – są dla znajomych. I nie musicie się obawiać, że zacznę was prześladować i domagać się w zamian jakichś...

Nie dokończyłem, bynajmniej nie z nieśmiałości, fala żółci podjechała mi pod gardło. Nie ma co, jeszcze trochę i zarzygam schody. Saszka Riumin nazywał mnie paniczykiem, żartował, że szybko wysiada mi żołądek, za to mózg działa do końca pijatyki. Ech, Saszka...

Kątem oka dojrzałem szybki ruch, no tak, jeszcze brakuje, żebym zebrał po ryju... Ale nie – Natasza jedynie włożyła konserwy w kieszenie palta i ponownie mnie podtrzymała. Bez tego stoczyłbym się ze schodów. Ki czort? Toż nie wypiłem tak dużo...

Poczułem zapach świeżo umytych kobiecych włosów, konwaliowego mydła i perfum. Najwyraźniej Natasza dbała o siebie. Czyżby perfumeria „TeŻe” jeszcze działała? A może to z przedwojennych zapasów? Jak to mówili? „Na wargach TeŻe, na policzkach TeŻe, a całować gdzie – że?”

No, żebym miał tylko takie problemy. Nie wyglądało co prawda, aby Natasza była upudrowana, zresztą nawet gdyby, to chybabym zaryzykował. Oj, towarzyszu majorze, wyraźnie brakuje wam kobiety... Zachwiałem się na nogach, o mało nie przewróciłem swojej sąsiadki.

– *Komandir!* – usłyszałem zaniepokojony głos Pietki Drozda.

Po chwili chłopak złapał mnie pod ramię, w mgnieniu oka zataszczył pod drzwi mieszkania. Nie jestem grubasem, ale swoje ważę, Natasza nie dałaby rady.

– Wasze konserwy... – zawołała za mną.

– Smacznego! – odkrzyknąłem.

W kilka minut później siedziałem już w wygodnym fotelu, popijając gorącą herbatę.

– To pewnie te leki – zawyrokował z mądrą miną Kotuszew. – Nie komponują się z wódką. Albo jesteście jeszcze osłabieni po Leningradzie.

Prychnąłem pogardliwie, chociaż kołatało mi w pamięci, że chyba rzeczywiście konował, który wypisał mnie ze szpitala, coś mówił o alkoholu. Jak oni wszyscy: nie pij, nie pal... Abstynenci w dupę kopani! A sami spirytus laboratoryjny trzymają po gabinetach! Do odkażania, mówią. W sumie to chyba tylko pieprzenia nie zabraniają, chociaż kto wie? Może przy niektórych chorobach i tego nie wolno? Medycyna surowa nauka...

Zagryzłem ogóreczkiem, krzywiąc się lekko, wypiłem parę łyków oliwy z puszki po rybach i zaklaskałem.

– Uwaga!

Musiałem nieco podnieść głos, bo w pokoju panował niezły harmider; Tima opowiadał Wierze jakiś świński dowcip, ta śmiała się piskliwie, a Pietka, przekrzykując ich, wykładał mi swoje teorie na temat medycyny. Trochę potrwało, zanim

zareagowali, ale w końcu zapadła cisza, no, względna cisza, pannę Turkuł męczyła czkawka.

– Od jutra ani kropli alkoholu! – zarządziłem. – Wchodzimy w reżim roboczy. Do południa ćwiczycie, po południu każde z was wypełnia swoje zadania. I tak: Wiera ma zajęcia w szkole, Pietka robi spis zrabowanych przez Niemców cennych dzieł sztuki, Tima przegląda meldunki ze strefy przyfrontowej, powiedzmy, na głębokość jakichś dwustu, góra trzystu kilometrów.

– Znowu papiery – marudził Kotuszew. – Czego mam szukać?

Stuknąłem go w głowę – niech zna swoje miejsce – ale nie byłem rozgniewany. Wszyscy wiedzieliśmy, że mimo narzekania chłopak spełni moje polecenie co do joty. Choćby mu przyszło siedzieć nocami.

– Miejsc, gdzie Niemcy przechowują zrabowane dobra – wyjaśniłem. – Zanim wywiozą je w głąb Rzeszy. Chodzi mi głównie o dzieła sztuki.

– Co wy tak z tą sztuką? – uniósł ze zdziwieniem brwi Drozd.

Cała trójka wpatrzyła się we mnie wyczekująco.

– To przygotowania do operacji – powiedziałem. – Ważnej operacji.

Miny moich rozmówców świadczyły, że przynęta chwyciła. No i dobrze, teraz obejdzie się bez stękania, grunt to entuzjazm w robocie...

– Co mam uwzględnić w swoim spisie? – zapytał z ciekawością Pietka.

– Wszystko, co dałoby się bez wielkiego trudu przenieść w podręcznym bagażu, ewentualnie załadować na ciężarówkę, rozumiesz, odpadają rzeźby o wadze pół tony czy też płótna pięć na pięć metrów.

Oczy Drozda zabłysły, temat wyraźnie go zainteresował.

– Jakieś preferencje, *komandir*?

– Tak. Im cenniejsze, tym lepiej.

Wyszczerzyłem zęby, kiedy w pokoju rozległ się zbiorowy błagalny jęk. Bawiła mnie ich ciekawość, jednak nie miałem najmniejszego zamiaru jej zaspokoić. Bo i sprawa była poważna – chodziło o życie. O nasze życie.

Dziewczyna krążyła wokół przywiązanej do pala świńskiej półtuszy w rytmie przypominającym jakiś indiański taniec. Zaczerwieniona z wysiłku, spocona, z rozczochranymi włosami, sama przypominała dzikuskę. Efektu nie poprawiały mściwe okrzyki, z jakimi dźgała nożem wieprzowinę. Tima i Pietka stali opodal z nieruchomymi jak głaz twarzami – ot, co znaczy żelazna samodyscyplina! – lecz w duchu pewnie pękali ze śmiechu. Jak ja. Szkoda mi było przerywać zabawę, ale dziewucha miała załapać podstawy zwiadowczego, nie rzeźnickiego fachu. No i wypadało dać dobry przykład. Jak mawiał Saszka Riumin: noblesse oblige. Ech, ciężkie jest życie dowódcy...

– Dość tego! – z udaną surowością w głosie zakończyłem przedstawienie.

Panna Turkuł przystanęła, ciężko dysząc, włożyła mi nóż w wyciągniętą dłoń.

– Walka nożem polega na iluzji – powiedziałem karcąco. – To nie szermierka, tu nie można przyjmować ostrza na ostrze. No i nikt nie uprzedza przeciwnika o ataku.

Nonszalanckim krokiem podszedłem do pala, ruchem biodra, bez użycia rąk rozchyliłem rozpięty szynel, sięgnąłem po tkwiący z tyłu za paskiem nóż, uderzyłem. Wszystko to jednym płynnym ruchem.

– Widziałaś? – spytałem. – Nie ma żadnej walki, tylko śmierć... Musisz nauczyć się nosić nóż w ukryciu, trzymany na widoku traci większość walorów. Wystarczy, że wróg ma broń palną. Z drugiej strony, jeśli podejdziesz wystarczająco blisko, na... bo ja wiem... cztery, pięć kroków, nie zdąży nawet odbezpieczyć karabinu czy wydobyć pistoletu.

– Naprawdę? – zmarszczyła brwi Wiera.

– Stań obok pala – poleciłem. – Tima, daj jej pas z pistoletem.

Chwilę potrwało, zanim panna Turkuł wyregulowała pas, była dużo szczuplejsza od Kotuszewa. Prawą dłoń umieściła tuż przy kaburze, teraz wystarczy jedynie szarpnąć za zabezpieczający ją rzemień – ewidentne oszustwo, nikt nie chodzi z ręką przy pistolecie, ale niech jej tam...

– Pietia, daj znak – rozkazałem.

Sam schowałem nóż w rękawie szynela, ziewnąłem – dochodziła siódma rano. Cóż, jak ćwiczyć, to ćwiczyć...

– Już! – krzyknął Drozd.

Sięgnąłem do lewego rękawa, skoczyłem naprzód. Wiera jednym szarpnięciem otworzyła kaburę, zdołała do połowy wysunąć broń.

– Koniec! – oznajmiłem.

– Jaki koniec?! – zawołała z oburzeniem. – Nie zdążyliście nic zrobić, tylko machnęliście mi tym nożem przed nosem.

– Drugi guzik od góry – mruknąłem, chowając ostrze.

Zerknęła w dół, pisnęła z przestrachu, ujrzawszy puste miejsce.

– A jakbyście mnie skaleczyli?!

– Przecież nie skaleczyłem.

– No dobrze, to ze mną tak się udało – stwierdziła, wydymając wargi. – Ale z którymś z chłopaków...

Z trudem opanowałem uśmiech, a to mała paskuda...

– No dobrze, chodź, Tima.

Kotuszew posłusznie zajął miejsce przy słupie, poruszył barkami. Rozluźnia mięśnie czy też rana mu jeszcze dokucza? Miałem nadzieję, że to pierwsze. Pietka po raz kolejny dał sygnał. Wystartowałem. Tym razem po dwóch krokach runąłem na ziemię i oparłszy się na lewej ręce, wbiłem nóż w świńską półtuszę. Tuż obok Timki. Ten zdążył wydobyć broń, ale jeszcze jej nie odbezpieczył.

– Ot, i wszystko! – burknąłem.

– Dlaczego jemu nie odcięliście guzika? – zapytała Wiera z oburzeniem.

– Bo nie umiałby go przyszyć – wyjaśniłem z uśmiechem. – Natomiast ty...

– To jest... To...

– Męski szowinizm – podpowiedział jej usłużnie Drozd.

– Co takiego?! – Zmierzyła chłopaka podejrzliwym spojrzeniem.

– Wyjaśnisz jej później – uciąłem przekomarzanie. – A teraz do roboty!

– *Tak toczno!* – odpowiedzieli zgodnym chórem.

Rozdział piąty

Motor samochodu warczał niczym rozzłoszczony pies, o blachę karoserii wściekle bębniły krople wiosennego deszczu. Tego poranka wszystko wydawało mi się... niepokojące. No ale nie dziwota, miałem powód: wraz z generałem Panfiłowem jechaliśmy z wizytą do szefa NKWD Ławrentija Berii. Jak wyraził się generał – moja koncepcja zainteresowała Ławrentija Pawłowicza...

Odruchowo poluźniłem kołnierzyk, lecz po chwili pod surowym spojrzeniem Panfiłowa zapiąłem go z powrotem. Wątpiłem, żeby jeden z najbliższych współpracowników Stalina zwracał uwagę na przestrzeganie przepisów ubiorczych, nie po to przecież po nas posłał, ale lepiej uważać. Ławrentij Pawłowicz był legendą. Jak by to powiedzieć? Niezupełnie pozytywną legendą... Nie żeby ktokolwiek zarzucił mu coś konkretnego – musiałby być samobójcą, ale niektórzy ludzie mają aurę, otacza ich coś w rodzaju pola siłowego. Tak jak Berię. Jego aura miała kolor krwi.

Nasza wizyta stanowiła problem, widziałem to po oczach generała. Nie dało się dostrzec w nich bojowego ognia, to nie będzie spotkanie GRU – NKWD, nawet nie konfrontacja. Jechaliśmy przyjąć wyrok, jakikolwiek by on był.

Odchrząknąłem, z trudem udało mi się przełknąć ślinę, po raz setny analizowałem, czym mogłem zainteresować kogoś takiego jak Ławrentij Pawłowicz? A może zadziałał mój

przyjaciel Kutiepow? Czyżby pan pułkownik przybył już do Moskwy i skorzystał z dojścia do szefa instytucji, w której pracował? Mało prawdopodobne, gdyby Kutiepow znał Berię, nie pracowałby w Leningradzie, lecz w stolicy. Zresztą za wysokie progi. W NKWD pułkowników jest jak psów, większość z nich widziała swojego dowódcę zapewne jedynie na portrecie. No dobrze, jeśli nie Kutiepow, to kto? Bo mój pomysł można było co prawda uznać za głupi, jednak gdyby czekiści reagowali na każdą głupotę w naszym państwie, w ciągu tygodnia padliby z wyczerpania... Nie, tu musi chodzić o co innego. Tylko o co?

Kierowca zatrzymał wóz, wysiedliśmy. W strugach deszczu siedziba NKWD prezentowała się wyjątkowo ponuro. Dodatkowe upokorzenie dla Panfiłowa, bo Beria mógł nas przyjąć w kilku innych miejscach; wśród wielu innych sprawował też urząd wicepremiera, ale on wolał podkreślać swoją bezpieczniacką funkcję. Chyba że to przypadek. W końcu trudno przypuścić, aby osoba majora Razumowskiego – Panfiłow został wezwany jedynie w charakterze osoby towarzyszącej – była tak ważna, aby tworzyć specjalną scenografię. No nic, zaraz się przekonamy...

Minęliśmy trzy posterunki strażnicze, nikt nawet nie zażądał od nas przepustki. Niedbalstwo? Wolne żarty, nie w tym miejscu. Mogłem się założyć, że strażnicy wiedzieli o naszej wizycie. Świadczyło to jednak, że podjęto wcześniejsze przygotowania... Do czego? Cóż, za chwilę wyjdzie szydło z worka.

W korytarzu prowadzącym do gabinetu szefa NKWD oczekiwał nas młody, postawny mężczyzna w mundurze pułkownika.

– Rafael Sarkisow – przedstawił się pierwszy, oddał honory Panfiłowowi. – Genkom was oczekuje – poinformował.

Uprzejmym gestem wskazał drogę, lecz uśmiech na jego twarzy nie sięgał oczu, te pozostawały zimne i uważne.

– Genkom? – wyszeptałem, korzystając, że oficer wyprzedził nas o kilka kroków.

– *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* – syknął ze złością Panfiłow.

Wzruszyłem w duchu ramionami – te bezpieczniackie tytuły...

– Sarkisow to jego adiutant – dodał po cichu Panfiłow. – I straszna gnida.

Cóż, miałem świadomość, że nie przyszliśmy z wizytą do dobrej wróżki...

Genkom przyjął nas zza biurka, przetrzymał na baczność dobrą chwilę. Jego twarz, znajoma przecież z książek i plakatów, wydała mi się ciastowata i pozbawiona wyrazu. Tylko wzrok... Beria spoglądał na nas niczym kucharka na patroszonego właśnie zająca. Tak jakbyśmy byli jedynie kawałkami mięsa. Niczym więcej. Znam się na ludziach – taka praca. Wielu z tych, których spotkałem, było niebezpiecznych: mordercy, gwałciciele, szaleńcy, dezerterzy... Jednak nigdy do tej pory nie zetknąłem się z kimś, kogo bym się bał. Bał w sensie fizycznym. Rzecz jasna, niejeden mógł mi załatwić intymne spotkanie z plutonem egzekucyjnym, lecz nawet w takich przypadkach obawiałem się samej śmierci, nie człowieka, który mógł mi ją przynieść. Do teraz. Patrząc na pulchną, bynajmniej nie imponującą sylwetkę Ławrentija Pawłowicza Berii, czułem chodzące po kręgosłupie ciarki. Mogłem złamać mu kark jednym ruchem, wiedziałem, że nie potrafiłby się obronić, a jednak gdybyśmy się spotkali sam na sam i miałbym jakikolwiek wybór – uciekałbym. Albo zabił Berię jak wściekłego psa, takiego, którego trzeba zlikwidować, zanim

kogoś zagryzie. Bo że zagryzie prędzej czy później, wiadomo. To widać.

Generał Panfiłow dostał pozwolenie na skorzystanie z krzesła, major Razumowski – nie.

– Dlaczego mamy tracić czas, a być może i ludzi na takie bzdury? – zapytał bez wstępu Beria, rzucając na stół cienką tekturową teczkę.

Tak jak się domyśliłem, zawierała genialny plan opracowany przez majora Razumowskiego…

– Dzieła sztuki to ważna rzecz – odparłem nadal wyprostowany jak struna.

– Teraz?!

– Towarzyszu Generalny Komisarzu, gdybym mógł wyjaśnić…

– Wyjaśnijcie – przyzwolił. – Tylko szybko.

– Trwa wojna – przyznałem. – I dzieła sztuki, nawet te ukradzione naszemu narodowi, nie są sprawą priorytetową. Z drugiej jednak strony, gdyby od czasu do czasu przeprowadzić akcję, w wyniku której odzyskalibyśmy coś wartościowego, miałoby to ogromne znaczenie propagandowe.

– Propaganda to nie wasza robota! – odwarknął, lecz bez złości.

Najwyraźniej czekał na więcej.

– Nasza służba jest w posiadaniu informacji, które pozwolą w łatwy, no, względnie łatwy sposób odzyskać część zrabowanych przez wroga dzieł sztuki.

– Łatwy? – Uniósł niedowierzająco brwi.

– Potrzebna będzie jedynie kilkuosobowa grupa, samolot, może parę samochodów. To wszystko – zapewniłem.

– I czego dokonałaby ta kilkuosobowa grupa?

Wyciągnąłem z teczki mapę, rozłożyłem starannie na stole.

– Popatrzcie tu, towarzyszu Generalny Komisarzu. – Wskazałem czerwony punkt. – To miejscowość sto, sto

dwadzieścia kilometrów od linii frontu. Bez problemu można...

– Sto kilometrów za linią frontu – poprawił pedantycznym tonem Beria.

– Zgoda, za linią frontu – przyznałem. – To magazyny. Niemcy przechowują tam zrabowane dzieła sztuki, zanim wyślą je do Rzeszy.

– I? – Zmierzył mnie badawczym wzrokiem.

Widać było, że mimo nie najlepszego początku rozmowy zainteresowałem w końcu Genkoma. No i dobrze, jeśli nie uzyskam jego poparcia...

– Same magazyny strzeżone są przez nieliczny personel. To tyłowi żołnierze, do tego kilku specjalistów, którzy pilnują katalogowania skradzionych dóbr. Niedaleko znajdują się koszary, więc nikt się nie spodziewa, że...

– Ilu żołnierzy przebywa w koszarach? – przerwał mi ponownie Beria.

– Kompania piechoty i pluton zwiadu – poinformowałem.

– To też tyłowi żołnierze?

– Nie. Ci potrafią się bić.

– W jaki sposób kilkuosobowy oddział zlikwiduje nie tylko ochronę magazynów, ale i zneutralizuje garnizon?

– Niedaleko operuje oddział partyzancki – odparłem. – Jeśli...

– Oddział, który jest w stanie stawić czoła kompanii niemieckiej piechoty? – Genkom wszedł mi bezceremonialnie w słowo. – Chciałbym taki zobaczyć...

No cóż, ja także... Co prawda nasza propaganda przedstawiała partyzantów jako niezwyciężonych mścicieli i znakomicie wyszkolonych żołnierzy, ale prawda wyglądała inaczej i obaj świetnie o tym wiedzieliśmy: aby skutecznie przeprowadzić atak na jakikolwiek niemiecki oddział, partyzantom potrzebna była przewaga liczebna, spora przewaga liczebna. I zaskoczenie. A najlepiej jedno i drugie.

– Można by ich wzmocnić, zrzucając niewielki desant – wymamrotałem, unikając wzroku Berii.

– A więc koszta wymyślonej przez was operacji nie są wcale takie małe, po stronie rozchodów trzeba będzie wpisać nie tylko partyzantów, ale i grupę wyszkolonych sabotażystów...

Wbiłem wzrok w dywan, czułem, jak po plecach spływają mi strużki zimnego potu. Nadchodził najbardziej niebezpieczny moment, Beria nie tylko mógł odrzucić sam projekt – co samo w sobie zakończyłoby się moją śmiercią, tyle że w przyszłości. Mógł też zainteresować się moimi motywami, przejrzeć akta dotyczące służby majora Razumowskiego. Jeżeli natrafi na sprawę Saszki Riumina, dotrze do donosów Kutiepowa, spotkam śmierć dużo szybciej i w o wiele mniej komfortowych warunkach: zdechnę w jednej z bezpieczniackich katowni, we własnym gównie, krwi i rzygowinach.

– No dobrze – podjął po chwili. – A co wy będziecie z tego mieli?

W głosie Generalnego Komisarza usłyszałem wyraźnie podejrzliwość. Widocznie Beria niespecjalnie wierzył w ludzką bezinteresowność... No i miał rację, chociaż na to akurat byłem przygotowany.

Westchnąłem, udając zmieszanie. Bogiem a prawdą nie musiałem specjalnie się starać, rzeczywiście byłem nieswój. Podniosłem oczy.

– Chciałbym przetestować swój zespół – powiedziałem. – W niedalekiej przyszłości szykuje się poważna robota, a moi ludzie albo ledwo wyszli ze szpitala, albo są całkiem zieloni, jak Wiera Turkuł.

– Turkuł, Turkuł... – Genkom zmarszczył brwi. – Czy to czasem nie krewna...

– Krewna – przytaknąłem. – Być może kiedyś będzie można to wykorzystać, jednak na razie... – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Ładna? – spytał niespodziewanie Beria.

Wzruszyłem ramionami z udaną obojętnością.

– Nie powiedziałbym – odparłem. – Nie werbowaliśmy jej dla urody, tylko ze względu na nazwisko. No i nie dojadała miesiącami w Leningradzie. Byłem tam dużo krócej, a do dzisiaj nie doszedłem do siebie.

Po minie Generalnego Komisarza widziałem, że stracił zainteresowanie panną Turkuł. No i dobrze, przez moment zdawało mi się, że dostrzegłem w jego oczach obleśny, pożądliwy błysk. Podobny widziałem kiedyś u pewnego pułkownika artylerii, notorycznego gwałciciela. Facet szukał ofiar w strefie przyfrontowej, licząc na to, że nikt nie przeprowadzi rzetelnego śledztwa w takich okolicznościach – poszczególne oddziały, jak i pojedynczy żołnierze przemieszczali się nieustannie po zapleczu frontu; trwały dyslokacje, a służby specjalne i patrole dbały o oczyszczenie terenu ze szpiegów i dywersantów, a nie o cnotę miejscowych ślicznotek. Powinęła mu się noga, kiedy zabawił się z córką generała, bo ten zwrócił się o pomoc do *wojennoj razwiedki*. Z prośbą o przyjacielską przysługę. Znaleźliśmy gnojka błyskawicznie, po czym przywiązaliśmy do dwóch ciężarówek i rozerwaliśmy na sztuki. Powolutku, na pierwszym biegu. Całą sprawę, rzecz jasna, załatwiono nieoficjalnie: w Armii Czerwonej nie ma zboczeńców. Nie ma też miejsca na samosądy. Do publicznej wiadomości podano, że pan pułkownik zaginął w akcji, ale ludzie gadali, jak zawsze. Wieści się rozeszły i przez ponad pół roku na tym akurat odcinku frontu nie było ani jednego gwałtu. A mówią, że kary nie wychowują...

– No dobrze – mruknął Genkom. – Co tam jest ciekawego? W tym magazynie?

– Przede wszystkim płótna impresjonistów, które tuż przed wybuchem wojny wysłano do muzeum w Mińsku, nie zdążyły już wrócić... Poza tym obrazy takich artystów, jak Crespi, któryś z Guardich, Canaletto, Jan van Huysum, Carlo Dolci, Rembrandt. Rozumiecie, towarzyszu Generalny Komisarzu, doniesienia naszego wywiadu są mało precyzyjne, priorytet mają kwestie militarne. Chodzą też słuchy o kolekcji cennych monet, a nawet prekolumbijskiej biżuterii.

– Jakiej biżuterii?!

– Nie jestem fachowcem – przyznałem. – Grunt, że jest złota. W magazynie znajdują się dzieła sztuki zrabowane nie tylko nam, ale i zarekwirowane w krajach nadbałtyckich, w prywatnych kolekcjach...

– W jaki sposób macie zamiar dokonać selekcji? Jak odróżnicie nasze od cudzych?

– Wezmę wszystko, co wyda się cenne – odparłem beztrosko. – Selekcją powinni się zająć specjaliści. Później. Ci zadecydują, co i komu oddamy. O ile będzie coś do oddania.

Beria skinął aprobująco głową, choć nie sądziłem, aby na serio brał pod uwagę zwrot jakichkolwiek dzieł sztuki. Co weźmiemy, to nasze, i chuj! W końcu mamy wojnę, kto by tam udowodnił, że skradzione przez Niemców dobra ponownie zmieniły właściciela...

– No dobrze – powiedział wreszcie. – A co z tą akcją, do której macie się przygotować? Czego dotyczy? Naprawdę jest taka trudna?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą. – Wolałbym wiedzieć...

– Wasze pragnienia niespecjalnie mnie interesują – przerwał mi milczący do tej pory generał Panfiłow. – Uprzedziłem was tylko ze względu na fakt, że wasza grupa zrobiła poprzednim

razem dobre wrażenie na towarzyszu Stalinie. Nie musicie znać detali. Lepiej dla was, jeśli nie będziecie ich znali...

Słysząc zimny, ostry ton Panfiłowa, odruchowo stanąłem na baczność, Beria przytaknął z aprobatą.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – stwierdził sentencjonalnie. – A major, nawet taki, którego nazwisko obiło się o uszy Gławkoma, to... tylko major.

Wysiłkiem woli rozluźniłem zaciśnięte pięści: „tylko major" – dobre sobie... Ech, chwycić by tego tłustego okularnika za kark, zatkać mordę, żeby nie krzyczał, wbić nóż między żebra...

– Ile czasu potrzeba wam, majorze, aby przygotować się do operacji „Kultura"?

– Jakiej operacji?

– No, przechwycenia tych wszystkich dzieł sztuki! – doprecyzował zniecierpliwiony moją niedomyślnością.

– Dwa tygodnie, towarzyszu Generalny Komisarzu. Mój zespół...

– Tydzień! – uciął stanowczo Beria. – Otrzymacie wszelkie pełnomocnictwa, będziecie mogli poprosić o ludzi i sprzęt, rzecz jasna, w granicach rozsądku, ale za operację odpowiadacie osobiście. Przede mną.

– Tak jest! – szczeknąłem służbiście.

Odprawiony gestem Berii, wykonałem „w tył zwrot" i wyszedłem z gabinetu. Sam. Najwyraźniej Genkom miał jeszcze do pogadania z Panfiłowem. Tydzień... Trochę przymało. Z drugiej strony nie spodziewałem się niczego innego, najważniejsze, że mój plan został zaakceptowany. Owszem, Wierze przydałoby się jeszcze trochę treningu, każdy dodatkowy dzień ćwiczeń zwiększał jej i nasze szanse na przeżycie, ale pozostawała też kwestia szczęścia. Kto wie czy nie ważniejsza od wyszkolenia? Na wojnie pechowcy giną szybko, niezależnie od umiejętności. Zresztą dodatkowy tydzień

zajęć na pewno nie zmieniłby drastycznie kwalifikacji dziewczyny. A ona miała szczęście, biorąc pod uwagę to, co zaszło w Leningradzie – kurewskie szczęście. No i nie najgorzej mi się przysłużyła, gdyby nie Wiera, gryzłbym ziemię jak Saszka. Ech, Saszka, Saszka, coś ty najlepszego narobił...

Wyszedłszy z gmachu NKWD, podszedłem do kiosku, kupiłem gazetę. Od pewnego czasu w prasie można było znaleźć coraz więcej rzetelnych informacji. Zwycięzcy nie muszą kłamać tak jak przegrani. No a przynajmniej nie aż tak często... Tytuły krzyczały o walkach w Afryce, ale ja zapatrzyłem się na niewielką, umieszczoną w dole strony klepsydrę: garnizon miasta Moskwy składał kondolencje rodzinie generała Baranowa. Generał zginął tragicznie na skutek wypadku samochodowego. Mój nowy przyjaciel, pułkownik Poliakow, nie rzucał słów na wiatr... Niespodziewanie podniosło mnie to na duchu – jeśli dotrzymał słowa w tej sprawie, dotrzyma i w kwestii lewych dokumentów. Muszę jedynie zdobyć parę tysięcy rubli w złocie. Po rozmowie z Berią nie wydawało mi się to już takie trudne.

Na półpiętrze minąłem nieznajomego pułkownika, zasalutowałem odruchowo, ale ten omiótł mnie tylko niewidzącym spojrzeniem, jakbym był przezroczysty. Natasza Aleksandrowna stała przed drzwiami swojego mieszkania, ściskając w ręku bukiet róż. Nie wyglądała na zadowoloną. Na jej twarzy malowała się przemieszana ze zmęczeniem udręka.

– Coś się stało? – spytałem.

Już w chwilę później pożałowałem swojej ciekawości. Miałem własne problemy, nie potrzebowałem cudzych.

– Mogę zajść do was na chwilkę? – odpowiedziała pytaniem.

Zaprosiłem ją gestem, od razu przeszliśmy do salonu. Mam samodzielne trzypokojowe lokum – jeden z przywilejów rangi.

– Przyszły wieści o Władzie – powiedziała, zagryzając wargi.

– Poległ?!

– Gorzej. Dostał się do niewoli.

Bez słowa postawiłem na stole wódkę i dwie szklanki, nalałem. Natasza kilkoma łykami wychyliła palący płyn, rozkaszlała się bezradnie. Cóż, wyraźnie brak jej wprawy... Wziąłem głęboki wdech, łyknąłem swoją porcję jak lekarstwo.

Mąż w niewoli... Paskudna sprawa. Wiadomo, na wojnie bywa różnie, ale rozkaz towarzysza Stalina numer 270 z 16 sierpnia 1941 roku mówił wyraźnie, że znalazłszy się w okrążeniu, należy walczyć do końca i – w razie czego – przebijać ku swoim. Rodziny żołnierzy, którzy się poddali, miały być pozbawione wszelkiej pomocy państwa. Co z tymi, którzy bijąc się do ostatniego naboju, popadli w niewolę, nie określono. Tak czy owak, krewni czerwonoarmistów, którzy stali się niemieckimi jeńcami – nieważne, w jakich okolicznościach – często traktowani byli jako wrogowie narodu i cała sprawa bynajmniej nie kończyła się na odebraniu świadczeń...

– Ogłosili aukcję – powiedziała Natasza głuchym głosem.

– Jaką aukcję?

– Spodobałam się kilku oficerom – wyjaśniła, przymykając oczy. – Mam wybór. Jeśli zgodzę się zostać kochanką któregoś z nich, zostawią mnie w spokoju, przynajmniej na jakiś czas. W sumie chodzi o to, czy stanie za mną ktoś wyższy rangą. Interpretacja przepisów jest dość... dowolna, a informacje o Władzie nie są stuprocentowo pewne. W zeszłym roku paru z nich zalecało się do mnie w dość obcesowy sposób.

Odmawiałam, nie owijając w bawełnę, co o nich myślę. Na jednego złożyłam skargę. Teraz chcą się zemścić.

– Spróbuję coś zrobić w tej sprawie. – Odchrząknąłem niepewnie.

Ech, Razumowski, w coś ty się wpakował? Brakowało mi jeszcze wojny ze sztabowcami...

– Nie o to chodzi, nie darowaliby wam, a i nie sądzę, żeby to pomogło na dłużej. Oni chcą mnie upokorzyć, zmusić do...

Zasłoniła usta dłonią, nie dokończyła zdania.

– Co miałbym więc zrobić?

– Kupcie mnie, Aleksandrze Nikołajewiczu! Kup mnie, Saszka! Widziałam, jak na mnie patrzysz, nie pożałujesz...

– Jeśli nie wahasz się zdradzić Włada, to po co ci jestem potrzebny?! – warknąłem zniecierpliwiony. – Co za różnica, ja czy ktoś inny?!

– Ogromna – wyszeptała, rozpinając bluzkę. – Ja też czasem patrzyłam na ciebie tak jak ty na mnie...

Zanim pomyślałem, co robię, znaleźliśmy się na podłodze. Saszka, Saszka, powtarzała Natasza, wijąc się pode mną. Czułem czysty, konwaliowy zapach jej włosów i delikatną woń perfum. Pod moimi palcami trzaskały jakieś szmatki, po chwili wbiłem się w dziewczynę gwałtownie. Słyszałem jej jęki. Głaskałem jędrne piersi, ssałem sterczące sutki. Smakowałem słoną od łez skórę. Przywarła do mnie z dziką namiętnością, kołysała biodrami niczym łódka na wzburzonym morzu. Skończyłem, czując, jak jej paznokcie orają mi plecy.

– Dziękuję – wyszeptała, leżąc z zamkniętymi oczyma. – Dziękuję...

Przez długi czas odpoczywaliśmy, oddychając ciężko, stopniowo uścisk Nataszy stawał się coraz słabszy, wreszcie wypuściła mnie z objęć. Uniosłem się na łokciu, spojrzałem badawczo na dziewczynę. Nadal miała zamknięte oczy, jej usta

drżały. Spóźnione wyrzuty sumienia? Przed chwilą nie wyglądało, żeby miała jakiekolwiek wątpliwości... Zresztą, jak mawiał Saszka Riumin, cytując jakiegoś starożytnego mędrca: *post coitum omne animal triste est sive gallus et mulier*. Co prawda za jasną cholerę nie rozumiałem, dlaczego akurat tylko kogut i kobieta mieliby się cieszyć po spółkowaniu, ale kto wie? Może starożytni wiedzieli lepiej? A Natasza to z pewnością kobieta... Wtedy mnie olśniło: moja sąsiadka nie wierzyła, że cokolwiek zrobię w jej sprawie. No bo i kto mógłby mnie do tego zmusić? A komplikacje mi niepotrzebne. Inna sprawa, że jakichś wielkich problemów nie przewidywałem. Ot, przyjdzie jakiś poruczniczyna z NKWD, niechby i nasłany przez pułkownika czy majora. I co mi zrobi za pieprzenie się z żoną kogoś, kto został wzięty do niewoli? Szczególnie teraz, kiedy szykuję się do akcji pod osobistym nadzorem Ławrentija Pawłowicza Berii? Napisze skargę? Spróbuje aresztować? Akurat! Prędzej zesra się ze strachu na wiadomość, że mam kontakt z Genkomem. A z Generalnym Komisarzem Bezpieczeństwa Państwowego żartów nie ma, oj, nie... Co najwyżej aresztują Nataszę, a jej syn wyląduje w *DietDomie*. Mnie nic nie grozi. Taak... mnie nic nie grozi, powtórzyłem w myśli. To znaczy mogę być spokojny, jeśli chodzi o zainteresowanie bezpieczniaków Nataszą, bo co do innych spraw, nie postawiłbym na swoją skórę nawet rubla. O ile dopisze mi szczęście, wyjdę cało z akcji odbierania Szwabom naszych dzieł sztuki, ale trudno spodziewać się podobnego fartu w tej drugiej misji. W końcu ci, co próbowali przede mną, też sroce spod ogona nie wypadli. Kto wie? Może został mi nie więcej niż miesiąc, dwa życia? I co, mam trwać w celibacie niczym jakiś mnich? A na szukanie chętnych panienek nie bardzo mam czas – inna sprawa, że to nic trudnego, większość bab teraz wygłodzona, że strach. Jak Natasza. Natasza... Czyżby

rzeczywiście wolała mnie od czekistów? Ech, czort z tym, na psychologię mi się zebrało. Najwyżej zaświecę jakiemuś dupkowi w oczy legitymacją *wojennoj razwiedki*. A i na myśl, że Natasza wyląduje na zonie, a Loszka w bidulu, robiło mi się tak jakoś niewyraźnie... Wojna wojną, a jednak szkoda ich na poniewierkę.

– Jeśli przyjdzie ktoś z bezpieki, przyślij go do mnie – powiedziałem, kiedy podniosłem się z podłogi. – Tu są klucze od mojego mieszkania, pieniądze i kartki.

– Więc wy naprawdę...

Natasza usiadła, zakrywając skromnie piersi. Jej oczy rozjarzyły się nadzieją.

– Naprawdę – potwierdziłem. – Teraz muszę wyjść, porozmawiamy wieczorem.

Spojrzała na mnie tak, że wszelkie myśli o akcji, dziełach sztuki i treningu Wiery wyparowały mi z głowy. Zerknąłem na zegarek – musiałem się zbierać. Niezależnie od okoliczności. Ech, czego to człowiek nie poświęci dla socjalistycznej ojczyzny...

– Pogadamy później – powtórzyłem stanowczo.

Panna Turkuł wpatrywała się pilnie w kartkę pokrytą rzędami cyfr i liter. Naprzeciwko niej siedział Pietka Drozd.

– Kończymy! – zarządził. – Czas minął!

Stanowczym gestem zabrał kartkę ze stołu.

– Słucham! – powiedział srogo. – Litera B.

– Litera B wystąpiła w tekście dwadzieścia dwa razy.

– Cyfra siedem?

Wiera przymknęła oczy, zmarszczyła brwi.

– Czternaście razy.

– Teraz to samo, ale będziesz musiała odczytać tekst do góry nogami.

– To niesprawiedliwe! Aleksandrze Nikołajewiczu, powiedzcie mu!

– Wojna jest niesprawiedliwa, życie jest niesprawiedliwe. – Wzruszyłem ramionami. – Liczy się tylko zwycięstwo i to, aby go dożyć. Nic więcej. A ty masz zwyciężać. Zawsze.

– No dalej! – ponaglił ją niecierpliwie Pietka. – Zaczynamy! Masz dziesięć sekund!

Na twarzy dziewczyny ponownie pojawiło się skupienie, widziałem, jak bierze głęboki oddech, koncentruje się na kartce. Dobrze, trzeba dotlenić mózg. Błyskawicznie prześliznęła się wzrokiem po tekście, raz, drugi, trzeci. Znakomicie, widać Drozd zdążył nauczyć Wierę obejmowania jednym rzutem oka całych grup cyfr i liter.

– Koniec! – poinformował Pietka. – Liczba dwadzieścia trzy?

– Osiemnaście razy.

– Litera D?

– Eee... Dwanaście?

– Trzynaście! D jak *dura* – warknął chłopak.

Wiera wydęła wargi, jednak nie wyglądała na przejętą, świetnie wiedziała, że rezultat ćwiczenia jest niezły. Biorąc pod uwagę fakt, że zaczęła trenować całkiem niedawno – więcej niż niezły.

Stanąłem za plecami dziewczyny, dałem znak. Nagłym ruchem Drozd chwycił pannę Turkuł za szyję, poderwał z krzesła, drugą ręką sięgnął do krocza. Ta nie odsunęła się, wręcz przeciwnie: skróciła dystans, powaliła chłopaka podstępnym chwytem, zanim upadł, wyciągnęła nóż, przyłożyła leżącemu do gardła. Znakomicie – żadnych dziewczęcych spazmów, pisków, próby ratowania cnoty. Czysta skuteczność.

No i dobrze. Tylko ten jej wzrok. Ten wzrok... Panna Turkuł patrzyła na Pietkę jak rzeźnik na świnię prowadzoną do ubojni. To choroba początkujących, dość powszechna, niestety. Czuła, że jest sprawna, bystra, niezwyciężona. Nikogo się nie bała. Znaczy cel szkolenia, jeden z celów, został osiągnięty. Jednak nastawienie dziewczyny stanowiło problem: mieliśmy działać na tyłach wroga, a wystarczy, że Wiera spojrzy w taki sposób na jakiegoś Niemca, a ten bez wątpienia zainteresuje się dziwną przedstawicielką rasy podludzi. Ech... Trzeba jej to wybić z głowy. Natychmiast.

– Idziemy na basen – zadecydowałem.

– Mam uczyć się pływać? – spytała. – Bo jeszcze nie umiem.

– Zobaczysz – mruknąłem wymijająco.

Drozd spojrzał na mnie, jakby chciał spytać, czy to konieczne. Potwierdziłem niemal niedostrzegalnym skinieniem. Chłopak westchnął ciężko, lecz posłusznie ruszył w ślad za nami. Poczułem przypływ optymizmu; widać, że polubił dziewuchę, ale zna dyscyplinę i zrobi, co mu każę. Może jednak mam jakieś szanse z taką ekipą?

Basen był pusty, przed chwilą skończyły się zajęcia, w pomieszczeniu przebywało tylko dwóch sierżantów. Dyskretnym gestem wskazałem im Wierę. Zrozumieli od razu, w końcu nie ona pierwsza, nie ona ostatnia... Podeszli z uśmiechem, bez ostrzeżenia wrzucili dziewczynę do wody. Tak jak stała, w ubraniu.

– Ale ja nie umiem... – zawołała, szaleńczo młócąc ramionami.

Nie dokończyła, poszła pod wodę. Podobno u małych dzieci występują naturalne odruchy pozwalające im utrzymać się na powierzchni. Tyle że panna Turkuł wyszła już z tego wieku, niemal od razu zaczęła tonąć. Jeszcze dwa razy wychynęła spod wody, udało jej się zaczerpnąć powietrza, w końcu zanurzyła

się z głową, ściągana w dół ciężarem ubrania i butów. Tuż przedtem, zanim straciła przytomność, jeden z sierżantów szturchnął Wierę kijem. Złapała go od razu, wydźwignęła się w górę, zaczerpnęła tchu. Znakomicie! Rzadko kto jest w stanie tak błyskawicznie reagować, odpływając – w tym przypadku dosłownie – w niebyt.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, żołnierz ponownie zepchnął ją pod wodę. Widziałem rozszerzone z przerażenia oczy Wiery, jej rozpaczliwą walkę, aby wypłynąć, przebić taflę. Już nie wyglądała jak zwycięzca. Była tylko ofiarą, nikim więcej. Beznamiętnie obserwowałem, jak ruchy dziewczyny stają się coraz wolniejsze, coraz mniej celowe. Walczyła już tylko instynktem, mózg przestał kontrolować sytuację.

– *Komandir?* – usłyszałem zaniepokojony głos Pietki.

Przyzwalająco skinąłem. Chłopak skoczył od razu, nie zawracając sobie głowy ściąganiem munduru. No i dobrze, niech dziewczyna doceni jego poświęcenie. Sierżanci wyszli, nie byli już mi potrzebni. Zapewne panna Turkuł nie będzie zachwycona lekcją pływania, jakiej jej udzielili, lepiej niech ochłonie, zanim spotka ich ponownie...

Tymczasem Drozd doholował Wierę do brzegu. Podałem jej rękę, chwyciła bez wahania. Świetnie. Widać nadal mi ufa. Dlatego kazałem topić pannicę sierżantom, zamiast zrobić to osobiście. Niby wiedziała, że tamci działali na mój rozkaz, ale to nie ja zepchnąłem ją pod wodę. Wytaszczyłem kaszlącą dziewczynę z basenu, otuliłem ręcznikiem.

– Dlaczego? – wykrztusiła po chwili.

– Musiałaś zrozumieć, że nie jesteś niezwyciężona – odparłem spokojnie. – Musiałaś też zrozumieć, że choć każdy z nas naraziłby życie, aby cię ratować, misja jest najważniejsza. To znaczy, że jeśli zwrócisz uwagę Niemców, być może będziesz

musiała radzić sobie sama. Bo nie będziemy mogli ci pomóc. Rozumiesz?

Po długiej, bardzo długiej chwili przytaknęła.

– Pamiętaj, że naszą akcją zainteresowany jest sam Generalny Komisarz Ławrentij Pawłowicz Beria. I on też rozliczy nas z jej wyników. Nawet jeśli przeżyjemy tam, po drugiej stronie frontu, możemy nie mieć takiego szczęścia po powrocie...

Wiera pobladła, przez moment bałem się, że zemdleje. Wreszcie jej oczy odzwierciedliły to, czego chciałem – strach. Teraz mogliśmy ruszać. Na pewno nie narazi nas na niebezpieczeństwo buńczucznym zachowaniem. Nie ma obawy. Już nie...

Rozdział szósty

Jeszcze raz zlustrowałem teren przez lornetkę: wydawało się, że jedynymi żywymi istotami w zasięgu wzroku – poza nami, rzecz jasna – są dwaj niemieccy wartownicy. Stali przed wejściem do magazynów, z papierosami w rękach, pogrążeni w cichej rozmowie. Jakieś pięćdziesiąt metrów od nas, trochę za daleko. Zastanawiałem się, czy nie wziąć na akcję karabinu Mosina z tłumikiem, ale po namyśle zdecydowałem się jedynie na pepesze i rewolwery. W końcu nie mieliśmy brać udziału w walkach ulicznych, lecz zlikwidować paru Szwabów. No i przy skokach spadochronowych liczy się i rozmiar broni, i każdy dodatkowy kilogram. Tyle że dla rewolweru, tym bardziej z tłumikiem, odległość była zbyt duża. Zakląłem pod nosem, klepnąłem chłopaków po plecach. Natychmiast ruszyli naprzód. Uzbrojeni jedynie w nagany i noże wtopili się momentalnie w nocny mrok. Zagryzłem wargi, przypominając sobie po raz kolejny, jak odmówiłem wzmocnienia grupy. Pomysł, aby załatwić sprawę w czwórkę, nie wydawał mi się już aż tak genialny jak wcześniej. Z jednej strony Niemcy nie byli zawodowcami, to biło po oczach, żaden doświadczony żołnierz nie pozwoliłby sobie na pogaduszki na warcie, nie mówiąc już o paleniu papierosa, z drugiej chłopcy niedawno przeszli rekonwalescencję. Czy dadzą radę? Nie zawiodą w krytycznym momencie?

Ponownie uniosłem lornetkę do oczu, zamrugałem, oślepiony jasnym światłem. Nieco z lewej, nad niewielką przybudówką, zapewne wartownią, kołysała się na wietrze zaopatrzona w silną żarówkę lampa. Umieszczona na wysokości pierwszego piętra oświetlała jedynie niewielki obszar. Moje szkła miały siedmiokrotne powiększenie, widziałem Niemców, jakbym stał tuż obok. Na pewno nie byli w stanie obserwować tego, co działo się wokół, każde źródło światła upośledza nocne widzenie, ale może któryś z nich był fanatycznym zwolennikiem marchewki czy jagód? I posiadał ponadprzeciętną wrażliwość? Ech... szlag by to.

Rozmyślania przerwał mi odgłos podobny do wyskakującego korka od szampana. Zawtórowały mu kolejne. Najwyraźniej Drozd i Kotuszew nie mieli zamiaru ryzykować, zareagowali jak na ćwiczeniach: dwa strzały w korpus, kontrolny w głowę. I po sprawie. Żadnych popisów, żadnej brawury. Doskonale!

Podbiegliśmy do magazynów, za moimi plecami cicho zagrzechotała stal – Wiera niosła broń chłopaków, ja musiałem mieć wolne ręce.

Drozd uchylił drzwi, wpadłem do środka, trzymając oburącz rewolwer, zająłem pozycję w korytarzu. Mijały długie jak wieczność, odliczane łomotem serca sekundy. Nie było gorąco, jednak po pomazanej sadzą twarzy spływały mi krople potu. Kiedy te matołki wreszcie tu przylezą? Kwatery mieszkalne mieściły się na pierwszym piętrze, jedyna ubikacja na parterze. Jeśli ktoś zejdzie się odlać... Jednej osobie dam radę, ale co, jeżeli pojawią się dwie? Wystarczy, żeby któraś krzyknęła. A i tłumik typu Bramit to żadne cudo – strzał i tak słychać, tyle że ciszej niż normalnie. Bramit... Też mi, kurwa, komunistyczna skromność... Ciekawe, komu wpadło do głowy, aby tak nazwać to ustrojstwo? Bra-cia Mit-ynowie. Też coś!

Usłyszałem cichy szelest, w korytarzu pojawiła się reszta mojej ekipy. W końcu! A przecież mieli tylko schować ciała wartowników, grób im kopali czy co?

Ruszyliśmy na górę, na szczęście schody były marmurowe. Nie zaskrzypią. Czyżby magazyny mieściły się w jakimś pałacu? Akcję szykowaliśmy w takim pośpiechu, że nie zdążyłem nawet poznać detali, jedynie zapoznałem się z ogólnym planem budynku. Szczegółowego nie było. No i chuj! Damy sobie radę. Nie mamy wyjścia. Zresztą co za różnica: pałac nie pałac? Pałaców ci u nas dostatek, podobnie jak cerkwi. Tyle że większość z tych ostatnich pozamieniano w publiczne wychodki – na osobisty rozkaz towarzysza Stalina. W ramach walki z zabobonami i religijnym obskurantyzmem.

Tima i Pietka zaczęli przeszukiwać pomieszczenia, pokój po pokoju. Spokojnie i po cichu; żadnej bieganiny, żadnego trzaskania drzwiami. Ja i Wiera, rozstawieni w przeciwległych końcach korytarza, stanowiliśmy ubezpieczenie, na wypadek gdyby ktoś z personelu postanowił wyjść na spacer. Przechodząc do kolejnego pomieszczenia, Tima pokazał dwa palce, w chwilę później jeden. Znaczy trzech Szwabów mniej. Ilu jeszcze zostało? Niestety, informacje zaczerpnięte od miejscowych partyzantów okazały się dość ogólnikowe: na terenie magazynów miało przebywać czterech wartowników i bliżej nieokreślona liczba fachowców z zakresu historii sztuki. Prosiłem, żeby któregoś z uczonych rabusiów zostawić przy życiu, mógł nam się przydać, ale czort wie co z tego wyjdzie.

Nocną ciszę przerwało skrzypnięcie drzwi, a jednak ktoś się obudził... Tuż obok Wiery pojawił się przysadzisty, niekształtny cień. Wiatr – jak zwykle w takich sytuacjach nie w porę – odchylił bujającą się na zewnątrz lampę, pogrążając korytarz na moment w mroku. Odruchowo strzeliłem, celując wzdłuż lufy; nie było możliwości użycia przyrządów celowniczych, na

podobny do kaszlnięcia odgłos niemal natychmiast nałożył się charakterystyczny suchy trzask. Ze ściany odpadł kawał tynku. Ożeż kurwa! Chybiłem. Teraz dopiero się zacznie... Rzuciłem się naprzód, odbezpieczając w biegu pepeszę. Zaraz facet wrzaśnie, a wtedy koniec konspiracji. Wypada tylko mieć nadzieję, że niewielu już Niemców zostało.

Zamiast krzyku rozległ się cichy jęk. Przede mną stał krępy facet w bufiastych gaciach i podkoszulku. Bez namysłu skręciłem mu kark. Kiedy upadł, ujrzałem sterczący mu z brzucha nóż. A więc dlatego nie krzyknął... Zuch dziewczyna! Widać to dźganie wieprzowiny na coś się przydało.

Panna Turkuł z mocno nietęgim wyrazem twarzy uniosła dłonie do ust. No nie, jeszcze brakuje, żeby mi się tu porzygała! Groźnym gestem nakazałem jej unieść broń i zająć pozycję przy wpółotwartych drzwiach. Lepiej sprawdzić, czy facet nie miał współlokatora. Tymczasem na korytarzu pojawili się chłopcy, do sprawdzenia zostały jeszcze trzy pokoje.

– Żywcem! – wyartykułowałem bezgłośnie.

Pietka skinął głową.

Grube gumowe podeszwy głuszyły moje kroki, kiedy ostrożnie wśliznąłem się do pokoju. Usłyszałem przytłumione chrapanie. Gruby Szwab nie mieszkał sam. Przysunąłem się ostrożnie bliżej łóżka, odchyliłem lekko kołdrę, kantem dłoni uderzyłem w bok szyi śpiącego. Zwiotczał momentalnie, jego regularny dotąd oddech zamienił się w charczenie. Cóż, o ile nie zmiażdżyłem mu tętnicy, przeżyje. Jak Bóg da... Choć może powinienem rozpatrywać tę kwestię w kategoriach dialektyki? A i czort z tym! Moich myśli nikt nie słyszy. Na szczęście...

– Mamy jeńca, piętro czyste, na następnym wszystkie pomieszczenia są zamknięte i zaplombowane – zameldował Kotuszew, stając w progu.

– W porządku – mruknąłem i zapaliłem światło.

– Nikt nas nie zobaczy? – zaniepokoiła się Wiera.

– Może i zobaczy. – Wzruszyłem ramionami. – Tyle że za... – spojrzałem na zegarek – dwadzieścia minut partyzanci zaatakują garnizon i wysadzą w powietrze tory, jakiś kilometr od stacji. To powinno odciągnąć ciekawskich w inną stronę. Tak czy owak, światło w oknach nawet w środku nocy jest mniej podejrzane niż użycie latarek. Bo wiesz, to z zewnątrz też widać.

Przyjrzałem się Szwabowi: zaczynał sinieć. Nie wyglądało to zbyt dobrze.

– Tima, co z nim? – spytałem.

Kotuszew przeszedł szkolenie medyczne, jeszcze zanim trafił do wojska. W okolicy, gdzie mieszkał, nie było żadnych lekarzy, stąd jego zainteresowanie tematem.

Chłopak podszedł do nieprzytomnego Niemca, zbadał tętno, wreszcie frasobliwie pokręcił głową.

– Zbyt silne uderzenie, *komandir*... – orzekł. – Nawet jeśli jakoś się z tego wyliże, w najbliższym czasie nie będzie z niego pożytku.

– A ten drugi jeniec?

– To kobieta – odparł Drozd. – Chyba sekretarka.

Zakląłem wściekle, za dwie godziny przylatywał samolot. Prowizoryczne lądowisko znajdowało się kawałek drogi stąd, jakieś pół godziny jazdy samochodem. Miałem zamiar zebrać, co się da, załadować na ciężarówkę – załoga magazynów dysponowała wojskową wersją büssinga – i dotrzeć na pilnowaną przez partyzantów polanę. Tuż przed wojną rozpoczęto tam budowę lotniska. Sprawy z oczywistych względów nie dokończono, ale wystarczyło wyciąć krzaki na oczyszczonym wcześniej terenie, aby umożliwić start i lądowanie naszej maszyny. Podobno... Problemem był czas: na wybranie co cenniejszych dzieł sztuki miałem mniej więcej

godzinę. Wiedziałem, że obrazy czy rzeźby znajdę bez trudu, ale przecież nie przybyłem tu po to, aby uszczęśliwić towarzysza Berię. Miałem własne plany.

– Dawajcie tutaj tę babę! – poleciłem.

– Może lepiej przenieść się do jej pokoju? – zaproponował Tima. – Przywiązaliśmy ją do krzesła.

– Niech będzie – burknąłem. – A tego tutaj...

Nie musiałem kończyć, Kotuszew już ciął zasłony na pasy.

– Kiedy skończysz, sprawdźcie ciężarówkę i zacznijcie załadunek – rozkazałem. – Wiera, za mną!

Pokoik sekretarki, choć niewielki, robił wrażenie: cenne meble, bibeloty, srebrna zastawa... Najwyraźniej ktoś tu miał luksusowe upodobania, chyba że pomieszczenie traktowano jako tymczasowy skład. Kobieta, drobna brunetka, blada jak ściana, wpatrywała się w nas przerażonym wzrokiem. Cóż, zapewne nie budziłem w niej zaufania. No i dobrze, może dzięki temu chętniej odpowie na moje pytania?

Otworzyłem szafę, zawartość wyrzuciłem na podłogę. Zawsze warto wiedzieć, z kim mamy do czynienia, a rzeczy osobiste świadczą o właścicielu. Ciekawe: futro z norek, jakieś jedwabne fatałaszki, dwie pary nylonowych pończoch. No, no... Panienka sobie nie żałuje. Albo ktoś obsypuje ją prezentami. Nie znałem się specjalnie na damskiej modzie, wiedziałem jednak, że nylony to marzenie niemal każdej baby. Wiele kobiet smarowało sobie nogi ołówkiem kopiowym, aby stworzyć wrażenie, że chodzą w nylonowych pończochach. Te jednak były towarem z sennych marzeń. No i nie dziwota; z chwilą wybuchu wojny Amerykanie zaniechali masowej produkcji, a nylon stał się surowcem strategicznym – zaczęto wyrabiać z niego spadochrony.

Wyjąłem kobiecie knebel.

– To twoje? – spytałem, wskazując pończochy.

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła przeraźliwie piszczeć. Przerwałem ten koncert solidnym policzkiem. Nie miałem czasu na babską histerię.

– Twoje? – powtórzyłem.

Tym razem przytaknęła, szlochając spazmatycznie.

– Kto ci je dał?

– He... Heinrich – wyjąkała.

– Co za Heinrich?

– Heinrich Thielmann. Dowódca Oddziału Rekwizycyjnego – dodała szybko.

Parsknąłem pogardliwie: Oddział Rekwizycyjny, też coś! No, ale jakkolwiek by patrzeć, słowo „rekwizycja" brzmi lepiej niż „kradzież".

– Gdzie są złote monety? – spytałem bezceremonialnie.

Przygryzła wargi, widać było, że zastanawia się, co powiedzieć. Źle. Znaczy wie coś na ten temat, lecz nie ma zamiaru odpowiedzieć. A przynajmniej nie od razu. Dać jej czas, a cholera wie co wymyśli. Gdybym tylko mógł porządnie ją przesłuchać... Wyjąłem rewolwer, ostentacyjnie nakręciłem tłumik.

– Gadaj albo zdechniesz! – warknąłem.

Milczała. Zerknąłem na zegarek: zostało mi czterdzieści minut. Cholera, cholera! Jeśli się zatnie, nic nie poradzę i wrócę z misji z pustymi rękoma. Nacisk fizyczny nie wchodził w rachubę – nie zdążę. A i ryzyko zbyt duże. Sam widziałem, jak kobieta, której w czasie przesłuchania złamano nos, przestała zupełnie reagować na bodźce. Kiedy czekiści poprawili jej fizjonomię, życie straciło dla niej sens. Ech, dopust boży z tymi babami... Myśl, Razumowski! Myśl! Czego ona się boi? Na co się gapi? Zdjęcie! Na stoliku stała fotografia przedstawiająca zwalistego faceta o nalanej, podobnej do wieprza twarzy.

Czyżby podobizna Heinricha? Tylko dlaczego ta twarz wydaje mi się znajoma?

Wypadłem na korytarz. Szwab w zbyt luźnych gaciach leżał tam, gdzie go zostawiłem. Oto i nasz Heinrich... Złapałem trupa za nogi, z pewnym trudem dowlokłem do pokoju sekretarki. Facet musiał ważyć grubo ponad sto kilogramów.

– Poznajesz?! – ryknąłem.

Poznała. Widać było, że straciła wszelką nadzieję, oczy kobiety zmatowiały, w chwilę później ujrzałem błysk białek. Straciła przytomność. Ocuciłem ją, chlusnąwszy w twarz zimną wodą. Drżała, chyba nie tylko z chłodu. Jeśli była kochanką Heinricha, świadomość, że tamten nie żyje, może rozwiązać jej język. Przełamie poniekąd naturalną niechęć przed kablowaniem. W końcu nikt jej nie osądzi – słodki Heini nie żył. Chyba że go naprawdę kochała...

Stanowczym gestem uniosłem broń, władowałem w zwłoki kilka pocisków.

– Gadaj! – wrzasnąłem.

– W sejfie – wyszeptała cichutko.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu – na pewno nie znajdował się w nim żaden sejf, zauważyłbym.

– Gdzie jest sejf?!

– W gabinecie Heinricha.

– Który to?

Kilkakrotnie otwierała usta, żeby opowiedzieć, ale nie wychodziło. Bywa. Szczególnie w takich sytuacjach.

– Na tym piętrze? – indagowałem.

Kiwnęła głową.

– Drugi pokój na lewo – powiedziała wreszcie.

– Szyfr?!

– Data urodzin Führera...

– To znaczy?

Łapała powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Przyklęknąłem, spojrzałem jej w oczy – nie udawała. Wyglądało, że jest w szoku, może wpadła w stupor. Teraz będzie milczeć, chuj wie jak długo. Niech to szlag! Pamiętałem, że Hitler urodził się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, ale potrzebny był mi jeszcze dzień i miesiąc.

– Wiera! Znasz datę urodzin Adolfa?!

– *Nikak niet!* – zameldowała dziarsko panna Turkuł.

– Leć po Drozda! – rozkazałem.

Sam poszedłem szukać gabinetu nieodżałowanego Heinricha. Znalazłem bez trudu: wielkie biurko i portret Hitlera na ścianie świadczyły o oficjalnym charakterze pomieszczenia. W rogu stał sejf. Ponownie spojrzałem na zegarek – jeszcze trzydzieści minut. Widok potężnej konstrukcji z centralnie umieszczonym zamkiem szyfrowym wybił mi z głowy wszelkie myśli o próbie siłowego otwarcia ustrojstwa. Albo wpiszę kod, albo...

– *Komandir?*

Wyraźnie zaniepokojony Drozd stanął w drzwiach. Zza pleców chłopaka wyglądała twarz Wiery.

– Znasz datę urodzin Hitlera?

– Dwudziesty kwietnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku – odparł bez namysłu.

Rzuciłem się do sejfu nastawiać zamek numeryczny, po chwili szarpnąłem drzwiczki. Ani drgnęły...

– *Komandir*...

– Czego?!

– Trzeba przekręcić tę gałkę. Bez tego drzwi się nie otworzą. Mieliśmy w kołchozie podobny. Stara szwabska robota, jeszcze z dziewiętnastego wieku.

Obróciłem prostą stalową gałkę o dziewięćdziesiąt stopni – dalej się nie dało, coś zgrzytnęło, jednak sejf nadal pozostawał

zamknięty.

– Przyniosę klucz francuski – zaproponował Pietka. – Chyba widziałem jakiś w garażu.

– Tylko się pospiesz! – warknąłem. – A ty – zwróciłem się do Wiery – znajdź mi jakąś torbę, w ostateczności walizkę.

– Jaką walizkę?

– Dużą i mocną. Najlepiej skórzaną.

Ponownie, tym razem oburącz, spróbowałem skręcić gałkę. Ani drgnęła. Pospieszny tupot butów świadczył, że Drozd i panna Turkuł ruszyli wypełniać swoje zadania. Mój całkiem zwyczajny zegarek stał się nagle podobny do wyłupiastego, szyderczo wpatrzonego we mnie oka. Dwadzieścia pięć minut. Niech to szlag... Z bezsilną wściekłością kopnąłem sejf, odgłos zabrzmiał ledwie słyszalnie. Znaczy drzwiczki mają sporą grubość, inaczej by zadudniło.

– Może ja spróbuję? – Lekko zdyszany Drozd założył klucz na sześcioboczny trzpień gałki.

– Otwieraj! – zarządziłem.

Metaliczny zgrzyt świadczył, że coś się ruszyło, po chwili zawtórował mu drugi i trzeci.

– No, w końcu! – sapnął chłopak.

Szarpnął drzwiczki, te uchyliły się z potwornym skrzypieniem. Cóż, chyba nadeszła chwila prawdy... Zerknąłem do wnętrza sejfu: na górnej półce leżały jakieś dokumenty, wszystkie inne zastawione były metalowymi kasetkami. Czasem używa się takich do przechowywania niewielkich, no, względnie niewielkich sum pieniędzy. Gdy podniosłem jedną z nich, mimowolnie gwizdnąłem z podziwu, ledwo dałem radę. Teoretycznie wewnątrz mogły być łożyska kulkowe albo ołów, ale jeśli wykluczyć te ewentualności, pozostawała jedna, dużo bardziej prawdopodobna: złoto.

– Zabieramy kasety. Wszystkie – poleciłem. – Wiera! Gdzie te walizki?!

– No idę już, idę! – burknęła panna Turkuł.

Objuczona rozmaitego rodzaju sakwojażami wyglądała dość pociesznie.

– Tylko nie ładujcie za dużo, żeby nie rozwaliły się w drodze!

– Co w tym, do cholery, jest? – wystękał Drozd, z trudem unosząc dwie kasetki.

– Wyjaśnienia na potem! – powiedziałem niecierpliwie. – Zabierzcie wszystko z sejfu i na ciężarówkę z tym!

Sam wróciłem do pokoju sekretarki. Kobieta wpatrywała się w przestrzeń nieobecnym wzrokiem. Najwyraźniej stupor jeszcze nie minął. No i dobrze, będzie jej lżej. A i mnie jakoś łatwiej...

Przeszedłem za plecy nadal przywiązanej do krzesła sekretarki i przyłożywszy jej do głowy poduszkę, dwukrotnie nacisnąłem spust.

– Dlaczego wy tak... Dlaczego?

Stojąca w drzwiach Wiera wyglądała, jakby miała zemdleć.

– Przy takim strzale mózg i krew mogą pryskać na kilka metrów – wyjaśniłem rzeczowo, udając, że nie zrozumiałem pytania. – Nie chciałem się uświnić. Załadowaliście wszystko na ciężarówkę? – zmieniłem temat.

– Tak, ale...

– Żadne „ale” – uciąłem. – Jedziemy!

Zbiegłem po schodach, nie oglądając się za siebie, po chwili usłyszałem, że panna Turkuł schodzi w ślad za mną. Tyle że powoli i, jak można było się domyślić, bez specjalnego entuzjazmu. Cóż, Francuzi mawiają: „Na wojnie jak na wojnie”. Trzeba się przyzwyczaić, ot i wszystko...

Z zadowoleniem stwierdziłem, że wszystko jest gotowe do odjazdu, a Tima i Pietia siedzą już w szoferce.

– Pospiesz się, Wiera! – krzyknąłem.

Wgramoliłem się na pakę büssinga, kiedy podeszła, podałem jej rękę. Przyjęła ją, choć – nie ma co ukrywać – z pewnym wahaniem. Ech, baby...

Wciągnąłem dziewczynę do ciężarówki, dałem sygnał do odjazdu. Ruszyliśmy. Przez kilka minut, zanim wjechaliśmy do lasu, siedziałem z palcem na spuście pepeszy, później się rozluźniłem; najgorsze już za nami. Nadszedł czas, aby pogadać z panną Turkuł...

– Jak się czujesz? – spytałem spokojnie.

Kilkakrotnie przełknęła ślinę, zanim odpowiedziała.

– Czy musieliście ją...

– Musiałem.

– Ale dlaczego?

– Lepiej, jak nie będziesz wiedziała.

– Nie chcecie mi powiedzieć?!

Mimowolnie pokręciłem głową, zapominając, że dziewczyna nie może w ciemnościach dostrzec mojego gestu. Oj, naiwna ta nasza Wierka, naiwna...

– Gdybym ci wszystko wyjaśnił i coś poszłoby nie tak, byłabyś pierwszą podejrzaną. W naszej... branży lepiej nie wiedzieć zbyt wiele. Jakby co, nie pójdziemy na milicję, nie będzie rozprawy sądowej. Załatwimy to we własnym zakresie. A kara jest tylko jedna: kula w łeb! Żal ci tej baby?

– Żal – przyznała cichutko.

– Musiałem ją zabić, żebyśmy my przeżyli. Wierz mi, nie żartuję. Więcej wiedzieć nie musisz.

– Ale to kobieta...

– Owszem, taka sama jak te, które mordują i gwałcą faszyści! Tylko że one niczym i nikomu nie zawiniły, nie okupowały cudzego kraju, nie okradały go. Wiesz, że gdybyś została ranna, a my nie mielibyśmy możliwości wziąć cię ze sobą, któryś z nas

zastrzeliłby i ciebie? Zbyt dużo wiesz, nie moglibyśmy ryzykować...

– Nie wydałabym was! – zawołała z oburzeniem.

– Z własnej woli na pewno nie – przyznałem. – Ale pod presją... Każdego można złamać, to tylko kwestia czasu.

– Was też?

– I mnie...

– A gdybyście to wy zostali ranni?

– To któreś z was oddałoby mi ostatnią przysługę. A potem zdjęlibyście mi buty...

– Jakie buty? O czym wy mówicie?!

– Wiesz, jest taki wiersz... Napisał go młody czołgista Ion Degen.

Mój towarzyszu, w śmiertelnej agonii
nie wołaj druhów, na nic twój krzyk.
Pozwól mi ogrzać zmarznięte me dłonie nad ciałem twym
krwawym, co jeszcze drży...

Nie płacz i nie krzycz, tyś przecie nie baba.
Jesteś już martwy – nie boli cię nic.
Wezmę twe buty, normalna to sprawa.
Atak przede mną, a ja muszę żyć...

– Taka jest wojna – powiedziałem posępnie. – Postaraj się zrozumieć, bo jeśli tego nie pojmiesz, zginiesz nie tylko ty, ale sprowadzisz śmierć i na nas.

– Zdjęlibyście moje buty? – spytała.

– Zdjąłbym. Nie okradłbym cię ani nie podstawił pod kule dla własnej korzyści, ale gdybyś była martwa, a coś z twojego dobytku by mi się przydało...

Długo nie odpowiadała, wreszcie przysunęła się bliżej, przytuliła. W tym geście nie doszukiwałem się żadnego erotycznego podtekstu: na wojnie przyjaciele dzielą się nie tylko wódką i tytoniem, także ciepłem własnego ciała. Noc była chłodna, mżyło.

Krople deszczu ponuro bębniły po plandece ciężarówki, głuszyły odgłosy lasu. Siedziałem przygarbiony, kurczowo ściskając pepeszę, wpatrzony w nocny mrok. Któryś z chłopaków zastukał dwa razy: znaczy jeszcze dziesięć minut.

– Wyjdę zapalić – powiedziała Wiera.

– Siedź! – syknąłem ostro. – Trzymaj broń w pogotowiu!

– Myślicie, że Niemcy nas znajdą? – spytała niepewnie.

Złapałem dziewuchę za kark, przyciągnąłem do siebie.

– Nie wiem, jak Niemcy, mała idiotko, na razie musimy strzec się swoich – szepnąłem jej do ucha.

– Swoich?! – sapnęła z oburzeniem.

– Jest ich tu z dziesięciu, to biedni wieśniacy. Wiedzą, że mamy wóz pełen niemieckiego dobra, a Moskwa daleko... Samolot przyleci i co? W końcu operacja mogła się nie udać...

– Przecież musieli zameldować przez radio, że wszystko w porządku, inaczej maszyna zawróci!

– Może zameldowali, a może i nie... A mało to może zdarzyć się w ostatnim momencie?

– Na co im obrazy?

– Na nic, ale przecież nie wiedzą, co tu mamy. Za to widzieli ciebie.

– I co z tego?

– To, że zapewne nieco różnisz się od miejscowych dziewuszek: nie śmierdzisz gnojówką i masz wszystkie zęby. Gdyby tylko mieli okazję, zabawiliby się z tobą na wszystkie znane ci i wiele nieznanych sposobów, a potem zabili. Dlatego siedź cicho, uważaj na każdy szmer, a jeśli zacznie się rozpierducha, wal we wszystko, co się rusza!

Rozległo się pojedyncze stuknięcie: pięć minut. Tuż przy ciężarówce trzasnęła gałązka. Panna Turkuł nerwowo przeładowała broń.

– Spokojnie! – zawołał ktoś z ciemności. – Słychać już samolot.

– Róbcie swoje! – odkrzyknąłem, nie ruszając się z miejsca.

Nieznajomy oddalił się, ostentacyjnie hałasując. Po chwili zapłonęły ogniska.

– Wychodzimy?

W głosie Wiery wyraźnie usłyszałem ulgę. Tyle że ja jej nie podzielałem. Ni cholery...

– Jeszcze nie!

Stopniowo szemrzącą osnowę deszczu przenikał jakiś inny dźwięk, przez jakiś czas obecny na granicy słyszalności, wreszcie możliwy do zidentyfikowania. Samolot. Rzeczywiście przylecieli po nas. Nareszcie... Czekałem w napięciu, póki nie ucichł szum silnika – do ostatniej chwili nic nie było pewne. Kto wie czy maszyna nie rozwali się na prymitywnym lądowisku, a nocy nie potną na strzępy wrogie reflektory? Byliśmy na obcym terytorium, zdani tylko na siebie.

Zeskoczyłem z ciężarówki, kiedy silnik samolotu kaszlnął po raz ostatni. Błysnąłem kilka razy latarką, dając załodze znać, że wszystko w porządku.

– Jedziemy, Tima! – zawołałem.

Chłopak zatrzymał wóz, niemal zahaczając o skrzydło. Z ciemności doleciała wiązanka podająca w wątpliwość cnotę

rodzicielki Kotuszewa.

– Załadować wszystko! – poleciłem. – Migiem!

Sam stanąłem plecami do samolotu, omiatając czujnie lufą otoczenie. Jeden z pilotów ruszył pomagać chłopakom, drugi zatrzymał się przy mnie. Poczułem zapach dobrego tytoniu, takiego u nas nie sprzedają.

– Matwiej? – spytałem niepewnie.

Wokół panował niemal absolutny mrok – księżyc zakryły chmury, a okolice oświetlało jedynie kilka latarek. Z drugiej strony ilu pilotów *wojennoj razwiedki* lubi zachodnie papierosy? Większość naszych paliła to, do czego przyzwyczaiła się przed wojną: biełomorkanały, kazbeki, safo. Zachodnie marki uchodziły za... niemęskie.

– Matwiej – potwierdził znajomy głos. – Kłopoty z miejscowymi? – westchnął, wyjmując broń.

– Staram się unikać kłopotów – odburknąłem.

– Rozumiem.

W ciemności błysnęły białe zęby i lufy rewolwerów. Odetchnąłem z ulgą. Nie dość, że Matwiej pomoże mi przemycić złoto, rzecz jasna, nie za darmo, to jeszcze będę miał do dyspozycji kolejnego dobrego strzelca. W razie problemów z naszymi dzielnymi partyzantami. Mój znajomy jako jeden z nielicznych potrafił strzelać „po macedońsku". Z obu rąk. Jednocześnie.

– Mam trochę towaru do przewiezienia – mruknąłem, niemal nie otwierając ust.

– Nie ma sprawy. Za tę samą cenę co ostatnio.

Westchnąłem boleśnie, żeby zaznaczyć, jak bardzo czuję się pokrzywdzony, zgodziłem się po krótkotrwałych targach. Co prawda Matwiej jeszcze nigdy mnie nie zawiódł, ale uznałem, że lepiej nie wodzić go na pokuszenie. Po co mu wiedzieć, a nawet podejrzewać, co zawierają kasetki? Niech myśli, że to

jakiś chłam. Ostatnio pomógł mi przemycić partię niemieckich kordzików. Jakieś pięćdziesiąt sztuk, prosto z magazynu. Na tyłach zawsze istniało spore zapotrzebowanie na pamiątki „prosto z pola walki". Sztabowe szczury płaciły nieźle za wszystko, co mogło sugerować, że któryś z nich brał udział w boju. Zwykli żołnierze nie mieli specjalnych możliwości, aby kolekcjonować pamiątki. Co innego oficerowie – ci często wysyłali do domu całe ciężarówki wyładowane wszelkiego typu trofeami. A i nam się zdarzało, więc szkoda przepuścić okazję. Dowództwo przeważnie patrzyło na to przez palce. W razie wpadki wystarczyło dać w łapę milicjantowi czy czekiście, który wykrył kontrabandę. Gorzej, gdy ktoś przesadził i zabrał łup tak cenny, że rabować go wypadało generałom i marszałkom, a nie jakiemuś tam oficerkowi. *Worowat' nie po czinu opasno*. Wtedy nie było litości, traktowano wykroczenie jak przestępstwo przeciwko interesom państwa. A mało kto życzyłby sobie, aby ogłoszono go wrogiem *rodiny*. Taaak... Nie pogłaskaliby was w razie czego, *gospodin* Razumowski, nie pogłaskali...

– Wszystko gotowe! – zameldował Pietka Drozd.

– Schowajcie kasetki tam, gdzie każe wam Matwiej – wyszeptałem. – Postarajcie się nie dawać mu ich do ręki.

Chłopak skinął głową, choć minę miał ponurą. Wyglądało, że po przylocie do Moskwy będę musiał wytłumaczyć się i przed porucznikiem Drozdem, i przed resztą ekipy. Co innego opchnąć parę drobiazgów i kupić skrzynkę wódki, co innego pozbawić państwo iluś tam kilogramów złota. Mogłem się założyć, że chłopcy zorientowali się już w kwestii kontrabandy. Cóż, nie wybierałem do swojej ekipy idiotów.

W parę minut później startowaliśmy. Panna Turkuł wyglądała na całkowicie rozluźnioną, Drozd i Kotuszew nie pokazywali po sobie niepokoju, wiedziałem jednak, że czekają

w napięciu, aż oderwiemy się od ziemi. Podobnie jak ja... Najszybciej można się rozwalić w trakcie startu i lądowania, szczególnie gdy ma się do dyspozycji pas przypominający bardziej wygon dla krów. Jeśli uda nam się wznieść w powietrze, pozostanie tylko przelecieć nad linią frontu. Artyleria przeciwlotnicza nie stanowiła specjalnego zagrożenia, nie mieliśmy zamiaru atakować niemieckich pozycji: o ile ktoś w ogóle otworzy do nas ogień, uczyni to bardziej pro forma niż z przekonania. Gorzej, jeśli napatoczy się jakiś nocny myśliwiec...

Zacisnąłem zęby, kiedy samolot podrzuciło na wybojach, mknęliśmy naprzód, narastał ryk silnika. Wreszcie, po trwającej, zdawałoby się, wieczność chwili, znaleźliśmy się w powietrzu, mignęła ciemna ściana lasu. Odetchnąłem głęboko, rozluźniłem napięte mięśnie. Wreszcie byliśmy bezpieczni. Na tyle, ile było to możliwe w naszej sytuacji...

– *Komandir?* – Siedzący naprzeciwko Drozd pochylił się w moją stronę. – Po co to wszystko?

Nawet nie udawałem, że nie wiem, co chłopak ma na myśli, lecz nie miałem zamiaru niczego wyjaśniać. Nie teraz.

– Pogadamy w Moskwie – odparłem, przekrzykując hałas silnika. – Tutaj nie ma...

Nagle poczułem bolesny ucisk w płucach, odkaszlnąłem. Z ust i nosa buchnęła mi fala krwi. Zacząłem się dusić. Z oddali dochodziły jakieś krzyki, ktoś złapał mnie pod ramiona, domagał się odpowiedzi. Natarczywy głos stawał się coraz bardziej odległy, zapadłem w miękką, przytulną ciemność.

Sypie śnieg. Niesiony wiatrem chłodny biały puch wiruje w powietrzu, opada mokrą zasłoną na twarz, mami wzrok. Gdzieś z wysoka dochodzi blade światło księżyca, ale nie widać gwiazd: przesłania je biały tuman. Biegnę przed siebie. Słyszę chrzęst pod nogami, wdycham mroźne powietrze, lecz nie czuję chłodu. Spieszę się. Na prawo widzę ciemniejszą smugę: mrok w mroku. To las. Groźny, niepokojący, wrogi. Mimo zadymki wydaje mi się, że pomiędzy drzewami przemykają cienie. Nisko nad ziemią, ukradkiem.

Znienacka wybiegam na twardy grunt: wąska dróżka wiedzie przez las. Drzewa zbliżają się z obu stron, tworzą ciasny korytarz. Biegnę. Robi się jaśniej, może księżyc wyszedł zza chmur? Dostrzegam plamy na śniegu – krew. Krwawię. Na tupot moich kroków nakłada się cichy, niemal niesłyszalny szmer. Ktoś mnie ściga. I nie jest sam. Odwracam się za siebie, ale widzę tylko biel przemieszaną z mrokiem. Potykam się i padam. Wstaję i znowu podrywam się do ucieczki. Skądś wiem, że prześladowcy są coraz bliżej. Wyczuwam ich. Przede mną na ścieżce majaczą jakieś kształty, blokują drogę. Odwracam się, sięgając po broń, dłoń trafia na rękojeść noża. Wtedy rozlega się wycie. Dochodzi ze wszystkich stron – jestem otoczony. Nadchodzą wilki.

Kotuszew podrzemywał na krześle przy drzwiach, tuż obok rozłożył się Drozd. Ten pochrapywał cichutko, prawą rękę trzymał za pazuchą. No, no... Czyżby coś się stało? Zamrugałem kilkakrotnie, natężyłem wzrok: białe ściany, szafka z lekarstwami, wiercący w nosie zapach medykamentów. Ani

chybi szpital. Tylko jak się tu znalazłem? Po chwili wróciła pamięć; samolot, krwotok...

Poruszyłem się, skrzypnęło łóżko, a Drozd poderwał się na równe nogi. Od razu czujny i gotowy do akcji. Niemal w tym samym momencie przecknął się i Tima.

– Co się stało? – wychrypiałem.

Kotuszew bez słowa podał mi szklankę wody, wychyliłem ją chciwie, oblizałem wyschnięte usta.

– No więc? – ponagliłem.

– Dostaliście krwotoku – mruknął Drozd. – Pamiętacie?

Przytaknąłem ponuro.

– Po przylocie do Moskwy od razu przewieźliśmy was do szpitala. Niby nie straciliście zbyt wiele krwi, ale nie udało się was ocucić. Lekarze zrobili wszelkie badania, sprawdzili nawet, czy nie macie hemoroidów, ale... – Rozłożył bezradnie ręce.

– Co za „ale" i kto mi robił te badania?! – warknąłem.

– Spokojnie, *komandir*! – Kotuszew uśmiechnął się kpiąco. – Badała was lekarka. Swoją drogą, niezła sztuka, pozwoliłbym jej nie tylko na zbadanie hemoroidów, ale i kilku narządów wewnętrznych.

– I co z tymi badaniami?

– Niby wszystko z wami w porządku, jeśli wierzyć lekarce, nawet hemoroidów nie macie. Czort wie skąd to krwawienie. No i utrata przytomności, zwaliliście się jak kłoda.

– A wy tu po co? Nie macie co robić w domu?

– Generalny Komisarz dzwonił już trzy razy, chce was widzieć natychmiast, jak odzyskacie przytomność. Odwiedzili was też czekiści... No więc pomyśleliśmy, że lepiej plątać się gdzieś w pobliżu. Strzeżonego Pan Bóg strzeże – wzruszył ramionami chłopak.

Skinąłem w podziękowaniu głową. Cóż innego mogłem zrobić? Wypadki chodzą po ludziach, jeden z nich mógł mi się

przytrafić, kiedy byłem nieprzytomny. Chłopcy zadbali, aby do tego nie doszło.

– Gdzie Wiera? – spytałem.

– Łazi po korytarzu z jakimś pułkownikiem milicji, takim wielkim bydlakiem. Wygląda, jakby się znali – wyjaśnił Drozd.

Nie utrzymywałem kontaktów z moskiewską milicją, przypuszczałem więc, że odwiedził mnie pułkownik Poliakow. Bo i któż by inny? Zresztą pasował do opisu...

– Zawołaj oboje – poleciłem.

Panna Turkuł uznała za stosowne rzucić mi się na szyję, „Polak" ograniczył się do uścisku dłoni. Teraz, kiedy z jego twarzy zniknęły już strupy i sińce, wyglądał imponująco: potężna, opięta mundurem sylwetka, przeszywający, chłodny wzrok, twarde, jakby wyciosane w granicie rysy. Po raz kolejny pogratulowałem sobie w duchu, że ten facet jest moim przyjacielem. Mieć go za wroga byłoby kiepsko. Bardzo kiepsko.

– Co się dzieje? – spytałem, patrząc na Poliakowa.

– Wiera do mnie zadzwoniła, kiedy w szpitalu pojawili się czekiści – odparł. – Na wszelki wypadek.

– W czym problem? Przecież to ludzie Genkoma? Pewnie chciał, żeby sprawdzili, w jakim jestem stanie.

Milicjant powoli pokręcił głową.

– Na pewno nie – odrzekł. – Sprawdziłem. Przysłał ich niejaki pułkownik Kutiepow.

Zakląłem wściekle, po chwili zawtórowali mi chłopcy. Panna Turkuł wyglądała na zdezorientowaną.

– Przecież on pracował w Leningradzie – zauważyła. – Na urlop przyjechał czy co?

– Przyjechał odwiedzić przyjaciół – wyjaśniłem. – Stęsknił się za nami – doprecyzowałem, widząc, że nie rozumie.

Wyraz twarzy dziewczyny powiedział mi, że pojęła. W końcu.

– Jeśli dacie sobie już radę beze mnie... – zaczął Poliakow.

– Damy – powiedziałem, wchodząc mu w słowo. – I dziękuję.

– Co z towarem? – zapytałem, kiedy tylko milicjant zniknął za drzwiami.

Drozd wysłał Timę na korytarz, dopiero potem usiadł na brzegu łóżka.

– Wszystko w porządku – oświadczył. – Z Matwiejem też już się rozliczyłem. Nawiasem mówiąc, poszedł na to cały mój żołd, ale kasetki są tam. – Wskazał palcem w dół.

– Świetnie! – mruknąłem. – Pojedziemy teraz do mnie, dam ci trochę forsy, a później zajmiemy się towarem.

– Co to znaczy „tam”? – Wiera powtórzyła gest Drozda. – I po cholerę nam te kasetki? Czy w nich naprawdę jest...

Przerwałem jej, kładąc palec na ustach. Co prawda Kotuszew pilnował korytarza, ale czort wie czy w mojej izolatce ktoś nie podłożył jakiejś niespodzianki. Wizyta ludzi Kutiepowa przypominała o zachowaniu ostrożności. Lepiej być żywym paranoikiem niż martwym sceptykiem...

Ubrałem się szybko – o dziwo, mimo że dopiero wstałem z łóżka, nie sprawiło mi to żadnego problemu – i po załatwieniu formalności wsiedliśmy do czekającego przed szpitalem samochodu. Prowadził Kotuszew.

– Mogę się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi? – ponagliła niecierpliwie Wiera.

– Skąd wzięliście ten wóz? – odpowiedziałem pytaniem.

– Od Poliakowa – odparł Tima.

– No to możemy pogadać – westchnąłem. – W kasetkach są carskie złote monety.

– Ile?

– Skąd mam wiedzieć? Nie miałem czasu, żeby to zbadać.

– Mamy osiem kasetek – wtrącił Drozd. – Otworzyłem jedną i przeliczyłem monety.

Proszę, proszę... Czyli jednak chłopcy postanowili sprawdzić, co takiego kazałem im taszczyć do domu. Nie miałem im tego za złe, sam na ich miejscu pewnie postąpiłbym podobnie.

– I?

– Naliczyłem około dwóch tysięcy. Większość to dziesiątki.

– Znaczy imperiały – mruknąłem. – No, no...

– Ile by to było w przeliczeniu na radzieckie ruble? – spytała Wiera.

– Więcej, niż zarobiłabyś w ciągu całego życia, a w zasadzie kilku żywotów – poinformował Kotuszew. – W dodatku wewnątrz mogą znajdować się szczególnie cenne okazy, ich wartość jest dużo wyższa, niż wynikałoby to z nominału czy wagi w złocie. Prawda?

– Rzeczywiście – przytaknąłem. – Ale nie ma sensu gadać o tym przed sprawdzeniem szkatułek, może mamy takie monety, a może nie. Zdążyłem rzucić okiem na zabrane z sejfu dokumenty, wśród nich jest wykaz dzieł sztuki znajdujących się w magazynie. Poza monetami. To znaczy naszymi monetami. Spis obejmuje kilkaset sztuk cennych numizmatów, a te dostarczyliśmy wraz z resztą ładunku. Jeśli chodzi o carskie ruble, przypuszczam, że była to prywatna inicjatywa świętej pamięci Heinricha...

– Po cholerę nam to wszystko? – westchnął Drozd. – Wytłumacz, *komandir*. Bo na zdrowy rozum to prosta droga do łagru, w najlepszym wypadku *sztrafbatu*.

Panna Turkuł aż sapnęła z wrażenia, najwyraźniej dopiero teraz pojęła, skąd wziął się niepokój chłopaków. No i dobrze, dziewucha w końcu musi dorosnąć. Być może komunizm jest rzeczywiście najlepszym ustrojem na świecie, ale na razie, w fazie przejściowej – inna rzecz, że ta „faza przejściowa” trwa od rewolucji – nie jest lekko. Wrogowie naciskają, mimo naszych sukcesów wojska Hitlera nadal są groźne, a czekiści,

ludzie o „gorących sercach i czystych dłoniach”, łowią wszystkich, którym nie podoba się nasza socjalistyczna ojczyzna. Ba, łowią nawet takich, którym się podoba, tylko że zapomnieli w odpowiednio entuzjastyczny sposób to wyrazić. Dlatego naiwni długo nie pożyją, oj, nie...

– Niedługo wyruszymy na kolejną misję – odparłem posępnie. – I wierzcie mi, nie będzie łatwo. Kilka innych grup, które próbowały przed nami, zostało zniszczonych. Nie wrócił ani jeden świadek klęski. Potrzebne są nam dokumenty. Kilka zestawów najwyższej klasy, problem w tym, że *razwiedka* nie może o nich wiedzieć. Tylko wtedy mamy szanse przeżyć.

– Ciekawe, skąd je weźmiemy? – parsknął gniewnie Drozd. – To nie fałszywe kartki na chleb!

– Pomyślałem o tym. Są pewne opcje, lecz nie za darmo. Dlatego potrzeba nam „świnek”. Inna możliwość to dolary, ale z tym byłoby chyba nawet trudniej. Będziemy musieli zapłacić, drogo zapłacić, i nie wiem, czy skończy się tylko na pieniądzach... Jednak innego wyjścia nie ma! – powiedziałem z naciskiem.

– Gdzie jedziemy? – wtrącił Kotuszew. – Do was czy najpierw do lochu?

– Do lochu – zadecydowałem. – Czas zapoznać pannę Turkuł z sytuacją. – Trąciłem Wierę przyjaźnie łokciem.

Zerknąłem spod oka na chłopaków, żaden nie zaprotestował. Widać zgadzali się z moją decyzją.

Tymczasem Kotuszew minął zoo i skręcił w ulicę wiodącą na cmentarz Wagańkowski. Mieszkał niedaleko nekropolii, w starej, osiemnastowiecznej kamienicy. Trochę mu zazdrościłem: okolica cicha, spokojna, a i chałupa solidna, nie to co moja...

– Cmentarz?! – zawołała z pretensją w głosie dziewczyna. – Mieszkasz przy cmentarzu?!

– No i co z tego? – odburknął Tima. – Boisz się nieboszczyków? To żywych trzeba się bać.

– No nie... Ale jakoś tu dziwnie. I cerkiew się uchowała.

– Nie uchowała się – poinformował ją sucho Drozd. – Teraz to muzeum ateizmu.

– Co tam pokazują?

– Szaty liturgiczne, nagrobki wyszabrowane z okolicznych nekropolii, szczególnie egzemplarze z krzyżami, rozumiesz, drażniły co poniektórych, rozmaite wydania Biblii, kukłę płonącego na stosie Giordana Bruna i takie tam... – odpowiedział. – Może zresztą coś zmienili? Ostatnio byłem tam w podstawówce. Z wycieczką szkolną.

Kotuszew zatrzymał wóz tuż pod kamienicą, wysiedliśmy. Wąskie, wiodące w dół schody były tak samo strome i śliskie, jak zapamiętałem. Dwukrotnie musiałem podtrzymać Wierę, inaczej wyłożyłaby się jak długa. Ze ścian i sufitu skapywała woda, Kotuszew, klnąc pod nosem, ruszył w głąb piwnicy.

– Co to ma być? – spytała z niesmakiem Wiera. – Do kanałów zejdziemy czy co?

– Prawie zgadłaś! – wyszczerzył zęby Drozd.

Każdy nasz ruch przywoływał cienie. Pląsały po ścianach w świetle niesionej przez Kotuszewa latarni naftowej. Ucichł – i tak niewielki w tej okolicy – uliczny gwar. Słychać było każdy szmer, od czasu do czasu rozlegał się cichy pisk. Szczury. Nikt z lokatorów nie schodził do piwnicy, nie było po co. Wreszcie stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami. Kotuszew otworzył kłódkę i przecisnął się naprzód wraz z Drozdem.

– Co oni robią?

– Przesuwają starą szafę, zasłania wejście do podziemi – wyjaśniłem.

– Mamy tam zejść?! – Wzdrygnęła się.

Potwierdziłem nieartykułowanym mruknięciem.

– Po cholerę?!

– Tam jest nasze złoto. No chodź! – ponagliłem.

Nisko sklepiony sufit zmusił nas do marszu z pochylonymi głowami, pod nogami grzechotały odłamki cegieł i jakieś śmieci, czasem chlupotała woda. Wąskie przejście doprowadziło nas do szerokiego, choć nadal niskiego korytarza.

– Pierwszy znak! – zawołał ostrzegawczo Drozd.

Wydobyłem z kieszeni elektryczną latarkę, poświeciłem.

– Uważaj! – powiedziałem surowo. – Popatrz!

Na wysokości metra nad ziemią widać było na ścianie niezgrabny trójkąt. Wyglądał, jakby wydrapało go dziecko. No i dobrze, miał tak wyglądać.

– Dokładnie dwanaście metrów dalej jest *raztiażka* – powiedziałem. – Licz odległość krokami, tak jak się uczyłaś!

Skierowałem światło pod nogi, choć wiedziałem, że i tak niewiele zobaczę: zawleczki znajdujących się po obu stronach korytarza granatów połączone były cienkim, owiniętym czarną izolacją drutem. Niemal nie do zauważenia na brudnej podłodze. Wystarczyło zahaczyć nogą i...

Jest! Tuż przy ścianie zauważyłem niewielki kopczyk gruzu, po chwili dostrzegłem przewód.

– Uwaga, krok! – uprzedziłem idącą za mną dziewczynę.

Wiera przestąpiła ostrożnie przez rozciągnięty w poprzek drut. Odetchnąłem.

– To naprawdę konieczne?

Prowadziłem dziewczynę za rękę, jej dłoń lekko drżała.

– Wolelibyśmy, aby jakiś przypadkowy poszukiwacz skarbów nie dorwał się do naszej skrytki – mruknąłem.

– Więc wy go granatem?!

Dotarliśmy wreszcie do krypty – podziemia należały do wybudowanej przy cmentarzu cerkwi. Kotuszew powiesił latarnię na haku pod sufitem, pojaśniało. Panna Turkuł

wzdrygnęła się, widząc ułożony w malowniczej pozie szkielet odziany w strzępy jedwabnych szat. Flankowało go kilka czaszek, w tym jedna z dziurą w czerepie; widać i dawniej czasy były niespokojne... Swego czasu naszukaliśmy się ich niemało, w krypcie znajdował się tylko jeden grób. Saszka Riumin twierdził, że kiedyś chowano tu dostojników kościelnych. Być może. Dziś szczątki dostojnika leżały na ceglanej podłodze, a w sarkofagu umieściliśmy złoto.

– Widzisz tę płytę? – spytałem, wskazując zakrywające grób kamienne wieko.

Wiera posłusznie skinęła głową.

– Nigdy jej nie ruszaj! – przykazałem. – Tuż pod płytą umieściliśmy szwabską *entlastungs mine*. Pamiętasz, jak działa?

– Nie całkiem...

– Jest trudna do wykrycia, bo ma drewniany korpus, eksplozja następuje, kiedy zdejmie się obciążenie przyciskające pokrywę. Znajdująca się wewnątrz sprężyna unosi gwałtownie pokrywę, do której przymocowany jest drut łączący ją z zapalnikiem. To powoduje wyrwanie zawleczki z zapalnika i następuje duże „bum”! Zapamiętałaś?

– T-tak...

– W tylnej ściance sarkofagu wybiliśmy otwór, przez który można sięgnąć do środka, tylko tak da radę bezpiecznie wyciągnąć zawartość. Wątpię, aby komuś to przyszło do głowy, bo specjalnie zostawiliśmy uchylone wieko: widać, że coś jest wewnątrz, ale nie da rady sięgnąć.

– Co tam macie oprócz złota? – spytała.

– Trochę broni i lekarstw, w sumie nic specjalnego.

– Lekarstw?!

– To na wypadek, gdyby *komandir* zapadł na brzydką chorobę – wyjaśnił z bezczelnym uśmiechem Kotuszew.

Kopnąłem go w tyłek. Rechocząc, uciekł za plecy Wiery.

– Niemieckie leki można sprzedać za niezłą forsę – wyjaśniłem. – Można też za ich pomocą załatwić różne niezałatwialne na pozór sprawy. Ze względu na wojnę w szpitalach i aptekach mamy pewne braki...

– Więc wy już nie pierwszy raz...?

– Nie pierwszy – przyznałem. – Ale dopiero teraz musieliśmy naprawdę zaryzykować. Jeśli rzecz się wyda, zdechniemy wszyscy na Łubiance. Nie darują nam tego złota.

– To po co je było brać?! – zawołała.

– Bo w GRU działa niemiecki agent, który w jakiś sposób znaczy dokumenty drukowane dla przekraczających linię frontu. Rzecz jasna, nie wszystkie. Tyle że szczególnie „troszczy się" akurat o tę operację, do której zostaniemy niedługo skierowani. Nie mieliśmy wyjścia – zakończyłem ponuro.

– Co... Co zrobimy?

– Kotuszew! Dawaj łupy!

– Jakie jeszcze łupy?!

– Gdybyśmy czegoś nie przywieźli z naszej... wycieczki, byłoby to mocno podejrzane. No to przywieźliśmy – wyjaśniłem.

Tima przykucnął i sięgnął między ścianę a tył sarkofagu, wydobył niewielkie zawiniątko. Po chwili rozwiązał je, ukazując zawartość.

– Pończochy i złote kolczyki dla Wiery, dla nas po dwa zegarki, ja wezmę jeszcze ten badziew. – Wskazałem porcelanową figurkę.

– Miśnieńska porcelana – mruknął Drozd, podnosząc drobiazg do światła. – No, no...

– Ja nie chcę tego, ja...

Złapałem dziewczynę za poły, potrząsnąłem, aż zadzwoniła zębami.

– Weźmiesz to, założysz pończochy i pochwalisz się koleżankom kolczykami – wysyczałem cichym, złowrogim tonem. – Bo inaczej będziesz miała szczęście, jeśli zdążysz wyskoczyć przez okno, kiedy przyjdą po ciebie czekiści. Zrozumiałaś?!

– Tak – wychlipała, rozmazując łzy po twarzy.

– Zbieramy się! – zarządziłem. – Mam jeszcze spotkanie z Genkomem.

Zerknąłem w lustro, skontrolowałem stan munduru. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Co prawda nie wybierałem się na randkę, ale lepiej nie prowokować Generalnego Komisarza. Nawet w kwestii takiego drobiazgu jak przepisy ubiorcze. Genkom Beria uchodził za człowieka, który nie zna się na żartach. Wolałem nie sprawdzać, na ile ta opinia zgodna jest ze stanem faktycznym. Znam przyjemniejsze sposoby popełnienia samobójstwa...

Naciskałem już klamkę, kiedy dopadła mnie nagła słabość, zawirowało mi w głowie, musiałem oprzeć się o ścianę. Ujrzałem w lustrze białą jak papier twarz przeciętą wąską strużką sączącej się z nosa krwi. Cholera, znowu mnie wzięło.

Kroki, głośny tupot ciężkich wojskowych buciorów na schodach, w drzwi naprzeciwko łomoczą niecierpliwe pięści. Widzę zrezygnowaną twarz Nataszy i przerażone oczy Loszki. NKWD. Ktoś brutalnie zakłada kajdanki na wyciągnięte dłonie Nataszy, słychać dźwięk rozbijanego szkła. To nie tyle rewizja, co niszczenie wszelkich śladów po rodzinie „wroga ojczyzny”. Widać przyszedł czas, żeby bliscy kapitana Pokrowskiego

zapłacili za to, że Wład, zamiast zginąć, znalazł się w niemieckiej niewoli...

Wyciągnąłem chusteczkę, otarłem twarz. Krwi było niewiele. Czyżbym się przyzwyczajał? Tylko skąd te ataki? I co to, do cholery, było? Halucynacje? Wizja?

Wyszedłem na korytarz, trzęsąc się z wyczerpania, jakbym dokonał czegoś, co wymagało nie wiedzieć jak wielkiego wysiłku. Stanąłem, oparłszy się o balustradę. Nie musiałem długo czekać. Zamknąłem oczy, wsłuchałem się w kroki nadchodzących: trzech mężczyzn. Przez moment zastanawiałem się, czy to aby nie po mnie, i niemal natychmiast odrzuciłem tę myśl. Gdyby chcieli mnie aresztować, obstawiliby cały budynek, a i ekipa byłaby zdecydowanie większa. Ta przyszła po Nataszę. W końcu ilu chłopa trzeba, żeby aresztować kobietę? No dobrze, ktoś jeszcze musi rozpierdolić jej chałupę. Ot, takie małe ostrzeżenie dla sąsiadów...

Mundur z wyłogami w barwach NKWD, zerknąłem na pagony – kapitan. Za nim dwóch sierżantów. Wykrzywione w aroganckim grymasie gęby przyzwyczajonych do bezkarności bezpieczniaków. Razumowski, Razumowski... Po co ci to wszystko? Nie lepiej wsiąść do samochodu i zapomnieć o Nataszy? Tyle że tak naprawdę nie chodziło o Nataszę, a przynajmniej nie tylko o nią. Od czasów Leningradu reprezentowana przez pułkownika Kutiepowa instytucja działała mi na nerwy i bywało, że miałem ochotę dać temu wyraz. Jak dzisiaj. Zresztą co mogą mi zrobić? Aresztować? W sytuacji, kiedy Genkom Beria czeka, abym złożył mu meldunek o ostatniej akcji? Wolne żarty.

– Natasza Aleksandrowna Pokrowska to moja przyjaciółka – oznajmiłem zwięźle, blokując schody. – Proszę zawrócić, kapitanie, i nigdy więcej tu nie przychodzić.

Mężczyzna poczerwieniał z wściekłości, sięgnął po broń.

– Wiecie, co grozi komuś, kto usiłuje przeszkodzić oficerowi NKWD w wypełnieniu...

– Za pół godziny oczekuje mnie Generalny Komisarz Beria. Zastanówcie się lepiej, co zrobi z wami Genkom, kiedy dowie się, że przez was spóźniłem się na spotkanie – odpowiedziałem chłodno, demonstrując jednocześnie legitymację *wojennoj razwiedki*.

Popatrzył na mnie jak na wariata, po chwili jednak schował pistolet, widać było, że ochłonął. Oczywiście i u nas zdarzają się umysłowo chorzy, ale radziecka nauka nie zanotowała do tej pory przypadku, żeby któryś z pacjentów powoływał się na znajomość z towarzyszem Berią. Coś takiego musiałoby się skończyć tylko w jeden sposób: diagnozę stawialiby nie lekarze, lecz czekiści. A w porównaniu z Łubianką najgorsza nawet psychuszka to kurort. Nie, aż takich wariatów to u nas nie ma... Facet zaczął mi wierzyć.

– Ta wasza... przyjaciółka to żona...

– Wiem o wszystkim – przerwałem mu bezceremonialnie. – I jeszcze raz powtarzam: odejdźcie!

Spięliśmy się wzrokiem, oczy pociemniały mu z gniewu, zrozumiałem, że nie ma zamiaru ustąpić. No cóż, zaraz zobaczymy, z jakiej gliny cię ulepili, chłopczyku... Zawróciłem znienacka, przyzywając enkawudzistę gestem.

– Co wy sobie wyobrażacie?! – wrzasnął. – Nie macie prawa...

Wkroczyłem do mieszkania, podszedłem do telefonu. Na szczęście pamiętałem numer, czort wie czym by się to skończyło, gdybym musiał szukać notatek.

– Poproszę adiutanta towarzysza Berii – rzuciłem do słuchawki.

Kapitan pobladł – co innego słuchać gróźb, co innego widzieć, jak się spełniają.

– Wasze nazwisko? – szorstko zwróciłem się do bezpieczniaka.

– Ja...

– Sarkisow! – usłyszałem.

– Wygląda, że mam mały problem, towarzyszu pułkowniku – powiedziałem.

– W porządku, odejdziemy – wymamrotał pospiesznie kapitan.

Już nie miał miny zdobywcy świata. W naszym kraju nie ma ludzi niezastąpionych i nietykalnych, no, może poza jednym człowiekiem – ojczulkiem Stalinem. Wszyscy inni mogą w każdej chwili zostać pozbawieni nawet najwyższych stanowisk i stać się wrogami narodu. Także pracownicy NKWD, ba! – nawet szefowie tej instytucji. Któż wie o tym lepiej niż czekiści, którym przyszło przesłuchiwać niejednego generała czy marszałka? A z bezpieczniackiej katowni wyjście przeważnie jest tylko jedno: pod pluton egzekucyjny.

– Przepraszam najmocniej, panie pułkowniku, chciałem poinformować, że mogę się nieco spóźnić na spotkanie z Genkomem. Nie czuję się jeszcze najlepiej.

– Może jednak postaracie się, majorze! Generalny Komisarz nie ma dla was całego dnia!

– Tak jest! – szczeknąłem służbiście, wpatrując się w plecy wychodzącego kapitana.

Nie byłem pewien, czy bezpieka definitywnie zrezygnuje z nękania Nataszy, ale sama myśl, że po raz pierwszy w życiu przeciwstawiłem się czekistom, napawała dziwną satysfakcją. Trzeba uważać na takie uczucia, można się łatwo przyzwyczaić... A NKWD to przecież tarcza i miecz proletariatu, a co ważniejsze – towarzysza Stalina. Nie ma sensu wchodzić im w paradę, oj, nie...

Wbiegając po schodach, zastanawiałem się, w jakim celu wezwał mnie Beria? W końcu operacja została przeprowadzona pomyślnie: przywieźliśmy kilkanaście płócien znanych mistrzów, nie licząc paru skrzyń antykwarycznego chłamu. Oczywiście mógł mnie wezwać, aby wyrazić wdzięczność w imieniu własnym oraz socjalistycznej ojczyzny, ale jakoś mi to do Berii nie pasowało. Nie robił wrażenia człowieka, który byłby – bez naprawdę ważnego powodu – komukolwiek i za cokolwiek wdzięczny. Nie, nasze spotkanie nie skończy się raczej wręczeniem orderu. Dobrze, jeśli wyjdę z niego żywy. Z drugiej strony, gdyby dowiedział się o złocie, dawno siedziałbym w podziemiach Łubianki, a mój przyjaciel pułkownik Kutiepow starałby się nakłonić mnie do wyznania, dlaczego zdradziłem ideały socjalizmu...

– Nareszcie! – warknął czuwający przed gabinetem Genkoma Sarkisow. – Wchodźcie!

Wykonałem polecenie, po chwili stałem już przed rozpartym w fotelu Berią. Ten trzymał na kolanach tekturową teczkę, z wyraźnym zainteresowaniem przeglądał jakieś papiery.

– Dlaczego zastrzeliliście tę Niemkę? Tam, w magazynie? – zapytał znienacka.

Ożeż kurwa... Skąd on to wie? Gdybym nie ufał swoim ludziom, pomyślałbym – po raz kolejny – że któryś z nich sypnął. Tyle że im ufałem. Już wcześniej, indagowani na rozkaz Panfiłowa, wykazali się lojalnością. Zatem musiał być to ktoś inny. Tylko kto? Nasz agent po niemieckiej stronie? Wątpliwe, operacja nie miała aż takiego znaczenia, aby wykorzystywać agenturę. A i co ktoś taki robiłby w zapyziałej wiosce? Do tej pory nikt nie przywiązywał specjalnego znaczenia do

skradzionych dzieł sztuki. Zapewne to któryś z miejscowych, może jeden z partyzantów. W takim wypadku nie miałem czego się bać. Zameldował o zabitych faszystach? No i co z tego? Była wśród nich baba? Też mi nowina... Od kiedy to Armia Czerwona rycersko broni czci i życia niemieckich kobiet? *Naplewat*'...

– Uważam, że w takich sytuacjach lepiej nie zostawiać świadków – odparłem szczerze.

– Świadków czego?! – warknął Beria.

– Naszej działalności – wyjaśniłem z udanym zdziwieniem. – Oczywiście Niemcy już dawno odkryli, co zrobiliśmy w magazynie, ale nasze modus operandi nadal pozostaje nieznane.

– Co takiego?!

– Sposób działania – przetłumaczyłem szybko.

– Znacie łacinę? – Genkom uniósł brwi.

– Skąd! Coś tam liznąłem na studiach, ale o znajomości nie może być mowy. – Uśmiechnąłem się z rozbawieniem. – Czasem przeglądam słowniki, a pamięć mam dobrą.

W rzeczywistości termin „modus operandi" poznałem od Saszki Riumina, ten to lubił błysnąć wiedzą. No i uwielbiał wykazywać mi swoją wyższość intelektualną...

– To może powstrzymajcie się od popisów lingwistycznych – burknął Beria. – Słucham dalej!

– Tak jest! No więc Niemcy nie wiedzą, że operację przeprowadziła kilkuosobowa grupa, tym bardziej że zbiegło się to z atakiem partyzantów na pobliski garnizon i wysadzeniem torów. Gdybyśmy w przyszłości chcieli coś takiego powtórzyć... – zawiesiłem znacząco głos.

– Pracowaliście jakiś czas nad tą sprawą?

– Tak jest, towarzyszu Generalny Komisarzu!

– Gdybyście mieli wyznaczyć cele dla kolejnych operacji tego typu, od czego byście zaczęli? – zapytał pozornie obojętnym

tonem.

No tak... To wiadomo już, skąd wiatr wieje. Genkom Beria wyciśnie ze mnie wszelką wiedzę, a potem na bazie tego, co mu powiem, opracuje plan własnej – a jakżeby inaczej! – operacji. Zupełnym przypadkiem identycznej z planem niejakiego majora Razumowskiego. I pewnie przedstawi go towarzyszowi Stalinowi jako swój genialny koncept... Czyli wcześniejsze pytania miały jedynie zbić mnie z tropu, ułatwić wyciągnięcie ze mnie informacji. Powinienem się cieszyć, że nikt mnie nie podejrzewał o kradzież złota, a jednak poczułem złość. Sam się zdziwiłem, jak wielką. Ileż to już razy moi przełożeni wykorzystywali cudze przemyślenia? Ilu idiotów, którzy nie trafiliby do kibla bez psa przewodnika, wspinało się w hierarchii służbowej po moich plecach. Ech, Razumowski, Razumowski, lepiej trzymajcie uczucia na wodzy, bo wystarczy najlżejsze podejrzenie i będziecie wąchać kwiatki od spodu. Nikt nie krzywi się na Genkoma, cokolwiek by ten zrobił. Nikt, komu życie miłe...

Westchnąwszy w duchu, przedstawiłem towarzyszowi Berii wszelkie swoje przemyślenia na temat rewindykacji dzieł sztuki. Niczego nie ukrywając, szczerze. Zaznaczyłem nawet na precyzyjnej sztabowej mapie dyslokację magazynów, w których Niemcy przechowywali skradzione dobra. Przygotowując się do akcji, ustaliliśmy położenie kilku z nich.

Generalny Komisarz wysłuchał mnie bez słowa, porobił jakieś notatki na marginesach sobie tylko wiadomych dokumentów.

– Kiedy według was należałoby wykonać kolejny ruch? – spytał wreszcie.

– Chcąc mieć przewagę zaskoczenia, w ciągu tygodnia. Jak zaznaczyłem, nie sądzę, żeby Niemcy skojarzyli, że nasza akcja to część szerzej zakrojonej operacji, wątpię też, żeby

podejrzewali o wykonanie całej roboty niewielką grupkę profesjonalistów. Jednak nie można wykluczyć, że ktoś inteligentny skojarzy fakty i doda dwa do dwóch. Z drugiej strony... – Przygryzłem nerwowo usta.

– Tak?

– Mogę zadać pytanie?

– Pytajcie!

– Czy wydaliście jakieś dodatkowe rozkazy wspierającym nas partyzantom, towarzyszu Generalny Komisarzu?

– A konkretnie?

– Noo... Czy nie mieli po nas posprzątać?

Beria zdjął binokle i przez chwilę masował nasadę nosa.

– Jak się domyśliliście?

– Zgadywałem.

– Owszem, kazałem podpalić magazyn po waszym odjeździe. Grupa, która tego dokonała, miała was też asekurować. Na wszelki wypadek.

Akurat, pomyślałem ponuro. Raczej zlikwidować, gdyby się okazało, że odjeżdżamy w innym kierunku niż ustalony. Specjalne oddziały zaporowe istniały od początku wojny w strukturach NKWD i działały tak sprawnie, że towarzysz Stalin nakazał utworzyć podobne i w armii. Całkiem niedawno – rozkazem numer 227 z lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Teoretycznie każdy żołnierz powinien znać wszystkie rozkazy Głównodowodzącego, w praktyce nikt poza politrukami nie zwracał na nie uwagi. Były oczywiście wyjątki: treść rozkazu numer 227 każdy mógł powtórzyć nawet przez sen. No i nie dziwota – od tego, czy mu się podporządkował, zależało jego życie. Nie było to zresztą skomplikowane, całość sprowadzała się do jednego zdania: „Ani kroku w tył!”. A specoddziały nie znały się na żartach – ten, kto wylądował

w karnym batalionie, mógł mówić o szczęściu, bywało, że wycofujących się żołnierzy rozstrzeliwano na miejscu.

– Co z partyzantami? – spytałem, otrząsając się z zadumy.

– A co ma być? – wzruszył ramionami Beria. – Prawie wszyscy zginęli. Ocaleli tylko ci, którzy zabezpieczali lądowisko i zacierali ślady w magazynie. Reszta walczyła do końca, aby osłonić wasz odwrót. Nie mieli żadnych szans, Niemcy błyskawicznie ściągnęli posiłki i przeszli do kontrataku.

Przełknąłem z trudem ślinę. Nie czułem specjalnej sympatii do nieznanych mi w końcu ludzi: na wojnie jak na wojnie – dziś zginiesz ty, jutro ja, jednak nonszalancki stosunek Genkoma do kwestii strat osobowych mroził krew w żyłach. Może to i dobrze, że NKWD przejmie kierownictwo nad wymyśloną przeze mnie operacją? Zapewne mimo ryzyka związanego z przyszłą akcją *wojennoj razwiedki* i tak dawała mi ona większe szanse na przeżycie niż wykonywanie z pozoru banalnych zadań dla towarzysza Berii...

Wspinałem się na piętro tak wolno, jakbym miał nie trzydzieści pięć, lecz sześćdziesiąt pięć lat. Cóż, ostatnie dni okazały się dość męczące, a i spotkanie z towarzyszem Berią nie należało do przyjemnych. Już na schodach wyczułem zapach jedzenia – pora była obiadowa. Po chwili żołądek odezwał się bolesnym skurczem. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio jadłem normalny posiłek. Zanim zdążyłem włożyć klucz do zamka, drzwi stanęły otworem i Natasza podtrzymała mnie pod ramię.

– Kiepsko wyglądacie – powiedziała z niepokojem w głosie.

Spojrzałem na nią zaskoczony: nie przywykłem, żeby ktoś się o mnie martwił, a nie wyglądało, aby moja sąsiadka udawała.

Inna rzecz, że gdyby nie ja, zapewne jechałaby teraz gdzieś na północ. Pod konwojem. Stąd pewnie jej troska...

Natasza pomogła mi się rozebrać, w wannie – tak, miałem w mieszkaniu nawet wannę – czekała na mnie gorąca woda. No, prawie gorąca. Trudno utrzymać odpowiednią temperaturę, dolewając co chwila wody z czajnika czy garnka. Tuż przed wojną pojawiły się pogłoski, że cała nasza dzielnica ma zostać zaopatrzona w ciepłą, bieżącą wodę. Niestety, niedługo później zaczęto budować schrony, zamiast modernizować wodociągi.

Mimo że byłem głodny, a kuchenne zapachy dochodziły do łazienki, moczyłem się dobre pół godziny. Dopiero teraz zniknęło pobitewne napięcie, zaczynało do mnie docierać, że przeżyłem – raz jeszcze. Będę regularnie jadał, spał w cieple przez całą noc, może pójdę na jakiś koncert albo do kina? Wiedziałem, że takie życie nie potrwa zbyt długo, prędzej czy później sielankę przerwie rozkaz Panfiłowa, lecz chwilowo nic mi nie groziło. Byłem wśród swoich, bezpieczny.

Z niechętnym stęknięciem wygramoliłem się z wanny, przetarłem dłonią zaparowane lustro. Z drugiej strony spojrzał na mnie mężczyzna o szarej cerze i zmęczonych oczach. Sięgnąłem po szczoteczkę i proszek do zębów: obok pudełka mojego ulubionego proszku „Rekord” ktoś położył tubkę pasty. No, no... pewnie Natasza się porządziła. Od czasu do czasu można było u nas kupić i pastę do zębów, o ile pamiętałem, sprzedawała ją – jak większość kosmetyków i środków higieny – firma „TeŻe”, ale ludzie i tak woleli stare, sprawdzone metody. Cóż, może najwyższy czas spróbować czegoś nowego? Ostrożnie wycisnąłem odrobinę pasty; smak nie był najgorszy. Ostatecznie poradziłem sobie z myciem zębów bez użycia proszku. Zobaczymy, jakie będą skutki...

Po chwili siedziałem już nad miską barszczu. Natasza nalała i sobie odrobinę zupy, ale nie jadła, przycupnęła na brzeżku

krzesła, czujna na każdy mój ruch.

– Skąd ta nerwowość? – spytałem, zaspokoiwszy pierwszy głód.

– Podsłuchiwałam – przyznała ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Wtedy gdy przyszli czekiści. Dotrzymaliście słowa – dodała z niedowierzaniem w głosie.

Wzruszyłem ramionami, odsunąłem pusty talerz. Natasza natychmiast pobiegła do kuchni, wróciła, niosąc kaszę z grzybami.

– To nic takiego – wymamrotałem wreszcie. – Przecież obiecałem. I może zaczniesz zwracać się do mnie po imieniu? – zaproponowałem. – W końcu znamy się dość blisko...

Przytaknęła ruchem głowy, na jej policzki wpełzł malinowy rumieniec.

– Dobrze... Saszka.

– Gdzie twój syn?

– W piwnicy. Od paru dni biega tam, kiedy tylko mu pozwolę. Nie mam nic przeciwko, bo jest tu bardziej bezpieczny niż na ulicy, a trudno trzymać go cały czas w domu. Chyba bawi się z jakimś chłopcem.

– Dzieciaki – westchnąłem.

– Nie powiedziałam jeszcze, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Gdyby nie ty, i ja, i Losza bylibyśmy teraz...

Powstrzymałem Nataszę ruchem dłoni. Nie miałem ochoty wysłuchiwać wylewnych podziękowań. To był tylko układ, nic więcej. I chyba to ja skorzystałem na nim bardziej niż Natasza: w zamian za utarcie nosa jakiemuś gówniarzowi z NKWD zyskałem gospodynię i wdzięczną kochankę. Dziewczyna musiała coś dostrzec w moich oczach, bo sięgnęła do kołnierzyka, rozpięła guziczek bluzki.

– Nie zachowuj się jak prostytutka – powiedziałem. – Pamiętasz, co mówiłaś o tym, jak na mnie patrzysz? Jak

wyobrażałaś sobie, że moglibyśmy...

Wyraźnie zawstydzona zakryła twarz rękoma.

– To była prawda?

– Tak.

– No więc wyobraź sobie, że jesteśmy małżeństwem albo coś w tym stylu. I zachowuj się, jakby tak rzeczywiście było. Nie chcę, żebyś robiła to ze strachu.

– Nie bałam się ciebie, Saszka. Nigdy. Ty nigdy byś mnie nie skrzywdził jak...

Nie dokończyła zdania, a ja nie naciskałem. Być może chodziło jej o Włada, to przecież przez niego te wszystkie przykrości. Tyle że sam fakt znalezienia się w niewoli nie był przecież jego pomysłem. A i wytyczne Gławkoma Stalina wydawały mi się nieco... nieżyciowe. Żołnierz powinien walczyć do końca – zgoda! Ale co, jeśli zostanie ranny albo skończy mu się amunicja? Jeżeli jego oddział zostanie otoczony? Ma atakować czołgi z bagnetem w ręku? Ech, ci cywile... Ich wyobrażenia o wojnie częściej mają więcej wspólnego z filmami propagandowymi niż rzeczywistością. No, to jednak nie mój problem. Natasza ma żal do męża? To i lepiej, będzie bardziej hojna dla mnie... W końcu coś mi się od życia należy.

– Posiedź przy mnie – poprosiłem, kładąc się na kanapie.

Po obiedzie ogarnęła mnie nagła senność, najwidoczniej organizm chciał powetować sobie pełne napięcia dni.

– Posiedzę – obiecała.

– Jak położysz małego spać, przyjdź do mnie.

Nie usłyszałem już odpowiedzi. Zasnąłem.

Rozdział siódmy

Obudziłem się, czując ciepło przytulonego do moich pleców kobiecego ciała. Za oknem nocny mrok walczył z pierwszymi promieniami słońca. Dniało. Mimo zmęczenia ocknąłem się tuż przed świtem, zadziałał instynkt. Dla zwiadowcy to najbardziej niebezpieczna pora: nawet doświadczeni żołnierze śpią ciężkim, głębokim snem, a wartownikom opadają powieki. Jeśli ktoś czai się w szarówce przedświtu, zaatakuje właśnie teraz.

Wyśliznąłem się z pościeli, na palcach przeszedłem do łazienki. Chętnie poleżałbym dłużej, może nie tylko poleżał – wydawało mi się, że Natasza nie miałaby nic przeciwko temu – ale czekało mnie wiele pracy, przede wszystkim musiałem pogadać z Poliakowem. Najwyższy czas zająć się sprawą dokumentów. Tym razem wszelkie atuty były po mojej stronie – mogłem zapłacić za usługę. Dobrym carskim złotem.

Ochlapałem się pospiesznie zimną wodą, ogoliłem. Zerknąłem na zegarek: dochodziła siódma. Zanim coś zjem, zanim dojadę na komendę, będzie koło dziewiątej. Zamierzałem złapać Poliakowa z samego rana, zanim zwalą się na niego codzienne obowiązki. Funkcja komendanta Moskwy na pewno nie była synekurą i milicjant miał wiele spraw do załatwienia, chciałem dopilnować, żeby najpierw zajął się moją.

Kiedy wyszedłem z łazienki, Natasza krzątała się już w kuchni, zanim się ubrałem, na stole parował talerz jajecznicy

ze szczypiorkiem.

– Jedz, Saszka – powiedziała z nieco sennym jeszcze uśmiechem.

– Skąd ta zielenina? – spytałem, pałaszując z apetytem.

– A jak myślicie, towarzyszu zwiadowco? – odparła z figlarnym błyskiem w oczach.

– Zastanówmy się – wymruczałem. – W sklepie nie kupisz, nasza gospodarka przeżywa przejściowe trudności...

– Odkąd pamiętam, nasza gospodarka przeżywa przejściowe trudności – parsknęła Natasza lekceważąco.

Zmierzyłem dziewczynę badawczym wzrokiem – nie miałem zamiaru uczestniczyć w tego typu rozmowie. Inna sprawa, że nasza gospodarka rzeczywiście funkcjonowała dość... dychawicznie i gdyby była koniem, dawno ktoś by ją dobił. Z litości. Nawet najbardziej ideowi komuniści pozwalali sobie czasem na uszczypliwości w tej kwestii. Rzecz jasna, w zaufanym gronie.

– Cóż... – powiedziałem z udanym namysłem. – Zapewne szpiegujesz na rzecz wrogów komunizmu i wynagrodzenie odbierasz w zielonych...

Roześmiała się, ukazując zdrowe, białe zęby – może pasta „Sanit" nie była taka zła? Tak czy owak, postanowiłem używać jej zamiast proszku do zębów. Przez jakiś czas. Jak to się mówi: „Nowoczesność w domu i zagrodzie".

– No więc? – ponagliłem.

– Uprawiam zieleninę i zioła w doniczkach, w mieszkaniu – odparła, wzruszając ramionami. – Wszyscy tak robią. Ira Worobiowa z parteru wyhodowała nawet drzewko cytrynowe, z prawdziwymi cytrynami.

– Zuch dziewczyna! – wymamrotałem z pełnymi ustami.

Potrafię nieźle gotować, lecz jedzenie przyrządzone przez Nataszę wydawało mi się jakieś... smaczniejsze. Może dlatego,

że nie musiałem sam stać przy kuchni? Zagryzłem jajecznicę kilkoma kromkami chleba, popiłem gorącą herbatą. Najwyższy czas udać się na komendę, jeśli nie zastanę Poliakowa, sprawa może się przeciągnąć.

Wkrótce stałem już na przystanku tramwajowym, czekając na kolejną maszynę. Poprzednia odjechała przed chwilą tak obwieszona pasażerami, że nawet nie próbowałem się wepchnąć. Mogłem co prawda wezwać służbowy samochód, jednak nie chciałem, aby kierowca meldował komuś o moich peregrynacjach po mieście. Nie żebym się spodziewał jakiejś szczególnej inwigilacji, ale strzeżonego...

Ludzie przepuścili mnie przodem – ze względu na mundur, tym razem zdążyłem ulokować się wewnątrz pojazdu, zanim kierowca odjechał. Koła postukiwały po szynach, od czasu do czasu odzywał się dzwonek. Pasażerowie beztrosko wymieniali się plotkami. Sensacją dnia był przyjazd snajperki Ludmiły Pawliczenko. Ktoś dźwięcznym basem poinformował, że dziewczyna zastrzeliła ponad trzystu Szwabów, starsza, ubrana z zeszłowieczną elegancją kobieta ubolewała nad śmiercią męża snajperki. Tamten zginął w walkach o Sewastopol.

Z ulgą wysiadłem niedaleko komendy, resztę drogi przeszedłem pieszo. Miałem dosyć dyskusji o wojnie, nie chciałem słuchać nawet o bohaterskich i zapewne ładnych snajperkach. Sewastopol wpadł w ręce Niemców, nie było się z czego cieszyć.

Miałem szczęście, Poliakow – o dziwo, po cywilnemu – podążał gdzieś zdecydowanym krokiem. Jeszcze moment i nie zastałbym go w pracy.

– Anton! – zawołałem, rzucając się w pogoń. – Anton!

Poliakow odwrócił się gwałtownie, z prawą ręką w kieszeni palta. Założę się, że nie sięgał po chusteczkę do nosa...

– Czego się drzesz? – burknął. – Coś się stało?

– Mam pieniądze – poinformowałem go pospiesznie. – Chciałbym załatwić te dokumenty. Jak najszybciej.

– Nie mam dzisiaj czasu. Może pogadamy jutro?

– Ja też nie mam wiele czasu! Różnica jest taka, że ja ci co najwyżej przeszkodzę w spotkaniu z jakąś miłą dziewuszką, a jeśli nie dostanę tych papierów, będę gryzł piach!

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, zerknął na zegarek.

– Ja naprawdę nie mam dzisiaj ani chwili czasu – powiedział już łagodniejszym tonem. – Inna sprawa, że nie jestem pewien, jak będzie jutro. Mamy cholerne gigantyczne CZP.

– Co się stało?

– No dobrze – westchnął. – Możemy pogadać po drodze. Tylko licz się z tym, że jeśli cię ze mną zobaczą, będziesz musiał zapłacić za te dokumenty dużo więcej niż normalnie.

– Kto ma mnie z tobą zobaczyć?! I dlaczego nie jesteś w mundurze?

– *Błatni*. Mam spotkanie z *worami w zakonie* – odparł jakby nigdy nic.

– W jakiej sprawie?

– Morderstwa. Prawdopodobnie seryjny zabójca.

– Myślałem, że to się zdarza tylko na Zachodzie, wiesz, Kuba Rozpruwacz i tacy tam.

– Akurat! – warknął. – W dodatku ten chuj nie mógł się zadowolić jakimś palantem z ulicy, bo wtedy dałbym radę wyciszyć sprawę. Nie, on musiał zarżnąć ulubionego siostrzeńca rektora Uniwersytetu Łomonosowa!

– Myślisz, że to się powtórzy?

– Jestem pewien!

– Dlaczego?

– Bo zwykły, nawet najbardziej zwyrodniały morderca nie wypisuje raczej krwią ofiary przysłów na ścianie! No i zabójstwa wśród studentów zdarzają się rzadko, możesz mi

wierzyć. Pijaństwo, bijatyki, wciąganie miejscowych dziwek przez okno po linie tak, ale nie morderstwa.

– Jakich przysłów?

– Zaraz, jak to było? – zastanowił się Poliakow. – *Nie sztuka nauka, sztuka razum*.

– Sęk nie w nauce, lecz w rozumie? – spytałem zdziwiony. – To jakaś aluzja do tego, że facet był studentem?

– A skąd ja to mogę wiedzieć?! Wiem jedno: ten kutas chce się z nami pobawić. Zostawił nam swój znak, coś, co odróżnia jego robotę od zwykłych przestępstw. Bo on jest dumny z tego, co robi. I dopiero rozpoczął zabawę...

– A co z tymi *worami*? Po cholerę umawiasz się z nimi? I jak ich namówiłeś, żeby się z tobą spotkali? Przecież ty ich ścigasz...

Spojrzenie, jakim obrzucił mnie Poliakow, z pewnością nie wyrażało uznania. Tak patrzy się na niedorozwinięte dziecko.

– A jak myślisz, jakim cudem kontroluję sytuację w Moskwie? Mam z nimi układ.

– Układ?!

– Owszem. Pozwalam im robić swoje, o ile nie złamią zasad gry. Moich zasad! Mogą pędzić i sprzedawać bimber, ale nie narkotyki. Nie wtrącam się, jeśli trzepną po głowie jakiegoś frajera i wyciągną mu portfel, ale nie pozwalam, żeby rozwalili mu łeb. Kradzieże kieszonkowe? Proszę bardzo! Włamania? Także. Tylko jeśli okaże się, że obrobili kogoś ważnego, fanty w ciągu doby lądują u mnie, na stole. A ja je zwracam poszkodowanemu z gwarancją, że rzecz się nigdy nie powtórzy.

– Ale dlaczego? Nie lepiej byłoby ich wszystkich wiesz...

– Do pierdla? – dokończył ironicznie Poliakow. – Nie lepiej. Bo na miejsce aresztowanych przyszliby nowi. Tacy, których nie znam. Teraz panuje porządek, potem rozpoczęłby się chaos.

– Porządek?!

– Porządek! – przytaknął milicjant twardo. – Mój porządek. Oni mają zresztą swoje zasady: kieszonkowiec nie okradnie nigdy starca, ciężarnej ani kobiety z dzieckiem. Nie ma gwałtów, nie ma morderstw.

– Jak to nie ma?! Przecież gazety...

– Ja mówię o *błatnych* – zwrócił mi łagodnie uwagę. – Poza nimi żyje w Moskwie jeszcze sporo innych ludzi. Ci „niezrzeszeni” nie kierują się żadnymi regułami. Tak czy owak, jeśli coś wywiną, *błatni* często znajdą ich szybciej niż my. I prędziutko poinformują mnie o frajerze, który psuje im interesy. A jeśli zasady złamie ktoś z ferajny, rozliczą się z nim sami.

– Jakie interesy?

– Normalne. Płacą mi. Jeżeli coś jest nie tak, podnoszę stawki, naliczam karne odsetki.

Zamurowało mnie. Komendant milicji biorący łapówki od bandziorów? I to na taką skalę? To ci dopiero socjalistyczna praworządność...

– Wszyscy biorą – poinformował mnie Poliakow z lekkim uśmiechem. – Tyle że przeważnie nie są tacy uczciwi jak ja.

Poluzowałem kołnierzyk, nagle wydał mi się za ciasny.

– Uczciwi, powiadasz? – wychrypiałem.

– Dorośnij, Saszka – westchnął milicjant. – Mogę przeszkadzać *błatnym* w interesach, płacą, żebym tego nie robił. Z drugiej strony dzięki temu, że mamy układ, mogę ich kontrolować, trzymać za jaja.

– A to jakim cudem?! – warknąłem.

– Powiedzmy, że dostaję forsę za „ochronę” nielegalnych kasyn i burdeli, no więc muszę wiedzieć, gdzie i co mam chronić, prawda? Dzięki temu znam wszystkie takie... przybytki. I mogę dopilnować, żeby krupier nie oszukiwał, klienta nie oskubano po wyjściu z lokalu, a wszystkie dziwki

były zdrowe i regularnie się badały. No i najważniejsze: jestem w stanie w każdej chwili to wszystko zlikwidować. Jeśli tylko ktoś naruszy zasady. Wierz mi, to najlepszy układ nie tylko dla mnie, lecz i mieszkańców Moskwy. Biorę forsę od złodziei, dziwek, spekulantów i fałszerzy, ale nie gadam z mordercami czy gwałcicielami. Ci nie mogą się okupić za żadną cenę! Na mojej ziemi nie ma dla nich miejsca!

Na jego ziemi, dobre sobie... Wiedziałem, że Poliakow nie jest aniołkiem, jednak skala interesów, jakie prowadził, mnie przytłoczyła. Teraz już rozumiałem, skąd jego wiedza na temat kryminalnego podziemia, skąd kontakty. Z drugiej strony, co to mnie obchodzi? W zasadzie powinienem być zadowolony, że pozycja, jaką zajmował w świecie *błatnych* mój nowy przyjaciel, gwarantuje załatwienie lewych papierów wysokiej jakości. A o socjalistyczną praworządność i porządek publiczny niech się martwi Politbiuro, mnie wystarczy, jeśli sobie jeszcze trochę pożyję...

Skręciliśmy w wąską uliczkę, przeszliśmy przez podwórko tuż obok jakiejś zapomnianej cerkwi. Wyglądała na opuszczoną, ale nikt jeszcze nie przerobił jej na publiczną toaletę czy muzeum ateizmu. Aż dziw... Sąsiedni dom otoczony był wysokim drewnianym płotem. W bramie stało kilku mężczyzn, paru innych zauważyłem po drugiej stronie ulicy. Najwyraźniej obstawiali teren.

– Wejdziemy razem – poinstruował mnie pospiesznie milicjant. – Nie odzywaj się i o nic nie pytaj.

Też mi wskazówki! A o czym, do kurwy nędzy, mogę gadać z moskiewskimi bandziorami?!

W obszernym pomieszczeniu królował potężny okrągły stół. *Błatni* ucztowali. Kawior, szampan, francuskie koniaki sąsiadowały z suszoną rybą, wódką i zwykłym samogonem. Zapewne zakąski i rodzaj alkoholu dostosowano do preferencji

biesiadników. Ci także byli różni: obrzmiałe od wódy, czerwone mordy i wytatuowane, świetnie widoczne spod podwiniętych do łokci rękawów łapska kontrastowały z fizjonomiami, których nie powstydziliby się intelektualiści. Kilku wyglądało wręcz jak przedrewolucyjni arystokraci. Zresztą – cholera ich wie – może to rzeczywiście niedotłuczeni arystokraci? Nie zdziwiłoby mnie, gdyby skumali się z bandytami. Według słów Poliakowa *błatni* nienawidzili socjalizmu. Tak więc i jedni, i drudzy mieli wspólnego wroga. Razumowski, Razumowski, w coś ty się wplątał...

Poliakow odchrząknął, na sali zapanowała cisza.

– Wszyscy wiecie, po co tu jestem – zagaił bez powitania. – W mieście pojawił się morderca. To wariat, zabija dla przyjemności. I nie przestanie, póki żyje.

– A nam co do tego, *naczialnik*? – spytał ponuro niski, chudy mężczyzna o twarzy szczura. – To żaden z naszych.

– To, że jeśli ten dupek zabije po raz kolejny, a tak się stanie, ponieważ zabijanie sprawia mu przyjemność, będę miał kłopoty. A wtedy i u was pojawią się problemy – odparł zimno Poliakow. – Bo zostanę zmuszony do udowodnienia, że intensywnie pracuję i odnoszę sukcesy w walce z bezprawiem. No więc zacznę likwidować burdele, zamykać paserów i dziwki.

– Grozisz, *naczialnik*?

– Uprzedzam.

Wygłosiwszy swoją kwestię, Poliakow zasiadł za stołem, napełnił szklankę wódką, wychylił, jakby znajdował się w restauracji. Przysiadłem obok, dyskretnie luzując zamykający kaburę rzemień. Miałem nadzieję, że jeśli zacznie się rozpierducha, zdążę chociaż wyciągnąć broń. Na razie jednak wyglądało, że *błatni* dyskutują nad ultimatum Poliakowa. Mimo że nikt nie zadał sobie trudu, aby ściszyć głos, rozumiałem co drugie słowo – niemal wszyscy używali żargonu.

Ktoś i mnie nalał wódki, podsunął talerz z zakąskami. Zamrugałem zaskoczony: kobieta. Jedyna w towarzystwie. Nieznajoma usiadła przy mnie, uniosła trzymane w dłoni szkło w niemym toaście. Wypiliśmy. Na jednym z palców miała wytatuowany pierścień z koroną. Ki czort? Jakiś symbol? Przyglądała mi się otwarcie, lecz nie wyglądało to na typowo kobiece zainteresowanie. Odwzajemniłem się babie bez żenady: nie była pięknością, jej widok nie wywołałby nie tylko zamieszek, ale i zainteresowania – ot, przeciętna dziewuszka. Skromnie ubrana, niczym urzędniczka, nie nosiła biżuterii ani zegarka. Tylko w jej oczach dostrzegłem coś dziwnego – rozbawienie. Dziewucha siedziała wśród najgorszych moskiewskich mętów i najwyraźniej ją to bawiło. Tak, to nie było zwyczajne...

– A ty skąd, sokoliku? – spytała z uśmiechem.

– Jestem z nim. – Skinąłem w stronę Poliakowa.

– Przecież widzę – odparła z lekkim zniecierpliwieniem. – Inaczej by cię tu nie było. Co robi żołnierz na naszym małym zebraniu?

Wzruszyłem ramionami, pamiętając o ostrzeżeniu Poliakowa, żeby nie wdawać się w dyskusje.

– Nie lubię gadatliwych mężczyzn, ale to już chyba przesada – zauważyła.

Uniosłem brwi, słysząc w głosie kobiety nowy, zimny ton. Wyglądało, że baba jest przyzwyczajona do wydawania rozkazów i do tego, że ludzie zawsze i bez zwłoki odpowiadają na jej pytania. No nie, Poliakow Poliakowem, lecz czegoś takiego nie można zignorować, nie w takim towarzystwie.

– I co z tym zrobisz, kochanie? – spytałem, poklepując ją obraźliwie po policzku.

Wzruszyła z wdziękiem ramionami, ale nie dałem się nabrać: ten gest miał tylko odwrócić moją uwagę: chciała sięgnąć po

nóż. Tyle że nie zdążyła – trzymałem ją już za nadgarstek, a moje ostrze wbijało się pod jej brodę.

Ktoś zauważył naszą małą pantomimę, w pomieszczeniu ponownie zapadła cisza.

– O co chodzi? – spytał siedzący naprzeciwko mężczyzna pod pięćdziesiątkę.

Gość ubrany był z niewymuszoną – i na pewno nie sowiecką – elegancją, u nas bardziej niż kapelusze modne były kaszkiety, na ulicach królowały skórzane kurtki, a nie garnitury Burberry. Mimo fircykowatego wyglądu nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo można zlekceważyć. Pełna szacunku uwaga, z jaką *błatni* śledzili jego słowa, wskazywała, że podzielają moje zdanie.

– Słuchamy, Zoja – ponaglił.

Najwyraźniej pytanie skierowane było do mojej sympatycznej rozmówczyni...

– Zastanawiałam się, dlaczego *gospodin naczialnik* – zaakcentowała ironicznie – przyszedł dziś w towarzystwie?

– I do jakich wniosków doszłaś?

– Cóż, co by nie powiedzieć o naszym *legawym* przyjacielu, na pewno nie jest tchórzem, obstawa mu niepotrzebna. Zresztą on zna nasze zasady, wie, że tu i teraz jest bezpieczny.

– Więc?

– Ten facet to wyszkolony zabójca. Podejrzewam, że pan pułkownik ma zamiar jakoś nas zmotywować, gdybyśmy jednak nie chcieli węszyć za tym wariatem, który tak mu przeszkadza.

Kilku urków zerwało się z miejsc z niedwuznacznie agresywnymi zamiarami, ale mężczyzna powstrzymał ich jednym ruchem dłoni.

– Może najpierw porozmawiamy? – zaproponował.

Przynajmniej brzmiało to jak propozycja, tyle że nikt nie zamierzał z nią dyskutować. Słowa eleganta przyjęto przez

aklamację, choć zauważyłem, że nie wszystkie dłonie spoczęły na widoku, kilka pozostało nadal w kieszeniach. Miałem nadzieję, że *błatni* preferują noże – wtedy mielibyśmy jakieś szanse, jakby co. W przeciwnym wypadku nie damy rady nawet wydostać się z domu.

– Złapanie tego świra jest niezbędne, abyśmy mogli kontynuować nasze... interesy – oznajmił Poliakow. – Parę bardzo wysoko postawionych osobistości oświadczyło mi wczoraj, że albo rozwiążę tę sprawę w najbliższym czasie, albo... – zawiesił znacząco głos. – Mam wielu wrogów, a gdzieś tam – wskazał palcem w górę – jest lista osób, które mogą zająć moje miejsce. Ta lista istnieje od dawna, jednak do tej pory miałem jedną podstawową przewagę nad konkurentami: skuteczność. Dlatego musicie mi pomóc.

– Musimy? – uniósł brwi elegant.

– Inaczej będzie bolało – oznajmił posępnie milicjant.

– A konkretnie? – odezwała się dziewczyna.

– Zlikwiduję cały wasz biznes. Oczywiście spróbujecie zmienić lokale, jednak nie będzie to takie łatwe. Znajdę i te nowe. I zamknę.

– Nie masz tylu ludzi, *naczialnik* – parsknął pogardliwie któryś z *błatnych*. – A my znamy gęby większości z nich.

– To major Razumowski z *wojennoj razwiedki* – przedstawił mnie niespodziewanie Poliakow. – Jego ludzi też znacie? A może chcielibyście, żeby setka czy dwie, jak to powiedziała nasza urocza dama: „wyszkolonych zabójców", zaczęła przechadzać się po terenach, na których skubiecie frajerów? Jak myślicie, jaki byłby efekt takiej... konfrontacji? Bo mnie się wydaje, że coś takiego polepszyłoby sytuację tylko w jednej branży: pogrzebowej.

Przez chwilę trwała jeszcze nabrzmiała zdumieniem cisza, później wokół zapanowało pandemonium; kilkanaście osób

przekrzykiwało się nawzajem, milicjant został otoczony przez rozwścieczonych urków. Jeszcze trochę i...

Zgrzytnąłem zębami, nie kryjąc się już, sięgnąłem do kabury. Poliakow, ty chuju! W coś ty mnie wpakował?!

Tym razem to siedząca obok dziewczyna chwyciła mnie za ramię, lecz w jej geście nie wyczułem agresji.

– Nie wyciągaj spluwy! – syknęła. – Nie będzie żadnej walki, o ile nie zaczniesz.

– Naprawdę? – mruknąłem, patrząc na kłębiący się wokół Poliakowa tłum.

– Nie tutaj, nie teraz! – zapewniła z naciskiem.

No cóż, zawsze to jakieś pocieszenie... Tymczasem elegant podniósł się z krzesła, najwyraźniej zamierzał uspokoić towarzystwo. Myślałem, że będzie musiał krzyczeć – nic podobnego! – wystarczyło, że uniósł dłoń. *Błatni* umilkli w pół słowa, jakby mieli oczy na plecach.

– Nie gorączkujmy się – westchnął. – Spróbujmy przedyskutować tę kwestię. Bo pan pułkownik zapewne pomyślał, jak wynagrodzić nasze... zaangażowanie i chęć pomocy?

– Pomyślał! – przytaknął Poliakow.

Po raz pierwszy widziałem, że jest zdenerwowany: na czole milicjanta pojawił się pot, twarz zastygła w wyrazie determinacji.

– Czekamy na konkrety – zachęcił elegant.

– Może najpierw ktoś pokaże okolicę naszemu przyjacielowi? – powiedział Poliakow, niedwuznacznie popatrując na mnie. – Sądzę, że znudzi się detalami naszego porozumienia.

Elegant skinął głową, jakby przyznawał rację milicjantowi, wymienił spojrzenia z dziewczyną.

– Zoja, byłabyś uprzejma?

– Oczywiście. Chodź ze mną, sokoliku! – Uśmiechnęła się zalotnie.

Nie wziąłem tego na poważnie, wiedziałem, że ma przy sobie nóż.

– Zajdziemy do cerkwi? – zaproponowała, kiedy wyszliśmy za bramę.

– Wszystko mi jedno – odburknąłem.

– No, tylko się nie obrażaj, w niektórych sytuacjach lepiej za dużo nie wiedzieć. Naprawdę jesteś z wywiadu? – spytała znienacka.

– A uwierzysz mi, jak odpowiem?

– To zależy – stwierdziła z namysłem.

– Jestem. – Wzruszyłem ramionami. – Major Razumowski, *Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije*.

Spojrzała mi w oczy, miałem wrażenie, że chce przeniknąć moje myśli, dotrzeć do mózgu.

– Wierzę ci – odparła po chwili.

Stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami cerkwi. Moja towarzyszka sięgnęła do torebki, wyjęła spinacz i kilkoma ruchami otworzyła kłódkę. Znaczy dziewucha ma dryg nie tylko do noża.

– Zapraszam! – Skłoniła się z rewerencją.

Podłogę i sprzęty pokrywał kurz, ale widać było, że od czasu do czasu ktoś odwiedza świątynię. Na ścianach wisiały ikony, zauważyłem niedopałki świec. Czyżby ktoś się tu modlił? Z powodu wojny nieco złagodzono oficjalny kurs wobec religii – należało konsolidować społeczeństwo, ale było to raczej przymykanie oczu niż prawdziwa zmiana. Władza nadal nie lubiła religii. Wierzący praktykowali na własne ryzyko.

Trzasnęła zapałka, Zoja zapaliła kilka świec, przeżegnała się i skłoniła przed obrazem *Archistratiga Michaiła*. Cóż, przynajmniej wybrała odpowiedniego patrona – czasy zrobiły

się niespokojne, któż mógł je lepiej zrozumieć niż dowódca bożych zastępów? Chociaż kto wie? W końcu Archanioł Michał to patron żołnierzy, nie złodziejaszków.

– Nie wierzysz w Boga, prawda?

Mimo pytającej intonacji odebrałem to bardziej jako konstatację faktu.

– Nie wierzę – przyznałem. – Jest tylko człowiek, a nad nim gwiazdy. Zimne, dalekie i obojętne. Słyszały twój pierwszy krzyk, usłyszą i ostatni oddech. Będą trwały niewzruszone, kiedy twoje kości dawno zbutwieją w ziemi.

– Więc według ciebie nie ma nic poza biologią?

– Ależ skąd! Są uczucia: miłość, przyjaźń. Są też nienawiść, strach i bestialstwo. A my, my jesteśmy samotni.

– A Bóg?

– Bóg? A cóż dałoby przekonanie, załóżmy to dla dobra dyskusji, że Bóg istnieje? Czy zmienił losy świata? Odpowiedział ci kiedyś? Bóg jedynie patrzy oczyma z gwiazd. Nie słyszy jęków bólu, błagań i modlitw. Obserwuje. Bez zainteresowania. Skupiony na swojej nieskończonej podróży przez wieczność.

– Filozof z ciebie, sokoliku – skrzywiła się dziewczyna.

Nie odpowiedziałem, po chwili ruszyliśmy do wyjścia.

– Jak tam jest? – spytała, zamykając drzwi.

– Gdzie?

– W normalnym świecie.

– Widzę, że nie ja jeden wpadłem w filozoficzny nastrój – zauważyłem zgryźliwie.

– No wiesz, chodzi mi o wyższe sfery: oficerów, aparatczyków...

– Też mi wyższe sfery – wymamrotałem. – W sumie robimy to samo co robotnicy czy szeregowcy: bijemy się na wojnie albo pracujemy na potrzeby wojska. Różnice są niewielkie.

– Tak?

– Lepsza wódka, więcej mięsa, ładniejsze kobiety. Ot i wszystko.

– A z Poliakowem to...

– To możesz spytać Poliakowa – dokończyłem dobrodusznie.

Zdążyłem już ochłonąć – nie da się ukryć, że milicjant posłużył się moją skromną osobą, ale w końcu nie jestem mściwy. Nie będę robił awantur, po prostu wystawię mu rachunek. Na kolejną przysługę. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda mi się pomoc moskiewskiej milicji...

Sprzedawca z pewnością miał sześćdziesiątkę na karku, to było widać, choć wyprostowana sylwetka i żwawe ruchy świadczyły, że nadal zachował część dawnej sprawności. W antykwariacie przebywało kilku klientów, więc z udanym zainteresowaniem oglądałem wystawione na sprzedaż przedmioty. Musiałem poczekać, aż zostaniemy sami – trudno omawiać publicznie kwestię lipnych dokumentów... Stary był fałszerzem. Jak zapewnił mnie Poliakow: najlepszym w branży. Po spotkaniu z *błatnymi* pan pułkownik bardzo szybko przekazał moją sprawę w kompetentne ręce. No i nic dziwnego, chciał się zrehabilitować.

Westchnąłem, słysząc wykłócającą się jak przekupka babę, chodziło o dekoracyjny, ręcznie malowany talerz przedstawiający austriackie okręty wojenne. Czego to człowiek się nie dowie: nie sądziłem, że Austria miała w ogóle jakąś flotę.

– Pięćset rubli?! – ponownie wrzasnęła kobieta. – Pięćset?! To markowa porcelana!

– Rzeczywiście – potwierdził sucho antykwariusz. – Firma „Villeroy & Boch”, początek wieku. Tyle że to żaden rarytas...

– Pójdę do konkurencji!

– Proszę bardzo.

– To pamiątka rodzinna!

– Widzicie, obywatelko – powiedział z lekkim zniecierpliwieniem stary – codziennie ludzie przynoszą mi kilkanaście takich pamiątek: bibeloty, przedrewolucyjne książki, carskie odznaczenia, a nawet fotografie... Ostatnio pewien młodzieniec zaoferował mi zdjęcie generała Kurakina. Z autografem. Też twierdził, że to rodzinna pamiątka. Z tym że nie wyglądał mi na krewnego generała. Przypuszczam za to, że ktoś z jego rodziny, prawdziwej rodziny – zaakcentował – był w Moskwie w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Kiedy szabrowali miasto...

Wyszczerzyłem zęby, kiedy usłyszałem za plecami wściekłe sapnięcie i trzask zamykanych drzwi. Wreszcie zostaliśmy sami.

– Major Razumowski?

– We własnej osobie – potwierdziłem.

Uścisk dłoni antykwariusza był zadziwiająco mocny. Stary podszedł do drzwi, wywiesił tabliczkę z napisem: „Nieczynne do odwołania. Inwentaryzacja”. Potem gestem zaprosił mnie do zajęcia miejsca w fotelu, sam stanął za ladą i zaczął przekładać jakieś dokumenty.

– Nie rozpadnie się? – spytałem, nieufnie patrząc na zabytkowy mebel.

– Skąd – odparł, nie podnosząc oczu. – To solidna robota. Przedrewolucyjna.

– Przechodząc do rzeczy...

– Nasz wspólny znajomy wprowadził mnie w detale. Rzecz jest trudna, choć możliwa do wykonania.

Odetchnąłem z ulgą – wreszcie miałem pewność, że nie marnuję czasu na darmo.

– Kiedy będę mógł odebrać papiery?

– Zajmie mi to nie mniej niż półtora miesiąca, może dwa.

– To za długo – zaprotestowałem. – Te dokumenty są mi potrzebne w ściśle określonym celu. Jeżeli nie będę ich miał, kiedy... – urwałem, zagryzając wargi. – Przydatność papierów jest związana z konkretną, a jeszcze mi nieznaną datą – kontynuowałem po chwili milczenia. – Jeśli otrzymam je choć o dzień później, cała robota pójdzie na marne!

Tym razem stary spojrzał na mnie, ale uparcie pokręcił głową.

– Nie da rady! – zapewnił. – Mam co prawda na miejscu cały sprzęt, ale potrzebne komponenty trzeba dopiero sprowadzić: czyste blankiety, wzory podpisów, pieczęcie...

– A gdybym dopłacił?

– Nie da rady! – powtórzył z naciskiem. – Trzeba czasu, żeby to wszystko zdobyć. A jedną trzecią całej kwoty i tak musi pan założyć z góry, żebym mógł opłacić... pomocników.

– W porządku – oznajmiłem po namyśle. – Dwa miesiące to dwa miesiące. Pieniądze przyniosę jutro. Tylko...

– Tak?

– To znaczna kwota. I w złocie, w sam raz na wojenne czasy. Dlatego ostrzegam: gdyby ktoś chciał mnie oszukać, będę bardzo, ale to bardzo niezadowolony. Rozumiemy się?

Podszedłem do lady, wbiłem wzrok w starego. Antykwariusz przełknął nerwowo ślinę, przytaknął energicznie.

– Nie ma obawy – zapewnił. – Ostatnie, czego bym sobie życzył, to narazić się komuś takiemu jak wy. Niewiele mi już życia zostało, chciałbym je spędzić w spokoju.

– To zdrowe podejście – pochwaliłem. – Pieniądze przyniosę przed południem. Może być?

Uzyskawszy zgodę mężczyzny, ruszyłem na Arbat. Miałem do pogadania z panną Turkuł. Kilka dni temu generał Panfiłow

poinformował, że moja wycieczka odwlecze się w czasie. Ponieważ nie wiadomo, kiedy otrzymam sygnał wyjazdu, a musiałem pozostawać w stałej gotowości, nie można było przydzielić mi żadnych konkretnych obowiązków. W związku z tym wraz z całą grupą oddelegowano mnie do szkolenia narybku. Z Pietką i Timą nie było problemu – daj Panie Boże każdemu takich instruktorów. Nieco inaczej przedstawiała się sprawa Wiery. Dziewucha była co prawda utalentowana, tyle że brakowało jej praktyki. No ale w końcu uczestniczyła w dwóch operacjach bojowych, za ostatnią awansowano ją do stopnia sierżanta. Wreszcie: *prikaz* to *prikaz*. Ma uczyć? Znaczy będzie uczyć! Tak czy owak, musiałem z nią porozmawiać, być może sprawdzić kwalifikacje. Na co dzień trenowali z nią Drozd i Kotuszew, kontrolowałem ich ćwiczenia sporadycznie, wiedziałem, że panna Turkuł jest w dobrych rękach. Obaj wyłazili ze skóry, aby przekazać jej całą swoją wiedzę: po ostatniej akcji Wiera stała się pełnoprawnym członkiem grupy.

Przetarłem czoło, dzień był gorący, nic dziwnego – lato. Zjadłoby się lody... Niestety, na „Eskimo” przyjdzie jeszcze poczekać. Na razie priorytetem stała się broń i amunicja, jak trafiło się coś słodkiego, to jedynie z amerykańskich dostaw. Razumowski, Razumowski, we łbie ci się przewraca. W Leningradzie żrą teraz *błokadnyj chlieb* z dodatkiem słonecznikowych wytłoczyn i brzozowej kory. Wzdrygnąłem się, jakby sięgnął mnie lodowaty podmuch, wiedziałem, że w Leningradzie jedzą nie tylko chleb, bywa, że i ludzkie mięso... Miałem nadzieję, że teraz, w lecie, śmiertelność spadnie. Niestety, za kilka miesięcy nadejdzie kolejna zima. Niemcy nie zdobędą Leningradu, byłem tego pewien – zbyt silna obrona, ale i nasi nie dadzą rady odblokować miasta: Armia Czerwona walczyła o życie. Zanosiło się na obustronny długotrwały pat.

Ilu mieszkańców przetrwa oblężenie? Ile dzieci w *DietDomach*? Ech, też mi się zebrało na rozmyślania.

Wszedłem w bramę, odetchnąłem z ulgą w rzucanym przez mury cieniu. Od razu poczułem się lepiej: zrobię niespodziankę pannie Turkuł i staruszkom, może napiję się babcinego bimberku? Taaak, w Moskwie nawet podczas wojny można sobie zorganizować drobne przyjemności...

Najpierw usłyszałem męski, przepity bas. Jego właściciel wymyślał komuś od szczurów tyłowych. Później doszedł mnie głos Wiery. Sądząc po tonie, dziewczyna była naprawdę wściekła. No, no – czyżby jakieś problemy? Jeśli tak, to można powiedzieć, że zjawiłem się w samą porę.

– Nie chcesz płacić?! Znowu?!

Przez dobrą chwilę zastanawiałem się, o jaką zapłatę idzie – ach, ta moja zwyrodniała wyobraźnia! – wreszcie przypomniałem sobie, że przecież staruszki nie rozdają samogonu darmo. Któraś wspominała, że bywają klienci, którzy nie traktują serio swoich zobowiązań płatniczych. Widać panna Turkuł postanowiła uregulować tę kwestię.

Wiera nie zauważyła, że na scenie pojawił się nowy aktor, szerokie plecy awanturującego się mężczyzny zasłaniały mnie przed wzrokiem dziewczyny.

– Nie dostaniesz ani kropli, dopóki nie zapłacisz za ostatni raz!

– Ja ci, suko, zapłacę!

Chytrym, niemal niesygnalizowanym ciosem pijak walnął dziewczynę w twarz, po czym cisnął niczym workiem zboża. Wiera – jak na treningach – przyciągnęła brodę do piersi, uderzyła w ścianę plecami, starając się zamortyzować wstrząs, ale i tak aż zadudniło.

– Teraz zobaczysz...

Zaniepokojony postąpiłem krok naprzód, jeśli facet ją uszkodzi, będę miał problemy. Na szczęście panna Turkuł nie czekała na dalszy ciąg demonstracji. Trzasnęła gościa otwartymi dłońmi w uszy, poprawiła łokciem w gardło. Kiedy upadł, z mściwym warknięciem dołożyła kopa w jaja. Mężczyzna skulił się w pozycji embrionalnej, niemrawo zasłaniając rękoma. Wyglądało, że na dzisiaj zakończył swój występ, cóż: rozerwane bębenki to paskudna sprawa, a i jajca pewnie bolą...

Dziewczyna wyczekała, aż napastnik spróbuje się podnieść, i brutalnym podcięciem posłała go ponownie na posadzkę. No, no, rozhulała mi się panna Turkuł. Chyba już miałem koncepcję, do czego ją wykorzystać. Odchrząknąłem, kiedy uniosła pięść do kolejnego uderzenia. W sumie facet nic mnie nie obchodził, ale jeśli dziewczyna przesadzi, trzeba będzie coś zrobić z trupem, a tu gorąco, cholera... No i wypadałoby wziąć pod uwagę staruszki, pewnie nie byłyby zachwycone, gdyby ich podopieczna zatłukła jednego z klientów. Pomijając wszystko inne, mogłoby się to odbić na prowadzonym przez starsze panie handelku.

– *Komandir!*

– On ma chyba dosyć – zauważyłem.

– Nie zapłacił – poinformowała mnie ponuro. – I popchnął Marię Aleksandrownę.

– W najbliższym czasie nikogo nie popchnie – stwierdziłem sucho, przypatrując się mężczyźnie.

Gość popiskiwał jak skrzywdzony szczeniaczek, między palcami obejmujących głowę dłoni pojawiła się krew. Znaczy miałem rację: bębenki poszły w pizdu... Obszukałem go pobieżnie, wyjąłem portfel.

– Ile był winien?

– Sto dwadzieścia rubli.

Odliczyłem pieniądze, resztę wcisnąłem mu do kieszeni.

– To co? Zaprosisz mnie w gości?

– A potrzebujecie specjalnego zaproszenia? Wy, *komandir*, macie zaproszenie – zastanowiła się – permanentne.

– Staruszki dały ci jakąś szemraną literaturę? – Zmarszczyłem brwi.

– Nie. – Zaczerwieniła się. – Tylko słownik.

Przestępując przez leżącego, nadepnąłem mu na prawą dłoń, okręciłem się na pięcie. Chrupnęło. Zmiażdżone palce to nic wielkiego, zagoją się raz-dwa. Tyle że później trudno wymachiwać czymkolwiek cięższym od ołówka. No i na pewno nasz pijaczek nikogo nie będzie w stanie uderzyć tą ręką. Cóż, jak to mówią: nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka...

Poranny wietrzyk niósł zapach lasu, chłodził rozpalone twarze. Staliśmy w kręgu: ja, chłopaki i ze dwudziestu kursantów. Wewnątrz znajdowała się panna Turkuł oraz muskularny mężczyzna średniego wzrostu. Wyglądał na zwinnego. I taki był – w zeszłym roku został wicemistrzem Floty Bałtyckiej w boksie. Drozd i Kotuszew spoglądali na mnie z wyrzutem, najwyraźniej sądzili, że to będzie egzekucja. Ja nie miałem takiej pewności. Tak czy owak, musiałem zaryzykować; umiejętności chłopaków były oczywiste, Wiera, o ile miała uczyć zaawansowaną grupę, musiała wywalczyć sobie pozycję.

– Zaczynajcie!

Mężczyzna skoczył naprzód, atakując krótką, złożoną z trzech ciosów serią. Tak jak przewidziałem. Oczywiście w szkole *wojennoj razwiedki* nauczono go też paru innych, dużo mniej sportowych sposobów walki, ale w momentach stresu

przeważnie korzystamy z wyrobionych wcześniej odruchów. A facet był bokserem.

Wiera nie próbowała nawet blokować – gość ważył ze czterdzieści kilogramów więcej, runęła na plecy i leżąc już na murawie, kopnęła rywala w podbrzusze. Tak jak jej kazałem. Starcie zakończyło się równie szybko, jak zaczęło, wygrała panna Turkuł...

Ciszę przerwały okrzyki i oklaski, po chwili dziewczyna szybowała w powietrzu podrzucana przez kursantów. Teraz nikt nie ośmieli się podważać jej kompetencji. No i dobrze – jeden problem z głowy.

Gwizdnąłem ostro, przerywając zabawę.

– Zbiórka! – zarządziłem. – Sierżant Turkuł będzie waszą instruktorką w zakresie walki wręcz – poinformowałem. – Jak widzieliście, nawet wytrenowanego sportowca można pokonać. Zrozumcie mnie dobrze: nie zamierzamy was uczyć żadnych tajemnych technik, znacie je wszystkie. Jednak starcie wygrywa nie bardziej wytrenowany, ale bardziej zdecydowany. Wyplenimy z was wszelkie zahamowania i sentymenty, tak że w razie czego będziecie w stanie wyłupić przeciwnikowi gołymi rękoma oczy, zmiażdżyć jądra czy krtań. Bez namysłu i wahania. Pamiętajcie, że od tego może zależeć nie tylko wasze życie, ale i życie waszych towarzyszy oraz sukces misji, jaką powierzy wam nasza ojczyzna! Od tego, czy staniecie na wysokości zadania, zależeć też będzie życie oficerów, którzy bazując na zdobytych przez wywiad informacjach, poprowadzą swoich ludzi pod kule wrogów Związku Radzieckiego! Nie patrzcie na wiek sierżant Turkuł, nie patrzcie na to, że jest kobietą! Dwukrotnie brała udział w misjach bojowych, walczyła i zabijała w obronie naszego kraju! Macie być elitą: wzrokiem, słuchem i mózgiem Armii Czerwonej. Dlatego uczyć was będą najlepsi z najlepszych, sprawdzeni w boju żołnierze. Tu nie ma

miejsca dla słabeuszy i niezdecydowanych! Z tej szkoły wychodzą zwycięzcy! I dlatego wygramy!

Odpowiedziało mi gromkie: *Uraaa!* Kursanci wpatrywali się w pannę Turkuł, jakby przypuszczali, że ta za chwilę uniesie się w powietrze. Nie ma to jak zmotywować grupę. Teraz dadzą z siebie wszystko.

Rzuciłem komendę: „Przystąpić do zajęć!", ruszyłem do wyjścia. Szkoła GRU, nazywana Akademią, znajdowała się w podmoskiewskich lasach. Czekała mnie godzinna jazda samochodem, musiałem dzisiaj odwiedzić Poliakowa.

– *Komandir!*

– Tak?

Panna Turkuł wyglądała na oszołomioną.

– Skąd wiedzieliście, co on zrobi?

Wzruszyłem ramionami, robiąc mądrą minę. Cóż miałem powiedzieć? Raczej nie mogłem przyznać, że miałem kolejną wizję, w której ujrzałem Wierę zwyciężającą boksera w taki właśnie sposób. I że straciłem przy tej okazji kolejne ćwierć litra krwi...

– To było łatwe do przewidzenia – skłamałem z uśmiechem. – A teraz do roboty, towarzyszko instruktorko!

– Jest jeszcze jedna sprawa...

– Słucham – mruknąłem, spoglądając na zegarek.

– Starsze panie boczą się na mnie. Chyba mają mi za złe, że stłukłam tego pijaka. Gdybyście mogli z nimi porozmawiać...

– Porozmawiam – obiecałem. – A teraz wracaj do grupy!

– *Tak toczno!*

Poliakowa nie zastałem na komendzie, jak mnie poinformowano: „wyjechał na trupa”. Domyśliłem się, że ten uroczy zwrot miał oznaczać podjęcie czynności śledczych w związku z morderstwem. Tylko dlaczego „Polak” osobiście fatygował się na miejsce zbrodni? W końcu miał od tego innych. Jeden z milicjantów podjął się zawieźć mnie na ulicę Kronsztadzką, gdzie znaleziono zwłoki.

Trochę się zdziwiłem, dzielnica uchodziła za bezpieczną. No ale przecież i w takich miejscach zdarzają się przestępstwa. Może to jakaś sprawa rodzinna? W takich sytuacjach miejsce zbrodni nie ma znaczenia, czasem człowiek ma ochotę wyrzucić teściową przez balkon niezależnie od tego, czy mieszka w ekskluzywnym bloku dla prominentów, czy w robotniczej kamienicy. Takie życie.

Milicyjny samochód zatrzymał się przed sporą parterową willą – znaczy morderca nie skorzystał z balkonu... Ciekawe, kogo załatwili. Nasze państwo nie rozdaje lekką ręką takich domków. Tu musiał mieszkać ktoś ważny. No i zagadka rozwiązana: stąd obecność Poliakowa. Wyglądało, że mój nowy kumpel nie ma ostatnio szczęścia. Najpierw jakiś wariat wypatroszył pociotka rektora, teraz to... Oj, będzie się zwijał biedaczysko, jak mu skoczą na głowę. To nie trup menela w ciemnej uliczce, tu naczalstwo będzie wymagało rezultatów. Na wczoraj.

Widząc znaczący gest towarzyszącego mi milicjanta, pilnujący posesji posterunkowy wpuścił nas do domu.

– Razumowski! – ucieszył się Poliakow. – Dobrze, że jesteś. Przydasz się.

– Co się stało?

– Chodź, sam zobaczysz.

– Nie zadeptamy śladów?

– Nie. Eksperci zrobili już swoje, został tylko lekarz.

W obszernym pomieszczeniu z kominkiem krzątał się starszy mężczyzna, oglądał zwłoki. Te wisiały na ścianie, przyszpilone do boazerii.

– Jakieś wnioski, Edwardzie Piotrowiczu? – w głosie Poliakowa usłyszałem nieoczekiwany szacunek.

– Tak, mogę już co nieco powiedzieć – odparł z pewnym roztargnieniem lekarz. – To bardzo dziwne morderstwo.

– To widać! – mruknąłem.

Nieboszczyk, postawny mężczyzna około trzydziestki, wisiał parenaście centymetrów nad podłogą. W jego twarzy było coś znajomego, może widziałem go gdzieś wcześniej? Chwilowo nie mogłem sobie przypomnieć. Ktoś przybił go do ściany – dosłownie, za pomocą trzech sztyletów. Jeden tkwił w piersi trupa, dwa przytrzymywały rozkrzyżowane ręce. Na dywanie, pod stopami zabitego, walał się niski rzeźbiony stołeczek.

– Poznajcie się: major Razumowski z *wojennoj razwiedki*, a to doktor Nikonow, najlepszy lekarz w Moskwie – przedstawił nas Poliakow.

– Co robi najlepszy lekarz w Moskwie w takim miejscu?

– Rozumiecie, majorze, miałem pewne problemy natury... ideologicznej – pospieszył z wyjaśnieniem starszy mężczyzna. – Walczyłem w armii Kołczaka, dlatego teraz mogę co najwyżej badać zwłoki.

– Jaka jest wasza specjalność? – spytałem szybko.

– Neurologia i neuroanatomia – odparł, obrzucając mnie zdziwionym spojrzeniem.

– To to samo co psychiatria?

– Niezupełnie...

– Może wrócimy do rzeczy?! – przerwał niecierpliwie Poliakow. – Mamy tu trupa. Kolejnego.

– Jak to: kolejnego?

– Nasz morderca znowu się zabawił – wycedził milicjant przez zaciśnięte zęby.

– Ten sam, co...

– Ten sam! Zobacz! – Wskazał ścianę.

Dopiero teraz zauważyłem napis. Zaschnięte rudobrązowe zacieki na ciemnym drewnie: *Pticam dany krylia, czełowieku razum*.

– Ptakom dano skrzydła, człowiekowi rozum – wymamrotałem. – Znowu coś o rozumie, to rzeczywiście wariat!

– Miło mi, że się ze mną zgadzasz! – parsknął Poliakow.

Najwyraźniej milicjant nie miał najlepszego humoru. Trudno się dziwić – kolejny trup komplikował sprawę. Zależy jeszcze, kim był nieboszczyk, jednak miejsce, w którym znaleziono zwłoki, sugerowało, że będzie się komu o niego upomnieć.

– Kto to jest? Kto to był? – poprawiłem się szybko, wskazując zabitego.

– Pilot oblatywacz Walery Sincew – wyjaśnił głuchym głosem Poliakow.

Cicho gwizdnąłem. Sincew był nie tylko znanym oblatywaczem, ale też podporą moskiewskiej organizacji partyjnej i pupilkiem Stalina. Nic dziwnego, że wydał mi się znajomy – jego twarz spoglądała z plakatów wzywających do wstępowania w szeregi partii, a te wisiały niemal na każdej ulicy. Nie zazdrościłem Poliakowowi. Jeśli wieść o morderstwie dojdzie do towarzysza Stalina, a mógłbym się założyć, że dojdzie jeszcze dzisiaj, na efekty nie przyjdzie mu długo czekać. Gławkom nie patyczkował się w takich sytuacjach i rękę miał ciężką...

– Saszka – zwrócił się do mnie milicjant – mam pewien pomysł, lecz będę potrzebował twojej pomocy.

Spojrzałem mu twardo w oczy. Już ja ci dam, kurwa, pomysł!

– Nie ma mowy! – oświadczyłem stanowczo.

– Mógłby pan wyjść, doktorze? – poprosił Poliakow. – Chociaż nie, chwileczkę! Proszę najpierw powiedzieć, jak zabito Sincewa?

– Nie przeprowadziłem sekcji, ale...

– Ale? – ponaglił milicjant.

– Niewątpliwie zginął od ciosu w serce, jego ręce przyszpilono do ściany już po śmierci.

– W jaki sposób go uniesiono? – spytałem. – Przecież facet waży z dziewięćdziesiąt kilogramów!

– On się z nami bawi – oznajmił lekarz.

– Sincew?!

– Skąd! Morderca.

– W jaki sposób?

– Prawdopodobnie Sincewa ogłuszono ciosem w głowę, na skroni widać siniak. Po czym zabójca podniósł go za pas i przybił sztyletem do ściany.

– Podniósł takiego chłopa?! Bezwładnego? Musiałby to zrobić jedną ręką!

– Niekoniecznie – westchnął lekarz. – Ten stołeczek ma ze dwadzieścia centymetrów. Akurat tyle, żeby postawić na nim Sincewa i przyszpilić do boazerii.

– Ogłuszony raczej nie mógł stać, a z pewnością nie bez pomocy!

– Owszem – potwierdził Nikonow, pocierając zmęczonym gestem twarz.

– Jednak gdyby morderca miał wspólnika albo wspólników, którzy podtrzymali nieprzytomną czy półprzytomną ofiarę...

– W przedpokoju zdjęliśmy prześliczny odcisk buta – wtrącił Poliakow. – Rozmiar trzydzieści osiem.

– No i co z tego?

– Jeszcze nie rozumiesz? On się z nami bawi, tak jak powiedział doktor. Może Sincewa przyszpilił do ściany olbrzym o niezwykłej sile, a może cherlak o trzydziestym ósmym numerze buta z pomocą dwóch kumpli i stołeczka. Odcisk wskazuje na mężczyznę o małych stopach albo na kobietę o średnich. Cios zadano tak, że klinga utrzymała ciało, bo zakleszczyła się między żebrami. Może zadał go laik, który miał szczęście, a może lekarz albo wprawny nożownik. Sincewa przyszpilono do ściany kindżałem. Klinga nie dość, że przebiła ciało, to jeszcze weszła głęboko w boazerię, co sugeruje potworną siłę ciosu, ale na rękojeści są otarcia wskazujące, że być może ostrze wbito młotkiem...

– Chcesz powiedzieć, że morderca specjalnie podrzuca wam tropy? – wymamrotałem z niedowierzaniem.

– Dokładnie tak! Z tym że nie „wam”, tylko „nam”.

– Chwileczkę, chwileczkę! – wysyczałem. – Jeśli wyobrażasz sobie, że...

Poliakow powstrzymał mnie nieznacznym szarpnięciem głowy, wskazując wzrokiem doktora.

– Idę już, idę... – burknął pod nosem starszy mężczyzna. – Tylko się nie pozabijajcie, wolałbym, żeby mnie już dziś nie wzywano.

– No?! – warknąłem agresywnie, kiedy za Nikonowem zamknęły się drzwi. – Jakim cudem znalazłem się w tym gównie razem z tobą?

– Takim, że Sincew to wojskowy, więc dochodzeniem zajmie się też armia.

– Kontrwywiad to domena NKWD – oświeciłem milicjanta.

– Wiem, że czasowo, w pewnych sytuacjach, zdarza się wam pełnić funkcje kontrwywiadu. Pod osobistym nadzorem towarzysza Stalina – zareplikował.

Cholera by to wzięła! Skąd ten gad dowiedział się o naszej małej tajemniczce? Rzeczywiście bywało, że NKWD nie dawało sobie rady – w przyszłości planowano utworzenie nowych, potężnych struktur kontrwywiadu wojskowego, lecz chwilowo mieliśmy w tej dziedzinie niezły bałagan – a wtedy do akcji wkraczała *wojennaja razwiedka*. Jak w Leningradzie...

– Jeśli złożę raport, i tak cię do mnie przydzielą.

– Niby dlaczego?!

– Wiem, że jesteś jednym z najbardziej doświadczonych oficerów, a Sincew był oczkiem w głowie towarzysza Stalina.

– Ty...

– Spokojnie! – Milicjant uniósł ręce w pojednawczym geście. – Pomijając wszystko inne, jesteś mi coś winien.

– Ja?!

– Tak, ty. Od dłuższego już czasu osłaniam ci tyłek.

– Ciekawe, w jaki sposób?!

– Tylko w ciągu ostatniego miesiąca przyszło na ciebie siedemnaście donosów, do nas, na adres komendy. Do tego osiem skierowanych do NKWD. Głównym powodem jest twoja znajomość z niejaką Nataszą Aleksandrowną Pokrowską, poniekąd żoną innego oficera. Jak można wywnioskować z lektury tych pism: bardzo bliska znajomość. Kojarzysz tę panią? Do tego pijaństwo, podobno całymi dniami włóczysz się pijany po okolicy. I, czekaj, jak to było...? Aha, spekulujesz konserwami rybnymi niewiadomego pochodzenia. Być może niemieckimi, a te, rzecz jasna, mogłeś otrzymać tylko z jednego źródła...

Zamurowało mnie. Ożeż wy skurwysyny, szczury tyłowe! Ja za was głowy nadstawiam, a wy mi donosami...

– I kto to pisał?

– Myślisz, że pamiętam? – wzruszył ramionami Poliakow. – Jakaś Worobiowa, chyba twoja sąsiadka z parteru, listonosz,

ktoś z biura meldunkowego. Ten ostatni poinformował, że szukasz pozaprzydziałowego mieszkania dla swojej kochanki. – Milicjant roześmiał się ubawiony. – Chyba chodziło mu o tę twoją Wierę.

– Co z tą... korespondencją? – wydukałem przez zaciśnięte gardło.

– Jak to co? Poszła do śmieci.

– A ta z NKWD?

– Także. Człowiek, który się tym zajmuje, ma wobec mnie dług wdzięczności.

Odetchnąłem z ulgą – parę donosów raz na jakiś czas to nic wielkiego. Bywa. Szczególnie jeśli chodzi o te adresowane do milicji. Nasi dzielni stróże prawa nie mają ani chęci, ani ochoty sprawdzać większości z nich. Zwłaszcza jeśli nadawcą jest cywil lub anonim, a chodzi o wojskowego. Co innego NKWD – ci zwracają wyjątkową uwagę na donosy skierowane przeciwko wojskowym. A założę się, że znalazłoby się w tej instytucji kilku oficerów, którzy chętnie zajęliby się niejakim majorem Razumowskim. I to raczej nie w aspekcie pijaństwa...

– Czego chcesz? – spytałem niezbyt przyjaznym tonem.

– Współpracy. Powtarzam: muszę złożyć raport o zajściu, a ponieważ nieboszczykiem jest nie kto inny jak Sincew, od razu przydzielą cię do tej roboty. Daj mi skończyć! – poprosił, widząc, że otwieram usta. – Jako szef moskiewskiej milicji mam pewne układy z waszą firmą, podobnie jak z NKWD. Muszę mieć, choćby dlatego, żeby wspierać operacje czekistów na terenie miasta, współdziałać z ochroną waszych obiektów i tak dalej. Stąd wiem, że *wojennaja razwiedka* wydeleguje do tej sprawy najlepszego oficera, jakiego ma na miejscu, czyli ciebie... Proszę tylko o jedno: nie próbuj wierzgać, bo i tak przydzielą cię do tego śledztwa, tyle że po paru dniach biurokratycznych przepychanek, a wtedy trop będzie już zimny.

Zacisnąłem pięści, z trudem powstrzymując złość, jednak wiedziałem, że Poliakow ma rację. Jeszcze w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym wywiad wojskowy miał wielu lepszych ode mnie lub dorównujących mi doświadczeniem oficerów dochodzeniowych. Jednak kiedy skończyła się Wielka Czystka, została ich garstka. Teraz, biorąc pod uwagę wojenne straty, było takich może z pięciu. Tatarczuk i Bondariew działali gdzieś na tyłach wroga, organizując antyniemiecką partyzantkę, pułkownika Szulgina przydzielono do osobistych poruczeń Gławkoma, Mitia Woronin walczył o życie w szpitalu polowym gdzieś pod Stalingradem, a kapitana Riabko widziano ostatni raz na stepach Krymu. Któż więc zostaje? Oczywiście Razumowski...

– Więc jak? Co zdecydowałeś?

– Niech będzie – wymamrotałem. – Załatw, żeby przydzielili do grupy dochodzeniowej moich chłopaków. Możesz to zorganizować?

– Bez problemu – odparł z wyraźną ulgą Poliakow. – A co z Wierą?

– Niech zostanie tam, gdzie jest – mruknąłem.

Na treningu wytłuką jej co najwyżej parę zębów, a tu nie wiadomo, jak będzie. Miałem złe przeczucia.

– To co, zbieramy się? Mogę cię podrzucić na Arbat – zaofiarował się milicjant.

– Jedźmy. Tu już niczego nie zwojujemy – zgodziłem się z westchnieniem. – Jeszcze jedno: ten lekarz, Nikonow, naprawdę jest taki dobry?

– Przed rewolucją był wykładowcą Cesarskiej Wojskowej Akademii Medycznej w Petersburgu. Jednym z najbardziej znanych rosyjskich naukowców.

– Naprawdę walczył po stronie Kołczaka?

– Naprawdę. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko, z ciekawości...
– Aha, z ciekawości. Jasne. Jedziemy?
– Jedziemy.

Maria Aleksandrowna zgromiła mnie surowym spojrzeniem, siostra dzielnie jej w tym sekundowała. Obie starsze panie wyglądały na zaniepokojone.

– Nie powinien pan pozwalać, żeby Wiera wdawała się w awantury z takim... takimi... – Marii Aleksandrownie najwyraźniej zabrakło określeń.

– Przecież mnie przy tym nie było – zauważyłem łagodnie. – Ona sama się wdała.

– Wszystko jedno! – zmarszczyła brwi Praskowia Aleksandrowna. – Pan za nią odpowiada!

Dopiero teraz połapałem się, o co chodzi – staruszki bały się o Wierę. Zapewne dobrze i z nie najlepszej strony znały menela, którego obiła panna Turkuł. I obawiały się, że pijaczek zemści się na dziewczynie. Stąd i dziwne zachowanie obu pań. Stąd wymówki, które Wiera wzięła za niezadowolenie z jej postępku. Cóż, mogłem uspokoić staruszki, tyle że chyba nie miało sensu wchodzić w detale i opisywać stanu, w jakim znajduje się poszkodowany żulik, czy też wgłębiać się w szczegóły misji, jaką zleciłem chłopakom po awanturze z pijakiem. Na moje polecenie Drozd i Kotuszew obeszli okoliczne podwórka i zatroszczyli się o to, żeby każdy okoliczny chuligan pojął, że zaczepianie Wiery to bardzo głupi pomysł. Z tego, co wiedziałem, chłopcy przystąpili do dzieła z prawdziwym entuzjazmem – my, z *wojennoj razwiedki*, nie pozwalamy krzywdzić przyjaciół. Podejrzewałem, że przez najbliższe kilka

miesięcy ulica, na której mieszka panna Turkuł, będzie jedną z najspokojniejszych w Moskwie...

– Ten, jak mu tam?

– Wańka Sielin – podpowiedziała skwapliwie Praskowia Aleksandrowna.

– Ten Sielin nie zaczepi już nigdy Wiery. Ani was, drogie panie – stwierdziłem z lekkim ukłonem. – Słowo oficera.

– Ale jak się napije... – zaczęła Maria Aleksandrowna.

Siostra powstrzymała ją uniesieniem dłoni. Starsza pani nie była głupia, wyczuła, co mam na myśli.

– Jest pan pewien? – spytała. – Bo w naszym wieku nie dałybyśmy już rady jej obronić. Ani siebie...

– To naprawdę nie będzie konieczne – zapewniłem. – Wasi sąsiedzi, szczególnie ci bardziej agresywni, zostali... uświadomieni. Myślę też, że już nigdy nie zapomną zapłacić za bimber.

– Rzeczywiście – przyznała Maria Aleksandrowna. – Kilku z nich już wczoraj oddało zaległe pieniądze. Z przeprosinami. To do nich niepodobne, bo miejscowi bywają trochę... – zawiesiła głos – niewychowani.

Przytaknąłem grzecznie, nie dodając, że obecnie kieruje nimi przede wszystkim strach. Zapewne błyskawicznie skojarzyli, że nie tylko nie opłaca się wchodzić w drogę pannie Turkuł, ale i ociągać ze spłatą długów. Drozd i Kotuszew to młodzi, sympatyczni chłopcy – patrząc na nich, łatwo zapomnieć, że są też doświadczonymi oficerami, weteranami dziesiątków starć i operacji. I że walczyli, i zwyciężali z dużo groźniejszymi przeciwnikami niż ci, których można spotkać na ulicach Moskwy. Naprawdę trzeba by być zupełnym kretynem, żeby ich drażnić. A wątpiłem, aby znalazł się w okolicy choć jeden taki idiota.

Uspokoiwszy staruszki, pomaszerowałem do domu. Byłem śmiertelnie zmęczony.

Natasza czekała na mnie z ciepłą kąpielą i obiadem. Jak zwykle. Chyba mógłbym się do tego przyzwyczaić... Zjadłem zupę, przegryzłem chlebem i położyłem się spać, rozwichrzywszy przedtem czuprynę małemu Lońce. Dzieciakowi najwyraźniej nie przeszkadzał fakt, że sąsiad, którego do tej pory spotykał tylko na schodach, nagle stał się elementem jego życia. Nie żebym się specjalnie zajmował maluchem – nie miałem na to ani czasu, ani ochoty, ale chłopiec nie potrzebował wiele. Wystarczyła odrobina zainteresowania ze strony mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny. Większość okolicznych dzieciaków nie miała i tego – ich ojcowie siedzieli w okopach albo w niemieckiej niewoli. Chyba że gryźli piach...

Obudziłem się, kiedy weszła do pokoju – to także stało się naszym zwyczajem. Ze względu na pracę sypiałem o najrozmaitszych porach dnia i nocy, ale Natasza zawsze budziła mnie pocałunkami. Nie wnikałem, na ile były efektem wdzięczności, a na ile ewentualnego uczucia. Tylko cywile dzielą włos na czworo, żołnierze nie mają na to czasu.

Otworzyłem oczy, kiedy usta Nataszy przesunęły się na moją szyję – zmierzchało. Musiałem przespać parę godzin. Byłem pewien, że obudziła mnie w porę i że mam możliwość zamiany niewinnych, no, niemal niewinnych pocałunków w coś dużo poważniejszego. Lońka spał już o tej porze w mieszkaniu Pokrowskich.

Przyciągnąłem nagą pod szlafrokiem dziewczynę do siebie, umościłem się pomiędzy gładkimi, gorącymi udami. Natasza

pachniała kwiatami i sobą. To był jedyny zapach, który pozwalał mi zapomnieć o wojnie. Na chwilę... Kochaliśmy się niespiesznie, niczym doświadczona, ale jeszcze nieznudzona sobą para. Później leżeliśmy w przyjaznym milczeniu.

Westchnąłem, kiedy ciszę przerwał dzwonek telefonu. Zapewne ktoś pilnie potrzebował majora Razumowskiego...

– Tak? – rzuciłem szorstko w słuchawkę.

– Wysyłam po ciebie samochód, mamy stawić się obaj na Łubiance. Czeka na nas towarzysz Beria – usłyszałem zmęczony głos Poliakowa.

– W porządku, zaraz schodzę.

Rzuciłem się do łazienki, ogoliłem błyskawicznie, ochlapałem twarz zimną wodą. Natasza czekała już z mundurem w rękach. Wymamrotałem zdawkowe podziękowanie, ubrałem się i ruszyłem do wyjścia.

– Zaczekaj! – zawołała.

– O co chodzi? Spieszę się!

Zniknęła na moment, powróciła z jakąś szmatą, kilkoma wprawnymi ruchami przywróciła połysk moim butom.

– Dziękuję – powtórzyłem.

Bez słowa nastawiła policzek. Pocałowałem ją z wahaniem. Nie byłem pewien, czy chcę, aby nasza znajomość wyszła poza obszar erotyki. A w tym momencie w żadnym z nas nie było nawet cienia zmysłowego napięcia, które stanowiło tło naszego związku. W oczach Nataszy dostrzegłem jedynie troskę doprawioną odrobiną czułości. A może po prostu była dobrą aktorką?

Zbiegłem pospiesznie po schodach, odpychając od siebie wszelkie myśli niezwiązane ze sprawą seryjnego mordercy. Bo nietrudno zgadnąć, że to właśnie nim zainteresowany jest Genkom.

Po półgodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się przed siedzibą NKWD. Poliakow czekał już na mnie przed wejściem.

– Idziemy! – zakomenderował.

Pozwoliłem mu się porządzić – w końcu to on grał pierwsze skrzypce w tym przedstawieniu, no i do bicia, jakby co, także będzie pierwszy...

Oddaliśmy broń ochronie i pomaszerowaliśmy do gabinetu Berii. Generalny Komisarz wyglądał na zmęczonego, ogromne biurko, za którym siedział, zawalone było stertami papierów: mapy Moskwy, materiały operacyjne, teczki personalne... Nie wyglądało to najlepiej, świadczyło o wadze sprawy.

– Siadajcie! – warknął, ignorując nasze pozdrowienia.

Usiedliśmy.

– Co zdążyliście ustalić, towarzyszu pułkowniku? – Beria wbił spojrzenie zaczerwienionych z niewyspania oczu w Poliakowa.

– Obu zabójstw dokonała ta sama osoba. Prawdopodobnie szczupły mężczyzna wzrostu około metr siedemdziesiąt, noszący trzydziesty ósmy numer buta.

– Skąd wzięliście ten wzrost? – zapytał natychmiast Beria.

– Ustalono go na podstawie specjalistycznych badań związanych z umiejscowieniem i charakterem zadanych ran. To pewne – zameldował milicjant zwięźle.

– Czy sposób dokonania obu morderstw wskazuje na przeszkolenie wojskowe zabójcy?

No, no... W ten sposób dochodzimy do strefy odpowiedzialności kontrwywiadu, a może nawet i *wojennoj razwiedki*.

– Nie – odparł bez namysłu Poliakow. – Nic nie wskazuje na to, że sprawca posiada jakieś specjalne umiejętności. Jednak z drugiej strony...

– Tak?

– Sam fakt dokonania tych przestępstw, zabicia takich, a nie innych osób, nonszalancja mordercy, wreszcie fakt, że pozostawił on za sobą masę sprzecznych tropów, zastanawiają. Bo on musiał wiedzieć, że rzuca wyzwanie nie tylko milicji, ale i organom bezpieczeństwa. A mimo to prowokował, zostawił swój podpis i myślę, że...

– Słucham! – ponaglił go niecierpliwie Beria.

– Myślę, że on nie ma zamiaru na tym poprzestać – dokończył Poliakow, przełykając nerwowo ślinę.

– Więc będzie chodził sobie po Moskwie i mordował prominentnych członków partii?! Kiedy schwytacie tego gnoja?! – ryknął Genkom. – Towarzysz Stalin nadał tej sprawie absolutny priorytet! Jeśli w najbliższym czasie nie powstrzymamy zabójcy, polecą głowy! Zgadnijcie, czyja będzie pierwsza?!

Zakląłem w duchu – że też zawsze muszę mieć takie kurewskie szczęście: jak nie kanibale w Leningradzie, to seryjny morderca w Moskwie... I jak zwykle rezultatów oczekuje się na przedwczoraj, bo jeśli sprawa nie zostanie rozwiązana raz-dwa, towarzysz Stalin będzie niezadowolony. A nikt, nawet Beria, nie ma ochoty tłumaczyć się Głównodowodzącemu.

Musiałem się poruszyć, bo Generalny Komisarz zaszczycił uwagą moją osobę.

– A wy? Co wy tu robicie, majorze? Wiecie, że towarzysz Poliakow zażyczył sobie waszego udziału w śledztwie?

– Tak jest!

– I co wy na to? Macie na pewno swoje obowiązki, generał Panfiłow pozostawił co prawda decyzję w mojej gestii, ale zaznaczył, że być może dla dobra aktualnej operacji będziecie musieli odmówić.

Głos Genkoma złagodniał, zdawało się, że rzeczywiście obchodzi go moje zdanie. Spojrzałem w załzawione, podbiegłe krwią oczy mojego rozmówcy. Błyszczały jak wilcze. Tak, już to widzę – towarzysz Stalin rozkazuje rozwiązać sprawę jak najszybciej i za wszelką cenę, zapewne motywując wszystkich zainteresowanych, nie wyłączając Generalnego Komisarza, na swój sposób, to znaczy grożąc, że nieudolni zostaną ukarani – a komisarz Beria troszczy się o majora Razumowskiego... Jak to mawiają nasi sojusznicy Amerykanie? *Bullshit*, ot co! Jeśli odmówię, moja głowa potoczy się pierwsza i tyle. Dla przykładu.

– Jestem żołnierzem – odpowiedziałem. – Idę tam, gdzie skierują mnie dowódcy i partia.

– Rozumiem, że zgłaszacie się na ochotnika, z entuzjazmem? – uniósł brwi Beria.

Mimo woli parsknąłem śmiechem. Na ochotnika, dobre sobie...

– Przepraszam najmocniej, towarzyszu Generalny Komisarzu – wymamrotałem. – To nerwy. Jestem zmęczony i, rzecz jasna, wolałbym odpocząć, ale jak trzeba, to trzeba. Mamy wojnę. I nie ja jeden przecież – wzruszyłem ramionami – mam pod górkę.

Komisarz spojrzał na rozbebeszone papiery, najwyraźniej wziął to do siebie. Myślałem, że oberwie mi się za spoufalanie, choć za jasną cholerę nie miałem takiego zamiaru, ale zamiast tego Genkom przytaknął mi ruchem głowy. Czyżby uznał to za komplement?

– Macie rację, towarzyszu – westchnął. – Wojna! Cieszę się, że będziecie z nami współdziałać w śledztwie – oznajmił niemal przyjacielskim tonem. – Co proponujecie?

– Trzeba za wszelką cenę i jak najszybciej ustalić tożsamość sprawcy lub sprawców.

– Sprawców?!

– Istnieje możliwość – odchrząknąłem niepewnie – że morderca miał pomocników.

– Niby z jakiej racji?

– Zapewne dom Sincewa był pod szczególnym nadzorem milicji... – zacząłem.

– Akurat! – wycedził Beria. – Gdyby tak było, towarzysz Sincew żyłby teraz!

– Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie – powiedziałem ostrożnie. – Pułkownik Poliakow byłby tu bardziej kompetentny, jednak...

– Kontynuujcie – ponaglił mnie Genkom.

– Chodzi o to, że chociaż przed domem raczej nie było wartownika, jak przypuszczam, nie życzył sobie tego sam Sincew, okolicę na pewno patrolowano częściej niż inne rejony. Tak więc jedna osoba nie mogła dokonać zbrodni. Nawet jeśli zabójcą jest mężczyzna, o którym mówił pułkownik Poliakow, ktoś musiał mu pomagać, obserwować ulicę, zapewnić transport.

– Jaki transport?

– Sincew mieszkał w prominenckiej dzielnicy, wątpliwe, że zabił go ktoś z sąsiadów. Tak więc po dokonaniu zbrodni morderca musiał jak najszybciej zniknąć. Przypuszczam, że dysponował samochodem.

– Przypuszczacie, majorze? Tylko na to was stać? – burknął znowu niezadowolony Beria.

– To przypuszczenie, bo przecież nie znaleźliśmy jeszcze auta, którym poruszał się morderca, nie mamy nawet świadków, jednak graniczy ono z pewnością – wyjaśniłem. – W takich rejonach ulice są naprawdę sumiennie patrolowane, no i nic dziwnego, mieszkają tam przecież prominenci. Morderca musiał wiedzieć, że może natknąć się na patrol, a w takim razie na pewno zabezpieczył sobie jakiś środek

transportu na wypadek konieczności ucieczki. Tak więc stawiałbym na to, że dysponował samochodem i nie był sam, co mocno ogranicza jego przewagę.

– A to w jaki sposób?

– Trudno znaleźć maniaka, który działa w pojedynkę. Dużo łatwiej wytropić grupę dysponującą samochodem. Przypuszczam też, że i ludzie łatwiej zapamiętają przejeżdżający wóz niż samotnego przechodnia.

– Kiedy dokonano morderstwa?

– W nocy – włączył się Poliakow. – Lekarz twierdzi, że pomiędzy północą a piątą rano.

– Dobry chociaż ten lekarz?

– Najlepszy – stwierdził z przekonaniem milicjant. – Jednak jest pewien problem, jeśli chodzi o jego dalszy udział w śledztwie...

– Przecież otrzymaliście prawo dołączenia do grupy śledczej wszelkich potrzebnych wam specjalistów! Jeżeli ten medyk jest wam niezbędny, to go po prostu weźcie!

– Problem polega na jego przeszłości – odparł z wahaniem Poliakow. – Śledztwo zostało określone jako tajne, a doktor Nikonow ma ograniczony dostęp do akt. Wolałbym mieć wasze zezwolenie, towarzyszu Generalny Komisarzu, na włączenie go do zespołu.

– Za co siedział?

– Za Kołczaka. Był w jego armii, organizował szpitale polowe.

– I wyszedł?!

W głosie Genkoma zabrzmiało autentyczne zaskoczenie.

– Wielu towarzyszy zawdzięcza mu życie, kazał ich leczyć na równi z białogwardzistami.

– Potwierdzili to przed sądem?

– Kilku z nich...

Być może kiedyś – choć trudno to sobie nawet wyobrazić – rządy towarzysza Stalina staną się jedynie wspomnieniem. Nie wiem, czy ktokolwiek wówczas będzie w stanie zrozumieć, jak wyjątkowy był fakt, że przynajmniej jedna osoba broniła przed sądem starego kołczakowca. I jak wiele przy tym ryzykowała.

– Naprawdę?

– Tak jest. Akta sądowe...

– Niepotrzebne mi teraz akta – przerwał mu Beria. – Możecie włączyć do śledztwa tego białogwardzistę. Odpowiadacie za niego głową!

Poliakow przytaknął bez specjalnych emocji. I tak był odpowiedzialny za całość dochodzenia. A człowiek ma tylko jedną głowę, nie można go zabić dwa razy...

Doktora Nikonowa zastałem w kostnicy: ważył jakieś krwawe strzępy. Mimo że używał wagi laboratoryjnej, scena kojarzyła się raczej z pracą rzeźnika niż naukowca. Po chwili zapisał coś w zeszycie. Zastanawiałem się, czy upaprane rękawice nie pobrudziły papieru. Kiedy zdjął je jednym wprawnym ruchem i zaczął myć ręce, rzuciłem okiem na notatki lekarza: zeszyt zapisano łacińskimi terminami, kartki były niepokalanie czyste. Znaczy nie pobrudził, spryciarz...

– Jakieś wnioski, doktorze? – spytałem.

– Nic nowego – odburknął. – Zbadałem ciało na obecność trucizn i niewidocznych na pierwszy rzut oka urazów. Na wszelki wypadek. Niczego nie znalazłem.

– Jakich urazów?!

– Bo ja wiem? Na przykład śladów po strzykawce.

– Myślicie, że go oszołomiono?

– Ja tylko sprawdzam pewne hipotezy, od myślenia jesteście wy – zauważył sucho. – Nie wiem zresztą, czy mogę z wami o tym rozmawiać, mój status w tej sprawie jest dość niejasny.

– Już nie – poinformowałem. – Towarzysz Beria zgodził się na wasz udział w śledztwie.

– Znając wszystkie... niuanse sprawy?

– Owszem, nie sądzicie chyba, że odważylibyśmy się oszukać Genkoma?

– Nigdy by mi to nie przyszło na myśl!

– Komisarz Beria był nieco zdziwiony faktem, że znaleźli się ludzie, którzy bronili was na procesie. Jednak stwierdził, że akta sprawy nie są mu potrzebne. Na razie – zaakcentowałem ostatnie zdanie.

Po minie doktora widziałem, że zrozumiał ostrzeżenie. Jego twarz przybrała wyraz znużonej rezygnacji. Wiedział jak i ja, że nasze państwo czasem nie pamięta o przyjaciołach – szczególnie jeśli ci spełnili już swą rolę, jednak nie zdarzyło się jeszcze, żeby zapomniało o wrogach. Nigdy.

– Dlaczego pytaliście o moją specjalność? Wtedy, w domu Sincewa? – spytał.

– Chciałbym was poprosić o konsultację. Jeden z moich... znajomych, bardzo nieśmiały człowiek, ostatnio zauważył u siebie dziwne objawy. Wstydzi się iść do lekarza, ale...

– Rozumiem – wszedł mi w słowo.

Po jego tonie poznałem, że nie dał się nabrać na „znajomego”, domyślił się, że chodzi o mnie.

– Spodziewam się, że problemem nie jest wstydliwa choroba? – stwierdził ironicznie.

– Nie, idzie o wizje. Ten człowiek widzi przyszłe wydarzenia. Na krótki czas przed tym, zanim się ziszczą. Wizjom zawsze towarzyszy krwotok. Myślicie, że to jakaś dolegliwość psychiczna? – spytałem niepewnie.

– Mówiłem wam, że nie jestem psychiatrą, ani nawet psychologiem.

– Niemniej jednak macie pewną wiedzę w tym obszarze?

– Owszem – przyznał. – Nie można być dobrym neurologiem, nie znając choćby podstaw psychiatrii. Niektóre dolegliwości leżą w domenie i neurologa, i psychiatry.

– A więc?

– Jak silny jest to krwotok? Czy łączy się z utratą przytomności?

– Za pierwszym razem dość silny. I straciłe... Mój znajomy stracił przytomność. Później już nie, a i krwawienie było niewielkie, tylko z nosa. Początkowo z nosa i ust.

Nikonow przyglądał mi się uważnie, wycierając ręce.

– Na ile jest to dla was ważne? – spytał.

– Bardzo ważne!

– Aby wydać opinię, choćby wstępną, musiałbym obejrzeć pacjenta, przeprowadzić pewne testy.

– Oglądajcie! – warknąłem.

Przez kilka minut Nikonow świecił mi latarką w oczy, postukiwał młoteczkiem w kolano, wreszcie cisnął we mnie monetą.

– Co to, do cholery, ma być?! – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Kolana mi nie dolegają, a i na refleks się nie skarżę!

Lekarz bez słowa wyjął z mojej dłoni złotą dziesięciorublówkę. Kolejny miłośnik carskiego złota, psia jego mać...

– Co byście powiedzieli, gdyby jakiś ledwo co oderwany od maminej kiecki żołnierzyk zaczął was pouczać w kwestiach, w których jesteście ekspertem? – rzucił wreszcie beztrosko.

– Kazałbym mu się zamknąć.

– Zamknijcie się, majorze!

Kolejną godzinę spędziłem, odpowiadając na absurdalne czasem pytania, wykonywałem dziwaczne ćwiczenia gimnastyczne, rysowałem i rozwiązywałem zadania matematyczne. W końcu lekarz niedbałym gestem zasygnalizował koniec badań. Ulżyło mi – właśnie stałem na jednej nodze i kreśliłem rękoma w powietrzu ósemki...

– I cóż?

– Nie widzę żadnych niepokojących symptomów – odparł, zapalając papierosa. – Wręcz przeciwnie, jesteście w znakomitej kondycji, majorze, pod każdym względem, także intelektualnym. Wasza koordynacja ruchowa i refleks to ósmy cud świata, moglibyście być znakomitym sportowcem. Nie macie też żadnych problemów z pamięcią i kojarzeniem pojęć. Chciałbym zrobić jeszcze rentgen czaszki, jednak nie sądzę, aby to coś dało. Jesteście całkowicie zdrowi.

– To skąd te wizje?!

– Czy one się spełniają? Nie chodzi mi tu o jakieś podobieństwa do rzeczywistości, ale dokładne jej odzwierciedlenie.

– Spełniają się. Dokładnie. W tym sęk – westchnąłem.

– Czy kiedykolwiek byliście przez dłuższy czas pozbawieni bodźców zewnętrznych? – zainteresował się, puszczając z papierosowego dymu eleganckie kółeczka. – Rozumiecie: wzrok, słuch, czucie albo wszystko razem?

– Owszem – odparłem. – I nie, nie pamiętam dokładnie okoliczności – uprzedziłem następne pytanie.

Oczywiście skłamałem, pewnych rzeczy się nie zapomina... Pamiętasz, kiedy sam kopiesz sobie grób. Łopata po łopacie nabierasz żółtego piachu, pogłębiasz dziurę, wygładzasz ściany – istnieją przecież zasady dobrej roboty. Wreszcie kładziesz się w trumnie, żadnych luksusów: poduszeczek, wyścielanego dna. Zwykła sosnowa skrzynia. W twoim rozmiarze. Słyszysz

uderzenia młotka, później szurgot sypanej na wieko ziemi. W końcu odgłosy zanikają, warstwa piachu jest zbyt gruba, tłumi dźwięki. I zostajesz sam. W ciemności, nie mogąc się poruszyć. Wiesz, że gdzieś na wysokości twojego nosa powinna być cienka metalowa rurka, przez którą dochodzi powietrze – twoje jedyne połączenie z powierzchnią. Tak wąskie, tak kruche... Nie widzisz jej, masz tylko nadzieję, że jest, że nadal coś łączy cię z życiem. Bo jeśli nie – czeka cię powolna śmierć. W mroku, w samotności, w przerażeniu. I nie będzie to śmierć żołnierza z kulą w sercu i bronią w garści. Umrzesz, smakując ostatnie hausty powietrza wyschniętym na wiór językiem, łamiąc paznokcie na sosnowym wieku trumny.

Więc czekasz. Liczysz uderzenia serca, oddychasz, starasz się rozluźnić zaciśnięte do bólu pięści. Leżysz bez ruchu. Powiedzieli ci, że lepiej się nie ruszać. W tak ograniczonej przestrzeni każdy ruch może doprowadzić do ataku klaustrofobii. I dodatkowego zużycia powietrza. Rurka zapewnia go tylko tyle, by nie umrzeć. Tak musi być. *Wojennoj razwiedce* nie są potrzebni klaustrofobicy. Więc musisz oczyścić się z tego lęku lub umrzeć. Wiesz, że wielu przed tobą przetrwało próbę trumny, ale byli i tacy, którzy nie dali rady. Jak Gienka Karpow, którego wyjęli z drewnianego pudła z przegryzionym w ataku szału językiem. Próbował przetoczyć się na bok, zaczerpnąć tchu – nie dał rady: trumnę robiono na miarę, tak żeby można było w niej leżeć tylko na wznak. Gienka udusił się własną krwią.

W końcu słyszysz jakieś szmery, zgrzyt łopat. Ktoś klnie, wyciągając z wieka gwoździe. Po chwili możesz już spojrzeć w gwiazdy – trumnę zawsze wykopują w nocy. Oznajmiają ci, że jesteś wyleczony, zdałeś test. Od dzisiaj skoczysz w każdą ciemną dziurę, niezależnie od tego, jak ciasna by była, będziesz walczył w najgłębszym mroku bez cienia strachu. Wyleczyli cię

medycy ze szkoły Pawłowa. Usunęli z twojej głowy ten dziecinny, niegodny oficera wywiadu strach. Skurwysyny.

– Majorze...

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że Nikonow coś do mnie mówi.

– Tak?

– Jak długo to trwało?

– Dobę.

– Trochę krótko – mruknął. – Z drugiej strony, jeśli łączyło się to z jakimiś emocjami...

Moja mina musiała mu zdradzić, że sprawa łączyła się – a jakże! – z emocjami.

– Mózg pozbawiony normalnych bodźców stara się je zastąpić, sam wytwarza złudzenia dźwięku, wizje. Jest mu to potrzebne do prawidłowego funkcjonowania – kontynuował.

– Ale to... pozbawienie bodźców miało miejsce dawno temu!

– Nie szkodzi. Jakiekolwiek głębsze emocje mogły spowodować powrót anormalnej aktywności mózgu.

– Ale te wizje się spełniały co do joty!

Nikonow oddalił moje zastrzeżenie lekceważącym gestem.

– A jak myślicie, co to takiego intuicja? Skąd się biorą przeczucia? Nasz umysł nieustannie odbiera tysiące sygnałów, większość z nich na poziomie podświadomości: dźwięki, zapachy, gesty. Dlaczego czasem bez żadnego logicznego wytłumaczenia jesteśmy o czymś przekonani? Ot, wracamy do domu, w progu wita nas z uśmiechem żona, rzuca się na szyję. A my od razu wiemy, że zdradziła, suka. Z całkowitą, stuprocentową pewnością. Może to zapach jej skóry, inny niż normalnie, po tym jak gziła się z obcym samcem? Może jakiś gest? Nerwowy tik? Uśmiech o ułamek milimetra szerszy, niż powinien być? W gruncie rzeczy na poziomie biologii jesteśmy zwierzętami, majorze Razumowski. Każdemu z nas bliska jest

rola łowcy i ofiary. Są chwile, kiedy nasze zmysły działają ze wzmożoną, niedostępną nam na co dzień sprawnością. I wówczas właśnie otrzymujemy sygnał. Dochodzi do nas z głębokiej, ciemnej otchłani podświadomości, z pominięciem logiki. I informuje o zagrożeniu...

– W takim razie co ze mną? Co z moim zdrowiem?

– Nic wam nie dolega – wzruszył ramionami Nikonow. – Jeśli chcecie, zrobię wam jutro dodatkowe badania: morfologię, rentgen. Chociaż nie spodziewam się niczego nadzwyczajnego. I wy także się nie spodziewajcie.

– No dobrze – westchnąłem. – Miałbym jeszcze jedną prośbę, doktorze.

– Tak?

– Znacie łacinę, prawda?

Nikonow spojrzał na mnie zaskoczony, najwyraźniej do tej pory żołnierze Armii Czerwonej nie zamęczali go pytaniami o języki obce...

– Owszem – przyznał ostrożnie. – Na tyle, ile powinien znać ją lekarz.

– A francuski?

– O co wam chodzi? – Zmarszczył brwi wyraźnie zaniepokojony.

– Jesteście podejrzewani, doktorze, o szpiegostwo na rzecz Cesarstwa Rzymskiego! – odburknąłem zniecierpliwiony. – Moglibyście odpowiedzieć na moje pytanie?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby rzeczywiście mnie o to oskarżono – odciął się Nikonow. – Słyszałem już o dziwniejszych rzeczach.

– No więc?

– Znam ten język. Moja babka była Francuzką.

– Macie może jakieś... słowniki?

– Mam. To nie jest zabronione. Przynajmniej na razie...

Pominąłem milczeniem niespecjalnie śmieszny dowcip lekarza.

– Mógłbym je od was pożyczyć? Na jakieś dwa tygodnie?

– Oczywiście. Dam je wam jutro, w klinice.

– Podobno możecie zajmować się tylko sekcjami zwłok. A zachowujecie się tak, jakby możliwość przeprowadzenia tych testów, podobnie jak fakt, że będziecie dobrze widziani w klinice, były oczywiste?

Przez chwilę Nikonow wyglądał na zmieszanego.

– Jak by wam to powiedzieć... – zaczął niepewnie. – Jeśli chodzi o poziom przedrewolucyjnego i obecnego wykształcenia medycznego, istnieją pewne... różnice. Moi młodsi koledzy świetnie zdają sobie z nich sprawę. I dość często proszą mnie o konsultacje. Zatem jeżeli ja potrzebuję przysługi... – zawiesił znacząco głos.

No tak, teraz wszystko było jasne: kołczakowiec nie kołczakowiec, w środowisku medycznym Nikonow nadal cieszył się uznaniem. No i dobrze, ten fakt jakoś podniósł mnie na duchu. Może doktor ma rację i tak naprawdę nic mi nie jest? Bo na myśl, że moje wizje mogą mieć coś wspólnego z wydarzeniami w Leningradzie, biły na mnie zimne poty. Nie chciałem skończyć, polując na serca mieszkańców Moskwy...

– Jeśli chodzi o tłumaczenie jakiegoś tekstu, może mógłbym pomóc? – zaproponował Nikonow, wracając do tematu.

– Dziękuję, sam dam radę.

– Jak sobie życzycie, majorze.

Pewnie, że mógłbyś pomóc, pomyślałem. Tylko że ja nie mogę ci pokazać tego tekstu. A najwyższy czas spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o „świętej chorobie”. Do archiwum *wojennoj razwiedki* powędrował oryginał, fotokopie dokumentu zatrzymałem dla siebie. Problem polegał na tym, że choć uczyłem się i łaciny, i francuskiego, moje umiejętności w tym

zakresie były co najwyżej mierne. Gdyby żył Saszka Riumin... Tak, wiedziałem o wspomnianej przez Nikonowa różnicy poziomów. Wiedziałem też, że w mieszkaniu Saszki znalazłbym potrzebne mi słowniki. Ale wtedy musiałbym spojrzeć w oczy żonie kapitana Riumina... Lepiej pożyczyć je od Nikonowa. Bo i z biblioteką lepiej nie ryzykować; a nuż jakaś bibliotekarka komsomołka doniesie gdzie trzeba, że niejaki major Razumowski studiuje obce języki... Tak, zostaje tylko Nikonow.

– Zatem do jutra, doktorze – pożegnałem się uprzejmie.

– *Gospodin major* – skłonił się lekko Nikonow.

– *Gospoda oficery*... – zagaiłem odprawę.

Urwałem, widząc płonące wściekłością oczy Wiery. Dziewczyna nie przyjęła najlepiej wiadomości, że została wyłączona ze śledztwa. Cóż, panna Turkuł była dobrym żołnierzem, ale jeśli chodzi o subordynację, musiała się jeszcze wiele nauczyć. Wezwałem ją wraz z chłopakami, pragnąc osłodzić to rozczarowanie. Zaczynałem pojmować, że nie podjąłem chyba najmądrzejszej decyzji.

– *Gospoda oficery*...

– ...*spasjom Impieratora* – zaproponował Drozd.

Ryknęliśmy śmiechem, panna Turkuł próbowała utrzymać powagę, ale i ona w końcu zachichotała. Rzeczywiście, chyba zbyt długo miałem do czynienia z osobami pokroju Nikonowa, jeszcze trochę i nie tylko zacznę używać zwrotu „panowie” zamiast „towarzysze”, ale i zamienię radzieckie pagony na carskie epolety...

– Niestety, trochę się spóźniliście z tą ofertą, *dorogoj graf* – odpowiedziałem. – No dobra, cisza już, cisza. – Uniosłem

ostrzegawczo dłoń.

– *Komandir*... – odezwała się błagalnym tonem Wiera.

Westchnąłem – źle oceniłem dziewuchę, po raz kolejny. Wyglądało, że panna Turkuł nie tyle buntowała się z powodu odsunięcia od akcji, co po prostu chciała być z nami.

– Posłuchaj, Wiera – powiedziałem łagodnie. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć. To jest twój priorytet. Jeśli teraz zaniedbasz naukę, nigdy nie osiągniesz naprawdę wysokiego poziomu wyszkolenia. A przecież jeśli chcesz być członkiem naszego oddziału, nie ma innego wyjścia.

– Tak, ja się będę uczyć, a wy tymczasem weźmiecie sobie kogo innego – burknęła.

Wybuchnąłem śmiechem, po chwili zawtórowali mi Kotuszew i Drozd.

– Naprawdę myślisz, że to takie proste? – spytałem. – Ktoś z odpowiednimi predyspozycjami to niesłychana rzadkość. W dodatku jeszcze ktoś, komu można ufać. Od paru ładnych miesięcy wypruwamy sobie flaki, żeby przekazać ci wszystko, co umiemy, myślisz, że robimy to z sympatii do ciebie albo z sentymentu? Gdybyś się nie nadawała do naszej roboty, gdybyśmy cię nie chcieli, byłabyś teraz radiooperatorką albo co najwyżej uczyła się z resztą kursantów.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziłem z uśmiechem. – Jedyny problem to twoje wyszkolenie. Prowadząc zajęcia z kursantami, masz możliwość korzystania ze strzelnicy, biblioteki, chodzenia na wykłady. Od czasu do czasu któryś z nas wpadnie do szkoły, żeby udzielić ci wskazówek. Ta akcja teraz to tylko przerywnik. Jeśli chcesz pojechać z nami na kolejną, musisz ciężko pracować. Bardzo ciężko.

– W porządku – mruknęła, spuszczając oczy. – Mam sobie iść?

– Dlaczego? Nie będziesz z nami latać po Moskwie, nie masz na to czasu, ale po południu, kiedy wrócisz z zajęć, możesz nam pomóc. Podejrzewam, że nie obędzie się bez grzebania w dokumentach, a co dwie głowy, to nie jedna. Pomożesz któremuś z chłopaków.

Wiera zareagowała promiennym uśmiechem, chłopcy żałosnym jękiem.

– Ostatnio, w Leningradzie, to ja przegryzałem się przez te wszystkie papiery – zauważył Drozd. – W imię socjalistycznej sprawiedliwości...

Urwał zgromiony moim spojrzeniem. Socjalistyczna sprawiedliwość – dobre sobie. Porucznik Drozd świetnie wiedział, że w czasie, w którym on przeczyta książkę, my nie skończylibyśmy nawet gazety. No i ta jego pamięć...

– Czy mogę w takim razie zgłosić się na ochotnika? – zapytał, odpowiednio interpretując moją minę. – Jako jednoosobowy oddział szturmowy światowej rewolucji, z przysługującym tej funkcji przydziałem wódki, czekolady i chętnych dziewcząt?

Trzepnąłem go w głowę, ale bez złości. Wiedziałem, że gdy skończy błaznować – w jego wieku nie takie rzeczy robiłem – zamieni się z powrotem w oficera *wojennoj razwiedki*. Odpowiedzialnego, kompetentnego i skupionego na przydzielonym mu zadaniu. Wiedziałem też, że zrobi wszystko, co będzie trzeba, nawet za cenę życia.

Rozmyślania przerwało mi pukanie. Zmarszczyłem brwi – kogo znowu czort niesie? Zebraliśmy się w mieszkaniu Drozda, nie chciałem, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał.

Najwyraźniej intruz poczuł się rozczarowany brakiem reakcji i zaczął walić w drzwi pięściami. Albo jakiś pijaczek, albo...

– Otwierać, milicja! – rozwiał nasze wątpliwości nieznajomy głos.

– Czego?! – warknąłem, stając w progu.

Nieznajomy, rzeczywiście w milicyjnym mundurze, zamiast odpowiedzieć, stał jak słup soli, wpatrując się w coś za moimi plecami. Obejrzałem się. Lufy trzech pistoletów celowały w nieszczęśnika. Panna Turkuł ze złośliwym uśmieszkiem – a to małpa! – udawała, że trzęsą jej się dłonie. Nic dziwnego, że facet się wystraszył...

– Schować broń! – poleciłem. – Co się stało?

– Pułkownik Poliakow kazał was powiadomić, towarzyszu majorze... Pomyślał, że chcielibyście wiedzieć...

– O czym?! – ponagliłem jąkającego się milicjanta.

– Mamy kolejnego trupa.

Rozdział ósmy

Tym razem zwłoki mężczyzny nie były przybite do ściany – leżały na wspaniałym, wyraźnie przedrewolucyjnym łożu. Nagie. Ciało nie nosiło śladów przemocy poza jednym wyjątkiem: ktoś odciął mu genitalia. Rozejrzałem się wokół w rozpaczliwej nadziei, iż znajdę coś, co pozwoli wykluczyć, że zamordowany jest ofiarą naszego maniaka. Krwawy napis na ścianie rozwiał moje oczekiwania: *Błażen, kogda wsie strasti u razuma wo własti*. Błogosławiony, czyje żądze poddają się władzy rozumu. Jeszcze, kurwa, religii nam tu brakowało! Jeżeli towarzysz Stalin dojdzie do wniosku, że w Moskwie działa jakaś sekta religijna, wywróci nas na drugą stronę... I żeby tylko działała! Rzecz szła o kolejne morderstwo. Odetchnąłem głęboko kilka razy – wściekanie się w niczym mi nie pomoże. Musiałem zorientować się w sytuacji. Pomieszczenie, w którym znajdował się trup, przypominało sypialnię jakiegoś carskiego dostojnika: jedwabne tapety na ścianach, bogato zdobione, zastawione bibelotami meble, potężne łoże z kolumienkami i baldachimem. Nie ma co, wesoło żył sobie nasz nieboszczyk... Chyba że ktoś go tu przywiózł?

– Gdzie pułkownik Poliakow? – rzuciłem szorstko do towarzyszącego mi milicjanta.

– Jest już w drodze – odparł blady jak ściana sierżant.

Parsknąłem pogardliwie, ponownie skierowałem wzrok na zwłoki. Zapewne Poliakow będzie coś wiedział o zabitym, ale

mało prawdopodobne, że to jakiś anonimowy obywatel...

Przykucnąłem, przyjrzałem się dłoniom ofiary. Wypielęgnowane paznokcie, skóra bez odcisków, złoty sygnet... Spróbowałem go ściągnąć – nie dało rady. Znaczy nikt mu nie włożył pierścienia po śmierci, na palcu nie zauważyłem żadnych zadrapań czy otarć. Ech, kurewskie nasze szczęście – pewnie nieboszczyk okaże się członkiem Politbiura...

Odgłos pospiesznych kroków powiadomił mnie o przybyciu Poliakowa. Pułkownik pojawił się wraz z całą ekipą śledczą. Uniosłem brwi, widząc, że przywołuje mnie ruchem głowy. Wyszliśmy na ulicę, poczęstowałem milicjanta papierosem.

– Kogo tym razem załatwili? – spytałem krótko.

– Arnoszta Wartaniana – zgrzytnął zębami Poliakow.

– Mam nadzieję, że nasz truposz nie był członkiem Politbiura?

– Na szczęście nie, ale i tak nie jest dobrze, nasz Arnoszka, zanim dał się wykastrować, działał w Komitecie Centralnym Komsomołu. I myślę, że kimkolwiek by się okazał jego zabójca, świetnie o tym wiedział.

– Znaczy będzie raban – westchnąłem.

– Będzie – potwierdził Poliakow markotnie.

– Ale dlaczego obcięli mu jaja?

– Może dlatego, że pierdolił każdą babę, która zatrzymała się przy nim dłużej niż na dwadzieścia sekund?! Przychodziło na niego mnóstwo donosów, były nawet oskarżenia o gwałt, tyle że Arnoszka miał takie plecy, że wszystko zamiatano pod dywan.

– Może to, kurwa, jakiś mściciel?

– Akurat! To nasz maniak!

– Jak on go... tego...?

– Nie mam zielonego pojęcia, Nikonow pewnie coś powie po oględzinach. Jeśli nie, trzeba będzie czekać na sekcję.

– Krwi niewiele...

– Taaa... Też to zauważyłem. Prawdopodobnie obciął mu jaja dopiero po śmierci.

– Uprzedź swoich ludzi, lada moment przyjadą tu moje chłopaki.

– Oni już wiedzą. Mam nadzieję, że razem coś wymyślimy, bo jeśli nie...

– Zapewne niedługo dostaniemy wezwanie na Łubiankę – zauważyłem. – Genkom zażąda wyjaśnień.

– A jakże! – mruknął milicjant. – Ale tym zajmę się sam. Nie ma sensu, żebyśmy jeździli razem, odgrywanie roli chłopca do bicia nie posunie śledztwa naprzód. Nie boję się wrzasków komisarza Berii, boję się, że w pewnym momencie towarzysz Stalin straci cierpliwość, a wtedy znajdziemy się na Łubiance w nieco innym charakterze...

– Jak myślisz, ile mamy czasu?

– Bo ja wiem? – odparł nieobecnym tonem pułkownik. – Chyba więcej, niż nam się z początku wydawało: Beria nie odważy się sam nas ukarać, bo wtedy musiałby przejąć osobistą odpowiedzialność za śledztwo, a detektyw z niego jak... – Poliakow splunął, nie dokończywszy zdania. – I on o tym świetnie wie, tu jego rzeźnicy mu nie pomogą. Z drugiej strony, jeśli weźmie się za nas towarzysz Stalin, nie będzie żadnych półśrodków, pójdziemy pod ścianę.

– W NKWD jest przecież paru niezłych śledczych...

– Akurat! Już ja o tym coś wiem, nieraz z nimi współpracowałem. Jeśli mają podejrzanych, mogą ich przesłuchać, tak. Ale tu trzeba prowadzić dochodzenie, znaleźć świadków, tworzyć wersje zdarzeń...

Mimo że, moim zdaniem, Poliakow nieco przesadzał, w gruncie rzeczy miał rację: NKWD nie posiadało dobrych dochodzeniowców. Czekiści budzili taki strach, że nie musieli się wysilać, prowadząc śledztwo – ludzie sami kablowali im na

przyjaciół, a nawet członków rodziny. W tych nielicznych przypadkach, kiedy bezpieczniacy nie dysponowali donosami, wystarczyło sporządzić listę podejrzanych, eliminując osoby, które nie mogły brać udziału w przestępstwie. Później przychodził czas na przesłuchania, a to enkawudziści umieli jak nikt inny... Tyle że w obecnym śledztwie to nie pomoże, nie da rady wyodrębnić podejrzanych – nie na tym etapie, a i zabójca czy też zabójcy do przeciętnych nie należą. Ktoś, kto rzucił beztrosko wyzwanie czekistom, musi mieć nie tylko jaja jak koła od ciężarówki, ale i dysponować atutem, który pozwoli mu pozostać bezkarnym. Nasza jedyna szansa polega na tym, że sprawcy przecenią swoje możliwości – jak wielu przed nimi. W innym wypadku nasze śledztwo będzie przypominać pogoń za duchami, teoretycznie każdy z mieszkańców Moskwy mógł dokonać tych morderstw. Zabici byli powszechnie znani, a nawet jeśli miałem rację i sprawcy użyli samochodu, ograniczało to liczbę podejrzanych moskwiczan do – bagatela! – jakichś paruset tysięcy. Bo przynajmniej tylu miało dostęp do takiego czy innego wozu. Tak, jeśli nie chwycimy tropu, lepiej mi było zostać w Leningradzie, miałbym większe szanse na przeżycie.

– No, wreszcie – westchnął Poliakow, widząc wychodzącego z budynku lekarza.

Nikonow wyglądał na zmęczonego, podszedł do nas ciężkim krokiem, ruchem głowy odmówił papierosa.

– I jak, doktorze? – zapytałem niecierpliwie.

– Raczej nie zginął na skutek wykrwawienia – odparł, wzruszając ramionami. – Ranę zadano już po śmierci.

– A więc co było...

– Nie mam pojęcia, powiem wam po sekcji, jednak przypuszczam, że trup wpisze się w schemat.

– To znaczy? – Poliakow zmarszczył brwi.

– Na pierwszy rzut oka wygląda, jakby zmarł z upływu krwi. Pewne symptomy wskazują, że mogło być to zadławienie, a...

– ...a później się okaże, że zastrzelono go z łuku! – Milicjant zgrzytnął zębami.

– Coś w tym stylu – potwierdził smętnie Nikonow.

– *Komandir*. – Za moimi plecami zmaterializował się Kotuszew.

– Gdzie reszta?

– Pietka i Wiera poszli do biblioteki, porucznik Drozd – zaakcentował ironicznie stopień wojskowy przyjaciela – twierdzi, że wpadł na jakiś trop.

– A konkretnie?

– Chyba chodzi o te sentencje, ale nie zdradził mi detali, wiecie, jaki on jest.

Rzeczywiście, wiedziałem. Drozd był maniakalnym perfekcjonistą, nie puści pary z pyska, dopóki nie będzie pewien swego. Poganianie chłopaka nie miało sensu – próbowałem tego wielokrotnie bez żadnych rezultatów. Z drugiej strony nigdy nie zdarzyło mu się fantazjować, Drozd nawet szanse u dziewcząt określał w procentach. Poczułem przypływ optymizmu: jeśli Pietka poinformował, że wpadł na ślad, musiał znaleźć istotną poszlakę.

– Mogę zawiadomić Genkoma, że coś mamy? – upewnił się Poliakow.

– W porządku – zadecydowałem. – Ale zaznacz, że badania trochę potrwają.

Milicjant ze świstem wypuścił powietrze z płuc, rozpiął kołnierzyk koszuli.

– To zdecydowanie najlepsza wiadomość dnia – oznajmił.

– A nieboszczyk Wartanian?

– Jedna świnia więcej, jedna mniej... – wymamrotał Poliakow. – Nie sądzę, żeby ktoś po nim płakał.

Kątem oka dojrzałem rozciągnięte w cynicznym uśmieszku usta Timy Kotuszewa, najwyraźniej chłopak wiedział coś o Wartanianie. No i dobrze, znaczy nie leni mi się współpracownik...

– Zabójcę będą błogosławiły całe pokolenia moskiewskich dziewcząt – zauważył.

– *Mładszij lejtenant!* – warknąłem.

Też sobie znalazł okazję do żartów! Podsłucha nas jakiś dupek, a tłumaczyć będziemy się na Łubiance. Kto wie czy nie przed towarzyszem Kutiepowem...

– *Winowat!* – odparł Kotuszew, prężąc się służbiście.

– Obejrzysz miejsce zbrodni, pojedziesz z doktorem na sekcję, wieczorem zdasz mi raport!

– *Tak toczno!*

– Do roboty! – zarządziłem. – Ja wracam do domu, spróbuję przeanalizować to, co mamy.

Wsiedliśmy z Poliakowem do samochodu – milicjant zaoferował się, że mnie podwiezie – zawarczał silnik. Czułem zapach rozgrzanych murów, pachniała lipa. Ot, drobny prezent od losu, okazja, aby wyrzucić z pamięci widok nagiego, skurczonego ciała z kałużą czarnej krwi między udami. Choćby na jakiś czas, na chwilę.

Natasza łagodnie masowała mi plecy – przed chwilą oboje wyszliśmy z kąpieli. Stopniowo dotyk jej palców stawał się coraz mocniejszy, ruchy bardziej niecierpliwe, naglące. Wreszcie użyła paznokci, zataczając kręgi pomiędzy moimi łopatkami, schodząc w dół kręgosłupa. Przesunąłem dłonią po udzie kobiety, jej skóra była gorąca i gładka niczym jedwab.

Jednym ruchem zgarnąłem Nataszę pod siebie, rozchyliła uda, wyszła mi naprzeciw biodrami. Wszedłem w nią gwałtownie, nie tracąc czasu na pieszczoty, pospiesznie, jak to na wojnie. Zacisnęła zęby na mojej dłoni, dyszała ciężko, usiłując powstrzymać krzyk. Obejmowała mnie z całych sił, jakby chciała się we mnie wtopić, zatracić. Kochaliśmy się dziko, po zwierzęcemu, jej ciało poddawało się moim dłoniom i woli. Wiedziałem, że mogę zrobić z dziewczyną wszystko, że odpowie na moją potrzebę, odda mi się na każdych warunkach. Skończyliśmy jednocześnie, niespodziewanie poczułem na dłoni wilgoć: Natasza płakała.

Podniosłem ociężale głowę – miałem wrażenie, jakby była z ołowiu – popatrzyłem na poznaczone śladami moich zębów ramiona kochanki.

– Przepraszam – wymamrotałem skruszony. – Nie czułem, że...

– Nie płaczę z bólu – odpowiedziała.

Stanowczym gestem położyła mi palec na ustach, ucinając dalsze pytania. Leżeliśmy w milczeniu, słysząc tykanie zegara. W tej chwili zwykły blaszany budzik był wysłannikiem największego wroga – czasu. Nieubłaganie mijały sekundy i minuty, niemal słyszałem, jak drobiny wieczności przesypują się między trybami na podobieństwo pustynnego piasku. I znikają w bezdennej otchłani. Bezpowrotnie.

Z korytarza dobiegł nas odgłos powolnych kroków – zapewne ktoś wracał z pracy. Natasza łagodnie wysunęła się z moich ramion, narzuciła szlafrok.

– Herbaty? – spytała.

Przytaknąłem nieartykułowanym mruknięciem, przeszedłem do łazienki. Chciałem doprowadzić się do porządku, lada moment mógł odwiedzić mnie Kotuszew, a kto wie – może

i Genkom zechce się ze mną zobaczyć? Jakby co, lepiej, żeby nie czekał zbyt długo...

Kiedy wróciłem do pokoju, herbata z konfiturami stała już na stole. Natasza przysiadła na krześle w bezwstydnie rozchylonym szlafroku. Popijałem gorący napój, błądząc wzrokiem po ciele kochanki. A było na co popatrzeć. Ech, gdyby nie ta wojna... Sam już nie wiedziałem, co sądzić o Nataszy: mimo że troszczyła się o mnie jak prawdziwa żona, mimo nieudawanej namiętności wyczuwałem w dziewczynie coś dziwnego. Jakąś głęboko ukrytą determinację, może rozpacz. Czyżby żałowała, że zdradziła męża? A może męczył ją nasz dziwny układ, rola kochanki? Nie miałem czasu dociekać, o co chodzi, czekało mnie dochodzenie, gra, w której stawką było życie.

Moje rozmyślania przerwało energiczne pukanie – Kotuszew. Natasza pospiesznie zawiązała szlafrok i pobiegła otworzyć drzwi. Przybyła cała ekipa: obaj chłopcy i panna Turkuł. Żadne z nich nie wydało się zdziwione widokiem mojej sąsiadki w dezabilu, zapewne świetnie wiedzieli, kim jest i co tu robi. Cóż, *wojennaja razwiedka*...

– *Komandir!* – wrzasnął Drozd, wywijając jakąś książką. – Tańczcie lezginkę!

Po minie chłopaka domyśliłem się, że ma dobre wiadomości. Cóż było robić – zatańczyłem. Niech wie, że dowódca go docenia. Po dobrej minucie wywijania hołubców chłopak łaskawym gestem zakończył mój program artystyczny.

– Wiedziałem, że gdzieś już słyszałem te przysłowia – powiedział.

– Ja też – odburknąłem. – I co z tego? Przysłowia mają to do siebie, że zna je większość ludzi.

– Nie w tym rzecz, *komandir*. Oczywiście, że wszyscy czy prawie wszyscy je znają. Klucz tkwi w ich kolejności.

– W kolejności?

– Tutaj – potrząsnął trzymaną w ręku książką – mamy przysłowia narodów Związku Radzieckiego. Ułożono je tematycznie, jeden z rozdziałów zawiera sentencje na temat rozumu. Numer jeden: *Nie sztuka nauka, sztuka razum*. Numer dwa: *Pticam dany krylia, czełowieku razum*. Numer trzy: *Błażen, kogda wsie strasti u razuma wo własti*. Numer cztery... – Pietka spojrzał niepewnie na jedyną osobę spoza naszej grupy.

Natasza uśmiechnęła się domyślnie – prawdziwa żona oficera! – i po cichu wyśliznęła z mieszkania.

– Czwarte w kolejności przysłowie – ponownie podjął temat Drozd – może nam wskazać następny cel mordercy. Bo on zabija osoby, które pasują do tych sentencji. Po kolei.

Wyrwałem mu książkę: *Posłowicy i pogoworki narodow Sowietskogo Sojuza*. No, no... Ciekawe, dlaczego mordercy wybrali akurat ten zbiorek. Chcieli zakpić z władzy radzieckiej? Bo mogli przecież skorzystać z pozycji zawierającej przysłowia spoza terenu Rosji. Tak czy owak, ujawnili swoją słabość: pychę. Nie spodziewali się, że ktokolwiek będzie w stanie skojarzyć sentencje z konkretną książką. Bogiem a prawdą, gdyby nie Drozd i jego fotograficzna pamięć, mogliby mieć rację...

Zerknąłem na kolejne przysłowie: *Biez razuma siła, wsio rawno czto żeliezo gniło*. O co tu może chodzić? Bez rozumu siła jest jak zardzewiałe żelazo. Chcą zamordować jakiegoś siłacza?

– Za dwa dni przyjeżdża do Moskwy Konstantinow, wiecie, ten sztangista. Piszą o tym wszystkie gazety. Ma się spotkać z komsomolcami i żołnierzami.

– Myślisz, że spróbują go...

– Nie widzę nikogo, kto bardziej odpowiadałby tej sentencji – odparł pewnym tonem Drozd.

– Trzeba będzie zorganizować mu ochronę – mruknąłem. – Bo jeśli trzasną i jego, skończymy wszyscy w karnym batalionie.

– Nie trzasną – wyszczerzył zęby chłopak. – Obronimy Konstantinowa. I złapiemy mordercę czy też morderców. Zamkniemy sprawę.

– Oby – westchnąłem. – Oby.

– Co robimy, *komandir*? – odezwał się Kotuszew.

– Na razie nic. Powiedz mi najpierw, co wykazała sekcja?

– Utopili go.

– Co takiego?!

– No przecież mówię: utopili naszego Arnoszta. Miał wodę w płucach.

– Dalej się z nami zabawiają...

– Już niedługo – zapewnił Drozd.

– W porządku – zadecydowałem. – Zabieramy się do roboty: Tima, wybierzesz dwudziestu ludzi, tylko naszych, z *wojennoj razwiedki*, Pietka, opracujesz schemat ochrony Konstantinowa.

– *Tak toczno!*

– A ja? – spytała z wyrzutem Wiera. – Pomagałam Drozdowi całe popołudnie!

– Nie mam dla ciebie żadnych zadań, ale w dniu przyjazdu Konstantinowa odwołaj zajęcia i dołącz do nas. Może się na coś przydasz...

Wiera zapiszczała z radości i ucałowała siarczyście chłopaków.

– Tak jest! – zawołała z entuzjazmem.

Dzieciaki, pomyślałem. Normalne dzieciaki...

Nocna lampka oświetlała zawalony książkami stół, wydobywała z mroku wystającą spod kołdry smukłą kobiecą łydkę. Natasza spała. Wiedziałem, że nie miałaby nic przeciwko temu, żebym

ją obudził. Tyle że czekały mnie obowiązki. Musiałem wreszcie przetłumaczyć zabraną Doskonałym książkę. Od tego zależało moje zdrowie, być może życie. Niezależnie od tego, co mówił Nikonow, nie sądziłem, by powtarzające się wizje stanowiły efekt przypadku – byłem ofiarą „świętej choroby". Zauważyłem i inne zmiany: mogłem całymi tygodniami spać po kilka godzin na dobę, nie czując się zmęczony, rzadziej doznawałem głodu i pragnienia, poprawiła mi się pamięć. Jednym z ćwiczeń, jakie powtarzał każdy pracownik *wojennoj razwiedki*, było zapamiętywanie zestawów liczb. Nigdy nie mogłem wyjść poza sześciocyfrowe, teraz bez problemu potrafiłem zapamiętać dłuższe o dwie cyfry. No i matematyka... Zawsze miałem z nią problemy. A tu nagle z ogromnym zdziwieniem stwierdziłem, że z łatwością potrafię rozwiązywać najtrudniejsze nawet zadania z zakresu topografii czy balistyki. No, tym akurat nie było sensu się martwić, niepokoiły mnie powtarzające się regularnie krwotoki. Czy będą się nasilały? Czy stracę kiedyś przytomność jak za pierwszym razem? Czy nie czeka mnie kolejna, niekoniecznie przyjemna niespodzianka? Pytania, pytania, pytania...

Zdecydowanym ruchem otworzyłem rękopis, skupiłem się na tekście: „W miarę rozwoju świętej choroby *via visionis patebit*".

Cholera by wzięła tego dupka poliglotę. Teraz będę musiał sprawdzać co drugie zdanie w słowniku. Taaa... „Odsłoni się droga wizji". Jasne. Czyli choroba się nasila... Ażeby to chuj strzelił! Mimo wszystko miałem nadzieję, że to teoria Nikonowa okaże się słuszna. No nic, trzeba tłumaczyć dalej. „Wiedz, że tylko krwią i poprzez krew możesz *nourrir l'Enfant*". *Nourrir* – nakarmić. Znaczy: „nakarmić dziecko", a raczej „Dziecko". Znowu jakiś mistyczny szyfr. „A korzenie krwi wyrastają z serca. Szukaj serca, *memento sanguinem cum sanguine miscere*".

Z ciężkim westchnieniem sięgnąłem po słownik łaciński. „Szukaj serca, pamiętaj, aby mieszać krew z krwią”. No ładnie, tylko w jaki sposób? No nic, idźmy dalej: „Nadejdzie chwila, kiedy będziesz musiał podjąć decyzję, moment, w którym poczujesz *l’ardeur intérieure*”. Co za „wewnętrzny żar”? Może chodzi o odporność na zimno? Nieodczuwanie chłodu? Jeśli tak, mam jeszcze trochę czasu, nadal czuję zimno, myjąc się lodowatą wodą.

„Etiamsi cades, sanguis alienus salutem tibi afferent”. „Nawet jeśli upadniesz, uratuje cię obca krew”. Świetnie, ale jak? Naprawdę mam zjeść cudze serce na surowo? I co znaczy termin „upadniesz”? „*Cherche le coeur*”. „Szukaj serca”. Jasne. A potem je zeżryj jak Doskonali w Leningradzie... „Wówczas *la bénédiction mûrira*”. „Błogosławieństwo dojrzeje”. Dobrze, następne zdanie: „*La maladie sacrée* osiągnie swój kres”. *Maladie sacrée* – święta choroba. Coraz lepiej – a na czym polega ów „kres”? Stanę się mrozoodporny? Grając w szachy, będę mógł przewidzieć posunięcia przeciwnika na trzy ruchy naprzód? Umrę, wykrwawiając się pod płotem? Stanę się gotowy do kolejnego sekretnego rytuału, który uczyni ze mnie nadczłowieka? Szkoda, że nie będzie go komu przeprowadzić. Bo do tego potrzeba mistrza. Niestety, nic mi nie wiadomo, aby ktoś taki istniał: Dankell zginął w leningradzkim porcie, a Nadię Elizarownę zastrzeliłem osobiście. Ech, Razumowski, Razumowski, w co ty się wplątałeś?

Potarłem skronie, zaczynała mnie boleć głowa. Dosyć na dzisiaj, zdecydowałem. Zgasiłem lampę i rozebrałem się po ciemku. Czas spać. A gdybym nie mógł zasnąć, Natasza mi w tym pomoże...

Trąciłem w bok Kotuszewa – ruszyliśmy. Jak każdy żołnierz, chłopak korzystał z okazji, aby podłapać trochę snu. Tyle że mimo braku bezpośredniego zagrożenia sytuacja wymagała nieustannej czujności: ubezpieczaliśmy przejazd Konstantinowa przez Moskwę. Prawdopodobieństwo, że ktoś spróbuje zabić sportowca w biały dzień, na oczach setek mieszkańców stolicy było bliskie zera, ale lepiej na zimne dmuchać – kolejny trup mógłby nam narobić problemów. Ojczulek Stalin nie słynął z nadludzkiej cierpliwości... W dodatku niedawno zdjęto ze stanowiska generała Panfiłowa, zastąpił go niejaki Iliczow – były szef wydziału politycznego. Dymisję Panfiłowa spowodował rozkaz samego Gławkoma, a więc rzecz nie podlegała dyskusji. Poszło o tworzoną na naszym terytorium armię generała Andersa. Kiedy Polacy wymaszerowali do Iranu, odmawiając wysłania do walki nawet jednej dywizji, trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. No i znaleziono – Panfiłowa. Chodziły słuchy o braku broni i wyżywienia dla Polaków, o dziesiątkujących ludzi Andersa chorobach, o uporczywym sabotowaniu wszelkich potrzeb andersowców. Do tego dochodziła sprawa zaginionych w ZSRR oficerów: Polacy obliczyli, że brakuje przynajmniej kilku, o ile nie kilkunastu tysięcy. Jednym słowem, Polacy nam nie ufali i wymknęli się, korzystając z okazji, a zapłacił za to generał Panfiłow. Dobrze, że nie głową...

– Stanęli przy restauracji – odezwał się Tima. – Teraz przejmie go Wiera.

Mruknąłem potakująco. Zgodnie z daną dziewczynie obietnicą pozwoliłem jej uczestniczyć w akcji. Udawała dziennikarkę lokalnej gazety, dzięki czemu mogła przebywać razem z Konstantinowem. Sportowiec, jak wielu jego kolegów, nie gardził sławą i nieustannie kokietował żurnalistów. No i dobrze, łatwiej będzie go chronić.

– Też bym coś zjadł – westchnął Kotuszew.

– Mógłbyś wykazać odrobinę komunistycznego samozaparcia – parsknąłem. – Przez ciebie i mnie burczy w brzuchu.

– Mój żołądek jest bezpartyjny – odparł chłopak wesoło.

Spojrzałem na niego ponuro i uchyliwszy okienko samochodu, wezwałem gestem Drozda. Ten dowodził obstawiającymi restaurację agentami.

– Tak, *komandir*? – spytał Pietka, udając, że przypala mi papierosa.

– Zorganizuj nam coś do żarcia – poleciłem. – Oni mogą tu siedzieć parę godzin.

– A my? – zainteresował się natychmiast. – My też możemy?

– Ilu was tam jest?

– Ośmiu. Chronimy go niczym prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Mam nadzieję, że lepiej – burknąłem. – Amerykanie któregoś nie upilnowali.

– To jak z tym jedzeniem?

– Możecie skorzystać z restauracji. Wchodzicie po dwóch, reszta zabezpiecza teren. Nie traćcie kontaktu wzrokowego z Wierą, widać ją przez szybę, więc to żaden problem.

– Tak jest! – odmeldował się ochoczo.

– I żadnego alkoholu! – syknąłem ostrzegawczo.

Drozd odpowiedział mi spojrzeniem zranionej sarenki, ale nie zaprotestował. Wiedziałem, że mnie posłucha, stawka była zbyt wysoka. Pewnie odrobina piwa nikomu by nie zaszkodziła, ale lepiej uważać, niewykluczone, że gdzieś w pobliżu kręci się i ekipa NKWD – sprawę ochrony Konstantinowa musieliśmy przekonsultować z towarzyszem Berią.

– Suchy prowiant! – rzucił z pogardą w głosie Kotuszew, dojadając dziesiątą chyba z kolei kanapkę. – Gdybyśmy zaszli do restauracji...

– Nie zajdziemy! – uciąłem marudzenie chłopaka. – A jak będziesz tyle żarł, to w końcu pękniesz.

– Jeszcze rosnę – poinformował mnie z niewinną miną.

– Naprawdę? O ile pamiętam, okres wzrostu trwa do dziewiętnastego czy dwudziestego roku życia. A wy, towarzyszu poruczniku, skończyliście niedawno dwadzieścia pięć.

– Medycyna nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa...

– Jeśli chodzi o takie wybryki natury jak ty? Z pewnością. Tylko że...

– Wychodzą! – poinformował Kotuszew, wpadając mi w słowo.

– Przygotuj się – rozkazałem.

Zawarczał silnik, przez siekane deszczem szyby obserwowaliśmy Konstantinowa. Sportowiec wsiadł do samochodu w towarzystwie Wiery i nieznanego mi mężczyzny, po czym cała ekipa odjechała spod restauracji.

– Kim jest ten facet? – spytałem.

– To dziennikarz – wyjaśnił Kotuszew. – Pisze felietony do „Komsomolskiej Prawdy”.

– Czyli to raczej nie on – mruknąłem.

– Na pewno nie. Myślę, że nasz morderca zaatakuje dopiero w nocy.

– Cóż, zobaczymy...

Wóz Konstantinowa skręcił w ulicę Puszkina, zatrzymał się przed hotelem dla aparatczyków średniego szczebla. Znaczy nie będzie tłoku. Na szczęście wiedziałem wcześniej, gdzie nasz podopieczny przenocuje, i umieściłem tam kilku ludzi udających personel. No i była jeszcze Wiera. Ubawiłem się nieźle, wysłuchując poprzedniego dnia nerwowych pytań

panienki Turkuł dotyczących tego, jak bardzo ma się poświęcić sprawie ochrony Konstantinowa. Jak zrozumiałem, dziewczynie chodziło o spędzenie nocy w pokoju sportowca. Odetchnęła z ulgą, kiedy rozwiałem jej obawy. Nie żebym się spieszył z wyjaśnieniami. Pozwoliłem Wierze pocić się jakiś kwadrans: w końcu i mnie należy się odrobina rozrywki...

W oknie apartamentu Konstantinowa pojawił się stłumiony przez story niebieski blask – zaciemnienie nadal obowiązywało. Jeden z naszych ludzi zastąpił portiera na piętrze, gdzie umieszczono sportowca, naprzeciwko, drzwi w drzwi, rozlokowała się panna Turkuł, osobna ekipa zabezpieczała wszelkie wejścia na parterze, a my obserwowaliśmy hotel od zewnątrz. Zabójca nie ma żadnej szansy, aby dobrać się do Konstantinowa. Chyba że przenika przez ściany...

Pozostawało jedynie czekać. Zerknąłem na zegarek – dochodziła dwudziesta trzecia. Żeby tylko nie zasnąć... Co prawda nie spodziewałem się, że morderca opuści się po linie i wedrze do pokoju Konstantinowa przez okno, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wyszedłem z samochodu, zapinając guziki płaszcza – lato miało się ku końcowi, noce stały się chłodne. Minąłem dwóch „przypadkowych przechodniów”: całkiem nieźle imitowali pijacką burdę, znalazłem się na tyłach hotelu. Bardziej wyczułem, niż zobaczyłem Drozda, chłopak ukrył się za śmietnikiem. Znaczy wszyscy na stanowiskach, w pełnej gotowości. Mysz się nie prześliźnie. A jednak czułem irracjonalny w tej sytuacji niepokój. Coś jest nie tak, czegoś nie dostrzegłem, może przeoczyłem? Cóż, jakkolwiek by było – za późno na zmiany. Akcja w toku.

Stałem wpatrzony w dywan, słuchając wrzasków Generalnego Komisarza. Tuż obok prężył się na baczność Poliakow. Cóż, zasłużyliśmy: znaleziono kolejnego trupa. Konstantinow przespał noc spokojnie, nie przeczuwając nawet, że pilnuje go kilkanaście osób. Zamordowano za to niejakiego Zaworkiana – mistrza ZSRR w zapasach, poniekąd także siłacza... Gniew towarzysza Berii był zrozumiały, jednak odniosłem wrażenie, że kryje się pod nim coś jeszcze, w jego głosie wyczuwałem strach. Czyżbym czegoś nie wiedział? Wyczekałem, aż Genkom umilknie – w końcu musiał zaczerpnąć tchu – i zwróciłem się oficjalnie o pozwolenie na zabranie głosu. Beria spiorunował mnie spojrzeniem, ale po chwili wściekłego sapania wykonał przyzwalający gest.

– Ten... zapaśnik – odezwałem się z wahaniem. – On był tylko sportowcem?

– Nie! – warknął Genkom. – Nie tylko! Pracował w grupie badawczej zajmującej się rozwojem nowego systemu walki wręcz przeznaczonego dla służb specjalnych i niektórych oddziałów wojska.

Mimowolnie złożyłem usta do bezgłośnego gwizdnięcia. Takie buty... No to teraz wiadomo, skąd zdenerwowanie towarzysza Berii: od dawna chodziły słuchy o dziwacznych eksperymentach dokonywanych przez czołowych badaczy ze szkoły Pawłowa, o „Teorii zręczności" Bernsteina omawiającej, jak najlepiej wykorzystać mechanikę ruchu człowieka, o chińskich instruktorach przysyłanych przez towarzysza Mao... Przypuszczałem, że projekt znajdował się pod osobistym nadzorem towarzysza Stalina. Trudności związane z wprowadzeniem projektu w życie oznaczały zagrożenie dla wszystkich odpowiedzialnych za jego bezpieczeństwo. Nawet dla Ławrentija Pawłowicza Berii. Ot, w czym problem!

– A teraz – kontynuował Beria – czy macie coś na swoje usprawiedliwienie?!

Ponieważ Poliakow milczał, ja zabrałem głos.

– Nasze założenia okazały się słuszne – powiedziałem, nie zwracając uwagi na wściekłą minę Generalnego Komisarza. – Tym razem miał zginąć siłacz, no i zginął, tyle że nie ten... Pomyłka związana z wyznaczeniem kolejnego celu mordercy jest moją winą i biorę za nią pełną odpowiedzialność. Nalegam na kontynuację akcji według opracowanego wcześniej schematu, to nasza jedyna szansa.

– Problemem waszej odpowiedzialności zajmiemy się później, choć może szybciej, niż myślicie – wycedził Beria. – Teraz najważniejsze jest powstrzymanie tych zbrodni. Kto ma być następny według tego waszego... rozkładu? I co zrobicie, jeśli celów będzie więcej?

– Mogę wezwać porucznika Drozda?

– Dawajcie go!

Otworzyłem drzwi i skinieniem dłoni przywołałem Pietkę. Wraz z Kotuszewem czekali na korytarzu, najwyraźniej Genkom uznał, że niewarci są jego uwagi. Nie żeby było czego zazdrościć tym, którzy zwrócili na siebie uwagę towarzysza Berii...

Generalny Komisarz niecierpliwym gestem zbył honory oddane przez nieco stremowanego chłopaka i nieartykułowanym burknięciem zachęcił mnie do wyjaśnienia sprawy.

– Następne przysłowie? – zwróciłem się szorstko do Drozda.

– *Krasota biez razuma pusta* – odparł bez namysłu Pietka.

Uroda bez rozumu jest niczym. No, przynajmniej zerknął do tego cholernego zbiorku...

– Sprawdziłeś, do czego to może pasować?

– *Tak toczno!*

– No więc? – spytał rozkazującym tonem Beria.

– Z okazji dwudziestodwulecia Mosfilmu odbędzie się kilka imprez. Ze względu na wojnę nie przewiduje się jakichś szczególnych atrakcji, ale w uroczystej projekcji najbardziej znanych filmów tej wytwórni mają uczestniczyć trzy znane z urody aktorki: Lubow Orłowa, Maria Mironowa i Nina Krawczenko.

– Udział w akcji Orłowej i Mironowej jest wykluczony! – zaznaczył natychmiast Beria. – Gdyby coś im się stało... – nie dokończył.

Nie musiał: wszyscy wiedzieli, że miłośnikiem talentu, i być może nie tylko talentu, obu aktorek jest sam towarzysz Stalin. No cóż, pozostaje nam Nina Krawczenko.

– Jak to zrobimy? – zapytał Genkom. – Przecież nie możemy im zakazać udziału w tej projekcji, zrobiłby się szum. Nie wiemy też, jak blisko obu aktorek jest morderca albo ktoś z jego wspólników. One nie mogą o niczym wiedzieć!

No proszę: towarzysz Beria sam zrozumiał złożoność sytuacji, nawet nie musieliśmy mu tego tłumaczyć. A mówią, że cuda się nie zdarzają...

– Macie całkowitą rację, towarzyszu Generalny Komisarzu! – odparłem spokojnie. – Trzeba je wyłączyć z tej imprezy bez ich wiedzy.

– Niby jak?!

– Pozwolicie, towarzyszu Generalny Komisarzu? – wymamrotał Drozd.

– Gadaj!

– Najlepiej będzie odsunąć aktorki od obchodów rocznicowych z powodów zdrowotnych. Nie wzbudzi to nijakich podejrzeń, w chwili obecnej choroby to rzecz często spotykana.

– Co proponujecie? – Genkom zmarszczył brwi.

– Niedyspozycje żołądkowe. Wystarczy na krótko przed imprezą dodać im do zupy środek przeczyszczający i kontynuować tę procedurę w szpitalu przez kilka dni. Biegunka może być symptomem wielu groźnych chorób, potrzeba czasu na badania i analizy. No i nikt się nie zdziwi, jeśli okaże się, że w restauracji, niechby i ekskluzywnej, znalazła się partia nieświeżej żywności. W końcu mamy wojnę – dorzucił, wzruszając ramionami.

– Pomysł niby niegłupi. – Beria nerwowo postukał w blat. – A jeśli coś im się stanie?

– Można skonsultować się z lekarzem – odparł natychmiast Pietka. – Jednak o ile mi wiadomo, medycyna nie notuje przypadków, aby incydentalne zażycie łagodnego środka przeczyszczającego zrujnowało komuś zdrowie. Do tego...

– Tak? Kontynuujcie – polecił Genkom.

– Oglądałem ostatni film Lubow Orłowej – odparł chłopak, czerwieniąc się.

– I co z tego?

– To „Jasna droga", wiecie, towarzyszu, ona gra tam Tanię Morozową...

– No i? – ponaglił łagodnie Beria, wykazując nadspodziewaną cierpliwość.

– Lubow wygląda tam tak, jakby przydało jej się zrzucić kilka kilogramów.

Przez chwilę myślałem, że Drozd się doigrał – żartować sobie z szefem NKWD, też pomysł! – ale mimo że Beria mruknął pod nosem coś o idiotach, jego oczy zabłysły rozbawieniem.

– Więc myślicie, poruczniku, że Lubow Orłowa powinna być wam wdzięczna?

– *Tak toczno, towariszcz Gienieralnyj Komissar!*

– Wynocha za drzwi! – polecił Beria bez gniewu w głosie. – Was, towarzyszu Poliakow, także nie zatrzymuję. Jutro

chciałbym widzieć dokładny plan akcji. Nie, wy zostańcie – odezwał się, widząc, że ruszam do wyjścia.

Kiedy zostaliśmy sami, Genkom obrzucił mnie zimnym, taksującym wzrokiem. Ponownie nasunęło mi się porównanie do kucharki oceniającej, jak szybko uda jej się wypatroszyć zająca.

– Mimo ostatniej wpadki wywarliście na mnie pozytywne wrażenie, majorze – odezwał się wreszcie. – Wszyscy popełniamy błędy, chodzi tylko o to, aby w porę się z nich wycofać.

Ponieważ nie wyglądało, żeby towarzysz Beria oczekiwał mojego komentarza, milczałem.

– Pamiętajcie o tym – zakończył, odprawiając mnie gestem dłoni.

Poliakow i moi chłopcy oczekiwali mnie przed siedzibą NKWD. W pierwszej chwili ich nie zauważyłem, siedzieli w samochodzie milicjanta.

– Co się stało, *komandir*? – spytał Kotuszew z niepokojem.

– Obaj z wozu – rozkazałem.

Zniknęli bez jednego słowa.

– Co się stało? – powtórzył Poliakow.

– Podwieź mnie do domu – poprosiłem. – Być może będę potrzebował twojej pomocy.

Milicjant posłusznie uruchomił silnik, nie ponowił pytania. Czekał.

– Chyba coś z Nataszą – mruknąłem w końcu. – Towarzysz Beria raczył wspomnieć o błędach.

Nie widziałem innej możliwości – gdyby chodziło o złoto, nikt by ze mną nie dyskutował, wypluwałbym teraz zęby na Łubiance.

– Mam nadzieję, że nie planujesz niczego... spektakularnego?

– To nie jest miłość mojego życia – odparłem szorstko. – Jednak...

Zagryzłem wargi, umilkłem w pół zdania. Nie było sensu dywagować, za chwilę będziemy na miejscu.

– Myślisz, że to donosy?

– Wykluczone – odparł stanowczo. – Kontrolowałem sytuację. Przepuściłem tylko kilka, starannie wybranych.

– Co takiego?!

– Na każdego przychodzą donosy – odparł z zimnym uśmiechem. – Nauczyliśmy naród... rewolucyjnej czujności. Stałbyś się podejrzany, gdyby nie pojawiły się żadne. To były drobiazgi: ktoś poinformował, że słuchasz muzyki do późnej nocy i pijesz wódkę, a twoja Natasza używa perfum imperialistycznej produkcji.

– Żartujesz?

– Nie. Tyle że na pewno nie o to chodziło. Sprawa musi być dużo poważniejsza, jeśli doszła do Genkoma.

Skinąłem w milczeniu głową. Poliakow miał rację: ktoś, kto przyszedłby do towarzysza Berii z doniesieniem, że jeden ze znanych mu oficerów pije wódkę, spędziłby najbliższe dziesięć lat na Kołymie. Może chodziło o męża Nataszy? Tyle że w niemieckiej niewoli znajdowały się miliony naszych żołnierzy i chociaż państwo nie cackało się z ich rodzinami, znałem sporo przykładów, gdzie przymykano na to oko. Wystarczyło, że za krewnymi siedzącego w niewoli nieszczęśnika ujął się ktoś, kogo NKWD wolało nie drażnić. Spełniałem ten warunek. W dodatku byliśmy w trakcie ważnej akcji, prawdopodobieństwo, że ktoś przyczepi się do Nataszy, w sytuacji kiedy miałem dostęp do Generalnego Komisarza, było bliskie zera. Wiedziałem, że nie mam przyjaciół wśród bezpieczniaków, lecz żaden z nich nie ryzykowałby kariery dla osobistej satysfakcji. Nawet Kutiepow.

Zajechaliśmy przed moją kamienicę, zanim Poliakow zdążył zgasić silnik, wyskoczyłem z wozu, pognałem na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Drzwi do mieszkania Nataszy były wyłamane, podłogę zaścielały dokumenty i pozbawione okładek książki. Ktoś przeprowadził brutalne, choć bardzo powierzchowne przeszukanie – niedobrze, znaczy, że nie szukali na serio dowodów winy, już je mieli...

Wyczułem za plecami Poliakowa, po chwili milicjant zszedł gdzieś na dół. Bezmyślnie kopnąłem kilka książek, zmarszczyłem brwi, odkrywszy pod spodem plamę czerwieni. Krew. Bili ją tutaj, na miejscu? Nonsens. NKWD słynęło z brutalnych przesłuchań, ale prowadzono je w odpowiednim miejscu, tam, gdzie postronni nie mogli usłyszeć krzyków ani zobaczyć efektów pracy śledczych. Co tu się stało? Czyżby Natasza stawiała opór? Jeszcze większa bzdura. Nie ośmieliłaby się. Nie byłaby w stanie.

Tupot na schodach oznajmił powrót milicjanta.

– To twój znajomy Kutiepow – oznajmił Poliakow.

Zacisnąłem zęby – doczekałem się, kurwa... Trzeba było trzasnąć gnoja, tak jak proponował Pietka Drozd. Teraz już za późno. Przepadło. Gdyby dziś cokolwiek stało się mojemu przyjacielowi z Leningradu, nawet nie prowadzono by śledztwa, czekiści od razu zapukaliby do moich drzwi.

– Możesz się dowiedzieć, dlaczego ją wzięli? – spytałem. – Poprzez swoje kanały, bo wolałbym nie występować oficjalnie z takim...

– To żadna tajemnica – przerwał mi Poliakow. – Chodzi o jej męża.

– Bo jest jeńcem?!

– Nie tylko to.

– No to w czym rzecz, do cholery?!

– Pokrowski zaciągnął się na ochotnika do Hiwi...

Odruchowo poluzowałem kołnierzyk munduru, poczułem ucisk w piersi. A niech to cholera... O ile bywało, że przymykano oczy na fakt, iż ktoś dostał się do niemieckiej niewoli, nie dotyczyło to nigdy pełniących funkcje pomocnicze w szwabskiej armii Hilfswillige. Tych traktowano jak zdrajców w całym tego słowa znaczeniu. A dla rodzin zdrajców nie było żadnej litości. Nie obroniłby ich nie tylko major, ale i marszałek Związku Radzieckiego.

– Ona wiedziała o tym przynajmniej od dwóch miesięcy – poinformował mnie z zakłopotanym wyrazem twarzy Poliakow. – Tak przynajmniej twierdzą sąsiedzi. Przychodzili tu do niej z NKWD, wypytywali o męża...

– Suka! – wycedziłem wściekle.

Milicjant bez słowa pociągnął mnie za rękaw, wyprowadził na korytarz. Nieczułymi, jakby zdrętwiałymi z zimna rękoma sięgnąłem po klucze, otworzyłem drzwi do swojego mieszkania.

– To jeszcze nie wszystko – westchnął Poliakow, lekkim pchnięciem sadzając mnie na krześle.

– Nie krępuj się – wymamrotałem. – Gadaj...

– Nie znaleźli dzieciaka.

– Jakiego, do licha, dzieciaka?!

– Syna tej twojej Nataszy. Szukali go po całej kamienicy, bez rezultatu. Nawet miejscowi kapusie nie wiedzą, gdzie się podział.

Pokiwałem w zadumie głową – to stąd ta krew... Próbowali załatwić sprawę na miejscu, myśleli, że Natasza ukryła syna. Tylko czy rzeczywiście wiedziała, gdzie jest Lońka? I dlaczego, do cholery, nie wspomniała mi o zdradzie, prawdziwej zdradzie Włada?!

Zadzwoniło szkło, Poliakow wystawił wódkę, rozlał do szklanek. Wypiliśmy. Palący płyn rozgrzał mnie od środka, roztopił lód, do palców zaczęło powracać czucie.

– Możesz mi pomóc? – spytałem.

– Zależy w czym? – odparł ostrożnie milicjant. – Mam nadzieję, że nie masz zamiaru zaatakować Łubianki...

– Nie mam. – Roześmiałem się zimno. – Ale muszę spotkać się z Nataszą, ustalić, co powiedziała czekistom. Chcę wiedzieć, czy za tydzień nie przyjdzie po mnie kolejna ekipa, no i trzeba załatwić sprawę z Kutiepowem, ten facet nie odpuści.

– To rozsądne życzenia – stwierdził Poliakow po namyśle. – Zobaczę, co da się zrobić, porozmawiamy jutro.

Pożegnał się ze mną klepnięciem w plecy, wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Cisza aż dzwoniła w uszach, nie słychać było normalnych o tej porze dźwięków: żadnego szczękania garami, żadnego biegania po schodach, pijackich wrzasków i sąsiedzkich kłótni. Tak jakby wszyscy lokatorzy pochowali się w swoich mieszkaniach w strachu, że najmniejszy hałas zwróci na nich uwagę. Pewnie zresztą i tak było. Nawet największa, pisząca co dzień donosy gnida wiedziała, że bezpieka nie zna uczucia wdzięczności. Dziś przyszła po sąsiada, jutro może zainteresować się tobą. Takie życie.

Zacisnąłem zęby, przypominając sobie czułość Nataszy, jej dotyk, zapach. Wierzyłem dziewczynie. Wierzyłem, że mnie nie oszuka, nie wystawi na niebezpieczeństwo. A tu proszę... Czyżby cały czas udawała?

Sięgnąłem jeszcze raz po wódkę, odmierzyłem jak lekarstwo, wypiłem. Nie było sensu gubić się w domysłach, wszystko wyjaśni się jutro. Być może. Nie potrafiłem ocenić sytuacji, nie w tym momencie. Przypuszczałem, że chwilowo, do końca prowadzonej obecnie operacji, jestem na tyle potrzebny towarzyszowi Berii, że ten będzie trzymał Kutiepowa na smyczy. Niezależnie od tego, co Natasza powiedziała mojemu przyjacielowi z Leningradu. Jednak jeśli zwaliła na mnie winę

za zdradę Włada, pan pułkownik tak czy owak mógł dostać zielone światło... Nie ma ludzi niezastąpionych.

Rozebrałem się, złożyłem starannie mundur i pomaszerowałem do łóżka. Chłodna pościel przyjemnie chłodziła ciało, zasnąłem niemal od razu, bez żadnych snów i wizji.

Ocknąłem się, słysząc terkot budzika: siódma rano. Nie przypominałem sobie, abym go wczoraj nakręcał, musiała to zrobić Natasza. Zerwałem się z łóżka, przygotowałem śniadanie – po raz pierwszy od kilku miesięcy samodzielnie – wykąpałem się. Kto wie kiedy będę miał kolejną okazję? Mimo deklaracji Poliakowa nie liczyłem specjalnie na pomoc milicjanta. Wątpiłem, żeby chciał dla mnie ryzykować karierę, a gdyby nawet, nie wyobrażałem sobie, w jaki niby sposób mógł zneutralizować Kutiepowa, ten był zbyt grubą rybą. Może chociaż zorganizuje mi spotkanie z Nataszą? Miejscowa milicja zawsze wspierała NKWD w przypadku organizowania transportów do obozów pracy, a to niechybnie czekało Nataszę. Dzień, dwa i wsadzą ją do pociągu z biletem w jedną stronę. Chyba że przesłuchania się przeciągną...

Kiedy zajechałem przed komendę, czekał już na mnie jeden z ludzi Poliakowa.

– Pan pułkownik prosił o spotkanie w mieszkaniu Wiery – poinformował mnie, ledwo wysiadłem z samochodu.

No cóż, jak konspiracja, to konspiracja. Hamując zniecierpliwienie, zasiadłem ponownie za kierownicą, ruszyłem na Arbat. Mimo wszystko podniosło mnie to na duchu

– gdyby „Polak” nie chciał pomóc, nie spotykałby się ze mną u Wiery, spławiłby mnie w swoim gabinecie.

Zaparkowałem samochód tuż przy wejściu do kamienicy, wspiąłem się na piętro. W mieszkaniu zastałem tylko Poliakowa, najwyraźniej pozbył się jakimś sposobem staruszek i Wiery.

– Wiesz, że Natasza jest nie do uratowania? – spytał zamiast powitania.

Skinąłem posępnie głową.

– No to najważniejszą sprawę mamy za sobą, reszta to drobiazg.

– Drobiazg?! A co z Kutiepowem?

– No przecież mówię: drobiazg.

Przyjrzałem się uważnie milicjantowi – nie wyglądał na pijanego.

– Myślisz, że tak łatwo skasować pułkownika bezpieki?!

– Zależy komu – odparł, wzruszając ramionami. – Dla mnie to niewielki problem.

– Możesz wyjaśnić?

– Dwa miesiące temu zastrzelono generała Gurładze. Sprawcy do dzisiaj nie wykryto. A twój przyjaciel przyjechał do Moskwy tuż po tym, jak ty wróciłeś z Leningradu.

– I co z tego?

– Znalazłem pistolet mordercy. Wiem o nim tylko ja, nikt więcej. To tokariew. Jeszcze dzisiaj Kutiepow zostanie aresztowany. Jakiś tydzień temu na adres komendy przyszedł donos informujący, że zabójcą jest twój znajomy...

– Zaraz, zaraz, on naprawdę zastrzelił Gurładze?

– Prawda to pojęcie z zakresu filozofii – oznajmił, przypatrując się swoim paznokciom. – Ja zajmuję się realnym życiem. Jak powiedziałem, na adres komendy przyszedł donos na Kutiepowa, nie – zadecydował po krótkim namyśle – lepiej

dwa donosy. Mamy też broń, za pomocą której dokonano zbrodni. Znajdziemy ją w mieszkaniu Kutiepowa. Aha, prawie bym zapomniał: jeden z moich kapusiów, kieszonkowiec z zawodu, podmieni mu na ulicy pistolet. Zaraz potem pan pułkownik usłyszy strzały dochodzące z pobliskiego zaułka. Jak przypuszczam, pierwsze, co zrobi, to sięgnie po broń. Kiedy zostawi na niej swoje odciski palców, pistolet zostanie zamieniony ponownie na jego własny. Ot i wszystko. Moim zdaniem, wystarczy...

Oniemiałem. Mimo że dochodziły mnie już wcześniej słuchy o ogromnych możliwościach i bezwzględności Poliakowa, dopiero teraz w pełni dotarło do mnie, z kim mam do czynienia: na terenie Moskwy „Polak" był niemal wszechmocny...

– Ale czy oni uwierzą? – wyjąkałem.

– Jacy „oni"? Władza?

– NKWD, Beria...

– Uwierzą, jeszcze jak uwierzą...

– Nie rozumiem?

– Po pierwsze: wszelkie dowody będą wskazywały na Kutiepowa.

– To oczywiste – burknąłem ze zniecierpliwieniem. – Po drugie?

– Po drugie...

– Tak?

– Gurładze był zastępcą Szaposznikowa – poinformował milicjant. – Teraz rozumiesz?

Rozumiałem. Marszałek Szaposznikow to jeden z najbardziej zaufanych ludzi towarzysza Stalina: szef Sztabu Generalnego i członek Stawki. Jeśli ktoś zabił jego zastępcę... Tak, morderca musiał sam obracać się nie tylko w wysokich, ale w najwyższych kręgach władzy. Inaczej nie byłby w stanie nawet zbliżyć się do Gurładze. A tak przypisanie morderstwa

Kutiepowowi będzie na rękę wszystkim; samemu zabójcy, Stalinowi i innym członkom *Stawki Wierchownogo Gławnokomandowanija*, organu kierującego siłami zbrojnymi kraju. Zabójca Gurładze dostanie szansę, aby raz na zawsze odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, a nasi przywódcy chętnie uwierzą we wszystko, co przekona ich, że mordercą jest ktoś obcy, ktoś z zewnątrz. Inaczej musieliby go szukać wśród swoich. Jeśli plan Poliakowa się powiedzie, Kutiepowa nie uratują nawet niebiańskie hufce. Skończy tak, jak mu kiedyś przepowiadałem: na zonie. Chyba że rozstrzelają go na miejscu...

– No dobrze – powiedziałem. – A co z Nataszą? Kiedy będę mógł się z nią spotkać? I czy nie warto pogadać z *błatnymi* o tych morderstwach? Mogliby nam pomóc w pilnowaniu...

– *Błatni* – Poliakow przerwał mi bez ceregieli – mogliby nam pomóc tylko w jednym: jak najszybszym osiągnięciu Królestwa Niebieskiego.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie bacząc na nasze działania, towarzysz Ławrentij Pawłowicz Beria podjął swoje.

– Mianowicie?

– Od tygodnia w Moskwie trwa wielkie polowanie, zwierzyną są *błatni*. Aresztuje się ich i wysyła do obozów pracy praktycznie bez sądu, na podstawie donosów i ustaleń milicji. Pretekstem jest oczyszczenie zaplecza frontu z niepewnego klasowo elementu.

– Czy on naprawdę myśli, że powstrzyma w ten sposób morderstwa? Założę się, że bandyci nie mają nic wspólnego z tą sprawą.

– Nie wiem, co sobie myśli Generalny Komisarz – wzruszył ramionami Poliakow. – Nie zwierza mi się. Natomiast jestem pewien, że w obecnej sytuacji *błatni* nam nie pomogą.

– No dobrze, a Natasza?

– Myślę, że niedługo będziesz mógł się z nią spotkać, dziś priorytetem jest pułkownik Kutiepow. Wydaje mi się jednak, że jesteś bezpieczny.

– Akurat! Jeśli mnie oskarżyła...

– Nie oskarżyła.

– Skąd wiesz?!

– Nie wiem, co powiedziała na Łubiance, nie jestem wróżką – odparł Poliakow – ale w momencie, kiedy ją aresztowali, tam, w kamienicy, wzięła wszystko na siebie.

– Nie rozumiem?

– Krzyczała, że to wszystko jej wina, że o niczym nie wiedziałeś. Mądra dziewczyna...

Zacisnąłem zęby – domyślałem się, o co chodzi milicjantowi. Bezpieczniacy świetnie zdawali sobie sprawę, że lokatorzy słyszą, co się dzieje, że każdy z nich zamarł z uchem przy drzwiach. W takiej sytuacji nie miało sensu wymuszać zeznań na Nataszy – w końcu publicznie się przyznała. Niebezpiecznie było też próbować zwalić winę na mnie, przecież żona zdrajcy oświadczyła, że nie orientowałem się w sytuacji. Tak, towarzysz Kutiepow miał problem... Bo nie wątpiłem, że zrobiłby wszystko, żeby mnie w to wmieszać. Tyle że nie wyszło, Natasza go przechytrzyła. Pozostawało pytanie: dlaczego w ogóle wciągnęła mnie w to gówno?

– To co robimy? – spytałem.

– Czekamy – odparł lakonicznie Poliakow. – Kiedy Kutiepow zostanie aresztowany, załatwię ci widzenie z Nataszą.

Cóż, czekać to czekać. Jutro wszystko się wyjaśni. Tak czy owak. Albo mój przyjaciel z Leningradu przestanie być zagrożeniem, albo wraz z Poliakowem spotkamy się na Łubiance, a pytania będzie zadawał pułkownik Kutiepow...

Rozdział dziewiąty

Kiedy wstała z brudnej, betonowej podłogi, mogłem jej się przyjrzeć uważnie. Miała posiniaczoną twarz, ale opuchlizna niemal już zeszła – widomy znak, że po aresztowaniu zostawiono ją w spokoju. Niecierpliwym gestem rozmazała po policzku krew z rozciętej wargi, stanęła przede mną z niemym błaganiem w oczach.

– Wybacz mi, kochanie – wyszeptała. – Wybacz...

Zacisnąłem pięści, postąpiłem krok naprzód. Nie próbowała zasłonić się przed kolejnym ciosem, czekała.

– Co zeznałaś na Łubiance? – wycedziłem w końcu przez zęby.

– Przyznałam się do wszystkiego – odparła rzeczowo. – W tym do udziału w antypaństwowym spisku.

– Nie pytali cię o mnie?

– Pytali. Szczególnie taki jeden, nazywa się bodajże Kutiepow. Nie powiedziałam niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Zresztą nie naciskali specjalnie – dodała, wzruszając ramionami. – Wydaje się, że wystarczyło im potwierdzenie mojej zdrady.

Popatrzyłem jej w oczy, nie opuściła wzroku. Spotkałem w życiu wielu kłamców, niektórych przesłuchiwałem. Żaden z nich nie potrafił oszukać mnie dłużej niż przez chwilę – kwestia wprawy. Po pewnym czasie potrafi się wyczuć fałsz niczym smród padliny: od razu i bez żadnych wątpliwości. Natasza mówiła prawdę.

– Dlaczego... Dlaczego nie powiedziałaś mi wszystkiego o Władzie?

Objęła się rękoma, jakby sięgnął jej lodowaty podmuch. Możliwe, że tak było, i ja czułem chłód niemający nic wspólnego z temperaturą – dzień był dość ciepły.

– Od początku wiedziałam, jak to się skończy – stwierdziła z rezygnacją w głosie. – Kiedy tylko poinformowali mnie, że Wład dostał się do niewoli. Znam go. Zdawałam sobie sprawę, że nic go nie powstrzyma, że tak naprawdę nie liczymy się dla niego, że będzie myślał tylko o sobie. Mój mąż to bydlę – dokończyła.

– Wiedziałaś, że wstąpi do Hiwi?!

– Wiedziałam, że zrobi wszystko, żeby poprawić swoje położenie – doprecyzowała.

– Dlaczego mnie w to wciągnęłaś?!

Wreszcie zadałem pytanie, które dręczyło mnie przez ostatnie dni. Natasza zakryła twarz dłońmi jak zawstydzone dziecko.

– Odpowiadaj! – warknąłem, potrząsając nią brutalnie.

– Zdawałam sobie sprawę, że nie ma już dla mnie i Loszki nadziei – odparła po chwili. – Chciałam jeszcze tylko pożyć jak człowiek: mieszkać z mężczyzną, którego mogłam... szanować. – Natasza wymówiła ostatnie słowo, tak jakby miała co innego na myśli: kochać się z nim... – I sprawić, żeby mój syn był szczęśliwy. Przez ostatnie dni, jakie mogłam z nim spędzić. Tak, żeby je zapamiętał, żeby mnie zapamiętał...

Milczałem. Wiedziałem, że Natasza nigdy już nie zobaczy syna. Skazano ją na dwadzieścia lat, Loszka, o ile jeszcze żył, wyląduje w *DietDomie*. Pod innym nazwiskiem – dzieciom zdrajców zmieniano je rutynowo. Prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek jeszcze się spotkają, było równe zeru.

– Wiem, że cię zawiodłam, że oszukałam, ale, wybacz mi, kochany, gdybym miała wybierać jeszcze raz, zrobiłabym to samo.

– Rozbieraj się! – poleciłem szorstko.

– Co takiego...?

– Ściągaj buty i płaszcz.

Zrzuciłem z ramion plecak, wyciągnąłem filcowe walonki i watowaną kurtkę. Jedno i drugie wyraźnie używane, choć w dobrym stanie.

– Pospiesz się! – ponagliłem, odwracając wzrok.

Przez chwilę Natasza sprawiała wrażenie, jakby opacznie zrozumiała moje słowa, wyglądała, jakby była gotowa oddać mi się tu i teraz. Bez względu na wszystko. Wystarczyło wyciągnąć rękę, aby jeszcze raz poczuć pod palcami skórę dziewczyny, usłyszeć przyspieszony oddech, zanurzyć twarz w jej włosach...

Bez słowa schowałem przewiewny, lekki płaszczyk i buciki na wysokim obcasie.

– Pilnuj walonków i kurtki jak oka w głowie – poleciłem, nie patrząc Nataszy w oczy. – Od tego zależy twoje życie. Jeśli ktoś ci je ukradnie, umrzesz z zimna. W każdym bucie są po trzy złote pięciorublówki, w kurtce zaszyłem sześć imperiałów. Jeśli użyjesz ich w odpowiedni sposób... – urwałem, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

Bo i co miałem powiedzieć? Że carskie monety pomogą jej na zonie? Być może. A może i nie. Jeżeli ktoś ze współwięźniów dowie się o ukrytym w ubraniu złocie, Natasza nie przeżyje nawet jednej nocy.

– Znaleźli Loszkę?

– Nie. Gdzie go ukryłaś?

– Nie ukryłam, sam się schował.

– Kilkuletnie dziecko?!

– Znalazł sobie kolegę. Ten chłopiec czasem nocuje w piwnicach. Loszka nosił mu jedzenie, zaprzyjaźnili się. Kiedy przyszli po mnie, Lonia właśnie szedł do niego.

No proszę, czyżby chodziło o uciekiniera z *DietDomu*, który zamelinował się swego czasu w mojej piwnicy? Ten mógł zaopiekować się maluchem i ukryć go przed czekistami. Miał spore doświadczenie w unikaniu dorosłych, którzy mogliby go odwieźć do bidula. Tylko jak długo będzie w stanie zajmować się Loszką? Tydzień? Dwa?

– Sprawdzę to – powiedziałem.

Nie obiecałem, że pomogę Lońce w jakikolwiek sposób – sam nie wiedziałem jeszcze, co z nim zrobię – ale mimo to wyczułem, jak z Nataszy opada napięcie. Tak jakby jej syn był już bezpieczny.

– Jeśli chcesz go jeszcze zobaczyć, musisz przede wszystkim przeżyć – powiedziałem, zmieniając temat. – Być może będziesz zmuszona zabijać, kraść czy oddawać się za kawałek chleba. Jeśli zawahasz się, zaczniesz zastanawiać nad moralnością, porównywać zonę z wcześniejszym życiem, zginiesz.

– Z wcześniejszym życiem? – roześmiała się Natasza niewesoło. – Masz na myśli moje małżeństwo z Władem? Gdyby nie on, miałabym już dwójkę dzieci, drugie wybił ze mnie kopniakami, kiedy byłam w szóstym miesiącu… Przestał mnie bić dopiero wtedy, kiedy zagroziłam, że poskarżę się w jego jednostce. To zahamowałoby karierę kapitana Pokrowskiego – dodała z ironią. – Wystraszył się.

Rozmawialiśmy w nieczynnej poczekalni, odwróciłem się, żeby zawołać konwojenta, kiedy poczułem, jak Natasza łapie mnie za rękaw.

– Poczekaj – poprosiła. – Poczekaj jeszcze chwilkę.

Delikatnie dotknęła mojej twarzy, muskając opuszkami palców niczym ślepiec chcący utrwalić w pamięci czyjeś rysy.

– Jestem gotowa – powiedziała wreszcie.

– Konwój!

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, do poczekalni weszło dwóch ludzi Poliakowa.

– Odprowadzić więźniarkę!

– Tak jest!

Wyszedłem kilka minut później, dworcowy zegar pokazywał piętnastą. Za dziesięć minut przyjedzie specpociąg relacji Moskwa – stacja Nigdzie.

– *Naczialnik!* – usłyszałem zza pleców. – *Naczialnik!*

Odwróciłem się – na peron wprowadzono pod eskortą grupę *błatnych*. Krzyczała Zoja, ta, którą poznałem w czasie konferencji z moskiewskimi bandytami. Czyżby miała mi coś do powiedzenia? Podszedłem do dowodzącego ochroną porucznika, pokazałem dokumenty.

– Pozwolicie mi z nią chwilę porozmawiać? – spytałem.

– Macie pięć minut – poinformował oficjalnym tonem enkawudzista. – I nie wolno wam odejść dalej niż do tej ławki – zaznaczył.

Podziękowałem skinieniem głowy, odbiliśmy od grupy. Zoja wzięła mnie pod rękę, jakbym zaprosił ją na spacer.

– Słucham! – rzuciłem szorstko.

– Powiadom moją siostrę – poprosiła przyciszonym głosem. – Będzie się martwić, bo wzięli mnie na ulicy, nie zdążyłam nikogo uprzedzić.

Nie widziałem powodu, żeby pomagać *błatnym*, wzruszyłem więc ramionami, mając zamiar odmówić, kiedy znowu dostrzegłem tatuaż w kształcie pierścienia na palcu dziewczyny. O ile pamiętałem z albumu Poliakowa, wytatuowana korona oznaczała wysoką pozycję w świecie bandytów. A Zoja jechała w tym samym transporcie co Natasza. Może trafią do tego samego obozu?

– Gdzie ona mieszka?

– Na Twerskiej, pod piątką. Gala Kalinina.

– To na Chitrowce?

– Tak, a co?

– Nic, tak spytałem.

Na początku dwudziestego wieku Chitrowka była bandyckim matecznikiem Moskwy. Podobno w latach dwudziestych wysiedlono stamtąd *błatnych*. Jak widać, nie do końca.

– Powiesz jej?

– Powiem – obiecałem. – Tyle że nie za darmo...

– Co mam zrobić?

– W tym samym transporcie jedzie Natasza Pokrowska. Dostała dwudziestkę za antypaństwowy spisek. Zaopiekuj się nią.

– To twoja marucha?

Zamrugałem zaskoczony. Dopiero po chwili skojarzyłem, że słowo to w przestępczym żargonie może oznaczać kochankę. Przytaknąłem.

– Daj mi nóż – zażądała. – Gołymi rękoma niewiele zrobię.

– Po pierwsze, nie mogę dać ci broni, po drugie, myślałem, że to coś znaczy. – Wskazałem tatuaż.

– Znaczy! – warknęła. – Wśród naszych. Na zonie rządzą *błatni*, ale po drodze... Jak mnie „opuszczą", nie będę mogła pomóc nawet sobie, nie tylko twojej dziewuszce.

Pokręciłem przecząco głową.

– Wykluczone – oznajmiłem. – Nie mogę.

Wiedziałem, że gwałt na więźniu, niezależnie od jego płci, skutkuje przeważnie przypisaniem go do najniższej, najbardziej poniewieranej grupy na zonie, ale dać broń *błatnej*? Jeszcze czego. A co, jeśli ktoś zauważy? Cały czas czułem na plecach uważny wzrok enkawudzistów.

– Nie to nie – parsknęła. – Jeszcze coś?

– To wszystko – uciąłem. – Wracaj do swoich.

– Tak jest, *naczialnik*! – Zasalutowała mi kpiąco.

Ostrzegawczy gwizd oznajmił przyjazd pociągu. Kiedy ten zatrzymał się na wypełnionym bezpieczniakami dworcu, eskorta zaczęła upychać więźniów w wagonach. Przez jakiś czas na stacji panował totalny chaos: krzyki zeków i strażników mieszały się z ujadaniem psów i ostrzegawczymi strzałami. Wreszcie konwojenci zajęli swoje miejsca i skład powoli ruszył. Niespiesznemu turkotowi kół zawtórował ochrypły kobiecy głos. Zdawało mi się, że poznaję Zoję.

Szoł „Stołypin” po centralnoj wietkie,
w trojnikie za cziornoj, griaznoj sietkoj
jechała diewczionka iz Kurgana,
piatierik wiezła do Magadana.
Po sosiedstwu jechał s niej parniszka,
u niego w konce etapa wyszka.
Piesnia żyzni u niego uż spieta
zasyłajet ksiwu, ździot otwieta!
I otwietiła jemu diewczionka:
– Jesli choczesz ty ko mnie na szkonku,
gowori s konwojem, ja sogłasna,
ja k twojej sud’bie nie biezuczastna.

Stałem, wpatrując się w odjeżdżający pociąg, dopóki ostatni wagon nie zniknął w oddali. Dopiero wówczas odważyłem się sięgnąć do lewego rękawa: tak jak miałem nadzieję, przypięta do przedramienia pochwa była pusta, Zoja ukradła mi nóż. Nie wiedziałem, czy dotrzyma słowa i zaopiekuje się Nataszą. Nie miałem też pewności, czy to wystarczy, żeby obie przeżyły. Niestety, nic więcej nie mogłem zrobić. Jedna i druga wpadły w tryby aparatu bezpieczeństwa – niezawodnej i bezlitosnej

maszynki do mielenia ludzkiego mięsa. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek jeszcze je spotkam.

Spostrzegłem ich, dopiero skręcając w ulicę Kropotkina. Albo byli dobrzy, albo traciłem instynkt. Po raz kolejny skląłem się za bezproduktywne myśli o Nataszy – jej to i tak w niczym nie pomoże, a ja mogę drogo zapłacić za roztargnienie. Siwy, utykający nieznacznie starszy pan, młody marynarz w widocznej spod munduru pasiastej koszulce, wreszcie wyglądająca na księgową kobieta w okularach. Ot, zwykli przechodnie. Jednak otaczała ich niezwyczajna dla mieszkańców Moskwy niewidzialna aura: obserwowali otoczenie z podszytą arogancją pobłażliwością, jakby zdawali sobie sprawę, że górują nad tłumem, że nawet mieszając się z nim, są kimś więcej. Mimo niepozornego wyglądu wyróżniali się jak drapieżniki w stadzie owiec.

Skierowałem się w stronę pobliskiej kawiarni – na zapleczu mieli telefon. Jeśli zdążę zadzwonić do Drozda, w ciągu pół godziny będą tu chłopcy, a wtedy stosunek sił zmieni się radykalnie. Nie sądziłem, aby wlokąca się z tyłu ekipa miała zamiar dopaść mnie w publicznym miejscu. Jeśli chcieliby mnie zabić, byłbym już martwy. Pewnie poczekają, aż wejdę w jakąś boczną uliczkę, albo zaatakują, gdy dotrę do domu – w bramie lub na schodach. To ostatnie miejsce, w jakim spodziewamy się napadu, większość ludzi odruchowo rozluźnia się w miejscu zamieszkania, w końcu wokół są znajomi, sąsiedzi...

Po wejściu do lokalu powiesiłem czapkę na wieszaku, skontrolowałem ulicę, udając, że poprawiam zmierzwione

włosy. Byli tam, cała trójka. W oczywisty sposób blokowali wyjście. Czyżby *błatni*? A może kumple mordercy maniaka?

Niecierpliwym gestem odprawiłem kelnera i ruszyłem na zaplecze, na wszelki wypadek sięgnąłem po legitymację. Nie zdążyłem jej wyjąć. W pomieszczeniu było kilku mężczyzn, najwyraźniej czekali, aż się pojawię. Dwóch chwyciło mnie pod ramiona, trzeci z potworną siłą walnął w splot słoneczny. Pociemniało mi w oczach, poczułem uderzenie w kark, później przez dłuższą chwilę napastnicy kopali mnie w żebra. Solidnie, fachowo i bez większych emocji. Wreszcie zataszczyli do samochodu i założyli kajdanki. Niespodzianka, niespodzianka! Wszyscy byli w mundurach NKWD...

Kuliłem się na tylnym siedzeniu, osłaniając twarz i podbrzusze, na szczęście nie skuli mi rąk za plecami. Od czasu do czasu siedzący obok czekista wymierzał cios lufą bądź kolbą pistoletu, ot tak, żebym wiedział, kto tu rządzi. Ubezpieczał nas drugi samochód. Nawet gdybym obezwładnił strażnika i wyskoczył, wzięliby mnie z ulicy. Ech, gdybym miał przy sobie nóż. Chyba oddałem go w nie najlepszym momencie...

Po kilku minutach zorientowałem się, że jedziemy na Łubiankę. W pierwszym momencie odetchnąłem – znaczy to nie przebierańcy. No i raczej nie kumple mordercy. Nawet gdyby ten miał swoich ludzi w NKWD, ci nie wieźliby mnie do siebie – zbyt wielu świadków. Nasuwało się pytanie: kto i w jakim celu mnie porwał? Genkom? Bzdura! Towarzysz Beria wezwałby po prostu do siebie i już. Nie wróciłbym do domu... Naraziłem się czymś bezpiece? Kiedy nie bardzo była okazja. Ostatni raz ściąłem się z jakimś czekistą w Leningradzie. A pułkownik Kutiepow został aresztowany już tydzień temu. No nic, wkrótce się dowiem, o co chodzi. Żeby mi tylko oko nie zbielało... Sprawa musiała być poważna – nawet NKWD nie mogło zgarnąć z ulicy oficera *wojennoj razwiedki*. Nie miało

prawa. Nie bez zezwolenia dowódcy GRU, nie bez wiedzy swojego szefa. A przecież prowadziłem dochodzenie dla towarzysza Berii... Nic z tego nie rozumiałem. Kazali mnie śledzić i odkryli, że dałem złoto żonie zdrajcy? Mało prawdopodobne – spotkanie z Nataszą organizowali ludzie Poliakowa, poczekalnię, w której się spotkaliśmy, zabezpieczali także milicjanci. Niepodobieństwo. Ktoś podsłuchał moją rozmowę z Zoją? No niechby – co prawda bezpieczniacy stali zbyt daleko, ale załóżmy, że któryś potrafił czytać z ruchu warg. Prosiłem tylko o zaopiekowanie się Nataszą, co mogło najwyżej skutkować oskarżeniem o nadmierny sentymentalizm. Nikt nie porywałby mnie z powodu takiego głupstwa. Ktoś zauważył, że Zoja ukradła mi nóż? Załóżmy. Dla każdego obserwatora było jasne, że zrobiła to bez mojej wiedzy – a więc znowu drobiazg. Co najwyżej ochrzaniono by mnie za brak czujności. Nasze wcześniejsze spotkanie było sekretem, podobnie jak fakt, że Zoja doskonale orientowała się, gdzie trzymam nóż... Nie, to musi być coś innego. W zasadzie pozostała tylko jedna możliwość: zdrada Nataszy. Gdyby ta z własnej woli powiedziała czekistom o złocie i niekonkretnej co prawda obietnicy odnalezienia syna... Tak, wtedy miałbym się z pyszna. Tylko że jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Mogła wygrać parę punktów już na początku, zaraz po aresztowaniu, obciążając mnie winą, sugerując, że byłem w zmowie z Władem. Fakt, że bezpieczniacy świetnie wiedzieli, że o żadnej zmowie mowy być nie może – po prostu Pokrowski okazał się kutasem – w niczym nie zmieniłby mojej sytuacji. Kutiepow tylko na to czekał. Ale Natasza tego nie zrobiła. Dlaczego więc miałaby nagle zmienić zdanie? Żeby jeszcze enkawudziści mieli jej syna, szantażowali ją losem Lońki, coś takiego byłoby zrozumiałe. Jednak malec zniknął... Ech, Razumowski, Razumowski, znowu wiatr w oczy...

Nie zatrzymaliśmy się przed głównym wejściem – pierwsza oznaka, że moi porywacze nie mieli zamiaru ostentacyjnie wprowadzić mnie do swojej siedziby. Skorzystali z bocznych drzwi. Prowadzili dwaj zwaliści funkcjonariusze, każdy przykuty kajdankami do jednego z moich przegubów. Sprytne, widać ktoś tu mnie doceniał. Nawet gdybym pokonał ochronę, nie uciekłbym przecież z dwoma ważącymi po sto kilogramów facetami pod pachami. Tak czy owak, zbędna ostrożność, nie zamierzałem uciekać. Bo i co by mnie czekało, gdyby nawet udała się taka sztuczka? Ile czasu dałbym radę się ukrywać? Zniknięcie majora GRU to nie dezercja szeregowego Wańki Iwanowa – szukaliby mnie wszyscy, być może pościg nadzorowałby osobiście Generalny Komisarz. A perspektywy? Pozostawała tylko jedna opcja – przejść na stronę Szwabów... Nie, to nie dla mnie. Mimo wszystko.

Zostałem wprowadzony do gabinetu – nie do celi albo pokoju przesłuchań, na drzwiach dostrzegłem tabliczkę z nazwiskiem niejakiego Mironowa. Pułkownika Mironowa. Nijak nie kojarzyłem tego nazwiska. Wewnątrz czekała mnie kolejna niespodzianka: za biurkiem siedział korpulentny, łysawy mężczyzna w mundurze pułkownika, jak się domyśliłem, Mironow, obok rozpierał się na krześle mój leningradzki znajomy, także pułkownik – Kutiepow... Zdrowy i cały, mimo że od tygodnia pod aresztem.

Kutiepow postanowił przywitać się ze mną serdecznie, co też i zrobił – za pomocą pięści i butów. Ze względu na przykutą do przegubów eskortę nie mogłem się nawet osłaniać. Zabawę przerwał gospodarz gabinetu.

– Może wystarczy, Anatoliju Piotrowiczu? Bo jak mu zęby powybijacie, to będziemy mieli problemy z dogadaniem się, a lepiej nie przeciągać tej sprawy.

Dostałem od Kutiepowa otwartą dłonią w twarz – ot tak, na pożegnanie – po czym przykuto mnie do krzesła. Nie było co prawda przyśrubowane do podłogi jak w pokoju przesłuchań, ale ciężki mebel i tak ograniczał do minimum możliwość ruchu.

– Być może domyśliliście się już, majorze, dlaczego was zaprosiliśmy – odezwał się dobrodusznym tonem Mironow. – Ale na wszelki wypadek doprecyzuję: uważamy, że wrobiliście naszego kolegę, towarzysza Kutiepowa, w zabójstwo generała Gurładze. Rzecz jasna, prawdziwym mordercą jesteście wy. Jeśli nie wyjaśnicie sprawy z własnej woli, pomożemy wam ze wszystkich sił... Zastanówcie się, czy warto opierać się w sytuacji, kiedy i tak prędzej czy później powiecie nam, czego chcemy.

No ładnie, tego się nie spodziewałem. Kutiepow musiał mieć w swojej firmie dużo większe poparcie, niż założyliśmy z Poliakowem. Spreparowanie dowodów w sprawie Gurładze, zamiast załatwić sprawę raz na zawsze, sprowokowało tylko bezpieczniaka do kontrataku. I teraz za to płaciłem. Nieźle to wymyślili, mogłoby im się udać, gdyby nie jedno małe „ale”: obecnie pracowałem pod bezpośrednim dowództwem Genkoma Berii. A ten – mogłem się założyć – nic nie wiedział o inicjatywie swoich podwładnych. Zaraz, zaraz... Chyba znalazłem jeszcze jedną dziurę w planie moich kolegów z NKWD.

– Kiedy... – wycharczałem przez rozbite usta – kiedy zginął Gurładze?

Roześmiałem się, usłyszawszy odpowiedź, a jednak szczęście mnie nie opuściło. No, może – szczęście w nieszczęściu...

Zostałem ukarany kolejnym uderzeniem. Tym razem pofatygował się sam Mironow.

– Chcecie odpowiedzi, towarzyszu pułkowniku? – spytałem. – No to odpowiem wam: nie wyjdzie.

– Co takiego nie wyjdzie?! – warknął bezpieczniak.

– Wasz plan. Chcecie wiedzieć dlaczego?

Teraz doskoczył do mnie Kutiepow, ale gospodarz powstrzymał go stanowczym gestem.

– Niech gada – zadecydował, krzywiąc się, jakby zgryzł cytrynę. – Zawsze to jakiś początek...

– Po pierwsze, towarzyszu pułkowniku, wykonuję obecnie zadanie, którym interesuje się sam Generalny Komisarz. A i towarzysz Stalin jest na bieżąco... Niedługo będę potrzebny Genkomowi, zaczną mnie szukać moi ludzie. I szybko znajdą. Bo wy się specjalnie nie kryliście. Uważaliście, że nie macie powodu. Po drugie, w czasie kiedy zamordowano generała Gurładze, nie było mnie w Moskwie. Dowodziłem akcją za linią frontu. Ze wspólnej inicjatywy NKWD i *wojennoj razwiedki*. Całość nadzorował towarzysz Beria...

W pomieszczeniu zapadła cisza. Nawet moi konwojenci poruszyli się niespokojnie, choć było widać, że ich specjalnością jest raczej wykorzystywanie mięśni niż mózgów. Mimo to nazwisko Genkoma podziałało na nich niczym zaklęcie. Kutiepow pobielał z wściekłości, ponownie ruszył w moją stronę.

– Nie! – rzucił stanowczo Mironow. – Na razie rozmawiamy.

Powoli, nie spiesząc się, wyciągnął papierosa, zapalił. Dłuższą chwilę milczał, skupiony, zdawało się, jedynie na formowaniu tytoniowego dymu w eleganckie kółeczka.

– Co to za akcja? – odezwał się wreszcie. – Dlaczego nic o tym nie wiem? Wszystkie dokumenty dotyczące bieżących misji przechodzą przez moje biurko.

– Są akcje i akcje – wymamrotałem.

Rozbite wargi rwały paskudnie, przy każdym ruchu bolała szczęka. Nieźle się ze mną zabawili, gady!

– A konkretniej?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Dostępem do takich informacji rządzi dopuszczenie, a nie stopień czy stanowisko. Jedynie Genkom Beria może zadecydować, czy zostaniecie o tym poinformowani. A on was najwyraźniej nie powiadomił...

– Mam w to uwierzyć?! We wspólne akcje NKWD i *wojennoj razwiedki*? – Mój rozmówca roześmiał się sarkastycznie.

Niespecjalnie dziwiłem się postawie Mironowa – rzeczywiście trudno byłoby przypuścić, że możliwa jest jakakolwiek współpraca pomiędzy nami a reprezentowaną przez niego instytucją. W latach trzydziestych czekiści zdziesiątkowali wręcz wywiad wojskowy. Do dziś nie uregulowaliśmy tego rachunku. No nic, jeszcze przyjdzie czas, kiedy upomnimy się o zamordowanych przez bezpieczniaków towarzyszy. I spłacimy dług. Z procentem.

– Pułkownik Kutiepow nie poinformował was, że i w Leningradzie mogłem dokooptować do swojego zespołu każdego, kogo uznam za przydatnego? Bez żadnych ograniczeń? Nawet jeśli ten ktoś jest z NKWD? Taki rozkaz wydał sam towarzysz Stalin. Może nie była to współpraca w całym znaczeniu tego słowa, ale... – Wzruszyłem wymownie ramionami.

Gniewna mina Mironowa świadczyła, że towarzysz Kutiepow istotnie pominął kilka drobiazgów w swojej relacji.

– To prawda? – zapytał.

– Co to ma za znaczenie? – odburknął Kutiepow. – Za dwa, trzy dni ten gnojek podpisze, co mu każemy, a wtedy...

– Naprawdę myślicie, towarzyszu, że macie te trzy dni? – przerwałem mu bezceremonialnie. – Sądzicie, że uda wam się oszukać Genkoma? Po tym jak pozostawicie go z ręką w nocniku, bo tylko ja mogę zakończyć z powodzeniem tę akcję? Radziłbym wam...

Uderzenie kantem dłoni wymierzone było w moją skroń, szarpnąłem głową, ale i tak mnie zamroczyło. W tym momencie nie miałem już wątpliwości – Kutiepow bił, żeby zabić. I nie obchodziło go, jaką cenę za to zapłaci. Najwyraźniej Mironow również to pojął, bo odepchnął bezpieczniaka stanowczo i kazał mnie rozkuć.

– Rozumiem, że Genkom będzie w stanie potwierdzić fakt, że w czasie kiedy popełniono morderstwo, przebywaliście poza miastem? – spytał.

– Oczywiście.

– Możecie zadzwonić. – Wskazał telefon. – Jeżeli kłamiecie, towarzysz Beria będzie bardzo niezadowolony...

Chyba nadal nie mieściło mu się w głowie, że Generalny Komisarz może kojarzyć kogoś tak mało znaczącego jak major Razumowski. No nic, szkoda czasu na teoretyzowanie, pewne rzeczy najlepiej przetestować w praktyce.

Kutiepow postąpił krok naprzód, jakby chciał uniemożliwić mi skorzystanie z aparatu, ale na niemal niedostrzegalny gest Mironowa drogę zablokowało mu dwóch bezpieczniaków. Czyżby pułkownik miał nadzieję, że jakoś wykręci się z tej afery? Tym lepiej. Najbardziej bolesna jest utrata złudzeń...

Podniosłem słuchawkę, wykręciłem numer sekretariatu Genkoma. Odebrał adiutant Generalnego Komisarza Sarkisow.

– Dzwonię z gabinetu pułkownika Mironowa – poinformowałem. – Muszę natychmiast rozmawiać z towarzyszem Berią.

Sarkisow wysyczał coś pod nosem – może i dobrze, że nie znam gruzińskiego, nie przypominało to komplementu – w aparacie szczęknęło, po czym rozległ się głos Genkoma.

– Słucham! – warknął.

Jak się wydawało, *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* nie był dziś w najlepszym humorze. Co za pech...

– Towarzyszu Generalny Komisarzu, muszę zameldować, że prawdopodobnie nie będę mógł dowodzić finałem operacji.

– Co za brednie! Znowu chodzi o Aleksandrowkę? Przecież poinformowałem wasze dowództwo, że do odwołania pozostajecie w mojej dyspozycji! Pobawicie się w żołnierzy kiedy indziej!

A więc to dlatego do tej pory nie wysłano mnie na misję, o której uprzedzał generał Panfiłow. Od dawna miałem już dokumenty dla całej ekipy – zarekomendowany przez Poliakowa fałszerz dotrzymał słowa – a rozkaz wyjazdu nadal nie nadchodził. Teraz wiedziałem dlaczego. Aleksandrowka... Trzeba zapamiętać tę nazwę. I sprawdzić.

– Rzecz nie w moich przełożonych, ale w waszych podwładnych, towarzyszu Generalny Komisarzu.

W słuchawce zapadła głucha, budząca grozę cisza.

– Wy bełkoczecie, majorze! – wrzasnął wreszcie Beria. – Ośmielacie się zawracać mi głowę po pijanemu! Ja was...

– *Nikak niet, towariszcz Genkom!*

– Gdzie jesteście?

– Na Łubiance...

– Gdzie?!

– W gabinecie pułkownika Mironowa, pierwsze piętro, pokój sto pięćdziesiąt dwa – odpowiedziałem zwięźle, starając się wyraźnie artykułować każde słowo.

Rzeczywiście mówiłem nieco bełkotliwie. Rozkwaszone wargi i obluzowane zęby jeszcze nikomu nie pomogły zostać oratorem.

– Jakim cudem znaleźliście się u nas?

– Zostałem porwany przez waszych ludzi...

– Kto tam jest z wami?

– Pułkownicy Mironow i Kutiepow oraz dwaj nieznani mi pracownicy NKWD – poinformowałem.

– Kutiepow? Ten zamieszany w zabójstwo Gurładze?

– Niewiele wiem na temat okoliczności śmierci generała Gurładze – odparłem ostrożnie – ale przed chwilą oskarżono mnie, cytuję, „o wrobienie” pułkownika Kutiepowa w tę zbrodnię...

– Nikt nie ma prawa opuścić gabinetu, macie tego dopilnować, majorze! Za chwilę tam będę.

– Tak jest!

Bez słowa podszedłem do biurka Mironowa, podniosłem odebrany mi wcześniej przez enkawudzistów pistolet, stanąłem przy drzwiach.

– Z rozkazu Genkoma nikt nie może stąd wyjść – oświadczyłem.

Kutiepow wpatrywał się we mnie z nienawiścią, gdyby wzrok mógł zabijać, byłbym już martwy. Blady jak ściana Mironow zatrzymał spojrzenie na portrecie Dzierżyńskiego, jakby spodziewał się stamtąd ratunku. Jednak oblicze „Żelaznego Feliksa” nie obiecywało pocieszenia, no i nie dziwota – patron czekistów chronił rewolucję, nie ludzi...

Na korytarzu rozległy się pospieszne kroki. Trzy, może cztery osoby. Czyżby Genkom? Miałem fart, że był dzisiaj na Łubiance, kto wie co wymyśliliby moi przyjaciele z NKWD, gdyby otrząsnęli się z zaskoczenia? Na szczęście nie zdążyli. Zabrakło czasu.

– Nie możemy pozwolić... – zaczął Kutiepow.

Nie dokończył zdania, drzwi otworzyły się z trzaskiem, po czym do gabinetu wszedł Genkom w towarzystwie Sarkisowa i dwóch ochroniarzy. Nagle całkiem spore pomieszczenie wydało się bardzo małe.

– Towarzyszu Generalny Komisarzu, pułkownik Mironow melduje...

– Milczeć! Razumowski, co tu się, do cholery, dzieje?!

Myślałem, że bezpieczniakom oczy wyjdą z orbit: jeden z najbardziej zawziętych wrogów *wojennoj razwiedki* ignoruje ludzi z własnego resortu, domagając się jednocześnie wyjaśnień od oficera GRU – ba! – dając wyraźnie do zrozumienia, że ufa mu bardziej niż swoim... Tak, było na co popatrzeć.

– Zostałem porwany, towarzyszu Generalny Komisarzu. Nakłaniano mnie, abym przyznał się do morderstwa generała Gurładze i wyjawił, w jaki sposób „wrobiłem" w nie pułkownika Kutiepowa. Kiedy poinformowałem, że prowadzę aktualnie operację pod waszym kierunkiem i że w momencie gdy zabito generała, przebywałem poza linią frontu, także na wasz rozkaz, pułkownik Mironow pozwolił mi zadzwonić.

– A wy oczywiście nie macie z tym nic wspólnego? – zapytał podejrzliwie.

Poczułem, jak po plecach spływają mi strużki zimnego potu. Jeżeli Beria dojdzie do wniosku, że jestem zamieszany w śmierć generała, nic mnie nie uratuje. Co prawda, jeśli nie schwytam mordercy, Genkom narazi się na gniew towarzysza Stalina, ale z kolei uznanie winy Kutiepowa rzuci cień na kierowany przez niego resort. W końcu Kutiepow to enkawudzista... W tej sytuacji fakt, że na broni mordercy znaleziono odciski palców Kutiepowa, nie wydawał mi się już taki ważny. Czekiści nigdy nie przejmowali się specjalnie dowodami czyjejkolwiek winy. Siłą woli powstrzymałem chęć rozpięcia kołnierzyka.

– Dopiero niedawno usłyszałem nazwisko Gurładze – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Oczywiście śmierć generała jest potworną tragedią, ale jak wiecie, byłem ostatnio zajęty i nie miałem czasu śledzić aktualnych wydarzeń. Nawet tych wagi państwowej – dodałem przepraszająco.

– Tak... – mruknął dużo łagodniejszym tonem Beria. – Jak myślicie, to jakiś spisek?

– Towarzyszu Generalny... – odezwał się Mironow.

– Milczeć!

– Obawiam się, że to moja wina – stwierdziłem, wbijając wzrok w podłogę.

– Tak?

– Obecny tu pułkownik Kutiepow już w Leningradzie wykazywał niechętny stosunek do powierzonego mi zadania, mimo iż zdawał sobie sprawę, że zajmuję się nim na osobisty rozkaz towarzysza Stalina. Nakłoniłem pułkownika do udzielenia mi pomocy, włączając do swojego zespołu. W tej sytuacji nie miał wyjścia: w przypadku fiaska misji odpowiedziałby razem ze mną przed Głównodowodzącym.

– No i na czym polega wasza wina?

– Myślałem, że to osobista niechęć, i w związku z tym nie uwzględniłem postawy pułkownika w raporcie.

– Nie spodziewaliście się, że Kutiepow pojedzie za wami do Moskwy? – zarechotał niespodziewanie Genkom.

– Nie spodziewałem się – przyznałem.

– Źle myśleliście, Razumowski – orzekł Beria najwyraźniej usatysfakcjonowany wykazaną właśnie przenikliwością. – Widzę, że zdążyli was nieco... obrobić?

– Tak jest, towarzyszu Generalny Komisarzu.

– W zasadzie – wydął z lekka wargi – powinienem was tu zostawić na jakiś czas, może wtedy nauczylibyście się nie kombinować. Proszę! Nie uwzględnił w raporcie – rzucił ironicznie. – Dobre sobie. No i widzicie, co z tego wyszło? Obili was, a za parę dni pewnie wpadlibyście na pomysł, jakim cudem na pistolecie, z którego zabito Gurładze, znalazły się odciski palców tego tu. – Genkom wskazał ruchem głowy Kutiepowa. – Już oni by wam pomogli...

– Towarzyszu Generalny Komisarzu, ja... – odezwał się Kutiepow.

– *Mołczi, gawniuk!*

– Muszę zaprotestować przeciwko...

Z miny Genkoma wywnioskowałem, że mój przyjaciel z Leningradu powiedział o jedno słowo za dużo.

– Skuć go! – zawył wściekle Beria.

Bezpieczniacy ruszyli wypełnić rozkaz Generalnego Komisarza, ale Kutiepow ich uprzedził. W jego dłoni znienacka pojawił się pistolet, zakotłowało się, padł strzał. Odruchowo powaliłem Genkoma na podłogę, osłoniłem własnym ciałem. Trzeba przyznać, że czekiści uwinęli się ze swoim kolegą – no, teraz już byłym kolegą – błyskawicznie: po chwili Kutiepow leżał z twarzą wciśniętą w dywan i skutymi na plecach rękoma. Nie obyło się bez problemów – jeden z ochroniarzy trzymał się za przestrzelone udo.

– Gnida! – warknął Beria, kopiąc z rozmachem Kutiepowa. – Wyprowadzić go! A Owsiejenkę do lekarza! – rozkazał.

Rozkaz wypełniono natychmiast, poza mną i Genkomem zostali w gabinecie Sarkisow i najwyraźniej niewiedzący, co ze sobą zrobić, Mironow.

– Zgłosicie się jutro do mnie – polecił mu Beria złowrogim tonem.

– Tak jest!

– A teraz won!

Pułkownik Mironow również błyskawicznie wykonał polecenie Genkoma. Nie dziwiłem mu się: w tym momencie lepiej było nie drażnić Generalnego Komisarza...

– A wy, Razumowski, po chuj żeście się na mnie zwalili?!

– Osłonił was przed kulą – wtrącił się niespodziewanie Sarkisow. – Gdyby nie on i Owsiejenko...

– Osłonił – burknął Beria. – A kto tego piwa nawarzył? Bo panu majorowi nie chciało się porządnie raportu napisać! Jutro macie mi zameldować, na jakim etapie znajdują się przygotowania do finału operacji. A teraz wynocha!

Wykonałem regulaminowe „w tył zwrot” i, podobnie jak Mironow, pospiesznie opuściłem gabinet. Choć perspektywy miałem chyba lepsze – w głosie Genkoma nie wyczułem prawdziwej złości. Raczej zdziwienie. Jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś z *wojennoj razwiedki* próbował uratować mu życie. Cóż, sam ledwo mogłem w to uwierzyć...

Zapach zupy grzybowej poczułem już na półpiętrze. Wyraźnie dochodził z mojego mieszkania. Co, do cholery? Przecież nikomu nie dawałem kluczy. Tylko Nataszy...

Pognałem na górę, przeskakując po dwa stopnie, trzęsącymi się rękoma otworzyłem drzwi, wbiegłem do kuchni.

– *Komandir!* – wykrzyknęła przestraszona Wiera. – Co się stało z waszą twarzą?!

Panna Turkuł najwyraźniej się u mnie zadomowiła: przepasana fartuszkiem kroiła jakąś zieleninę. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do kuchni wpadli Drozd i Kotuszew, w mgnieniu oka znalazłem się w objęciach chłopaków, a i Wiera nie czekała długo, żeby rzucić mi się na szyję.

– Wiemy o Nataszy – wyszeptała. – Jeśli tylko moglibyśmy w czymś pomóc...

Coś zapiekło mnie pod powiekami, oddałem uścisk. W zasadzie powinienem pogonić kota całej ekipie: nie dość, że włamali się do mojego mieszkania i porządzili jak u siebie, to trudno uznać obcałowywanie dowódcy za właściwy model stosunków służbowych... Tyle że gdy się wita swoich po bitwie, nikt nie zwraca uwagi na rangę. A przecież dzisiaj ledwo przeżyłem... Mógłbym się założyć, że wszyscy to wyczuli. Żołnierze zawsze wiedzą takie rzeczy. Instynkt.

Dałem się poprowadzić do jadalni, usadzić za stołem. Po chwili, obsługiwany przez całą trójkę, kosztowałem już ostrożnie zupy – wargi nadal krwawiły. Panna Turkuł przejęła na siebie obowiązki gospodyni i po trwającym parę minut zamieszaniu zagoniła chłopaków do jedzenia, sama pilnując, byśmy mieli pełne talerze i kieliszki.

– Co się stało? – spytał Drozd, kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód.

– Kutiepow – odburknąłem lakonicznie.

– A mówiłem, żeby zabić gnoja!

– Nieważne – mruknąłem. – Teraz zajmą się nim czekiści, a jak wiesz, oni to potrafią...

– Jesteście pewni? Bo wcześniej też twierdziliście, że nie ma co się nim martwić.

Wzruszyłem ramionami – rzeczywiście, kiedy rozmawialiśmy ostatnio o Kutiepowie, nie wgłębiałem się w detale, nie widziałem powodu, żeby wtajemniczać chłopaków w plan Poliakowa. Nie żebym im nie ufał, ale ot tak, z nawyku. Nie musieli o tym wiedzieć.

– Tym razem rzecz jest pewna – odparłem. – Wyciągnął broń w obecności Genkoma.

– Chciał go zabić? – zdziwiła się Wiera.

– Bo ja wiem? Postrzelił jednego z ochroniarzy towarzysza Berii. Czort wie co chciał zrobić, choć wyglądało to na zamach. Nie darują mu.

Nie wspomniałem o sprawie Gurładze, w tym momencie nie miała ona żadnego znaczenia. Tak czy owak, Kutiepow był już martwy.

– Nie, tego mu nie darują – przytaknął Kotuszew z wyraźnie wyczuwalną ulgą w głosie.

– Jak przygotowania do akcji? Jutro mam spotkanie z Genkomem.

– Wszystko zrobione zgodnie z waszymi poleceniami – zameldował dziarsko Drozd. – Tam – wskazał szarą tekturową teczkę – jest komplet dokumentów. Spis osób uczestniczących w akcji, schemat posterunków, droga ewakuacji na wypadek...

– Dobrze, już dobrze – przerwałem mu bezceremonialnie. – Przejrzę przed spaniem, może trzeba będzie coś uzupełnić. Jest jeszcze jedna sprawa...

– Tak?

– Potrzebne mi pieniądze. Imperiały.

– Ile? – zainteresował się Kotuszew.

Ponieważ mieszkał w pobliżu naszego schowka, obarczyliśmy go funkcją skarbnika.

– Ze dwie garście.

Tym razem nikt nie pytał na co, nie zauważyłem też żadnych podejrzliwych spojrzeń. Przez moment zastanawiałem się, czy im powiedzieć, decyzja nie była skomplikowana – ufałem całej trójce, a możliwe, że któreś z nich będzie musiało mi pomóc.

– Natasza ma syna – powiedziałem. – Czekiści go nie znaleźli. Podejrzewam, gdzie się ukrywa, ale nie mogę się sam nim zająć. Znam kogoś, kto im pomoże, pewnie jednak nie za darmo. Trzeba to szybko załatwić, dzieciak ma góra pięć lat. Długo tak nie wytrzyma.

– Im? – Drozd uniósł brwi.

– Maluchem zaopiekował się prawdopodobnie inny dzieciak. Ma parę lat więcej, no i był w *DietDomie*. Trzeba będzie ukryć ich obu.

– Damy radę, *komandir* – zapewnił Drozd. – Teraz najlepiej prześpijcie się trochę. Zostaniemy tu z Wierą, a Tima pójdzie po forsę.

– Za chwilę – odparłem, podnosząc się ze stęknięciem z krzesła. – Muszę jeszcze zejść do piwnicy. I, Pietka...

– Słucham?

– Przygotuj mi na jutro krótki raport na temat Aleksandrowki.

– Co za Aleksandrowka?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą.

Wychodząc, usłyszałem ciężkie westchnienie Drozda. Cóż, każdy ma swoje problemy...

W korytarzu panowała cisza, wydawało się, że nikogo tu nie ma. Albo ktoś bardzo się starał, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Na przykład dwójka śmiertelnie przestraszonych dzieciaków...

Przysiadłem w kucki, starając się rozluźnić ciało. Nie poszło lekko – stawy kolanowe nieprzyjemnie zachrzęściły, boleśnie napięły się mięśnie ud: efekt spotkania z Kutiepowem i jego kolegą. Byłem cały posiniaczony, dobrze, że ci gnoje nie mieli więcej czasu. Tak, miałem dzisiaj szczęście...

Zamknąłem oczy i zwiesiwszy lekko głowę, wsłuchałem się w ciszę. Początkowo słyszałem tylko swój oddech, stopniowo odkrywałem nowe dźwięki. Cichutkie skrobanie o beton, popiskiwanie, później lekko brzęknęło trącone szkło: słoik, może butelka. Szczury? Na pewno piwnice się od nich roiły, ale czy potrafiłyby przesunąć jakieś – niechby i puste – naczynie? Zobaczymy. Mijały kolejne minuty, rytmicznie naciskałem bolesny punkt nad górną wargą, starając się nie zasnąć. Po takim laniu, jakie dzisiaj zebrałem, organizm chce się zregenerować, wyłączyć mózg. Tyle że byłem coś winien Nataszy, a może Lońce? Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że przez cały czas mojej znajomości z Nataszą chłopak łasił się do mnie jak piesek, znikając natychmiast przy najmniejszych

oznakach dezaprobaty. Chyba niespecjalnie sprawdziłem się jako opiekun, ale mogłem przynajmniej uchronić chłopca przed *DietDomem*. Pewnie długo by tam nie pożył... Widziałem kiedyś na dworcu dzieciaki z jakiegoś prowincjonalnego bidula, ewakuowano je na głębokie zaplecze – w Moskwie mieliśmy dosyć swoich sierot. Większość wyglądała jak żywe szkielety, kilkoro najstarszych wręcz przeciwnie: pewni siebie, dobrze odżywieni, z wypisanym na twarzach okrucieństwem przypominali funkcyjnych więźniów na zonie. I pewnie tak samo się zachowywali...

Coś zaszeleściło, przesunęło się po podłodze. Na pewno nie szczur, coś dużo bardziej masywnego. Źródło dźwięku znajdowało się jakieś sześć, siedem metrów ode mnie. Znaczy w mojej piwnicy albo u Pokrowskich...

Podniosłem się, zaciskając zęby – mięśnie zaprotestowały bolesnym skurczem, ale nie dbałem już o zachowanie ciszy. Zastukałem w drzwi.

– Otwórzcie – poprosiłem szeptem. – Zapomniałem klucza.

Odpowiedziała mi cisza.

– Lońka, otwórz! – powtórzyłem ostrzej.

– Wujek Sasza? – rozległ się niepewny szept.

– Tak, to ja – mruknąłem.

A jednak chowali się u mnie.

– No? Długo będę czekał?

Usłyszałem prowadzoną przyciszonymi głosami rozmowę – chyba moja propozycja nie została przyjęta z nadmiernym entuzjazmem, wreszcie rozległ się cichutki szczęk i po chwili drzwi do piwnicy stanęły otworem. Zapaliłem lampę naftową, zawiesiłem na wbitym w sufit haku. Myślałem, że maluch rzuci mi się na szyję, ale nie – stał wraz ze swoim kumplem niemal wklejony w ścianę, popatrując na mnie przestraszonym wzrokiem. Widać nie do końca mi ufał... Niby dobrze, z takim

nastawieniem ma większe szanse na przeżycie, jednak, nie wiadomo dlaczego, zrobiło mi się jakoś niewyraźnie.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Starszy chłopak ponuro skinął głową, Lońce zadrżały usta.

– Chcę do mamusi – powiedział, z trudem powstrzymując łzy.

– Mamusia wyjechała daleko i szybko nie wróci – odparłem z głębokim westchnieniem. – Niedługo zaprowadzę was do cioci, ona się wami zaopiekuje, ale...

– Mną też? – wpadł mi w słowo kolega Lońki.

W jego głosie brzmiało bezbrzeżne zdumienie.

– Tak, tobą też. Jak masz na imię?

– Kostia...

– Ona zaopiekuje się wami oboma, jednak dzień czy dwa musicie tu zostać.

– Dlaczego?

Mały Pokrowski wyglądał na głęboko rozczarowanego. Pewnie, widząc mnie, doszedł do wniosku, że wszystko, co złe, minęło. Niestety, Leonidzie Władysławowiczu, nie ma tak dobrze, jeszcze wiele przed tobą...

– Szukają was źli ludzie – powiedziałem. – Dlatego musicie się tu chować. Gdyby ktoś was wołał, ktokolwiek poza mną, to ani mru-mru. Jasne?

Obaj poważnie skinęli głowami. Otworzyłem dwie konserwy, słoik z ogórkami, wyciągnąłem suchary ze starej racji żywnościowej – powinny być jeszcze dobre, położyłem żarcie na kulawym stoliku.

– To dla was – oznajmiłem. – Jutro przyniosę wam ciepłej zupy. Teraz muszę już iść.

– Wujku... – odezwał się cicho Kostia.

– Tak?

– Ta ciocia, ona...

– Co znowu? – mruknąłem zniecierpliwiony.

Ledwo trzymałem się na nogach, jeszcze trochę i zasnę na stojąco.

– Ona będzie krzyczeć...

– Niby dlaczego?

– Mamy wszy...

– Coś wymyślimy – obiecałem. – Dobrze, że powiedziałeś.

Zgasiłem lampę i wyszedłem z piwnicy, cichutki chrobot poinformował mnie, że Kostia zamknął kłódkę. Trzeba będzie znaleźć nowe ubrania dla dzieciaków, no i zrobić coś z tymi wszami, pomyślę o tym jutro. Teraz interesował mnie tylko sen. Ziewnąłem rozdzierająco i powlokłem się na górę. Byłem wykończony.

Gala Kalinina nie wyglądała na siostrę Zoi: tęga, o czerwonej, nalanej twarzy i małych, chytrych oczkach, nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Z drugiej strony: czego można się spodziewać po krewnej czy znajomej *błatnej*?

– O co chodzi, *naczialnik*? – spytała z niechęcią w głosie.

Przyszedłem po cywilnemu, ale widocznie nie przeszkodziło to kobiecie odpowiednio mnie sklasyfikować.

– Mam wieści o Zoi – poinformowałem.

– Co się z nią stało?

Nie odpowiedziałem, zmierzyłem Galę wymownym spojrzeniem – staliśmy na korytarzu, baba nie przepuściła mnie przez próg. Po chwili cofnęła się, pozwalając mi wejść do mieszkania.

– Słucham – ponagliła.

– Nie za darmo – odparłem chłodno.

Zacisnęła ze złością wąskie usta, ale sięgnęła w zanadrze, wyjęła zwitek banknotów. Może rzeczywiście zależało jej na Zoi?

Pokręciłem przecząco głową.

– Nie mam przy sobie więcej! – warknęła.

– Nie chcę pieniędzy, chodzi o przysługę.

– Jaką, do czorta, przysługę?!

– Trzeba zaopiekować się dwójką dzieci. Na czas nieokreślony – dodałem po namyśle.

– Zwariowaliście?! Jeszcze dzieci mi tu brakowało. Zresztą nie stać mnie na to.

Bez słowa rzuciłem na stół dwa imperiały. Złote monety potoczyły się po blacie, zabrzęczały. Kalinina sięgnęła po nie szybkim, niemal niezauważalnym ruchem. Zniknęły w ułamku sekundy. No proszę, a jednak pozory mylą: baba mogłaby występować w cyrku albo i uczyć w szkole *wojennoj razwiedki*. Z jej refleksem...

– Teraz to inna gadka – zaświergotała z przymilnym uśmiechem.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli, gołąbeczko. – Skrzywiłem ironicznie wargi. – Jeśli spróbujesz mnie oszukać w jakikolwiek sposób: znikniesz, zostawiając dzieci na pastwę losu, nie dopilnujesz ich, nie będziesz o nie dbała, znajdę cię. I zabiję.

Wygłosiłem swoją kwestię bez specjalnego nacisku, nie podniosłem głosu, ale i nie spuściłem wzroku z twarzy rozmówczyni. Żeby mieć pewność, że zrozumiała.

– Powiecie mi wreszcie, co się stało z Zoją? – spytała, pozornie nie zwracając uwagi na moje groźby.

– Wzięli ją z ulicy, jedzie do obozu pracy.

– I co, pomachaliście jej na pożegnanie, *naczialnik*?

– To też, ale przede wszystkim pozwoliłem ukraść swój nóż. Nie podróżuje z gołymi rękoma.

Chyba zapunktowałem, bo oczy gospodyni nabrały łagodniejszego wyrazu.

– No dobrze, a co z dziećmi?

– Jak to co?

– W jakim są wieku, czy są zdrowe, czy mają zapasowe ubrania? – wyrecytowała ze zniecierpliwieniem, jakby dziwiąc się mojej niedomyślności.

– To chłopcy: pięć i dziesięć lat. Mniej więcej... Obaj bez dokumentów. Z ubrań to, co na grzbiecie. Na oko zdrowi.

– Co mam z nimi zrobić?

– Mówiłem: zaopiekować się, ja nie mogę.

– To wasi krewni?

– Nie. Matka jednego z nich jedzie tym samym transportem co Zoja, dostała dwudziestkę. Ma parę złotych rubli przy sobie. Powiedziałem Zoi, żeby się z nią spiknęła, razem będą miały większe szanse. Drugi to sierota. Z *DietDomu*.

– Dwudziestkę?

Z pełnej szacunku miny mojej rozmówczyni domyśliłem się, że informacja zrobiła wrażenie. Czyżby *błatni* prowadzili jakąś klasyfikację? Im więcej, tym lepiej?

– Za co ten wyrok? Nie pytam z ciekawości – zastrzegła się natychmiast Kalinina. – To może być ważne tam, w obozie.

– Antypaństwowy spisek – burknąłem.

– Ona naprawdę...?

– Skąd, jej mąż najpierw dostał się do niewoli, a później zaciągnął do Hiwi.

– Aha.

– Co „aha”? To dobrze czy źle?

– Ujdzie – stwierdziła z namysłem. – *Błatni* są nieufni wobec obcych, ale ktoś z dwudziestką za antypaństwowy spisek jest poza podejrzeniem. Żaden miejscowy czekista nie zwerbuje takiego na donosiciela. Nie ten paragraf.

– Czyli?

– Jak spiknie się z Zoją, nie będzie miała źle, ale to dopiero na miejscu, w łagrze.

– Na miejscu? A ile to czasu? Dwa, trzy dni? No, niech będzie z pięć. Wytrzyma. Zresztą będzie pod strażą.

Kalinina spojrzała na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

– Wy tak na poważnie?

– A co?!

– Etap, no, transport do obozu czy więzienia – wyjaśniła, widząc, że nie rozumiem – to najbardziej niebezpieczny okres. Na zonie czy w pierdlu jest hierarchia: wiadomo, kto rządzi i jakie zasady obowiązują. Jeśli ktoś się do nich nie zastosuje, zostanie ukarany. Nawet strażnicy muszą się liczyć z pewnymi... ograniczeniami. Żaden nie zaryzykuje konfliktu z *błatnymi*, wiedząc, że przyjdzie mu tam pracować jeszcze wiele lat. W pociągu... – pokręciła głową – to inna rzecz. Aresztantkę może zgwałcić każdy konwojent albo zek...

– Zek?!

– Tak, za parę rubli strażnicy wpuszczą go do kobiety, jaką im wskaże. W wagonach więziennych są i pojedyncze cele, i na kilka osób. Ze stalowej siatki, jak dla wściekłych psów. Tak czy owak, wszystko widać. A jak wieści się rozejdą... Teoretycznie nie każdy gwałt to „opuszczenie", ale w praktyce... Wystarczy plotka i takiej, która została zgwałcona, nieważne, z jakiego powodu, nie pomogą na zonie żadne pieniądze, do końca kary będzie pełniła określonego typu... usługi.

– Dosyć na ten temat – uciąłem.

Też mi się zebrało na dyskusję. Zrobiłem, co mogłem, resztę rozstrzygnie los.

– Dzieci przyprowadzi do was ta dziewczyna. – Zademonstrowałem fotografię panny Turkuł. – Za dzień czy

dwa.

– Tych pieniędzy nie wystarczy na długo...

– Na lewe papiery i ubrania dla dzieciaków w zupełności!

Wiedziałem, że za dwa imperiały można spokojnie przeżyć kilka miesięcy. Nie żałując sobie niczego. Przez chwilę wyglądało, jakby Kalinina chciała się ze mną pokłócić, ale ostatecznie dała za wygraną, machnęła z rezygnacją ręką.

– A co, jak forsa się skończy?

No tak, to był problem... Dać jej więcej pieniędzy? To zniknie, zostawiając dzieciaki, albo wręcz poderżnie im gardła, żeby pozbyć się świadków. Za samo posiadanie złotych rubli można dostać nielichy wyrok. A jak jeszcze śledczy zainteresują się pochodzeniem rubelków i postanowią skłonić babę do zwierzeń... Oj, nie byłoby jej lekko. Jedyne wyjście to płacić raz na jakiś czas – wtedy zatroszczy się o chłopców, inaczej nie dostanie kolejnej raty. No i nie będzie miała okazji do jakiejś szczególnej rozrzutności; dwa, trzy imperiały na kwartał to sporo, ale żaden majątek. Taaak... Tylko jak to zorganizować? Jeśli mnie przerzucą za linię frontu, to mogę przepaść na całe miesiące, mogę też w ogóle nie wrócić. Co wtedy stanie się z Lońką? Zaraz, zaraz... A Nikonow? Mój znajomy medyk z przedrewolucyjnymi skrupułami? Dyskretny z musu, bo sam pod podejrzeniem? Ten nie zakabluje. Nawet gdyby postanowił mnie wsypać, enkawudziści na pewno nie nagrodzą za donos starego kołczakowca. Pomyśleliby, że jest w to jakoś zamieszany. Tak, to będzie dobry wybór. Postanowiłem jeszcze dziś pogadać z lekarzem.

– Dostaniecie dwa imperiały na kwartał – postanowiłem. – Rzecz jasna, o ile z dzieciakami będzie wszystko w porządku.

– Trzy! – natychmiast podbiła stawkę.

– Niech będzie trzy – zgodziłem się z cierpiętniczą miną.

W rzeczywistości byłem gotów dać i dziesięć, nie miałem innego wyjścia. Gdzie znalazłbym lepszą kryjówkę dla małego Pokrowskiego i jego znajomka? Nagłe pojawienie się dwójki dzieciaków w mieszkaniu samotnej kobiety co prawda może wzbudzić podejrzenia, niezależnie od tego, jakie papiery by im załatwić. W normalnej sytuacji pewnie skończyłoby się to donosami od sąsiadów, ale skoro Zoja miała kontakty z *błatnymi* – ba! – sama była jedną z nich, pewnie i Kalinina obracała się w tym środowisku. W takim wypadku praworządni obywatele zastanowią się dwa razy, zanim zdecydują wesprzeć socjalistyczną walkę z obcymi klasowo elementami. Bo gdyby rzecz się wydała, przyszłoby im drogo zapłacić za niedyskrecję. Z drugiej strony mamy wojnę i niejeden przyjmuje do siebie krewnych, którzy stracili rodziców czy dach nad głową. Mało to takich wypadków? A Kalinina wyglądała na cwaną, powinna dać sobie radę. Pozostawała tylko jedna, za to zasadnicza kwestia: musiałem się upewnić, że baba traktuje mnie poważnie. Inaczej wywinie coś prędzej czy później, *błatni* tak już mieli – wszystkich poza swoimi uważali za frajerów.

– To co, dogadaliśmy się? – zapytała, unosząc brwi.

– Dogadali – potwierdziłem z uśmiechem.

Poczekałem, aż opuści rękę – cały czas trzymała ją na biuście, w miejscu, gdzie jak podejrzewałem, zniknęły moje imperiały, po czym ciąłem zamaszyście z góry do dołu. Zanim się zorientowała, schowałem nóż. Coś brzęknęło – tak jak myślałem, na podłogę upadły złote monety. Rozcięta do pasa suknia ukazywała nagi biust kobiety. Pomiędzy piersiami biegła wąska czerwona kreska – ślad po ostrzu. Z zadowoleniem stwierdziłem, że ranka nie jest głęboka. Ot, niewiele więcej niż draśnięta skóra.

Obnażona nie wyglądała bynajmniej lepiej niż w ubraniu, lecz nie miałem zamiaru korzystać z jej... wdzięków. To była

tylko demonstracja władzy. Bo mogłem z Kalininą zrobić wszystko. Zrozumiała to i w jej oczach pojawił się lęk. Teraz mogłem być pewien, że dopilnuje dzieciaków.

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa, wszystko było jasne. Wyszedłem z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nina Krawczenko okazała się miłą, bezpretensjonalną dziewczyną – pewnie jeszcze nie przywykła do statusu gwiazdy. W dodatku Kotuszew jej się spodobał i z własnej woli większość wolnego czasu spędzała z przystojnym podporucznikiem. Mimo woli nasunęło mi się porównanie z poprzednią akcją, w której Wiera ubezpieczała sztangistę Konstantinowa. Tyle że w odróżnieniu od panny Turkuł Tima nie bał się o własną cnotę i wyraźnie miał zamiar pilnować aktorki także i w nocy, o ile tylko ta na to pozwoli. Popsuło mi to rozpisany wcześniej grafik dyżurów, ale w końcu pogodziłem się z sytuacją i pozwoliłem, żeby Tima sam decydował, w jakim charakterze weźmie udział w akcji. Na jego miejscu pewnie postąpiłbym tak samo…

– Zejdź na dół – poleciłem Drozdowi. – Sprawdź, czy wszystko w porządku.

Chłopak skinął ponuro głową i wyszedł z pokoju – po raz kolejny tego wieczoru. Siedzieliśmy w przylegającym do apartamentu artystki pomieszczeniu już osiem godzin, jednak to nie zmęczenie było powodem frustracji Drozda. Pan porucznik zazdrościł młodszemu koledze. Krawczenko rzeczywiście warta była grzechu, ale na wojnie jak to na wojnie: jeden wygrywa, drugi przegrywa…

– Zbierają się do wyjścia – zameldował po chwili Drozd. – Wreszcie.

Ochlapałem twarz zimną wodą, wykonałem kilka forsownych oddechów. Jeśli coś miało się zdarzyć, to właśnie teraz. Dochodziła dwudziesta trzecia. Niedługo zamkną restaurację, a goście rozejdą się po pokojach. Większość z nich pójdzie spać, jutro czeka ich ciężki dzień – obchody dwudziestodwulecia Mosfilmu. Reżyserzy, scenarzyści, aktorzy. No i nasza ślicznotka, Nina Krawczenko.

Odgłosy kroków w korytarzu zapowiedziały nadejście aktorki i Kotuszewa. Zgrzytnął klucz, zza ściany doszedł nas damski chichot. Tima nie tracił czasu... Cóż, wojna. To nie jest moment na subtelne uwodzenie, kwiaty i recytowanie wierszy. Każdy dzień mógł być ostatnim, każda godzina liczyła się za miesiąc. Lepiej umierać ze wspomnieniem kobiecych ust na wargach, niż żałować, że czegoś się nie zrobiło. Na refleksję przyjdzie pora później. O ile będzie jakieś „później”...

Rozmyślania przerwał mi brzęk tłukącego się szkła. Poszła szyba w oknie albo na balkonie. Balkon! Siedzieliśmy na ostatnim piętrze, jeśli ktoś się przyczaił na dachu... Tylko że dach sprawdzono dwa dni temu i założono kłódkę na strych.

Obaj z Drozdem rzuciliśmy się do drzwi, gdzieś z dołu rozległy się stłumione strzały. Czyżby napastników było więcej? Palba dochodziła z pewnego oddalenia – piętro albo dwa niżej.

Wpadliśmy do apartamentu Krawczenko, dobrze, że szczęśliwa para nie zamknęła go od wewnątrz. Kotuszew – nagi jak go Pan Bóg stworzył – walczył z ubranym na czarno napastnikiem, aktorka leżała na dywanie, miałem nadzieję, że jest jedynie nieprzytomna.

Widząc nas, nieznajomy odrzucił Timę z taką łatwością, jakby krzepko zbudowany chłopak ważył nie więcej niż piórko. Jedynie solidny, a w chwilę później zdruzgotany stół, który znalazł się na drodze Kotuszewa, świadczył, że prawo grawitacji nie przestało jednak działać. Zaatakowałem

podstępnym kopnięciem, które powinno zmiażdżyć mordercy rzepkę kolanową. Niestety, nic z tego, poczułem ból, jakbym trafił w drewniany słup, a mój przeciwnik odpowiedział zamaszystym, niefachowym ciosem. Tyle że zadanym z nieprawdopodobną, oślepiającą wprost szybkością. Zwaliłem się na podłogę, nie zdążywszy w żaden sposób zareagować.

Słyszałem dziki, zwierzęcy warkot, przez mgnienie ujrzałem wykrzywioną w śmiertelnej koncentracji twarz Drozda. Próbowałem podnieść się na kolana, ale ręce nie chciały mnie słuchać, leżałem skulony w dziwacznej, niemalże embrionalnej pozycji. Zbliżające się głosy świadczyły, że pomoc jest już blisko. Żeby tylko Drozd wytrzymał! Żeby wytrzymał... Ktoś mnie potrącił, ktoś inny nadepnął na rękę. No i chuj! Grunt, że teraz damy sobie radę z napastnikiem. Nad moją głową przeleciało czyjeś ciało, oberwałem odłamkiem deski – znaczy znowu poszedł jakiś mebel. Nie wyglądało na to, żeby *wojennaja razwiedka* wygrywała... Podniosłem się na kolana, potrząsnąłem głową jak pies wychodzący z wody, odzyskałem ostrość widzenia. Na nogach trzymał się tylko nieznajomy i trzech naszych: dwóch trzymało mordercę za ręce, a trzeci – Mitia Fiszer – masakrował jego twarz potężnymi, metodycznie wymierzonymi ciosami. Ubrany na czarno mężczyzna przyjmował je z przerażającą, nieludzką odpornością, szarpiąc się i kopiąc, jakby bito nie w niego, lecz w ceglaną ścianę. Wreszcie udało mi się stanąć, złapałem grubą stołową nogę. Jak się okazało, doszedłem do siebie w ostatniej chwili: morderca trafił Mitię w biodro, wyraźnie słyszalny chrzęst pękających kości świadczył, że jest już o jednego gracza mniej... Nie czekałem na ciąg dalszy, uderzyłem nieznajomego w kark. Nie zdziwiłem się, że nie upadł, chyba po trosze tego oczekiwałem. Kiedy zaczął się odwracać, zadałem kilka kolejnych ciosów.

Każdy z nich powinien nie to, że powalić, ale zabić. Zadziałał dopiero ostatni.

– Kajdanki! – wycharczałem. – Podwójne!

– Nogi też mu lepiej skujcie – powiedział Kotuszew, gramoląc się z podłogi. – Pierdolonemu zwierzakowi...

– Wezwijcie lekarza! – rozkazałem, obrzucając szybkim spojrzeniem pobojowisko.

Pomoc medyczna była niezbędna, oby skończyło się tylko na szpitalu, pomyślałem posępnie. Drozd i Krawczenko nadal nie dawali znaków życia.

Staliśmy z Kotuszewem na baczność, czekając, aż Generalny Komisarz raczy zwrócić na nas uwagę. Ten jednak albo był zajęty – nerwowo przekładał jakieś papiery, albo uważał, że omówienie przebiegu akcji nie jest w tym momencie priorytetem. Tyle że blady na twarzy Tima ledwo trzymał się na nogach – wstrząs mózgu. Szczerze mówiąc, i ja nie czułem się najlepiej, w końcu zaliczyłem klasyczny nokaut. I tak wyszliśmy z tej awantury lepiej niż Drozd – Pietka leżał jeszcze w szpitalu na obserwacji. A Mitia Fiszer będzie musiał zmienić zawód lub przynajmniej przesiąść się za biurko. Trudno walczyć, kuśtykając o lasce.

– Towarzyszu Generalny Komisarzu...

– Tak? – burknął Beria.

Nie podniósł wzroku znad dokumentów, może rzeczywiście miał coś ważnego do roboty?

– Podporucznik Kotuszew... – zacząłem niepewnie.

Dopiero teraz przyjrzał nam się uważniej, dostrzegł bandaż na głowie chłopaka.

– Och, siadajcie! – rzucił niecierpliwie.

Usiedliśmy. Jeszcze przez kilka minut czekaliśmy w ciszy przerywanej jedynie szelestem papierów i skrzypieniem wiecznego pióra. Wreszcie Genkom poskładał luźne kartki w schludny stosik i nieartykułowanym mruknięciem zachęcił mnie do złożenia meldunku. Wysłuchał relacji, nie przerywając, ale spojrzenie, jakim mnie mierzył, trudno byłoby nazwać przyjaznym.

– Jak wytłumaczycie tę wpadkę? – spytał. – Pięć osób w szpitalu, morderca ledwie żyje, a i Krawczenko skarży się właśnie towarzyszowi Stalinowi.

– Z całym szacunkiem – wycedziłem przez zaciśnięte zęby – operacja zakończyła się sukcesem: napastnicy zostali pojmani, kilku naszych rzeczywiście jest poszkodowanych, ale żaden nie zginął, a co do Krawczenko, to tylko babska histeria. No i mściwość – dodałem z westchnieniem.

– Mściwość? – Genkom uniósł brwi wyraźnie zainteresowany.

Przez moment wyglądało, jakby Kotuszew chciał się wtrącić do rozmowy, zrezygnował jednak po krótkim namyśle. Na swoje szczęście. Nie sądziłem, żeby towarzysz Beria był zainteresowany jego wyjaśnieniami.

– Ten matoł – wskazałem ruchem głowy Kotuszewa – spoufalił się nieco z naszą gwiazdą. Kiedy okazało się, że towarzyszył jej służbowo, a nie z powodów... osobistych, panna Krawczenko trochę się zdenerwowała.

– Towarzyszył?

– W momencie ataku oboje byli w jej apartamencie – poinformowałem, wzruszając ramionami.

– Nie sądzicie, majorze, że wasi ludzie pozwalają sobie na zbyt wiele? – wysyczał wyraźnie wściekły Beria.

Przysiągłbym, że dojrzałem w oczach Genkoma błysk zazdrości. No ładnie...

– Porucznik Kotuszew wykonywał moje rozkazy – oznajmiłem dobitnie. – I gdyby nie on, Krawczenko byłaby martwa. Nikt nie mógł przypuszczać, że ten... ten wybryk natury pół godziny będzie wisiał na piorunochronie, a kiedy zakończy się przeszukanie dachu, spędzi na nim kolejne dwa dni. Bez jedzenia i picia!

– Ekipa, która przeszukiwała dach, powinna go zauważyć!

Zgrzytnąłem zębami – co prawda, to prawda...

– Macie rację, towarzyszu Generalny Komisarzu, powinna. Dowodzący przeszukaniem został dzisiaj zdegradowany. Nie zabezpieczył w odpowiedni sposób terenu.

Genkom prychnął pogardliwie, jednak informacja o karze, jaką poniósł ktoś z *wojennoj razwiedki*, wyraźnie go uspokoiła.

– Dlaczego nazywacie go wybrykiem natury? I co to za historia: ośmiu ludzi nie potrafi dać sobie rady z jednym dupkiem? Moi eksperci twierdzą, że to niesłychane!

– Bardzo chętnie przedyskutuję tę kwestię z ekspertami NKWD – odparłem, ledwo panując nad sobą. – Można by urządzić zawody, rozumiecie, towarzyszu Generalny Komisarzu, przyjacielski turniej. Jak to pomiędzy bratnimi służbami.

– Taaa... przyjacielski – warknął Beria. – Już ja was znam! Trzeba by najpierw drzwi poszerzyć, żeby nadążyli z wynoszeniem trupów! No gadajcie już, co z tym facetem? – dodał nieco spokojniejszym tonem.

– To kawał bydlaka: metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dziesięć kilogramów żywej wagi, refleks boksera i próg bólowy na poziomie zwierzęcia. Nie spodziewaliśmy się tego. Przynajmniej mamy pewność, kto zamordował Sincewa. Ten gnojek z łatwością podniósłby go jedną ręką i przyszpilił do ściany.

Genkom przytaknął, jego twarz wypogodziła się wyraźnie, pewnie dotarło do niego, że będzie miał o czym zameldować towarzyszowi Stalinowi. Założyłbym się też, że pominie w swojej relacji zasługi *wojennoj razwiedki* czy udział w dochodzeniu majora Razumowskiego. Ot, nieistotne drobiazgi...

– Co z tym progiem bólowym?

– Istnieją ludzie, którzy czują mniejszy ból – wyjaśniłem zwięźle. – Przy tym samym bodźcu jeden będzie cierpiał katusze, drugi zaledwie dyskomfort. Wiele technik walki opiera się na zasadzie, że potraktowany w odpowiedni sposób przeciwnik odczuje ból nie do wytrzymania. Jeśli jego próg bólowy jest tak wysoki, że da radę to znieść, zaczynają się kłopoty, bo ciosy, które powaliłyby każdego innego, jego tylko rozwścieczą. No i akurat natrafiliśmy na takiego... – W ostatniej chwili powstrzymałem się od splunięcia na dywan.

– A z tym piciem to prawda?

– Mniej więcej. Lekarze zrobili napastnikowi płukanie żołądka. Musieliśmy liczyć się z faktem, że jest pod wpływem narkotyków albo jakichś nieznanym nam medykamentów. No i stwierdzili, że facet nic nie jadł przez ostatnie dwa dni. Do tego doszły badania krwi, moczu i Bóg wie czego. Przeszukaliśmy powtórnie dach, tym razem bardzo dokładnie. Żadnych śladów. Teoretycznie mógł coś wypić i zrzucić butelkę z dachu, ale osobiście bardzo w to wątpię. Przepytaliśmy dozorcę, który sprząta okolicę hotelu, sprawdziliśmy teren. I nic.

– No dobrze, a co z tym drugim?

– Zdrowy i cały. Ten nie stawiał oporu, wystarczyło kilka strzałów ostrzegawczych i natychmiast się poddał.

– Gdzie go zabraliście?

– Do Akademii.

Genkom skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. Chyba niezbyt mu się spodobało, że zatrzymany znajdował się w rękach *wojennoj razwiedki*.

– Jeszcze dziś każę go przewieźć na Łubiankę – mruknął. – Był już przesłuchiwany?

– Tak. On coś wie, lecz na razie odmawia zeznań.

– Odmawia?! – w głosie Generalnego Komisarza zabrzmiało niedowierzanie.

– Nie chcieliśmy na niego naciskać. Nie bez waszej wiedzy – odparłem.

– Rozsądna decyzja – pochwalił Beria. – Teraz nie musicie się już tym przejmować, sprawą zajmą się moi ludzie.

Ponieważ wyglądało, że Generalny Komisarz zaspokoił swoją ciekawość, odmeldowaliśmy się wraz z Kotuszewem. Byłem śmiertelnie zmęczony, a wypadało jeszcze odwiedzić Drozda i pogadać z Nikonowem.

Pietka Drozd nie sprawiał wrażenia ciężko chorego, wręcz przeciwnie – sposób, w jaki patrzył na mierzącą mu temperaturę pielęgniarkę, wskazywał, że wszystko z nim w porządku. Pod każdym względem. Poczekałem, aż siostrzyczka zamknie za sobą drzwi, po czym przysiadłem na skraju łóżka.

– I jak? – spytałem.

– Nie jest źle – wzruszył ramionami chłopak. – Podejrzewali, że mam uszkodzoną śledzionę, ten skurwiel nieźle mi przywalił, ale okazało się, że jestem tylko poobijany.

Odchrząknąłem z zadowoleniem. W tej sytuacji mogłem mieć nadzieję, że za kilka dni moja ekipa będzie w pełnej gotowości

bojowej. I kiedy dowództwo przypomni sobie o mnie, będę mógł wyruszyć na misję do Aleksandrowki w towarzystwie zawodowców, zamiast szukać na chybcika zastępstwa. No właśnie, Aleksandrowka...

– Dowiedziałeś się czegoś o tej miejscowości?

Drozd zamierzał sięgnąć do przewieszonej przez krzesło marynarki, ale widząc, że chłopak krzywi się z bólu, powstrzymałem go stanowczym gestem. Przedramię Pietki było jednym wielkim siniakiem.

– Ale cię załatwił – odezwał się Kotuszew współczującym tonem.

– Prawa wewnętrzna kieszeń – poinstruował mnie Drozd. – A z wami, towarzyszu podporuczniku – zwrócił się do Timy – nie gadam.

– Ciekawe dlaczego?!

– Martwi mnie wasza moralność, a raczej jej brak...

– Aaa... chodzi ci o Ninę?

– Tak, chodzi mi o Ninę!

– Cóż, tak naprawdę to między nami do niczego jeszcze nie doszło. Musiałem bronić czci panny Krawczenko przed brutalnym...

– I dlatego panna Krawczenko żali się teraz towarzyszowi Stalinowi, że została wykorzystana i porzucona – wszedłem Kotuszewowi w słowo.

– Ależ, *komandir*, jak mogliście pomyśleć, że...

Nie odwracając się, stuknąłem go w głowę.

– No i co z tą Aleksandrowką? – mruknąłem, przeglądając notatki Drozda. – Naprawdę nic więcej nie znalazłeś?

– Nie jestem nawet pewien, że chodzi o tę akurat wiochę – odparł Pietka. – W spisie figuruje pięć miejscowości o tej samej nazwie, wyeliminowałem trzy, bo leżą na naszym terytorium,

jedna jest na Ukrainie, moim zdaniem, zbyt daleko, ostatnia wreszcie znajduje się jakieś sto kilometrów za linią frontu.

– Żadnych zakładów o strategicznym znaczeniu, obiektów militarnych, siedziby sztabu?

– Nic z tych rzeczy, tylko skit.

– Co takiego?

– Skit, no, pustelnia.

– Jaka, do czorta, pustelnia?!

– Założył ją niejaki ojciec Gabriel, były archimandryta, pod koniec zeszłego wieku. Wiąże się z tym jakaś kościelna legenda, ale nie dowiedziałem się niczego konkretnego. Jak wiecie, znawcy tego tematu raczej się nie reklamują...

– To raczej nie ma nic wspólnego z naszą operacją – powiedziałem zniechęcony.

– Pewnie nie – przyznał Drozd. – Niczego więcej nie wygrzebałem. Gdybym miał czas...

– Gdybym miał trochę więcej czasu... – powtórzył z rozmarzoną miną Kotuszew.

Drozd walnął go poduszką.

– Widzę, że chory czuje się lepiej – stwierdził Nikonow, stanąwszy w progu. – Podobno szukaliście mnie, majorze?

– Owszem – mruknąłem. – Mam do pana prośbę. Ale może najpierw rzuci pan fachowym okiem na naszego pacjenta?

Nikonow bez słowa podszedł do łóżka i przez kilka minut odprawiał jakieś czary nad Pietką. Szczególną uwagę poświęcił badaniu odruchów.

– Wydaje się, że wszystko w porządku – oznajmił wreszcie. – Jednak nie rekomendowałbym szybkiego wstawania. Jeśli pacjent opuści szpital wcześniej niż za tydzień, kontuzje mogą się odnowić.

– Słyszałeś, Pietka?

– *Komandir*... – jęknął Drozd. – To tylko trochę siniaków, a przecież musimy...

– Słyszeliście opinię doktora, poruczniku! – uciąłem stanowczo.

– *Tak toczno!* – odparł ponuro.

Wyszliśmy z Nikonowem na korytarz, otworzyłem okno, aby zabić smród leków i środków dezynfekcyjnych. Uśmiechnąłem się ubawiony, widząc spieszącą do Pietki pannę Turkuł. Dziewczyna niosła bukiet astrów. Ciekawe, co niby Drozd ma zrobić z tą zieleniną? Inna sprawa, jakby przemyciła flaszkę wódki... Na mój widok Wiera ukryła wiecheć za plecami.

– Jak on się czuje? – spytała zaczerwieniona z zakłopotania.

– Doktor – wskazałem ruchem głowy Nikonowa – gwarantuje, że będzie dobrze. A kiedy jeszcze dostanie kwiaty...

– *Komandir*... – wysyczała ze złością.

– Ależ ja nie mam nic przeciwko! – Uniosłem w obronnym geście ręce. – Co prawda Drozd może się spodziewać czegoś bardziej... konkretnego.

– Mam dla niego czekoladę, no i to. – Dziewczyna wyjęła z kieszeni płaszcza niewielką piersiówkę.

No proszę, a jednak się domyśliła.

– Czekolada jak najbardziej – stwierdził z aprobatą Nikonow. – Natomiast alkohol konfiskuję.

– Ale...

– To decyzja medyczna – oznajmił lekarz z surową miną. – I raczej nie będziemy o tym dyskutować.

– Idę, zanim mi skonfiskujecie i czekoladę w charakterze zakąski – burknęła.

Ryknęliśmy śmiechem. W sumie pomysł nie był taki głupi...

– O co chodzi, majorze? – spytał Nikonow, kiedy za panną Turkuł zamknęły się drzwi.

Opowiedziałem mu o dzieciakach. Słuchał, nie przerywając, ale zauważyłem, że drgnął nerwowo, gdy poinformowałem go o sytuacji Nataszy.

– Chyba jednak muszę się napić – wymamrotał, podnosząc do ust piersiówkę. – I dlaczego mówicie mi to wszystko? To jakaś prowokacja?

– Żadna prowokacja. Naprawdę uważacie, że musiałbym tak kombinować, żeby wysłać do obozu, wybaczcie określenie: starego kołczakowca? Wystarczyłoby szepnąć słówko komuś z NKWD.

– Ale dlaczego ja? Tylko szczerze! – Zmarszczył brwi.

Machinalnym gestem odebrałem lekarzowi alkohol, pociągnąłem solidny łyk. Zapiekło – panna Turkuł skombinowała skądś czysty spirytus, miałem nadzieję, że nie techniczny, za stary już jestem na takie wynalazki. W przylegającym do szpitala ogrodzie jesienny wiatr gnał czerwono-żółte liście, po deszczu pachniało ziemią i burzą. A, zdawałoby się, tak niedawno wróciłem z oblężonego Leningradu, wierząc, że wszystko, co najgorsze, jest już za mną...

– Ufam wam – odpowiedziałem. – Poza tym nie bardzo mam do kogo się zwrócić, a wy sami wiecie, jak to jest...

– Nie rozumiem?

– Przecież nosicie stale przy sobie złote ruble. To na wypadek jakby was wzięli na ulicy, z zaskoczenia, prawda? Coś takiego łatwo schować, a i w łagrze można za to przeżyć jakiś czas. Pomyślałem sobie, że mnie zrozumiecie. – Wzruszyłem ramionami.

– Ta Natasza to ktoś ważny dla was?

– Nie! Nie wiem, może – mruknąłem wreszcie, zdezorientowany sprzecznymi uczuciami, jakie wywołało to

proste w końcu pytanie. – Poza tym chodzi też o dzieciaki, wiecie, jak to jest w *DietDomach*...

– Wiem – przyznał niechętnie. – A teraz, co z tego będę miał?

– Dwa imperiały na kwartał – zaproponowałem. – I komplet dokumentów na dowolne nazwisko. To na wypadek gdybyście musieli... zniknąć. Papiery będą najwyższej klasy, nie do odróżnienia od prawdziwych. Jeżeli się zgodzicie, złożę zamówienie na dniach, otrzymacie je, nawet jeśli nie wrócę z tej akcji.

– Zamówicie je? – parsknął. – Gdzie? W *wojennoj razwiedce*?! Na pewno długo mi posłużą!

– Załatwi je jeden z *błatnych*, najlepszy fałszerz w Moskwie!

– W porządku! – odparł szybko. – Zgadzam się.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni, ruszyłem do wyjścia. Zza drzwi izolatki rozległ się śpiew. Produkowali się panna Turkuł i Drozd, w duecie.

Nie ufaj Timie, moja panienko,
i nie daj mu tego, co masz pod sukienką!
Łobuz Kotuszew cię wykorzysta,
tak jak przed tobą panienek trzysta...

Rozdział dziesiąty

Leżałem w miękkiej pościeli, przez uchylone okno słychać było bębniące o parapet ciężkie krople deszczu – nic tylko spać. A jednak sen nie nadchodził, mimo że popiłem kolację setką wódki. Przewracałem się z boku na bok w poszukiwaniu najwygodniejszej pozycji, co chwila poprawiałem poduszkę. Bezskutecznie. Być może brakowało mi ciepłego kobiecego ciała, możliwe, że czegoś więcej... Próbowałem już wszystkich sztuczek: zwolniłem oddech, rozluźniłem mięśnie, kierując w górę przysłonięte powiekami źrenice. I nic. Po raz pierwszy w życiu cierpiałem na bezsenność. Albo się starzeję, albo...

Rozdrażniony gonitwą myśli usiadłem na łóżku i zapaliłem nocną lampkę. Lepiej będzie zająć się czymś konkretnym, bo i tak nie zasnę. Sięgnąłem po notatki Drozda na temat Aleksandrowki: może zauważę coś, co wcześniej przeoczyłem? Jednak mimo kilkukrotnego przeczytania tekstu nic specjalnego nie rzuciło mi się w oczy. Ot, wiocha jakich wiele. Na odwrocie kartki Pietka zapisał wszystkie przysłowia wykorzystane przez morderców. Jedno pod drugim:

Nie sztuka nauka, sztuka razum.
Pticam dany krylia, czełowieku razum.
Błażen, kogda wsie strasti u razuma wo własti.

Zaraz, zaraz... Co tam jest wspólnego? Słowo „razum”. No i co z tego? To się rzucało w oczy od początku; widać mordercy mieli sentyment do tego terminu. Sentyment? A może chcieli coś przekazać? E tam, banda wariatów bredząca o rozumie? Bzdura! Chwileczkę: „razum” – „Razumowski”! Tak, gdzie ja miałem tę książkę? Wyskoczywszy z piernatów, podbiegłem do biblioteczki, nie krępując się, zapaliłem światło. Jakiś patrol zauważy, że łamię przepisy dotyczące zaciemnienia? No i chuj z nim! Gdzie to było? Jest! Skórzana okładka ze złoceniami, widać, że to jeszcze przedrewolucyjna robota: „Historia rodziny Razumowskich”. Dostałem ją swego czasu od Saszki Riumina, od niego dowiedziałem się też, że noszę nazwisko wysoko niegdyś postawionej na carskim dworze familii. Rzecz miała charakter dowcipu – Riumin świetnie wiedział, że mój ojciec był buchalterem, a matka pepinierką na pensji dla dziewcząt. Znaczy przed rewolucją. Później oboje pracowali w kołchozie. Gdzie im do arystokracji! Zaraz na początku książki był taki fragment... O, właśnie: „Młody pastuszek Alosza Rozum zmienił swoje nazwisko na lepiej brzmiące dla Rosjan – Razumowski”... Czyżby te wszystkie zbrodnie były tylko próbą zwrócenia mojej uwagi? Rodzajem przesłania? Ale od kogo? W tym momencie poczułem, jak przenika mnie lodowaty chłód: działając w *wojennoj razwiedce*, naraziłem się wielu ludziom, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś spróbował zaciukać mnie w ciemnej uliczce, jednak rzucić wyzwanie nie tylko wojskowemu wywiadowi, ale i budzącemu postrach NKWD, zwrócić na siebie uwagę towarzysza Berii – ba! – samego Stalina mogła tylko jedna grupa: ludojady z Leningradu...

Trzęsącą się ze zdenerwowania dłonią sięgnąłem po słuchawkę, za chwilę miałem poznać swój los.

Kierowca Poliakowa wysadził nas tuż pod gmachem Łubianki, sam został w wozie, czekając na nasz powrót. Drogę do wejścia pokonaliśmy biegiem – liczyła się każda minuta. Wartownicy przepuścili nas, ledwo rzuciwszy okiem na dokumenty, zadzwoniłem wcześniej do Sarkisowa. Adiutant Genkoma czekał już na nas w holu.

– Co to za awantura?! – warknął, nie próbując nawet ukryć złego humoru. – Wiecie, która jest godzina, majorze?

Wiedziałem, dochodziła druga w nocy.

– Zbudziliście Generalnego Komisarza, tak jak prosiłem? – odpowiedziałem pytaniem.

– Jesteście pijani?! O tej porze?!

– Mimo wszystko musimy... – zaczął Poliakow.

Powstrzymałem milicjanta gestem, to była moja sprawa.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, towarzyszu pułkowniku, ja naprawdę nie mam zamiaru wam grozić, ale bądźcie pewni, że jeśli natychmiast nie zawiadomicie Genkoma, skutki mogą być niewyobrażalne.

– O czymże takim mam go zawiadomić?!

– Wytłumaczę wszystko Generalnemu Komisarzowi. Osobiście.

Sarkisow poczerwieniał, wydawało się, że oczy wyjdą mu z orbit.

– Ja wam... – wysyczał wściekle.

Też znalazł sobie czas, żeby dąsać się jak baba, której nie poproszono do tańca. Niedoczekanie twoje, skurwysynu!

– Sprawa dotyczy zarówno *wojennoj razwiedki*, jak i NKWD – bezceremonialnie wszedłem mu w słowo. – Moje dowództwo wie już o zajściu, współpracujemy też z moskiewską milicją. –

Ruchem głowy wskazałem Poliakowa. – Jeśli będziecie nas nadal powstrzymywać przed powiadomieniem o sprawie Genkoma, po prostu wyjdziemy. Tyle że odnotujemy to w raportach, które jutro tak czy owak trafią na biurko towarzysza Berii. – Wzruszyłem ramionami.

Sarkisow mamrotał coś nieskładnie, przez chwilę myślałem, że rzuci się na mnie – oparłem dłoń na pistolecie, a Poliakow całkiem otwarcie sięgnął do kabury. W końcu jednak adiutant Genkoma zdołał się opanować. Zapewne przypomniał sobie, że w naszej szczęśliwej ojczyźnie nie ma ludzi niezastąpionych.

– Jak sobie chcecie, majorze – niemal wypluł ostatnie słowo. – Zobaczymy, co powie towarzysz Beria! Za mną! – zakomenderował.

Przeszliśmy na wyższe piętro, mijając po drodze dyżurujących co kilkadziesiąt metrów wartowników, skręciliśmy w wyłożony kosztownymi dywanami korytarz. Czyżby nasz przewodnik prowadził nas do osobistych apartamentów Generalnego Komisarza? Przed zwykłymi, nieposiadającymi żadnego numeru ani tabliczki drzwiami siedziało dwóch enkawudzistów. Łysy, okrąglutki mężczyzna w mundurze majora i szczupły kapitan o ostrej, jakby wyciosanej w kamieniu twarzy. Grali w szachy. Bez słowa rozpiąłem pas, położyłem na stole pistolet i wyciągnięty z rękawa nóż, swojej broni pozbył się także Poliakow.

Grubasek skinął z uśmiechem głową, wraz ze swoim towarzyszem uprzejmie ustąpili nam miejsca. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z faktem, że siedząc, mieliśmy ograniczoną zdolność ruchu... Tymczasem Sarkisow zniknął za drzwiami, machnięciem ręki nakazując nam czekać. Przełknąłem nerwowo ślinę, widać Genkom miał pracowity dzień i nie chciało mu się opuszczać Łubianki. Gdyby nie było go w apartamentach, nie pilnowałoby ich tych dwóch. Mimo

różnic w wyglądzie – łysy mógłby grać Dziadka Mroza bez charakteryzacji, a mina jego kolegi niejednego przyprawiłaby o zawał serca – obaj byli dobrzy. Bardzo dobrzy. I śmiertelnie niebezpieczni.

– Majorze Razumowski – powiedział Sarkisow, stając w progu – Genkom was prosi. Wy – zwrócił się do Poliakowa – na razie tu zostańcie.

W suchym, oficjalnym tonie adiutanta Berii wyczułem skrywaną satysfakcję. Znaczy Generalny Komisarz jest pewnie wkurwiony do nieprzytomności, pan pułkownik już o to zadbał. No cóż, wiedziałem, że nie będzie lekko...

Beria siedział na skotłowanym łóżku odziany jedynie w jedwabny, zdecydowanie burżuazyjny szlafroczek. U nas w sklepach takich nie sprzedają. W powietrzu wisiała wyraźnie wyczuwalna kwiatowa woń. O ile Genkom nie używa w domowym zaciszu damskich perfum, przerwałem mu romantyczne tête-à-tête. A niech to cholera! Sam bym się wkurwił w podobnej sytuacji.

– Towarzyszu Generalny Komisarzu, pozwólcie zameldować...

– Gadajcie wreszcie! – burknął Beria.

– Nie jestem pewien, czy towarzysz Sarkisow ma dopuszczenie do...

– Towarzysz Sarkisow ma dopuszczenie do wszystkiego! Powinniście o tym wiedzieć. A teraz do rzeczy!

– Mężczyzna schwytany w czasie próby zamordowania Niny Krawczenko zniknął ze szpitala – poinformowałem. – Cały personel Szpitala Wojskowego numer siedemdziesiąt cztery został wymordowany. Wraz z ochroną. Przypuszczam, że drugi z podejrzanych, ten, którego rozkazaliście przewieźć na Łubiankę, także został odbity przez swoich. Według informacji

udzielonych mi przez waszego adiutanta, wysłany po niego konwój nie wrócił...

– Co takiego?! Co mówicie?! – wybełkotał Genkom. – Przecież to jakieś bzdury! To...

Stopniowo wściekłość wywołana moim wtargnięciem znikała z jego twarzy, nie trzeba być geniuszem, żeby przewidzieć, że pierwsze, co zrobi towarzysz Stalin, to zażąda wyjaśnień od kierującego dochodzeniem w sprawie ostatniej plagi morderstw. A osobą odpowiedzialną za śledztwo był nikt inny jak *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*. I jemu osobiście przyjdzie za wszystko odpowiedzieć.

– Kto... – wycharczał – kto to zrobił?!

– Kanibale – odparłem zwięźle. – Sekta. Ta sama co w Leningradzie.

– Jak to ta sama? Meldowaliście przecież towarzyszowi Stalinowi o likwidacji ludojadów! O zabezpieczeniu zaplecza! Zawaliliście sprawę! – zawył, zrywając się na równe nogi.

– *Nikak niet, towariszcz Gienieralnyj Komissar!* To ta sama sekta, ale inni ludzie. Od czasu mojego wyjazdu z Leningradu nie odnotowano tam ani jednego przypadku rytualnego morderstwa. Sprawdziłem.

– To skąd się wzięli w Moskwie?!

– Widocznie... – odchrząknąłem, próbując oczyścić ściśnięte gardło – działają nie tylko w Leningradzie...

– Skąd wiecie, że to oni?

– Ofiary mają wycięte serca. Jak w Leningradzie. Do tego te przysłowia...

– Jakie, do cholery, przysłowia?!

Przez kilka najbliższych minut wyjaśniałem Genkomowi, dlaczego pozostawione na miejscu zbrodni sentencje były adresowane do mnie. Opisałem, co znaleźliśmy w szpitalu. Niektóre rzeczy musiałem powtórzyć – towarzysz Beria

sprawiał wrażenie oszołomionego. Nic dziwnego, sam byłem skołowany. Mimo wszystkich dowodów, mimo tego, co widzieliśmy dzisiaj z Poliakowem, nie chciało mi się wierzyć, że ktoś mógł w tak nonszalancki sposób rzucić wyzwanie naszym służbom, całemu aparatowi bezpieczeństwa i – nie ma co ukrywać – towarzyszowi Stalinowi... To był policzek dla władzy radzieckiej i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że władza radziecka będzie musiała odpowiedzieć. Niezwłocznie, brutalnie, z miażdżącą skutecznością. Jeżeli kontra nie wyjdzie, będą kłopoty. Bo zbrodni na taką skalę nie da się utrzymać w tajemnicy – w szpitalu zamordowano ponad sto osób.

– Więc w tym szpitalu... – powiedział wreszcie Genkom.

– Tak – powtórzyłem cierpliwie. – Zginęło sto dwadzieścia dziewięć osób: personel, pacjenci, ochrona.

Całe szczęście, że Drozda położono gdzie indziej. Gdyby nie to, pewnie Nikonow badałby już jego zwłoki.

– Ochrona! – zawarczał wściekle Beria. – Ochrona!!! Co te darmozjady tam robiły?! Jak mogli dopuścić do czegoś takiego?! I co my teraz zrobimy? Co powiemy Głównodowodzącemu?!

– Pozwoliliśmy sobie z pułkownikiem Poliakowem podjąć pewne działania – odezwałem się niepewnie. – Poniekąd w waszym imieniu.

– Co takiego?!

– *Winowat!* Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje – wymamrotałem. – Zrozumcie, towarzyszu, że ani milicja, ani nawet *wojennaja razwiedka* nie dałyby rady podjąć działań na taką skalę, a nie było czasu na konsultacje... Kazałem zablokować drogi wyjazdowe z miasta: dokumenty wszystkich opuszczających stolicę mają być weryfikowane w komendanturze i innych instytucjach, które je wystawiły, szpital otoczyli nasi ludzie, w porannych gazetach ukaże się wiadomość o kwarantannie: poinformujemy, że w szpitalu

doszło do wybuchu epidemii. W ten sposób zablokujemy wszelkie kontakty rodzin z chorymi i personelem. To przyda się i później, kiedy będziemy musieli zawiadomić o ich śmierci... Pułkownik Poliakow zorganizował też grupę pościgową z psami. Jednak potrzebujemy więcej ludzi, szczególnie na punktach kontrolnych przy wyjeździe z miasta, gdybyście, towarzyszu, zechcieli zarządzić...

Przez dłuższą chwilę Genkom przyglądał mi się beznamiętnie niczym okazowi robaka pod mikroskopem.

– Jakim cudem to wam się udało? – zapytał.

– Odsyłałem wszystkich do towarzysza Sarkisowa, żeby potwierdził, że działam w waszym imieniu...

Adiutant Berii pobladł jak śmierć. Nic dziwnego: poparł działania, które mogły być początkiem przewrotu. Cóż z tego, że mimowolnie?

– Jak to wytłumaczysz, Rafaelu?

– Ja... Oni wszyscy tylko pytali, czy Razumowski wykonuje wasze rozkazy – wyszeptał Sarkisow. – Nie chciałem was budzić. Potwierdziłem...

Twarz Generalnego Komisarza nie wyrażała żadnych uczuć, lecz w pokoju nagle zrobiło się chłodno niczym w kostnicy. Opuściłem wzrok, wpatrzyłem się w geometryczne wzory na dywanie. W tym momencie wszystko zależało od decyzji Genkoma: wóz albo przewóz. Gdybym nic nie zrobił – poszedłbym pod ściankę, bo o złapaniu kanibali można by tylko pomarzyć. Do tego trzeba by znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego odpowiedzialnego za masakrę w szpitalu. Przypuszczałem, że najlepszym kandydatem okazałby się pewien major GRU... Z drugiej strony: podejmując takie, a nie inne działania, drastycznie przekroczyłem swoje kompetencje: oszukałem komendanturę, dowódcę moskiewskiego garnizonu i czort wie kogo jeszcze. Nie miałem okazji spytać, kto dzwonił do

Sarkisowa. Tak czy owak, kwalifikowałem się do odstrzału. Być może razem z Poliakowem...

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Aparat wyglądał zwyczajnie – podobny mógłby znajdować się w pierwszym lepszym urzędzie czy restauracji, ale od razu zrozumiałem, że nie dzwoni byle kto, bo podniósłszy słuchawkę, Ławrentij Pawłowicz Beria od razu stanął w pozycji zasadniczej. Nie usłyszałem, o czym mowa, jednak natychmiast rozpoznałem charakterystyczny tembr głosu – rozmówcą Genkoma był sam towarzysz Stalin. Z nagle poczerwieniałej twarzy Generalnego Komisarza mogłem wywnioskować, że gospodarz Kremla nie składa mu życzeń... Chwilę później Beria zaczął referować, co zrobił w sprawie schwytania dywersantów, którzy wymordowali chorych i personel szpitala w centrum Moskwy. Genkom bez zająknięcia powtórzył wszystko, co mu przed paroma minutami powiedziałem, bez ogródek przypisując sobie autorstwo moich i Poliakowa pomysłów. Niczego innego się po nim nie spodziewałem. Czyżby znaczyło to, że jeszcze trochę sobie pożyjemy?

– Organizujcie ekipę na wyjazd – rozkazał, odłożywszy słuchawkę.

– Na wyjazd? – powtórzyłem bezmyślnie.

– No przecież mówię! Obiecałem towarzyszowi Stalinowi, że zajmę się tym osobiście.

– Znaczy chcecie do szpitala...

– Co z wami, Razumowski? Dopadł was nagły atak głupoty? Oczywiście, że chcę do szpitala, a później będę kierował grupą pościgową! Głównodowodzący zażądał ode mnie, żebym za trzy godziny złożył mu raport.

No to zdechł pies... Nie dość, że Beria będzie nam się plątał pod nogami, to jeszcze spadnie na nas troska o jego bezpieczeństwo. Ciekawe, czy ojczulek Stalin nakazał

Generalnemu Komisarzowi, żeby ten osobiście obejrzał miejsce zbrodni, czy to własna inicjatywa pragnącego zaprezentować się w lepszym świetle Genkoma? A jeżeli to pierwsze, czy towarzysz Stalin woli, aby Beria wrócił z tej eskapady żywy, czy też poległ bohatersko, walcząc z sekciarzami? Jak ja, kurwa, nienawidzę polityki...

Jednym szarpnięciem rozpiąłem kołnierzyk, nie przejmując się przepisami ubiorczymi i obecnością Genkoma – miałem większe problemy.

– Zdajecie sobie sprawę, towarzyszu Generalny Komisarzu, że to może być zasadzka?

– Zasadzka? Na mnie? Sugerujecie, że grupa maniaków religijnych siedzi teraz, czając się na mnie, zamiast wiać gdzie pieprz rośnie? – zarechotał autentycznie ubawiony Beria.

– Są maniacy i maniacy – odburknąłem. – I nie zakładałbym się, że to, co oni robią, ma jakikolwiek związek z religią. Z rytuałami tak, ale na pewno nie przejmują się dziesięciorgiem przykazań... Oni przecież specjalnie prowokowali nie tylko mnie, ale i władzę radziecką – przypomniałem. – Chcieli konfrontacji. I kiedy w końcu do niej doprowadzili, na pewno nie będą uciekać. Weźcie też pod uwagę, towarzyszu, że przez kilka miesięcy udawało im się terroryzować Leningrad. Mogą być pod wpływem narkotyków albo...

– Co proponujecie? – przerwał mi wyraźnie rozdrażniony Beria.

Mimo że nie okazywał strachu, widziałem, że nie miał już miny zdobywcy świata. Tak jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że mogą istnieć ludzie, na których nie zrobi wrażenia jego funkcja, którzy nie dość, że nie wejdą w rolę zwierzyny ściganej przez NKWD, to sami zapolują...

– Ile osób liczy wasza ochrona? – spytałem.

– W tym momencie mamy do dyspozycji dwa plutony – włączył się do rozmowy Sarkisow.

– Środki transportu?

– Dla ochrony ciężarówki, dla towarzysza Berii opancerzony samochód.

– Ściągnijcie z garnizonu ze dwie pancerki – zaproponowałem.

– Co takiego? – Sarkisow najwyraźniej nie zrozumiał.

– Samochody pancerne BA-10 – wyjaśniłem. – Najlepiej, żeby miały zamontowane radiostacje.

– A to po co? – zmarszczył brwi Beria. – Samochody pancerne na ulicach Moskwy?

Odetchnąłem głęboko, starając się zachować cierpliwość.

– Po pierwsze, jest noc i jak dobrze pójdzie, nikt nas nawet nie zauważy, czasem zresztą przejeżdżają przez miasto kolumny na front. A jeśli doszłoby do walki, to lepiej dysponować przewagą ognia. Po drugie, nie mam zamiaru tłumaczyć się przed Głównodowodzącym, dlaczego coś wam się stało, towarzyszu Generalny Komisarzu.

– No, no – mruknął Beria. – Nie bądźcie bezczelni, Razumowski. Wezwij te samochody – zadecydował, zwracając się do Sarkisowa. – Jeżeli major Razumowski ma się od tego lepiej poczuć...

W holu śmierdziało. Charakterystyczny szpitalny zapach mieszał się z odorem krwi, gówna i wyprutych flaków: napastnicy nieźle się zabawili. Tuż przy wejściu leżało kilkanaście trupów – widać ochrona nie dała się zaskoczyć i próbowała powstrzymać atak. Bezskutecznie. Za barykadą

z przewróconych biurek dostrzegłem zwłoki w wojskowych mundurach, tuż obok – w białych kitlach. Być może personel próbował pomóc w obronie szpitala? Młoda lekarka trzymała w dłoni niewielki, damski pistolecik. Podszedłem bliżej, widząc przyzwalający gest Poliakowa, wyjąłem broń z martwej ręki. Na rękojeści ktoś wyrył serce i napis: „Od Borysa dla Ani". Cóż, nie uratował cię twój prezent, Aniu...

Wysunąłem magazynek – pusty. Kimkolwiek była zmarła, przynajmniej nie oddała życia darmo. Odruchowo przymknąłem jej powieki. Niewiele to pomogło, ktoś rozpruł ją od krocza po szyję, układając na podłodze wnętrzności.

– Mieliście mi udowodnić, że to zrobili ci wasi kanibale, a nie jacyś naśladowcy czy zwykli wariaci – wymamrotał Beria.

Genkom wyglądał nieszczególnie mimo skropionej mentolem chirurgicznej maski na twarzy. No i nic dziwnego, za dużo krwi i śmierci naraz, za dużo.

– Zwróćcie uwagę, towarzyszu, na kształt, w jaki ułożone są jej... jelita – powiedziałem, przełykając ślinę. – Najlepiej stańcie z tej strony, wtedy od razu pojmiecie.

– Co takiego mam pojąć?

– Nie przypomina wam to niczego?

– Razumowski!

– Przepraszam, towarzyszu, to rzeczywiście nie czas na zagadki. Jakiś skurwysyn ułożył wnętrzności tej kobiety tak, że przypominają plan Leningradu. Zobaczcie. – Wskazałem przemieszane z krwawymi ochłapami oślizgłe pętle. – Rzeka Newa, wyspy, Admiralicja, a tu lotnisko Sosnowka...

– Ja widzę tylko flaki! To wszystko?

– Nie. Jest jeszcze jedna rzecz. Pozwólcie dalej, trzeba przejść na pierwsze piętro. To tutaj. – Skinąłem w stronę pomieszczenia z wyłamanymi drzwiami.

– Co tu takiego interesującego?

– Kotuszew, wyjaśnij towarzyszowi Berii detale – poleciłem. – Podporucznik Kotuszew pochodzi z Syberii – dorzuciłem, widząc zmarszczone brwi Genkoma. – Jest myśliwym, jednym z najlepszych, jakich w życiu spotkałem.

– Co to ma do rzeczy?

– Potrafi czytać ślady.

– To nie tajga!

– Teren nie ma znaczenia – odparł Kotuszew obojętnym tonem. – Tropy to tropy.

– No dobrze – westchnął z rezygnacją Generalny Komisarz. – Czekam na waszą myśliwską analizę...

– Napastnik wyważył drzwi. Na nieszczęście otwierają się do wewnątrz, wystarczyło kopnąć parę razy. Ten w środku miał mosina, wzór 1938. Po raz pierwszy wystrzelił, widząc wroga w progu. O, tu jest dziura po kuli. Widać też bryzgi krwi: wnioskując po wysokości, na jakiej się znajdują, sekciarz dostał w klatkę piersiową. Na podłodze też są ślady: rana musiała mocno krwawić. Drugi wystrzał, także celny, został oddany już wewnątrz. Popatrzcie, towarzyszu Generalny Komisarzu. Widać, że pocisk wbił się w ścianę na podobnej wysokości co poprzedni. Strzelec musiał mieć spore doświadczenie, mimo stresu trafił w obszar serce – płuca. No i wreszcie trzeci... Ten prawdopodobnie poszedł niżej, gdzieś w rejon brzucha i wystrzelono go od dołu. Strzelec klęczał albo przysiadł.

– Skąd ten wniosek?

– Bo ostatni pocisk odbił kawałek tynku z sufitu, proszę spojrzeć w tamten róg. Nie miał już takiego impetu jak poprzednie, bo strzelano pod kątem: zanim przeszedł przez ciało napastnika, przebył dłuższą drogę. A strzelec prawdopodobnie próbował się uchylić przed cięciem szabli. To znaczy udało mu się. Raz. Niestety, i ten ostatni strzał nie zatrzymał mordercy. Proszę spojrzeć...

Rzeczywiście, było na co popatrzeć: leżący na podłodze mężczyzna miał rozciętą na dwoje głowę i odrąbaną tym samym skośnym cięciem rękę wraz z fragmentem barku.

– Napastnik mimo trzykrotnego postrzału, a w normalnych warunkach każde z trafień byłoby śmiertelne, zdołał nie tylko pokonać żołnierza, ale też zabił go, demonstrując potworną siłę – skomentował Kotuszew. – Jak w Leningradzie. Tam jeden z nich zerwał kajdanki i okazał się podobnie kuloodporny.

– Co sugerujecie? To jakieś mistyczne brednie!

– Przypuszczamy, że to skutek przyjmowania narkotyków albo czegoś w tym rodzaju – powiedziałem pospiesznie. – Rzecz w tym, że jest raczej wątpliwe, aby podobne cechy wykazywały dwie zupełnie niezwiązane ze sobą grupy. To ci sami sekciarze...

– W porządku, niech wam będą sekciarze, niech wam będą narkotyki – parsknął gniewnie Beria. – Choć nie za bardzo chce mi się w to wierzyć. Może wytłumaczycie mi, jak ci ludzie zniknęli? No bo po ataku musieli gdzieś się podziać? Tymczasem zwabione strzelaniną patrole zameldowały, że nikogo podejrzanego nie zauważono. A przecież to było kilkudziesięciu chłopa! Schowali się w bramie w czterdziestu czy pięćdziesięciu?!

Przygryzłem wargi, sam zastanawiałem się nad tą kwestią. Co prawda liczbę napastników obliczałem na kilkanaście osób – tak wynikało z kalkulacji Kotuszewa, ale nie zmieniało to specjalnie sytuacji. Nawet jeśli założyć, że szpital zaatakowała niewielka grupa ludzi – czy to naćpanych, czy też w bojowym transie, musieli mieć jakąś bazę, z której wyruszyli na akcję i do której przyszło im wrócić. Pierwszy patrol miał się znaleźć przy szpitalu w jakieś dziesięć minut po rozpoczęciu strzelaniny. Nawet jeśli dodać do tego drugie dziesięć – być może milicjanci nie spieszyli się na miejsce wypadku tak bardzo, jak zameldowali towarzyszowi Berii – z zeznań osób, które słyszały

palbę, wynikało, że cała akcja nie mogła trwać dłużej niż piętnaście, góra dwadzieścia minut. Choćby napastnicy byli nie wiadomo jak skuteczni, choćby większość personelu i chorych została pomordowana bez walki, sekciarze nie mogli zniknąć wcześniej niż parę minut przed przybyciem pierwszego patrolu. Problem w tym, że wówczas nadciągały już kolejne – ze wszystkich stron...

Za naszymi plecami rozległo się niepewne chrząknięcie, w drzwiach stanął Poliakow.

– Myślę, że mogę odpowiedzieć na wasze pytanie, towarzyszu – poinformował milicjant.

Spojrzałem na niego ostro – w głosie Poliakowa nie usłyszałem tryumfu, raczej rezygnację.

– No mówcie wreszcie! – ponaglił Genkom.

– Jeden z psów tropiących podjął ślad. Doprowadził nas do włazu kanalizacyjnego jakieś sto metrów od szpitala. Napastnicy zniknęli w kanałach...

– Na co czekacie? Organizujcie pościg!

– W kanałach?

– W kanałach!

– Ale, towarzyszu Generalny Komisarzu...

– Pułkowniku Poliakow, proszę wykonać rozkaz!

– Tak jest! – odparł milicjant posępnie.

Poliakow nerwowo zaciągnął się papierosem, popatrując na otwarty właz kanalizacyjny. Właśnie przed chwilą zniknął tam ostatni z jego milicjantów. Na szczęście Genkom odjechał i mogliśmy sami zająć się pościgiem. Nie żeby któryś z nas się do tego palił. Kanały... Wiedziałem, że sekciarze dążą do

konfrontacji, ale cały czas zastanawiałem się, jakim cudem spodziewają się ją wygrać. Wypadki w Leningradzie dowiodły, że mimo mistycznych czy pseudomistycznych mocy da się ich zabić jak każdego innego człowieka. No, może z nieco większym trudem... Nie sądziłem, żeby prędko zapomnieli o lekcji, jakiej im udzieliłem. Teraz znałem już odpowiedź: w kanałach kilku ludzi mogło powstrzymać całą armię. A jeśli do tego znali teren i zastawili parę pułapek... Inna sprawa, że prędzej czy później musieli wyjść spod ziemi. Chyba żeby nie...

– Dlaczego tak ci nie pasują te kanały? – zagadnąłem znienacka.

– A jak myślisz?! – warknął z irytacją. – Nie mamy nawet dobrych planów.

– Jak to nie?

– Normalnie. Kanały łączą się z tunelami metra i starymi podziemiami, do tego dochodzą wybudowane jeszcze przed wojną magazyny i specobiekty, takie jak schron dla towarzysza Stalina i dowództwa obrony Moskwy. Co jeden, to bardziej tajny... Na oficjalnych mapach zaznaczono jedynie sieć zwykłych kanałów i plan metra. Ten ostatni z wyłączeniem budowli specjalnego przeznaczenia. W rzeczywistości to ogromne podziemne miasto. Znają je tylko ci, którzy tam mieszkają: włóczędzy, wszelkiej maści dziwacy i, jak wynika z ostatnich wydarzeń, ci twoi sekciarze. I wiesz co? Myślę, że oni nas specjalnie sprowokowali i zwabili na swój teren...

Zakląłem ze złością – Poliakow mógł mieć rację. Jeśli masakry i tych wszystkich morderstw dokonali kanibale, musieli to długo planować. Pewnie od czasów Leningradu... Może ktoś z nich ocalał albo któryś zdążył przekazać wiadomość o likwidacji sekty? Teraz nie miało to większego znaczenia, liczył się fakt, że ich działalność nie ograniczała się do Leningradu i najwyraźniej chcieli wyrównać rachunki... Nie

wątpiłem, że Poliakow mówi prawdę – tunele moskiewskiego metra od dawna wykorzystywano w charakterze schronów przeciwlotniczych, w podziemiach znajdowały się sanitariaty, lazarety, kuchnie, nawet biblioteka. Czasem zdarzało się, że ktoś zabłądził i znajdowano go w zupełnie innej części Moskwy, wygłodzonego i bełkoczącego o starych tunelach i spotkanych pod ziemią ludziach widmach. Bywało też, że pechowiec ginął bez śladu. Do tej pory nie zwracałem uwagi na takie wiadomości, miałem większe problemy. Wyglądało jednak, że przyjdzie mi zainteresować się podziemiami stolicy...

– Musisz znaleźć kogoś, kto tam mieszka – powiedziałem, wskazując kanał. – Nie ma innego wyjścia.

Poliakow burknął coś pod nosem, lecz nie zaprotestował. Wiedział jak i ja, że jeżeli w najbliższym czasie nie zneutralizujemy sekciarzy, przyjdzie nam drogo za to zapłacić. Zadba już o to Genkom Beria, a może i sam towarzysz Stalin...

Nagle spod ziemi dobiegł nas głuchy, dudniący dźwięk.

– A to co takiego? – spytał ze zdziwieniem milicjant. – Czyżby metro ruszyło? O tej porze? Co prawda niedaleko jest stacja, a te kanały mogą się łączyć...

– To nie metro – odparłem, zaciskając zęby.

– Nie rozumiem?

– To granaty.

– Przecież moi mieli tylko pistolety i pepesze!

– Bo to nie twoi. To kanibale. Zeszli pod ziemię nie po to, żeby uciec. Poczekali tam na pościg...

– Ja muszę, ja...

– Uspokój się, do cholery! – wycedziłem, stając mu na drodze.

Wyglądało, że pułkownik Poliakow ma zamiar zejść do kanału w ślad za swoimi ludźmi. Tak jak stoi, z pistoletem w garści.

– Nie możesz im pomóc!

– Może zaraz wrócą, kazałem im się wycofać w razie kontaktu z wrogiem. To miał być tylko rekonesans.

– Możliwe – przyznałem. – Poczekajmy.

Czekaliśmy do rana, ćmiąc jednego papierosa po drugim. Z osiemnastu wysłanych w pościg ludzi nie wrócił ani jeden.

Mapa, którą zaprezentowaliśmy Genkomowi, wyglądała bardzo profesjonalnie: różnymi kolorami wykreślono stare, niekiedy jeszcze średniowieczne podziemia, tunele metra i zwykłe kanały. Kolorem czerwonym zaznaczyliśmy miejsca, gdzie można wyjść na powierzchnię, głównie włazy kanalizacyjne. Były ich setki... Mieliśmy także opracowany plan akcji – Generalny Komisarz uwielbiał tego typu dokumenty. Jednak obaj z Poliakowem zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli zabraknie nam odrobiny szczęścia, wszystko to nada się jedynie na makulaturę. Pozostała też inna sprawa, kluczowa dla sukcesu całego przedsięwzięcia. Tę mógł załatwić tylko Genkom.

– Co więc proponujecie, Razumowski? Wiecie, że towarzysz Stalin dał nam tydzień na zakończenie tej całej afery? Za siedem dni moskiewskie podziemia muszą być wolne od dywersantów!

– Postaramy się – zapewniłem.

– Postaramy?!

– Jestem niemal pewien, że zdążymy – uspokoiłem Genkoma. – W najgorszym wypadku akcja przeciągnie się dzień czy dwa dłużej. Jednak potrzebujemy waszej pomocy, towarzyszu Generalny Komisarzu.

– A konkretnie? – Beria spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Trzeba zwolnić z obozu pewnego więźnia – włączył się do rozmowy Poliakow. – I to jak najszybciej. Wówczas zdobędziemy przewodnika, który poprowadzi nas do siedziby sekciarzy takimi drogami, jakich nawet oni nie znają.

– Znaczy ten więzień będzie przewodnikiem?

– Nie, jego syn. Mieszka w podziemnej Moskwie już dziesięć lat, zna ją jak własne podwórko. Jednak postawił warunek: amnestia dla ojca...

– Amnestia, powiadacie?

Wbrew naszym obawom Genkom nie wyglądał na zbulwersowanego.

– Obiecajcie mu, co trzeba – polecił, wzruszając ramionami. – Nazwisko tego zeka podacie Sarkisowowi, przewiezie się go do Moskwy samolotem. Wystarczy?

– Tak jest, towarzyszu Generalny Komisarzu! – potwierdziłem ze ściśniętym gardłem.

Z nonszalanckiego stosunku Berii do całej sprawy domyśliłem się, jaki los czeka obu delikwentów. Też się kretynowi zebrało na szantażowanie Genkoma. Szkoda, że nie zażądał jeszcze oficerskiego słowa honoru... No nic, to nie moja sprawa, choć miałem ochotę splunąć na dywan gorzką śliną. Po minie Poliakowa widziałem, że czuje podobnie. Chyba się starzeję, coraz bardziej męczy mnie ludzkie skurwysyństwo. Czas na emeryturę, Razumowski, czas...

– Przedstawcie szczegóły, majorze – przerwał moje rozmyślania Beria.

Posłusznie podszedłem do mapy, wziąłem czerwony ołówek.

– Wstępnie ograniczyliśmy strefę poszukiwań do czterech dzielnic – wyjaśniłem. – Prawdopodobnie gdzieś tutaj – zakreśliłem nieregularny krąg – mają swoją bazę sekciarze.

– Dlaczego akurat tam?

– Drogi wiodące do centrum tego obszaru są nieliczne, więc łatwo je kontrolować. A o to przecież mordercom chodzi. Żebyśmy spróbowali ich znaleźć. Będą tam już na nas czekali...

– To ma być ten wasz wielki plan?! Dać im, czego chcą?!

– Tylko pozornie, towarzyszu Generalny Komisarzu. Nie będziemy wdawać się w walkę. W razie kontaktu ogniowego patrole, które tam wyślemy, mają rozkaz natychmiast się wycofać. Nie obejdzie się bez strat – przyznałem. – Na to nie ma rady. Jednak przy takim trybie postępowania nie powinny być one zbyt wielkie. Każdy punkt, gdzie dojdzie do starcia z sekciarzami, naniesiemy na tę mapę. Po tygodniu powinniśmy znać granice kontrolowanego przez nich obszaru. Tym samym wydzielimy strefę, w której mają swoją bazę. Wówczas wystarczy nam zablokować wszelkie wyjścia i zaatakować ich kryjówkę.

– To dlatego chcieliście, żebym przydzielił wam tych żołnierzy?

– Tak, zwykłe oddziały miałyby problemy z walką w takich warunkach, te są do tego szkolone.

– A włazy kanalizacyjne? Cały moskiewski garnizon nie wystarczy, żeby ich wszystkich pilnować! Jak przyciśniemy do muru tych waszych kanibali, po prostu wylezą na powierzchnię.

– *Nikak niet, towariszcz Gienieralnyj Komissar!* Już załatwiłem tę sprawę.

– A to w jaki sposób? Znowu pozwoliliście sobie zarządzić coś w moim imieniu?! Ja wam...

– Melduję, że jedynymi osobami, którymi pozwoliłem sobie zarządzić, jest kilku spawaczy – odparłem, wchodząc Berii w słowo. – Przed akcją zaspawamy większość włazów, zostawimy tylko kilka wybranych. Te będą pod kontrolą. Niech sobie wtedy popróbują wyłazić...

Po krótkiej chwili czerwona ze wzburzenia twarz Genkoma przybrała normalny kolor, wreszcie Beria wybuchnął śmiechem.

– Podoba mi się wasz pomysł: prosty i skuteczny – pochwalił. – A teraz bierzcie się do roboty.

– *Tak toczno, towariszcz Gienieralnyj Komissar!* – odparliśmy z Poliakowem unisono.

Zamknąłem tekturową teczkę z napisem: Kamyszyn Aleksander Wiktorowicz. No proszę, mój imiennik. Zek sprawiał wrażenie intelektualisty – aż dziw, biorąc pod uwagę, że przeżył w łagrze prawie dziesięć lat. Widocznie okazał się twardszy, niż można było przypuścić na pierwszy rzut oka. Wysoki, szczupły, w okularach, o posiekanej siecią drobnych zmarszczek twarzy zameldował się, nie okazując żadnych emocji. Wcześniej przeczytałem jego akta: został osądzony oraz skazany za dywersję i sabotaż. Informacja nie zrobiła na mnie specjalnego wrażenia – czego to ludzie nie wypisują... Szczególnie śledczy z NKWD. Niestety, poza sentencją wyroku dokumenty nie zawierały żadnych detali, tak jakby ktoś je przezornie zdekompletował.

– Za co siedzieliście? – spytałem.

– Zostałem osądzony z paragrafu...

– Chciałem wiedzieć, co wam zarzucili – przerwałem mu recytowanie wykutej widać na pamięć formułki.

– To wymaga pewnych wyjaśnień – odparł z lekkim zdziwieniem w głosie.

Pewnie do tej pory nikt mu się nie naprzykrzał z takimi pytaniami.

– Wyjaśniajcie – zezwoliłem. – Mamy czas.

– Pracowałem przy budowie metra. Wnioskowałem, żeby wyjścia usytuować daleko od stacji na wypadek ewentualnych bombardowań. Rozumiecie, aby utrudnić precyzyjne celowanie. Opracowałem schemat wraz z uzasadnieniem swojego planu. Uznano to najpierw za defetyzm, później za sabotaż...

– Macie syna? – kontynuowałem.

– Miałem – doprecyzował z kamienną twarzą. – Kiedy mnie aresztowano, skończył osiem lat. Rok później uciekł z *DietDomu*. Nic więcej nie wiem.

– Pokazywaliście mu metro? Zabieraliście pod ziemię?

– Na litość boską! – wybuchnął, po raz pierwszy okazując jakieś uczucia. – Sugerujecie, że ośmioletnie dziecko...

– Niczego nie sugeruję – powstrzymałem Kamyszyna stanowczym gestem. – Odpowiedzcie na pytanie.

– Wziąłem go kilka razy ze sobą – przyznał. – Przeważnie dzieci boją się ciemności, ale Miszka... – przełknął z trudem ślinę – mój syn czuł się tam jak na placu zabaw.

Skinąłem głową – teraz wszystko stało się jasne: kiedy zrobiło się gorąco, dzieciak uciekł tam, gdzie nie sięgało oko władzy radzieckiej. Pod ziemię. I nie tylko przeżył, ale uczynił mroczną plątaninę tuneli i kanałów swoim domem. Poliakow, który jakimś cudem dotarł do chłopaka, powiedział, że tamten ma w podziemnej Moskwie ksywkę „Duch”. Nic dziwnego, że podjął się nas doprowadzić do bazy sekciarzy. Znaczy dobrze wybraliśmy przewodnika. Szkoda, że on dokonał dużo gorszego wyboru, zmuszając NKWD do uwolnienia ojca – tego mu czekiści nie darują. Po skończonej akcji zapłaci za wszystko, obaj zapłacą...

– Kto kierował śledztwem w waszej sprawie? – rzuciłem znienacka.

– Ławrentij Pawłowicz Beria. Osobiście. Ze względu na wagę dochodzenia. Metro traktowano jako obiekt o znaczeniu strategicznym.

Ułożyłem usta do bezgłośnego gwizdnięcia: teraz już wiedziałem, kto wyczyścił akta. Jeśli kwestią interesował się sam Genkom, zarówno nasz przewodnik, jak i jego ojciec już są martwi. Nikt ich nie uratuje. I nie umrą lekką śmiercią... Przypomniałem sobie nonszalancję, z jaką potraktował prośbę o zwolnienie zeka niesłynący przecież z miłosierdzia dla więźniów Generalny Komisarz. Musiał już wcześniej wiedzieć, o kogo chodzi, i odpowiednio się przygotował. Donosicieli nie brakuje, a wątpię, żeby Beria zapomniał mojego rozmówcę. Nie... Mógłbym się założyć, że o takich sprawach Ławrentij Pawłowicz długo pamięta... A po zakończeniu operacji wykona swój ruch.

Ech, czasem człowiek miałby ochotę przespać kilkadziesiąt lat, jak to obiecywała adeptom księga Doskonałych. I przebudzić się dopiero wtedy, gdy całe to gówno gdzieś spłynie: wojny światowe, komisarze zwykli i generalni, czekiści i wszelka swołocz podczepiona pod ideę komunizmu... A może by i odczekać, aż szczęśliwy ustrój komunistyczny pójdzie w pizdu? Ocknąć się w normalnym kraju, gdzie nie ma kolejek po chleb, gdzie nikt nie zwraca uwagi na donosy, nie namawia do obywatelskiej czujności i do przekraczania norm produkcyjnych w ramach socjalistycznego współzawodnictwa?

Rozmasowałem twarz znużonym gestem. Niczego sobie rozważania, Razumowski. Dobrze, że nie wynaleziono aparatu do czytania myśli...

– Mogę i ja zadać wam pytanie? – odezwał się Kamyszyn.

– Tak?

– Dlaczego mnie tu przywieziono?

W jego głosie nie wychwyciłem najmniejszego nawet śladu nadziei, raczej rezygnację, jeśli się spodziewał jakiejś niespodzianki, to jedynie na gorsze. No i masz! Trafił w dziesiątkę...

– Jest nam potrzebny wasz syn. Jako przewodnik po podziemnej Moskwie. Zanim zgodził się współpracować, postawił warunek: macie być zwolnieni z łagru.

– Kto zadecydował o moim zwolnieniu?

– Genkom Beria...

Rzucił się w moim kierunku, warcząc jak dzikie zwierzę; gdybym nie miał się na baczności, mógłby mnie zabić. Uniknąłem wycelowanej w gardło pięści, uderzyłem kolanem; kiedy zgiął się wpół, poprawiłem kantem dłoni w kark. Bez złości, tylko po to, żeby powalić zeka na podłogę, dać czas na zastanowienie. Poczekałem, aż podniesie się z szarą, pobrużdżoną cierpieniem twarzą, postawiłem na biurku dwie szklanki, nalałem wódki.

– Staraliśmy się przekonać waszego syna, żeby tego nie robił – powiedziałem. – Ja i pułkownik Poliakow. Ale on był uparty, ignorował wszystkie nasze argumenty, koniecznie chciał was wyciągnąć z obozu...

Podałem Kamyszynowi alkohol, poczekałem, aż weźmie szkło trzęsącą się ręką. Rozumiałem go. Odzyskał syna tylko po to, aby zaraz stracić. Nie miał żadnych złudzeń, widać znał dobrze Generalnego Komisarza.

– Możecie oddać mi przysługę? – spytał, wypiwszy jednym haustem swoją porcję. – Drugi raz już tego nie wytrzymam. – Wyciągnął przed siebie dłonie.

Widoczne wyraźnie blizny i zniekształcenia świadczyły, że ktoś zrywał mu paznokcie i wielokrotnie łamał palce.

– A i mój syn... – załamał mu się głos.

Po długiej, bardzo długiej chwili skinąłem głową.

Przede mną stało kilkuset żołnierzy, wszyscy młodzi – żaden nie miał więcej niż czterdzieści lat, wysportowani, zahartowani w walce. Elita Armii Czerwonej. Oddziały inżynieryjno-szturmowe stanowiły specjalny odwód Stawki, najwyższego organu zarządzającego armią. Przeznaczono ich do szturmu zamienionych w twierdze miast i silnie umocnionych kompleksów obronnych. I odpowiednio wyszkolono. Każdy z żołnierzy po mistrzowsku posługiwał się materiałami wybuchowymi, ciężkim sprzętem, znakomicie strzelał i był ekspertem walki wręcz. Nauczono ich walczyć w domach, piwnicach oraz ciasnych podziemnych korytarzach. I zabijać, zabijać na wszelkie sposoby. Mieli zwyciężać tam, gdzie inni ponieśli klęskę. Wszyscy wyposażeni byli w grube na dwa milimetry stalowe napierśniki. Wiedziałem, że kanibale chcą wciągnąć nas w walkę na swoich warunkach, i cóż, przygotowałem dla nich niespodziankę. Zobaczymy, jak poradzą sobie z zawodowcami, z ludźmi, dla których codziennością jest walka w podziemiach. Ich istnienie było na razie tajemnicą, Inżynieryjno-Saperskie Brygady Szturmowe, jak je oficjalnie nazywano, miały zostać sformowane dopiero w połowie przyszłego roku. Tymczasem intensywnie szkolono żołnierzy, którzy wejdą w ich skład, prowadzono selekcję, także pod względem intelektualnym. Każdy żołnierz oddziałów inżynieryjno-szturmowych musiał być dużo sprawniejszy i bardziej samodzielny niż przeciętny, a nawet nieprzeciętny krasnoarmiejec. No i dobrze, dzisiaj szturmowcy przejdą chrzest bojowy. Rzecz jasna, każdy z nich niejednokrotnie brał udział w walce, ale po raz pierwszy wejdą do akcji jako samodzielna jednostka. Zobaczymy, co z tego wyniknie...

Ponownie przyjrzałem się twarzom żołnierzy, których miałem dzisiaj poprowadzić przeciwko kanibalom. Nie zauważyłem specjalnego napięcia. Ot, lekka ekscytacja, jak to przed atakiem.

– Pamiętajcie, że wasi przeciwnicy mogą być pod działaniem narkotyków – zacząłem. – Nie będą czuli strachu ani bólu, a przynajmniej w dużo mniejszym stopniu niż przeciętny człowiek. Nie bierzcie jeńców, dobijajcie rannych, bo jeśli odwrócicie się do nich plecami, może to być wasz ostatni błąd! Bądźcie bezlitośni, pamiętajcie, że walczycie z zaciekłymi wrogami władzy radzieckiej, ludźmi, którzy mordowali cywilów i rannych!

Wymownym gestem zasygnalizowałem zakończenie części oficjalnej. Koniec przemówień, czas na czyny. Rozległy się krótkie jak wystrzał komendy, podjechały ciężarówki. Nadchodził finał. Stojący opodal Drozd i Kotuszew zapalili papierosy, panna Turkuł nieco nerwowym ruchem poprawiała swój napierśnik. Widać było po niej zdenerwowanie, ale za żadną cenę nie zgodziła się odpuścić akcji. Nie sprzeciwiałem się – w końcu trzeba dziewczynę jakoś szkolić, a już ja dopilnuję, żeby nie poniósł jej entuzjazm. Zagadujący Wierę Miszka Kamyszyn przytupywał niespokojnie, ale jak na sytuację, w jakiej się znalazł, i tak trzymał się nieźle. Tyle że już trzy razy spytał mnie, czy pamiętam, że po skończonej akcji ma się spotkać z ojcem. W kanałach. Do tej pory pozwolono im jedynie pogadać z kwadrans – na więcej nie zgodził się towarzysz Beria. Ech, Miszka, Miszka, spotkasz ty jeszcze ojca, spotkasz...

– Jedziemy? – zapytał Kotuszew, wyrzucając niedopałek.

– Jedziemy!

Siedzący w ostatniej ciężarówce żołnierze pomogli nam wdrapać się na pakę, ruszyliśmy, zamykając kawalkadę. Do

Moskwy. Do podziemnej Moskwy.

Ze ścian i sufitu kapała woda, pod nogami chlupotało błocko. Szliśmy gęsiego prowadzeni przez Miszkę, trzymając się za ręce niczym małe dzieci. Nie rozmawialiśmy i nie używaliśmy latarek. Ciszę zakłócało mlaskanie mieszanego żołnierskimi buciorami błota i piski szczurów. Do bazy sekciarzy prowadziły jedynie trzy drogi – wszystkie zapewne pełne pułapek i obserwowane. Oddziały pod dowództwem Poliakowa, Drozda i Kotuszewa miały je zablokować. My nadchodziliśmy od tyłu, trasą, którą znał tylko Miszka.

Idący przede mną żołnierz dwukrotnie szarpnął mnie za rękę, przekazałem sygnał pannie Turkuł. Zbliżaliśmy się do celu. Szeroki na metr kanał nagle zawęził się tak, że niemal muskałem ściany ramionami. Trzy szarpnięcia – maski włóż! Przystanąłem na chwilę i po omacku nałożyłem maskę przeciwgazową. W samą porę, smród stawał się nie do wytrzymania. Poziom cuchnącej brei zaczął się podnosić równocześnie z obniżaniem sufitu. Wkrótce pełzliśmy już na kolanach, starając się jedynie ochronić broń przed zabrudzeniem. Szkła maski zaparowały, prawie nic nie widziałem, czułem gramolących się przede mną i za mną ludzi. Miszka uprzedzał, że droga jest ciężka, lecz nie miałem pojęcia, że aż tak. Jeśli wybuchnie panika, nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy. Kanał był tak wąski, że przychodziło miejscami przeciskać się siłą. Jeżeli ktoś się zaklinuje...

Z oddali doszły nas serie karabinowych strzałów i wybuchy granatów. Pozostałe grupy atakowały, aby odwrócić od nas uwagę. Już nie trzymaliśmy się za ręce, nie było jak. Z chłodną,

kliniczną ciekawością zastanawiałem się, na ile jeszcze wystarczy dyscypliny i zimnej krwi? Oddychałem z trudem, filtrowane przez maskę powietrze nie dawało wytchnienia spragnionym tlenu płucom. Długo tak nie wytrzymam...

Nagle wpadłem na mojego poprzednika. Mężczyzna utknął. Desperackimi szarpnięciami usiłował uwolnić zakleszczony pomiędzy ścianami plecak. Naparłem barkiem, pchnąłem z całych sił. Bezskutecznie. Słyszałem swój świszczący oddech i szum krwi w uszach. Spróbowałem jeszcze raz. Co ten skurwysyn tam naładował?! Lekarstwa? Dodatkową amunicję? Dużo mu teraz pomogą.

Poleciałem twarzą w błoto – poszło. Dobrze, że miałem maskę, wolałbym, żeby to, w czym pełzaliśmy, nie dostało mi się do oczu. Ruszyliśmy dalej. Przewiesiłem broń przez plecy – wcześniej owinąłem ją brezentem: albo wytrzyma, albo nie. Potrzebowałem obu rąk. Czułem pod palcami odłamki pokruszonych cegieł, kanał zaczął opadać. Sufit jeszcze bardziej się obniżył, słyszałem, jak mój plecak szoruje o sklepienie. A wydawało mi się, że biorę tylko to, co konieczne: cztery bębnowe magazynki do pepeszy, pakiet medyczny, kilka granatów, latarkę. Kurwa mać! Ileż jeszcze? Przed oczyma latały mi czerwone kręgi, dusiłem się. W akcie desperacji ściągnąłem maskę, zaczerpnąłem łapczywie powietrza. Już tak nie śmierdziało. Może przeszliśmy najgorszy odcinek?

Usłyszałem przytłumiony łoskot i przyciszone przekleństwa, poprzedzający mnie żołnierz zniknął. Ostrożnie zbadałem drogę – jakieś pół metra przede mną kanał się kończył. Miszka twierdził, że do podłogi są niecałe dwa metry. Wyszliśmy na tyły bazy sekciarzy. Jeszcze tylko trzeba skoczyć...

Nie było mowy, żeby się odwrócić ani choćby zdjąć z grzbietu plecak. Zanurkowałem w dół, wyciągając przed siebie ręce. Jak nie złamię karku...

Nie złamałem. Ktoś mnie podtrzymał, pomógł stanąć na nogi. W półmroku – kilkadziesiąt metrów dalej, u wylotu wysokiego korytarza, jarzyła się mdłym światłem lampa – pojawiały się kolejne sylwetki. Żołnierze odwijali opatulone jak egipskie mumie pepesze, szykowali się do akcji. Zuchy! Żaden nie stchórzył, wszyscy dali radę.

Poczekałem, aż dowódcy niewielkich, kilkuosobowych zespołów zbiorą swoich ludzi, widząc, że wszystko gra, dałem znak. Ruszyliśmy do ataku niczym stado wilków: cicho, do ostatniego momentu pozostając w mroku.

Weszliśmy do obszernego, nisko sklepionego pomieszczenia, wpadając na trójkę ubranych po cywilnemu mężczyzn. Nie widziałem, kto strzelił pierwszy, ale chwilę później starcie się zakończyło – podziurawione jak sito zwłoki sekciarzy zostały za nami. Mimochodem zauważyłem, że któryś z żołnierzy podszedł do leżących i z bliska strzelił każdemu w głowę. No i dobrze! Chuj z tym całym kanibalskim mistycyzmem; jak komuś mózg wycieknie na posadzkę, to raczej nie wstanie. Choćby nie wiadomo ile serc wcześniej zeżarł...

Okrzyki zaskoczenia i chaotyczne błyski skierowanych w naszą stronę latarek świadczyły, że kanibale wiedzą już o naszej obecności.

– Ognia! – krzyknąłem, naciskając spust.

Ostrym szarpnięciem pociągnąłem Wierę na kolana, żeby inni mogli strzelać nad naszymi głowami. Snopy światła wydobywały z cienia miotających się na wszystkie strony sekciarzy, na ich spotkanie wychodziły ogniste linie pocisków smugowych. Miałem nadzieję, że dzięki użyciu smugaczy, widząc kierunek ostrzału, nie pozabijamy się wzajemnie.

Niespodziewanie z przeraźliwym, słyszalnym mimo palby rykiem zaszarżowała na nas grupa kilkunastu osób. Zdawało się, że wyłonili się znikąd, widać gdzieś tu znajdowało się

jeszcze jedno pomieszczenie, a może ślepy tunel. Ech, kurwa... Dwiema krótkimi seriami dokończyłem magazynek, nie tracąc czasu na wymianę, sięgnąłem po pistolet. Widziałem, jak kule rwały ciała atakujących, ci jednak biegli, jakby obrzucano ich konfetti, a nie ołowiem. Ujrzawszy błysk stali, gdy jakiś brodacz zamierzył się na mnie saperką, rzuciłem się na plecy, kopiąc napastnika obunóż. Pomogło jak umarłemu kadzidło – w ułamku sekundy sekciarz siedział już na mnie. Zablokowałem rozpaczliwie pierwszy cios, ale zadane z potworną siłą uderzenie odrzuciło moje przedramię, wiedziałem, że drugi raz sztuczka nie wyjdzie – facet był zbyt szybki. Znienacka przy jego skroni pojawiła się lufa pepeszy, opryskało mnie coś wilgotnego.

– Nic wam nie jest, *komandir*? – spytała troskliwie panna Turkuł.

– Wszystko w porządku – wycharczałem, podnosząc się na nogi.

Walka przeniosła się w dalsze rejony podziemi, zewsząd dochodziły strzały i bojowe okrzyki. Wokół kręciło się jedynie kilku żołnierzy. Dobijali rannych. Obmacałem rękę – chyba była cała.

– Ależ się wystraszyłam, kiedy ten gnojek na was skoczył, myślałam, że nie zdążę – powiedziała dziewczyna z ulgą.

Podziękowałem jej klepnięciem w ramię, nie ma co – nieźle Wiery pilnowałem, nie dość, że straciłem kontrolę nad sytuacją, to gdyby nie panna Turkuł, gryzłbym już piach. Chyba ratowanie mi życia zaczyna jej wchodzić w nawyk...

– Co robimy? – spytała.

– Czekamy.

Nie zaprotestowała. Pewnie miała dosyć przygód na dzisiaj. Nie ma co ukrywać, ja też. Niestety, musiałem załatwić jeszcze jedną sprawę.

Stopniowo strzały rozlegały się coraz rzadziej, serie z pistoletów maszynowych zastąpiły suche trzaski tetetek. Podeszliśmy do stolika zastawionego butelkami wina – nieźle sobie tutaj żyli, gady. Pewnie wyszabrowali to z jakiegoś prominenckiego magazynu. Usiadłem z westchnieniem ulgi, starając się nie zwracać uwagi na otaczający mnie zapach. Wolałem nie myśleć, w czym się dzisiaj tarzałem, chyba będę musiał kąpać się z tydzień, zanim pozbędę się tego smrodu. Podkręciłem pozostawioną przez sekciarzy lampę naftową, kopnięciem podsunąłem pannie Turkuł krzesło. Usiadła z wyraźnie nieszczęśliwą miną.

– Czy ich naprawdę trzeba było... no, wiecie?

– Dobijać? – odburknąłem niedelikatnie. – Sama widziałaś, ile kul dostał ten skurwiel, który mnie mało nie wykończył. I jaki był żwawy, dopóki nie rozwaliłaś mu czaszki.

– Wiem, wiem – przyznała. – Ale tak mi jakoś...

Otworzyłem nienaruszoną butelkę, podałem jej bez słowa. Upiła posłusznie kilka łyków.

– Lepiej?

Skinęła głową.

– *Komandir!*

W krąg rzucanego przez lampę światła wkroczył energicznie Drozd.

– Wszystko w porządku! – zameldował, zabierając dziewczynie bezceremonialnie flaszkę. – Straciliśmy – łyknął solidnie – tylko pięciu ludzi. Do tego mamy paru rannych.

– Co z Kotuszewem?

– Nic mu nie jest, poszedł po ojca Miszki.

– Wypuścimy ich, jak obiecaliśmy, prawda? – odezwała się Wiera.

Odpowiedziała jej cisza.

– *Komandir!*

– Problem w tym, że obiecywał Genkom, nie my... Zapewne jego ludzie obsadzili już wszystkie tunele, stąd nie ma ucieczki.

– Przecież obiecał!

– I co? Oskarżysz Berię przed oficerskim sądem honorowym? O ile pamiętam, wszelkie tego typu instytucje umarły wraz z batiuszką carem. A Genkom Kamyszynom nie daruje.

– Czego, u licha?! Prawda, że Miszka postawił Genkoma pod ścianą, ale i wy nie byliście zadowoleni z tych jego żądań...

– Ty naprawdę myślisz, że jestem zły na Miszkę? Za to, że chciał ratować ojca?

– Słyszałam, jak krzyczeliście na niego z Poliakowem.

– Chcieliśmy ocalić mu życie!

– Nie rozumiem...

– Wiesz, za co poszedł siedzieć starszy Kamyszyn?

– No wiem, czytałam akta: sabotaż i dywersja. Ale przecież przy budowie metra zastosowano w końcu plan ojca Miszki, wyjścia z podziemi są daleko od stacji. I zobaczcie, jak to się przydało! Ten cały proces to jakieś nieporozumienie!

– Nie ma w tym żadnego nieporozumienia – zapewniłem. – Towarzysz Beria chciał zgnoić Kamyszyna i to zrobił.

– Ale dlaczego? Co mu przeszkadzał plan budowy metra?

– W ogóle mu nie przeszkadzał, to był tylko pretekst. W rzeczywistości chodziło o żonę Kamyszyna. Rozumiesz, spodobała mu się. Tyle że fascynacja okazała się jednostronna, kobieta nie chciała mieć z Berią nic wspólnego, a kiedy towarzysz, wówczas jeszcze prominentny działacz z Zakaukazia, zaczął się robić nachalny, Kamyszyn poskarżył się na zebraniu organizacji partyjnej.

– Więc on... On go za to?

– Za to.

– Co się stało?

– Kamyszyna wysłali do łagru, jego żona popełniła samobójstwo, a dzieciak wylądował w *DietDomie*.

– A co na to towarzysz Stalin? Socjalistyczna praworządność wymaga...

– Towarzysz Stalin miał zapewne inne, ważniejsze sprawy na głowie, a socjalistyczna praworządność to pojęcie dość abstrakcyjne i rzadko spotykane w realnym życiu – odparłem szorstko. – Tymczasem Genkom rozkazał, aby i owszem, przyprowadzić tu ojca Miszki, pozwolić im na spotkanie, tyle że później odstawić na Łubiankę...

– Po co to wszystko? On się z nimi bawi czy co?

– Nie mam pojęcia, co miał na myśli Generalny Komisarz, wydając taki, a nie inny rozkaz. Wiem, że powinienem go wykonać.

– I co, wydacie ich czekistom?!

– Nie – odpowiedziałem po chwili milczenia. – Nie wydam ich czekistom.

Dalszą rozmowę przerwał nam odgłos kroków: Kotuszew prowadził starszego Kamyszyna, Poliakow Miszkę. Mimo zalegającego tunele błocka chłopak poruszał się zwinnie i cicho, niemal bezszelestnie. Pewnie stąd ta ksywka: „Duch". Tymczasem w wylocie tuneli znikali ostatni żołnierze, zabierając ze sobą zabitych i rannych. Zwłoki sekciarzy pozostawiono tam, gdzie padli. Być może usuną je enkawudziści – założyłbym się o każdą sumę, że okoliczne kanały roiły się już od ludzi Genkoma. Cóż, przyszedł czas na finał.

– Wszystko w porządku? – spytał Miszka nieufnie.

Obrzucił ukradkowym spojrzeniem jeden z tuneli. Czyżby sądził, że w razie kłopotów zdoła uciec wraz z ojcem? Ech, młodość... Usiadł okrakiem na krześle, oparciem do przodu. Stara, choć wciąż skuteczna sztuczka: oparcie to niezła ochrona

brzucha. Prawa ręka chłopaka zatrzymała się tuż przy cholewie buta. Wiedziałem, że ma tam nóż. Mimo woli poczułem szacunek do smarkacza – nie tylko nie okazywał żadnego strachu, ale i w razie kłopotów zamierzał osłonić ucieczkę ojca. Chciałbym mieć kiedyś takiego syna...

Rachuby Miszki popsuł starszy Kamyszyn: wyciągnął ręce, chwycił chłopaka w objęcia.

– Synku! – wymamrotał. – Synku...

Miszka nie odpowiedział. Płakał w ramionach ojca.

Stanęliśmy za plecami młodzieńca: ja, Poliakow, Drozd i Kotuszew. Tylko panna Turkuł obserwowała wszystko z wyrazem niezrozumienia na twarzy. Patrzyłem w oczy starszego Kamyszyna, czekałem na znak. Ten pocałował syna w czoło, wreszcie skinął energicznie głową. Wydałem bezgłośną komendę: „Pli!". I nacisnąłem spust. Zanim upadli, nadal trzymając się w objęciach, opróżniłem magazynek. Tak jak i inni.

– *Komandir!* – zawołała z rozpaczą Wiera. – Dlaczego?!

Nie musiałem odpowiadać – z przylegających do sali tuneli dochodził pospieszny tupot podkutych butów. Nadciągali czekiści. Tyle że obaj Kamyszynowie byli już poza ich zasięgiem...

Rozdział jedenasty

Iznowu stałem na baczność w gabinecie dowódcy *wojennoj razwiedki*, tym razem jednak nie zostałem odznaczony. Przeciwnie: przed chwilą generał Iwan Iwanowicz Iliczow udzielił mi nagany. Za niewypełnienie rozkazu Generalnego Komisarza. Mój raport wskazujący, że Kamyszynowie zostali zastrzeleni podczas próby ucieczki, dowódca GRU zbył jednym nonszalanckim machnięciem ręki. Nie byłem zdziwiony – nawet mnie on nie przekonał. Grupa doświadczonych oficerów pozwoliła podjąć próbę ucieczki dwom cywilom? Śmiechu warte.

– Przestańcie się w końcu prężyć, siadajcie! – burknął Iliczow.

Generał, podobnie jak jego poprzednik, nie przypominał agenta wywiadu. O ile Panfiłow na pierwszy rzut oka sprawiał jednak wrażenie żołnierza, obecny dowódca *wojennoj razwiedki* kojarzył się raczej z buchalterem – brakowało mu tylko zarękawków. Jedyną cechą odbiegającą od przeciętnego do bólu wyglądu dowódcy były lekko odstające uszy. Lecz pozory bywają mylące. Gdyby naprawdę był przeciętniakiem, nigdy nie znalazłby się w tym gabinecie. Dlatego postanowiłem zachować ostrożność. Usiadłem posłusznie na brzeżku krzesła, gotowy w każdej chwili zerwać się ponownie.

– Chciałbym, żebyście wiedzieli, Razumowski, że nie zdegradowano was jedynie ze względu na bieżącą operację. Dobro misji wymaga, abyście nadal, przynajmniej czasowo,

posiadali rangę majora. To samo dotyczy waszej ekipy. Jeżeli odniesiecie sukces, być może zdołam przekonać Genkoma, żeby wam darował.

Akurat, pomyślałem ponuro. A świnie zaczną latać. Znaczyło to mniej więcej tyle co: „Szkoda na ciebie czasu, gnoju, i tak zdechniesz podczas akcji". Stąd pobłażliwość dowódcy *wojennoj razwiedki*, stąd i miłosierdzie towarzysza Berii...

– A teraz do rzeczy – podjął generał. – Zostaniecie przerzuceni do Aleksandrowki. To niewielka wioska, jedyną ciekawą rzeczą w okolicy jest pustelnia.

– Pustelnia? – nie wytrzymałem. – A co w tym ciekawego?

Spodziewałem się, że zostanę zrugany za przerwanie wywodu przełożonemu, ale Iliczow jedynie pokiwał głową, jakby przyznawał, że sam podziela moje wątpliwości.

– W tym sęk – westchnął. – Lecz pozwólcie mi najpierw naświetlić tło. Od pewnego czasu zarówno na tyłach, jak i w jednostkach frontowych pojawiają się ogniska zakażenia wąglikiem. Musieliśmy wielokrotnie organizować kwarantannę, wycofywać z boju całe pułki. Co prawda chory podobno nie zaraża innych, ale zanim stwierdzi się, że to akurat wąglik, trzeba przeprowadzić badania, umieścić zarażonych pod obserwacją. A i na zapleczu wygląda to nieciekawie, ostatnio na przykład przyszło zamknąć fabrykę produkującą silniki czołgowe. Personel został dosłownie zdziesiątkowany. Nie będę wam tu przedstawiał naukowych analiz, uważam, że nie ma potrzeby. Choć jeśli zechcecie się z nimi zapoznać, są do waszej dyspozycji. Istnieją tylko dwie możliwości: albo Niemcy stosują broń biologiczną, albo mamy do czynienia ze swoistym fenomenem: naturalnym wybuchem epidemii w ważnych militarnie punktach. Problem w tym, że oba warianty są mało prawdopodobne... Eksperci zapewniają, że o ile można oczywiście wytworzyć bakterie wąglika w warunkach

laboratoryjnych, o tyle potrzebne jest do tego odpowiednie oprzyrządowanie i zespół fachowców z zakresu określonych specjalności... Jednym słowem, trudno coś takiego ukryć. Oczywiście wiemy, że faszyści prowadzą badania nad wąglikiem, jednak według naszych danych rzecz nie weszła jeszcze w fazę praktyczną. Poza wszystkim innym to ogromne ryzyko. Wiadomo, że jeśli sprawa się wyda, spowoduje adekwatną reakcję ze strony sprzymierzonych...

W ostatniej chwili powstrzymałem się od pytania, czy i my pracujemy nad wąglikiem. W końcu co za różnica?

– Tak więc konkretnych dowodów na zastosowanie wąglika jako broni biologicznej nie mamy – kontynuował generał. – Z kolei hipoteza o naturalnych źródłach zakażeń także się nie klei.

– „Syberyjskie wrzody" – odważyłem się wtrącić. – Czy nie ma takiej choroby? Roznoszą ją chyba zwierzęta domowe?

– Owszem, jest – przytaknął Iliczow z aprobatą w głosie. – Tyle że w okolicy, gdzie doszło do zakażeń, nie wykryto ani jednego chorego zwierzęcia... A wierzcie mi, sprawdzaliśmy! Rzeczywiście *sibirskaja jazwa* wywoływana jest przez bakterie wąglika. Infekcja może występować w powodującej wrzody postaci skórnej, a także jelitowej i płucnej. Problem w tym, że w zasadzie nie ma na to lekarstwa. Skuteczność szczepionek, szczególnie w zaawansowanym stadium choroby, jest dyskusyjna. Rozumiecie, wolelibyśmy tego nie sprawdzać w praktyce, a początkowe objawy zakażenia są bardzo podobne do innych dolegliwości. Zresztą nie mamy tylu szczepionek, jest ich zbyt mało, żeby zapobiec prawdziwej epidemii. A w przypadku rozpoczęcia wojny biologicznej trzeba by je wytwarzać w dziesiątkach milionów! Prowadzi się co prawda badania nad penicyliną, ale zanim dobiegną końca... – wzruszył ramionami generał. – Teoretycznie jest możliwe, że ktoś

wykorzystałby do zarażenia wybranej grupy osób mięso chorego albo padłego zwierzęcia. W normalnej sytuacji bakterie wąglika giną dość szybko, lecz po śmierci „żywiciela" wytwarzają specjalne przetrwalniki. Są wówczas bardzo odporne na wszelkie czynniki, także wysoką temperaturę, problem w tym, że nie zanotowano przypadków zachorowań u zwierząt. Ani u nas, ani za linią frontu. Obecnie zwierzęta gospodarskie mają ogromne znaczenie dla obu stron, bo armie muszą coś jeść, więc pilnuje się higieny, prowadzi regularne badania, ewidencjonuje... Oczywiście możliwe jest, że gdzieś tam zachorują pojedyncze sztuki, a ktoś przypadkiem rozniesie zarazę. Gdyby coś takiego zdarzyło się raz czy drugi, nie zwrócilibyśmy pewnie na to uwagi. Jednak takich przypadków były dziesiątki. Zawsze w bardzo niedogodnych dla nas miejscach i czasie: przed planowaną ofensywą, w zakładach o znaczeniu strategicznym, w punktach koncentracji wojsk.

– Rozumiem, że istnieją jednak jakieś koncepcje?

– Bardzo niekonkretne – odparł kwaśno generał. – Początek tej całej... plagi zbiegł się z powstaniem niewielkiego laboratorium w Platnicy, miejscowości położonej jakieś czterysta kilometrów na zachód od Aleksandrowki. Wysyłane stamtąd transporty wędrują do szkoły Abwehry niedaleko Odessy. To mocno podejrzane – przyznał. – Niemcy trenują w niej dywersantów werbowanych spomiędzy rozmaitej maści zaprzańców, jeńców wojennych i Hiwi. Poza czterema kompaniami szkolnymi stacjonuje tam jedna złożona z zawodowców. Teoretycznie schemat jest prosty: w Platnicy produkuje się bakterie wąglika, przekazuje do Odessy, a stamtąd wyruszają dywersanci, aby użyć zarazków na naszych tyłach czy też bezpośrednim zapleczu frontu. Niestety, nie wykryto żadnych kontaktów pomiędzy laboratorium w Platnicy a ośrodkami prowadzącymi badania nad wąglikiem.

Gdyby gdzieś w okolicy występowały ogniska choroby, można by przypuścić, że platnicki ośrodek wykorzystuje zarażone zwierzęta jako źródło do hodowli bakterii. Jednak nic takiego nie miało miejsca. Wreszcie pozostaje sprawa sprzętu. Nie udało nam się zinfiltrować ośrodka w Platnicy, wiemy za to, jakimi urządzeniami dysponują. Dotarliśmy do dokumentacji dotyczącej wyposażenia ośrodka. Nasi eksperci twierdzą, że nie da rady w takich warunkach wyprodukować bakterii wąglika.

– Nie można by tego ośrodka prewencyjnie zbombardować?

– Tylko jeśli zdecydowalibyśmy się na dekonspirację ważnego agenta – odparł natychmiast Iliczow. – Mamy nadzieję, że to nie będzie konieczne. W razie zniszczenia laboratorium Niemcy błyskawicznie znaleźliby źródło przecieku.

– No dobrze, a co ma do tego Aleksandrowka?

– Dla wyjaśnienia tej sprawy wysłaliśmy kilka grup na tyły wroga. Także do Platnicy. Jednej z nich udało się schwytać i przesłuchać pracownika laboratorium. Niedługo później zespół został zlikwidowany przez Niemców. Do radiostacji dotarł tylko ciężko ranny dowódca grupy. Przed śmiercią zameldował – generał zerknął w rozłożone na stole akta – cytuję: „Platnica wykorzystała już głowę smoka, teraz szuka ciała smoka. Znajdziecie je w Aleksandrowce”...

– To jakiś bełkot!

– Być może. – Iliczow rozłożył ręce. – Nic innego nie mamy. Do tego dochodzi inna kwestia: jeśli nawet jakimś cudem Niemcy produkują wąglik w Platnicy, czym jest owo „ciało smoka”? Jeśli to źródło bakterii albo coś, co pomaga w wytwarzaniu bojowej wersji wąglika, likwidacja laboratorium niczego nie załatwi. Za kilka miesięcy będziemy mieli ten sam problem, tylko że Niemcy złapią naszego agenta i lepiej zabezpieczą kolejne laboratorium.

– Ciało smoka... – wymamrotałem, pocierając skronie.

Zaczynała mnie boleć głowa.

– Mistyka – rzucił z westchnieniem Iliczow. – Słyszałem, majorze, że jesteście ekspertem od takich spraw. Podobno w Leningradzie spotkaliście się z nie mniej tajemniczą sprawą?

– W pewnym sensie – odpowiedziałem ostrożnie.

Wiedziałem, że pytanie jest retoryczne – generał na pewno przestudiował dokładnie mój leningradzki raport. A może jeszcze kilka innych na temat wyczynów majora Razumowskiego w mieście wodza rewolucji?

– Dlaczego nie oskarżymy Niemców o stosowanie broni biologicznej? Albo nie odpowiemy tym samym?

– Gdybyż to okazało się takie proste...

– A nie jest?

– Co zrobilibyście na miejscu Niemców, rozpoczynając wojnę biologiczną? – odpowiedział pytaniem.

– Przygotowałbym się na odwet.

– No właśnie, a faszyści na odwet nie są przygotowani.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – zaoponowałem. – Do ataku na nasz kraj także nie byli specjalnie przygotowani...

– Nie, nie, to inna sprawa! Rzeczywiście liczyli na szybkie zwycięstwo, kolejny *Blitzkrieg*, i szczerze mówiąc, niemal im się udało. Owszem, zaniedbali czy raczej uznali za drugorzędne przygotowania do wojny w zimie, wojny wykraczającej poza obronę pozycyjną, i my to jeszcze wykorzystamy!

Oczy Iliczowa rozbłysły jak wilcze, już nie wyglądał na buchaltera ani przeciętniaka.

– Niemniej jednak – podjął po chwili – jest różnica pomiędzy zaniedbaniem wynikającym z nierealistycznych prognoz a całkowitym nieprzygotowaniem. A jeśli chodzi o wojnę biologiczną, faszyści są do niej zupełnie nieprzygotowani. Tak jak i my... Oczywiście i u nich, i u nas istnieją pewne procedury, gdzieś tam w sejfach spoczywają ściśle tajne plany, lecz nikt nie

traktował ich poważnie. Przynajmniej do tej pory... Zrozumcie, wojna biologiczna to wariactwo! Można ją świadomie rozpocząć, ale nikt, absolutnie nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaki będzie jej koniec! Każdy wykorzystany w niej środek może wymknąć się spod kontroli i obrócić przeciwko temu, kto go zastosował. Czegoś takiego można próbować jedynie w sytuacji bez wyjścia, tymczasem ani my, ani Niemcy nie mamy do tego powodu! Trzecia Rzesza odniosła szereg błyskotliwych zwycięstw i choć obecnie sytuacja faszystów nie wszędzie wygląda różowo, do klęski im daleko, och, jak daleko! My przetrwaliśmy najgorsze i powoli zaczynamy się odgryzać. Gdzie tu powody do sięgania po tak desperackie środki jak broń biologiczna?

Rzeczywiście, rozpatrując sytuację na zimno, Niemcy nie mieli powodu stosować wąglika. Owszem – niektóre ich działania nie przyniosły sukcesów, można nawet mówić o pierwszych porażkach faszystów, ale przecież naszych niepowodzeń było dużo więcej. I czort wie co przyniesie przyszłość. Nie, Niemcy na pewno nie znajdowali się w desperackim położeniu...

– Może gdzieś indziej, daleko od Platnicy, występują ogniska choroby? – powiedziałem. – Wystarczyłoby chyba przewieźć zarażone mięso do laboratorium...

– To nie takie proste. – Iliczow pokręcił głową. – Transport byłby dość ryzykowny i wymagałby użycia specjalnych kontenerów. Wreszcie zachorowania wystąpiły głównie pod postacią płucną. To najbardziej niebezpieczna odmiana choroby, niemal zawsze kończy się śmiercią. Tyle że najtrudniejsza do wywołania. Postać skórna wywoływana jest zakażeniem przez skórę, wystarczy kontakt z wydzieliną chorych zwierząt. Jest najmniej groźna. Druga opcja to postać jelitowa. Aby się zarazić, trzeba spożyć mięso lub mleko

chorych zwierząt. Trzeci rodzaj, wąglik płucny, występował dawniej u sortowaczy wełny. Wdychali oni przetrwalniki wąglika z zarażonych skór i właśnie wełny. No więc o ile trudno sobie wyobrazić dywersanta smarującego wszystko co popadnie płynem zawierającym bakterie wąglika, czy też przyprawiającego nim zupę, wizja kogoś, kto wdmuchuje żołnierzom do nosa gaz z przetrwalnikami wąglika to zupełna fantazja.

– Może jakieś perfumy? Wiecie, towarzyszu generale, są takie z pompką...

– Genialna myśl, Razumowski! Rzeczywiście, każdy żołnierz Armii Czerwonej, a przypominam, że większość zachorowań dotyczyła żołnierzy, nie rozstaje się z perfumami. Z pompką!

– To tylko pierwsze skojarzenie...

– To może spróbujcie lepiej pokojarzyć? Nie mówiąc o tym, że nikt jeszcze nie opracował metody rozpylania zarazków wąglika. Próbowali czegoś takiego Niemcy, jeszcze przed pierwszą wojną, na szczęście bezskutecznie.

– A może jednak? To znaczy może udoskonalili ten proces? Minęło sporo czasu – odważyłem się zaprzeczyć.

– Teoretycznie wszystko jest możliwe – przyznał generał. – Teoretycznie... Tylko widzicie, Razumowski, w praktyce wygląda to jednak nieco inaczej. Istotna jest ciągłość badań, przeważnie eksperymenty kontynuowane są przez grupę uczonych skupionych wokół konkretnego ośrodka lub człowieka. Tymczasem prace nad gazową postacią wąglika definitywnie zarzucono. Zajmował się tym niejaki... – Iliczow ponownie skorzystał z notatek – von Ziethen. Człowiek ten cieszył się opinią ekscentryka, nie miał żadnych uczniów, narzekano na jego trudny charakter.

– A nie mógł sam kontynuować badań?

– Raczej nie, a na pewno nie nad gazem zawierającym wąglik. Eksperymenty tego typu wymagają ogromnych środków finansowych, a te mu odebrano, decydując o zamknięciu programu. Ach, prawie bym zapomniał! W tysiąc dziewięćset szesnastym roku miał osiemdziesiąt dwa lata. Nie mamy jego świadectwa zgonu, wątpię jednak, aby nam się gdzieś tu plątał. Wreszcie jak wy to sobie wyobrażacie? Już wizja dywersanta skradającego się do kuchni polowej z fiolką wąglika w ręku zakrawa na absurd. Tam się wszyscy znają, nie dopuszczono by nikogo obcego. A dywersant w masce przeciwgazowej rozpylający bakterie w powietrzu to całkowity idiotyzm! Nie wiadomo nawet, czy maska by tu pomogła. Nikt nie prowadził takich doświadczeń.

– A może zarażone owce?

Generał spojrzał na mnie jak na opóźnione w rozwoju dziecko.

– Stada owiec? W miejscu rozlokowania wojsk?

Rzeczywiście – owca wśród żołnierzy to tylko baranina, nic więcej. Jakiekolwiek nadające się do zjedzenia zwierzę w razie zetknięcia się z naszymi dzielnymi żołnierzami miało mniej więcej podobne szanse na przeżycie jak naga dziewica na zachowanie cnoty... Zatem skoro zostałoby zjedzone, nikt nie zaraziłby się płucną postacią wąglika. A z pewnością nie na taką skalę, o jakiej mowa. Zaczynam gonić w piętkę.

– Może odpocznijcie trochę, Razumowski? – zaproponował niespodziewanie Iliczow. – Dam wam kilka dni wolnego, zapoznacie się z ekspertyzami naukowców, rozważycie wszystko na spokojnie.

– Mogę wziąć te akta ze sobą?

– Opracowania o wągliku? Tak, to żadna tajemnica.

– Rozumiem, że nie dysponujemy niczym więcej poza ogólnymi analizami?

– Nic więcej nie dostaniecie – uciął generał. – Z oczywistych powodów.

No tak, nawet jeśli prowadzimy badania nad wąglikiem, nikt ich nie udostępni komuś, kto może wpaść w ręce wroga. Naprawdę przyda mi się trochę wytchnienia...

Odmeldowałem się i ruszyłem do domu, marząc o paru godzinach spokojnego snu. Nie da się ukryć, że ostatnie dni były nieco... nerwowe. Dostałem siedem dni na odpoczynek i przygotowania do operacji. Cóż, lepszy tydzień niż nic. Być może to ostatnia okazja, żeby skorzystać z życia: spotkać się z kumplami, popić wódki. Na sprawy damsko-męskie jakoś nie miałem ochoty. Cały czas myślałem o Nataszy.

„Dojrzałe endospory wąglika mogą przetrwać długi czas, nie wykazując żadnej aktywności” – napisał akademik Gurin. Świetnie, tylko niech mi ktoś wytłumaczy, co to znaczy „długi czas”? Miesiące? Lata? Dziesiątki lat? Cóż za naukowa precyzja... I druga sprawa: co to są endospory?

Z bolesnym westchnieniem otworzyłem „Słownik terminów biologicznych” innego członka Akademii Nauk, Pantalejewa Dymitra Dawidowicza, i po morderczym rajdzie poprzez zakurzone stronice dowiedziałem się, że endospory to nic innego jak przetrwalniki. Ożeż kurwa! Nie można było tego napisać od razu?!

No nic, Razumowski, jedziemy dalej: „W sprzyjających warunkach endospory reagują na sygnał biochemiczny i mogą dać początek zdolnej do podziału komórce wegetatywnej. W tym celu endospora wąglika potrzebuje między innymi glukozy, aminokwasów i”...

Co to glukoza – wiadomo. Teraz aminokwasy. Po dziesięciu minutach wertowania książek mogłem wymienić z pamięci wszystkie znane nauce aminokwasy. A mimo to nie stałem się ani trochę mądrzejszy. Nie, w ten sposób daleko nie zajedziemy. Niestety, towarzyszu Razumowski, potrzebujecie specjalisty – kogoś, kto wyjaśni wam ten naukowy bełkot. Tylko kogo by tu? Niby można poprosić swoich o pomoc, *wojennaja razwiedka* załatwi mi konsultacje u jakiegoś profesorka. Ale co, jeśli ktoś tam na górze dojdzie do wniosku, że lepiej, aby major Razumowski pewnych rzeczy nie wiedział? Zaraz! A Nikonow? Co prawda to lekarz, nie biolog czy biochemik, jednak w końcu sroce spod ogona nie wypadł. Zresztą spróbować nie zawadzi, w razie czego pozostanie pierwszy wariant.

Dalsze rozmyślania przerwał mi dzwonek telefonu. Zmełłem pod nosem przekleństwo – kogo to diabli niosą? Znowu coś się stało? Chwilowo miałem naprawdę dość. Z obawą podniosłem słuchawkę; gdybym wierzył w Boga, pewnie bym się przeżegnał...

– Razumowski, słucham!

– Dzień dobry, *komandir*!

Odetchnąłem, to tylko Wiera.

– Tak?

– Dopiero wstaliście? Bo warczycie jak borsuk – stwierdziła beztrosko panna Turkuł. – A my tu do was z propozycją.

– Z jaką, do licha, propozycją?!

– Nooo... Można by się spotkać, zabawić.

– Gdzie?

– U mnie. Mam największe mieszkanie. Zaprosiliśmy już pułkownika Poliakowa...

Z odgłosów w tle wywnioskowałem, że chłopcy są razem z Wierą i chyba zaczęli już świętować. W zasadzie czemu nie?

Sam miałem zamiar coś takiego zaproponować. Należy nam się trochę relaksu.

– Staruszki nie mają nic przeciwko?

– Nie, zgodziły się chętnie. Wiecie, *komandir*, one się nudzą.

Parsknąłem nieelegancko w słuchawkę. Nudzą się? Dobre sobie... Pewnie życie na carskim dworze było bardziej ekscytujące niż pokątne pędzenie bimberku. Ciekawe, co by powiedziała caryca, widząc damy dworu przy aparaturze destylacyjnej? Roześmiałem się ubawiony tą wizją.

– Widzicie? Już wam lepiej – odezwała się Wiera. – Musicie się trochę odprężyć.

– No dobrze – mruknąłem. – To kiedy zaczynamy się odprężać?

– Dacie radę za dwie godziny?

– Bez problemu. Zaproście też Nikonowa.

– Tego lekarza?

– Tak.

– Chcecie z nim pogadać? – domyśliła się Wiera. – O tej naszej akcji?

– Sierżancie Turkuł! Otrzymaliście rozkaz, to go wypełniajcie!

– *Tak toczno!* – zachichotała w słuchawkę.

Ech, rozpuściło mi się dziewczynisko jak dziadowski bicz. W zasadzie wypadałoby ją jakoś zdyscyplinować, ale przed akcją nie ma sensu. I w ogóle jakoś głupio – trudno zaprzeczyć, że panna Turkuł okazała się cennym nabytkiem dla grupy. Nie mówiąc o tym, że uratowała skórę swojemu dowódcy. Nic dziwnego, że zhardziała. Niby można by ją przeczołgać po placu ćwiczeń razem z rekrutami, jednak było nie było, dziewucha sprawdziła się w boju, a doświadczonych żołnierzy się szanuje. Taki zwyczaj. Zresztą nie paliło mi się specjalnie do karcenia Wiery, nie ma co ukrywać – polubiłem smarkulę. Przyjdzie cierpieć za moje dobre serce...

Dźwięki gitary i biesiadne pieśni słychać było piętro niżej, w każdej innej kamienicy któryś z sąsiadów waliłby już dawno pięścią w drzwi, tutejsi jedynie przemykali bokiem, nikt się nie awanturował, nie groził wezwaniem milicji. Dziwne... Czyżby lekcja, jakiej udzielili miejscowym żulom Drozd i Kotuszew, była nadal pamiętana? Widać przyłożyli się do roboty sokoliki, wyrobili dwieście procent normy...

Ledwo stanąłem w progu, obcałowano mnie i zaciągnięto do stołu. Impreza trwała w najlepsze, nawet Poliakow i lekarz mieli już dobrze w czubie. Sięgnąłem po szklankę z bimbrem, ale Praskowia Aleksandrowna wyjęła mi szkło z dłoni, podała najlepszego koniaku. Tego z zapasów papy. Czyżby starsze panie także poczęstowały się czymś mocniejszym? Poliakow wspomniał mi kiedyś, że staruszkom zostało wszystkiego parę butelek i traktują je niczym rodzinną pamiątkę.

– Wiera opowiedziała mi, jaki był pan dzielny – szepnęła mi w ucho Praskowia Aleksandrowna. – Jak walczył pan z tymi... potworami. Jest pan bohaterem, majorze, uratował pan mieszkańców Moskwy! – dodała z tak niebotycznym szacunkiem, jakbym był co najmniej oficerem carskiej gwardii.

– Znałem Anię Kułaginę, wiecie, tę, którą znaleźliście w szpitalu – wtrącił Nikonow. – Dobrze, że jej mordercy zostali ukarani. Wasze zdrowie! – wzniósł toast.

Łyknąłem koniaku, jednocześnie piorunując wzrokiem pannę Turkuł. A to rozpuściła jęzor, bestia! Niespeszona bynajmniej dziewczyna zatrzepotała niewinnie rzęsami. Uch, żeż ty, ja ci zaraz...

– Spokojnie – powstrzymał mnie Nikonow. – Siedźcie. Panna Turkuł przedstawiła nam sprawę tylko w ogólnych zarysach,

nie wyjawiła żadnych sekretów.

– Cała ta sprawa jest sekretem!

– A kto i komu go zdradzi? – wzruszył ramionami lekarz. – Byłe frejliny Jej Wysokości? A może stary kołczakowiec?

Sapnąłem gniewnie, pogroziłem Wierze pięścią, ale nie zrywałem się już od stołu – Nikonow miał rację. I on, i staruszki potrafili trzymać język za zębami.

– No dobrze. – Skrzywiłem wargi. – Mam do was kilka pytań.

– Z chłopakami wszystko w porządku – zapewnił mnie natychmiast. – Ten mały płacze trochę za matką, ale to normalne.

– A ta baba... Jak jej tam? Gala Kalinina? Opiekuje się dobrze dzieciakami?

– Opiekuje. Tylko jak wspomnę wasze nazwisko, żegna się krzyżem świętym. A nie wygląda na religijną...

– Widać pozory mylą. – Machnąłem lekceważąco ręką. – Ale ja nie o tym. Mam do was kilka pytań z zakresu medycyny. No, tak mniej więcej.

– Znowu te... wizje?

– Nie, z tym na razie wszystko w porządku.

Rzeczywiście, od dawna nie miałem już krwotoków ani wizji, choć jak raz by się przydały. Ot, złośliwość losu.

– Chodzi mi o wąglik.

– No wiecie, tak przy stole – wymamrotał niechętnie Nikonow, oglądając podejrzliwie wzięty dopiero co plasterek szynki. – Czyżby groziła nam jakaś epidemia?

– Nie, skąd! – zapewniłem i poczęstowałem się smakowicie pachnącą kiełbasą.

Ciekawe, skąd babulinki wykombinowały takie żarcie? Ciężko teraz nawet o konserwy, a tu szynka, kiełbasy, marynowane grzybki... Widać interes nadal się kręci, a naród ciągle spragniony.

– Chodzi jedynie o parę czysto teoretycznych kwestii.

– Czysto teoretycznych? – mruknął niedowierzająco. – Niech wam będzie. Słucham.

– Jak można zarazić się od chorego?

– Nie można – odpowiedział natychmiast. – To znaczy w normalnych okolicznościach. Wąglik praktycznie ginie poza organizmem zarażonego, a w przypadku jego śmierci przechodzi w formę przetrwalnikową. Ta jest w zasadzie niegroźna, chyba że endospory... No wiecie, takie...

– Wiem, co to są endospory – uciąłem.

– Aha. No więc one są nieaktywne, chyba że zostaną znowu wprowadzone do żywego organizmu. Wtedy otrzymują coś w rodzaju sygnału, który powoduje, że bakterie stają się aktywne. To wszystko oczywiście w ogromnym uproszczeniu i pamiętajcie, że nie jestem fachowcem. Wiem co nieco o wągliku jak każdy lekarz, ale to wszystko.

Akurat! W ciągu minuty dowiedziałem się więcej niż z mętnego wykładu generała Iliczowa, nie mówiąc już o wywodach akademika Gurina.

– Czyli kontakt z chorymi jest bezpieczny? – upewniłem się jeszcze raz.

– Tak. Oczywiście bakterie znajdują się w ich organizmach, więc teoretycznie... Sami rozumiecie, nie prowadziłem takich doświadczeń... Kontakt z ich płynami fizjologicznymi, na przykład krwią, mógłby okazać się niebezpieczny. Ale to tylko teoria. Nie będziecie przecież nikogo konsumować, prawda?

Zacisnąłem usta – cóż za wyrafinowany żarcik! Nadal zdarzały mi się koszmary, w których wędrowałem po zawianych śniegiem ulicach Leningradu, potykając się co krok o zamarznięte trupy. Bywało, że niektóre zwłoki nie były kompletne. Jak te, które wykorzystała na gulasz moja przyjaciółka Bachałowa...

– No dobrze. – Otrząsnąłem się z ponurej zadumy. – A jak widzicie możliwość masowych zachorowań na postać płucną?

– W ogóle nie widzę – stwierdził lekarz, dolewając sobie koniaku. – Macie na myśli zastosowania bojowe?

– Coś w tym rodzaju...

– Niemożliwe. Wiecie, był kiedyś taki niemiecki uczony... Von... von Zoten? Nie! Von...

– Von Ziethen? – podpowiedziałem.

– O, właśnie! Taki typowy Prusak: sztywny jak kij, monokl w oku, kamienna twarz. Spotkałem go kiedyś, jeszcze przed rewolucją.

– Co proszę?!

– No, spotkałem go – wzruszył ramionami Nikonow. – Na jakimś sympozjum, a może wykładzie? Starał się przekonać wszystkich o bojowym potencjale wąglika, przepowiadał, że wojna przyszłości będzie wojną biologiczną i takie tam bzdury. Nikt nie brał go poważnie. Słyszałem, że Niemcy dali mu jednak środki na prowadzenie badań. Wszyscy wiedzieli, że szykuje się wojna. To był tysiąc dziewięćset szósty, a może dziewiąty rok? Tylko że nic z tego nie wyszło. To właśnie von Ziethen badał postać płucną wąglika, próbował stworzyć jakiś gaz czy też aerozol roznoszący endospory wąglika, jednak bez powodzenia. Uzyskał jedynie coś w rodzaju mazi, która, wymieszana z endosporami, wysychając, uwalniała w powietrze przetrwalniki wąglika. Ta jego mordercza galareta nie miała żadnego zastosowania bojowego, próbowano przenosić ją za pomocą pocisków i bomb, ale endospory uwalniały się dopiero po kilku godzinach i w niewielkiej odległości od miejsca, gdzie trafił pocisk. Żeby się zarazić, wróg musiałby praktycznie wdepnąć w to błoto. Z kolei po upływie doby maź nie stanowiła już żadnego zagrożenia. Z tego, co pamiętam, Prusaka wyśmiano i zabrano fundusze.

Westchnąłem ciężko – a już miałem nadzieję, że Nikonow powie coś, co ułatwi mi misję. No cóż, widać nie ma tak dobrze. Trzeba będzie wszystko wyjaśniać na miejscu. Jak zwykle...

Pietka włączył patefon, rozległy się tony walca „Na sopkach Mandżurii" – najwyraźniej chłopak skorzystał z zapasów naszych gospodyń. Hm, wypadało się cieszyć, że nie trafił na „Marsz Białej Gwardii" albo coś w tym stylu...

Panna Turkuł podeszła do mnie, dygnęła niczym na cesarskim dworze, wyciągnęła dłoń. Nie wzbraniałem się przed tańcem, to mógł być mój ostatni walc. Zawirowaliśmy jak na balu, poczułem zapach perfum „Krasnaja Moskwa". Wiera przymknęła oczy, zdawało się, że przebywa w jakimś innym niż nasz, sobie tylko wiadomym świecie. Poddałem się nastrojowi chwili, któż wie co stanie się jutro? Zatraciłem się w tańcu, poczułem dyskomfort, kiedy stanęliśmy zatrzymani przez ostatnie akordy walca. Przez moment zdawało mi się, że trzymam w ramionach nie Wierę, lecz Nataszę. Ech, Razumowski, Razumowski...

Następnej melodii nie rozpoznałem, tymczasem Wierę poprosił do tańca Drozd. Nie ma co, miała dzisiaj dziewczyna powodzenie. Usiadłem na swoim miejscu, Maria Aleksandrowna natychmiast dolała mi hojnie koniaku.

– Ten walc to „Fale Amuru" – szepnęła konfidencjonalnie. – Skomponował go Maks Kiuss, kapelmistrz Jedenastego Pułku Wschodniosyberyjskiego. Oczywiście przed rewolucją. Zadedykował go tajemniczej W. N. Mówią, że utwór powstał na cześć żony pewnego pułkownika Sztabu Generalnego, którą Kiuss spotkał w pociągu do Władywostoku. Kobieta odrzuciła jego... awanse, ale zakochany kompozytor i tak obdarował ją tym walcem. Gdzie się podziali ludzie z czasów mojej młodości? – westchnęła melancholijnie. – Gdzie nasze niezwyciężone

pułki? Imperium upadło, a teraz do naszych bram dobija się inny, bezlitosny wróg...

Milczałem, cóż było powiedzieć? Skończywszy obtańcowywać Wierę, chłopcy zaczęli kusić nasze gospodynie. Po chwili starsze panie pląsały już całkiem żwawo w rytmie amerykańskiego fokstrota. A zdawałoby się, że nie przejdą dwustu metrów o własnych siłach. Ot, kokietki...

Niepostrzeżenie zapadł zmierzch, na stole pojawiły się świece w kandelabrach. Trzeba przyznać, że wyglądały dużo lepiej niż niebieskie żarówki. Nie czuło się, że trwa wojna, że obowiązuje zaciemnienie. Za oknem wył jesienny wiatr, czasem słychać było ciężkie kroki przechodzącego patrolu, bywało, że nocne niebo przeszył promień światła z przeciwlotniczego reflektora. Mimo to zdawało się, że wszelkie troski i wojenna zawierucha pozostaną na zewnątrz, że nie mają wstępu do tego mieszkania. Dopóki gra muzyka, dopóki jesteśmy tu wszyscy razem. Aż żal było to przerwać...

Wymknąłem się dyskretnie, wezwałem samochód z garnizonu. Stanąłem przy kuchennym oknie, wpatrując się w noc. Nie musiałem długo czekać, wkrótce usłyszałem warkot silnika. Czas się zbierać. Wróciłem do zamienionego w salę balową pokoju, zapaliłem światło. Upiorny niebieski blask był jak cios między oczy – przepadł gdzieś świąteczny nastrój, przestał działać alkohol.

– *Komandir*... – powiedziała błagalnym tonem Wiera.

– Musimy już iść – odparłem łagodnie. – Samochód czeka. Ostatnie kilka dni spędzimy w koszarach, takie są zasady.

Praskowia Aleksandrowna sięgnęła po chusteczkę, jej siostra otwarcie płakała.

– Poczekajcie! – zawołała nagle. – Nie można tak bez błogosławieństwa. Bolszewicy nie bolszewicy...

Zniknęła na moment, powróciła, niosąc oprawioną w złoto niewielką ikonę. No, no, musiała rzeczywiście polubić Wierę, przecież to dziesięć lat obozu jak nic...

– Mario Aleksandrowno – powiedział cicho Drozd – kiedy my jesteśmy niewierzący...

Niespeszona tą deklaracją staruszka przeżegnała nas z powagą. Panna Turkuł pokłoniła się ikonie do ziemi, bez żenady pocałowała obraz.

Przerwałem krótką komendą przedłużające się pożegnanie, po chwili wsiadaliśmy już do wozu. Wydawało mi się przez moment, że widzę przylepione do szyby twarze starszych pań. W uszach głucho dudniła krew, słowa z trudem przeciskały się przez ściśnięte gardło. Jak to przed akcją.

– Jedziemy! – poleciłem.

Ruszyliśmy.

Pietka Drozd podał smażone kartofelki prosto z patelni. Zapiliśmy kolację kwaśnym mlekiem, jedną porcję Tima zaniósł naszemu więźniowi. Znaleźliśmy sobie niezłą kwaterę w oddalonej o parę kilometrów od Aleksandrowki leśniczówce. Pomysł był Kotuszewa, chłopak znalazł na przedwojennej mapie leśniczówkę i namówił mnie, żebyśmy sprawdzili, jak sprawa ma się obecnie. Trzeba przyznać, że mieliśmy szczęście, gdyby rozlokowali się tu Niemcy, trzeba by szukać innego lokum. A tak w godzinę po zrzucie mieliśmy już dach nad głową, było gdzie schować spadochrony i radiostację. Drozd i panna Turkuł przedstawili się tubylcom jako krewni gospodarza leśniczówki, Iwana Bubina, Kotuszew i ja siedzieliśmy na miejscu. Całe szczęście, że leśnik okazał się

odludkiem i nikt się nie dziwił, że nie pojawia się we wsi. Dokumenty identyfikowały nas jako Hiwi pracujących dla stacjonującej niedaleko brygady pancernej, co usprawiedliwiało naszą obecność w strefie przyfrontowej. Wiera miała papiery higienistki mieszkającej rzekomo w oddalonym o dwieście kilometrów miasteczku. O ile ktoś nie przedstawi nas „naszym" pancerniakom albo nie zawiezie panny Turkuł do jej „pracodawcy", doktora Zahna, dokumenty powinny wytrzymać każdą kontrolę. Były perfekcyjne. Jedynym problemem pozostawał sam leśniczy – Niemcy nie pozwoliliby sprawować tej funkcji komuś, kogo nie byliby pewni. Dlatego trzymaliśmy Wanię w piwnicy. Także dla pewności.

– Co robimy? – zagaił Kotuszew, ocierając usta.

– Ty będziesz obserwował skit, a Pietka i Wiera przejdą się po wsi, popytają miejscowych. Może dowiemy się wreszcie czegoś o tym „smoku". Ja tu zostanę, popilnuję leśniczego.

– Może by go... tego – odezwał się Tima, przeciągając wymownym gestem po gardle. – Bo to chłop jak dąb i zna las jak swoje pięć palców, jeśli nam pryśnie, będzie kłopot.

Odruchowo wszyscy spojrzeliśmy na Wierę – dziewczyna skrzywiła się, ale nie zaprotestowała. Dorasta nam panna Turkuł, robi się bezwzględna. Jak my...

– Nie – zadecydowałem. – Czort wie co się stanie jutro czy pojutrze. Facet może nam się jeszcze przydać. Zaciukać go zawsze zdążymy, a w razie czego trudno gadać z nieboszczykiem.

– To co, do roboty? – westchnął Drozd, podnosząc się zza stołu.

– Do roboty! – potwierdziłem.

Kiedy wyszli, obszedłem wokół leśniczówkę, po czym wdrapałem się na stryszek, rozejrzałem po okolicy. Wszystko w porządku, żadnego zagrożenia. Budynek postawiono na

polanie, w promieniu dwustu metrów nie rosły żadne drzewa – punkt dla nas. Trudno będzie niepostrzeżenie podejść pod dom. Inna rzecz, że nasza legenda przetrwa najwyżej trzy, cztery dni. Leśniczy znany był zarówno z mrukliwości, jak i okresowych wypadów do lokalnej knajpy. Jeśli nie pojawi się we wsi przez tydzień, ludzie zaczną gadać. Z tego, co się zorientowałem, nasz gospodarz nie był ulubieńcem miejscowych chłopów – zbyt zaciekle ścigał kłusowników. Może da nam to dodatkowy dzień albo dwa. A może nie... Miałem nadzieję, że do tego czasu rozwiążemy zagadkę „smoka” i dziwnych zachorowań.

Drozd i panna Turkuł wrócili pod wieczór, Tima nadal czekał, aż ktoś zmieni go na posterunku. Bez słowa postawiłem przed nimi herbatę, nakroiłem chleba.

– Co wam się stało, *komandir*? – spytała Wiera, patrząc na moją mocno w tym momencie obitą gębę.

– Leśnik – odburknąłem niegrzecznie.

Nikt nie skomentował tej informacji, nie wspomniał, że może trzeba było posłuchać Kotuszewa. No i dobrze, nie byłem w nastroju. Kiedy wyprowadziłem Bubina „za potrzebą” – nikomu nie uśmiechało się wynosić po nim nocnika – leśniczy spróbował ucieczki. W twarz trafił mnie tylko dwa razy, ale i to wystarczyło, będę teraz chodził z opuchlizną przez tydzień. Dobrze, że to nie ja odgrywam rolę krewnego Bubina, raczej nie wzbudziłbym zaufania swoim wyglądem, chyba że w miejscowej knajpie...

– Jak wam poszło? – zmieniłem zdecydowanie temat.

– Niby coś tam mamy – stwierdził Pietka z wahaniem w głosie. – Skit zbudowano na miejscu starego klasztoru.

Niemal wszyscy mnisi umarli czy też zostali zabici jeszcze pod koniec zeszłego wieku. Po śmierci założyciela pustelni, ojca Gabriela, mieszkał tu inny mnich, Anastazy. I ten umarł dwa lata temu. A teraz najlepsze: w wiosce mieszka jeden z ocalałych ze starego klasztoru: Mitrofan. To jego imię zakonne, naprawdę nazywa się Mykoła Jurczuk i ma tu rodzinę. Opiekują się nim. Staruszkowi stuknęła dziewięćdziesiątka i ma trochę nie po kolei w głowie. Podobno wciąż bredzi o ogniu i smoku. Pomyślałem, że to ostatnie was zainteresuje – dodał z przekąsem chłopak.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie, rodzina nie puszcza go z domu, podobno czasem ma zwyczaj wędrowania samopas gdzie oczy poniosą, a później szukaj wiatru w polu.

– Trzeba by z nim pogadać – mruknąłem.

– Ano trzeba...

– Jak to zorganizujemy?

– Proponuję wykraść dziadka z chałupy, przyprowadzić tu i przesłuchać. Myślę, że damy radę jeszcze tej nocy. Jak później wypuścimy Mitrofana na skraju wioski, nikt się nie zdziwi, bo on czasem i przez okno potrafi się wymknąć. A jakby coś o nas gadał, i tak mu nikt nie uwierzy.

– Nie będzie problemów z tym porwaniem?

– Raczej nie. Rodzina ulokowała starego w takiej przybudówce z osobnym wejściem. Tam nikomu nie wadzi, rozumiecie, bywa, że najdzie go na śpiewanie albo głośne modły, a repertuar ma bogaty. O ile się ktoś przypadkiem nie napatoczy, załatwimy to raz-dwa.

– W porządku. Wiera, ruszaj zmienić Timę, a ty...

– Dlaczego ja? Wolałabym porwać staruszka.

– Bo może trzeba go będzie nieść, to raz.

– A po drugie?

– A po drugie, jeśli jeszcze raz zakwestionujesz jakikolwiek mój rozkaz, stracisz przednie zęby, to jako program minimum, a po powrocie staniesz przed trybunałem – odparłem cichym, złowrogim tonem.

– Prze... przepraszam – wymamrotała dziewczyna. – Nie pomyślałam.

– Tak przypuszczałem. Dlatego ci daruję. Tym razem.

Panna Turkuł pospiesznie dopiła herbatę i niemal biegiem rzuciła się do wyjścia.

– To dobra dziewczyna – powiedział Drozd. – Tylko czasem ją ponosi.

– Przecież wiem – westchnąłem ze znużeniem. – Powinna łamać serca chłopakom, a nie włóczyć się po bezdrożach.

– A my, *komandir*? Co my powinniśmy robić?

– Zapraszać dziewczęta do kina i na tańce albo gromić miejscowych chuliganów. Wiesz, nie na poważnie, ale tak dla draki.

– À propos draki, gdzie on leży? Znaczy leśniczy?

– W drewutni, nie chciałem, żeby się Wiera o niego potknęła.

– Zakopię faceta albo co?

– Zakop – poprosiłem. – Umęczył mnie, gadzina. Rzeczywiście chłop jak dąb...

– I zesłał szatan na ziemię smoka, aby doświadczyć wiernych. A cuchnący oddech bestii zabijał starych i młodych, wszystkich bez wyjątku. I trwało panowanie smoka miesiące dwa i tydzień. Aż stanął do walki z bestią ten, co kiedyś był archimandrytą, mąż błogosławiony przez Boga, Gabriel. Ten wezwał mnichów do boju z pomiotem szatana. W końcu modlitwa przemogła zło,

a bestia padła pokonana, lecz nie martwa. Ojciec Gabriel kazał ją pochować, tak by sczezła na zawsze, lecz leniwy mnich nie zagasił jej ognia i spoczęła uśpiona, oczekując na swój czas. A w rok później przerwano jej sen i powstała ponownie, by zabijać. I wyludniła klasztor, mordując wszystkich z wyjątkiem ojca Gabriela, mającego tarczę w Bogu, i leniwego mnicha oraz jego pomocników, którym Najwyższy w swym miłosierdziu dał czas odpokutować grzechy. A Gabriel kazał spalić klasztor, aby oczyścić ziemię z miazmatów bestii, po czym założył pustelnię i poprzysiągł pilnować drzemiącego smoka do końca swoich dni.

Siedzący przede mną starzec zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie, szeroko rozwarte oczy o odcieniu wypłowiałego błękitu utkwione miał w jakiejś nikomu nieznanej dali. Nie stawiał oporu, kiedy chłopcy wyprowadzili go z domu, odpowiadał na wszystkie pytania, tyle że w swoisty sposób... Rozmasowałem skronie, zaczynała mnie boleć głowa. Po dwugodzinnej rozmowie nie byliśmy mądrzejsi niż wcześniej, choć trzeba przyznać, że staruch potrafił przykuć uwagę: jego głos wznosił się i opadał, zmieniał barwę, niemal hipnotyzując słuchaczy. Poza tym mimo rzucającego się w oczy oderwania od rzeczywistości nie sprawiał wrażenia ułomnego. Po prostu żył w innym świecie, mówił innym językiem. Problem w tym, że nie mieliśmy tłumacza...

– Kto przerwał sen bestii? – spytałem łagodnie.

– Głupie, bezrozumne stworzenie, pies. A pomogła mu zesłana przez szatana woda.

– Jaka woda?!

– Ta, która obudziła bestię.

– A ten mnich? W jaki sposób miał pochować pokonanego smoka?

– Miał stłumić ogień ogniem. Lecz nie zrobił tego dla swojej wygody i sprowadził na klasztor przekleństwo.

Nie zdążyłem zadać kolejnego pytania, niespodziewanie starzec zaczął się modlić na głos.

– Słyszałem, że on tak może godzinami – poinformował Pietka z rezygnacją w głosie. – Chyba nic już z niego nie wyciągniemy.

– W porządku – zadecydowałem po chwili namysłu. – Odprowadźcie go do domu. Później wznowicie dyżury przy pustelni, każdy po cztery godziny.

– Po cholerę całodobowa obserwacja? – odezwał się Tima Kotuszew. – Przecież tam nic nie ma.

– To nasz jedyny punkt zaczepienia – odburknąłem. – Jak się przejaśni, spróbujemy przeszukać skit.

– I znajdziemy smoooka! – zaryczał znienacka Drozd.

Wybuchliśmy śmiechem, widząc, jak Wiera podskoczyła ze strachu.

– Matoły! Wszyscy trzej! – warknęła.

Rozbawiło nas to jeszcze bardziej, dobry humor w czasie akcji – bezcenna rzecz. Oby tylko tak dalej.

– *Komandir! Komandir!*

Panna Turkuł szarpała mnie bez ceregieli. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem przerażoną twarz dziewczyny. Zerwałem się w ułamku sekundy, odruchowo sięgając po broń.

– Co się stało?!

– Tam... kości! Znaleźli kości smoka!

– Jakiego, kurwa, smoka?!

Zerknąłem na zegarek – dochodziła druga w nocy, spałem najwyżej godzinę.

– Do pustelni przyjechali Niemcy, cztery ciężarówki i wóz osobowy. Rozstawili reflektory i zaczęli kopać niedaleko skitu, tuż przy rzeczce. Wydobywają wielkie gnaty, o takie! – Panna Turkuł rozłożyła ręce, żeby pokazać ich rozmiar. – Wyglądają jak smocze – dokończyła ciszej.

Przeklinając pod nosem, włożyłem buty – wszyscy spaliśmy w ubraniu – sprawdziłem broń.

– Idziemy! – rozkazałem. – Tima z nami, Pietka zostanie na gospodarstwie!

Zimne nocne powietrze błyskawicznie doprowadziło mnie do przytomności. Toż to listopad, cholera, jeszcze śniegu i mrozów brakowało... Tima poprowadził nas biegiem przez las, najwyraźniej wykorzystując jakieś skróty. Ot, myśliwy! Do skitu dotarliśmy w pół godziny. Ostatnie metry przepełzliśmy, nie zważając na ciągnący od ziemi chłód. Warkot motorów i dźwięk niemieckich rozkazów były dostatecznym powodem, żeby zachować ostrożność. Wyciągnąłem lornetkę, wyregulowałem szkła. Okolicę oświetlało kilka silnych reflektorów, dodatkowo zapalono samochodowe. Wszystkie skierowane zostały na wyryty niedaleko pustelni dół.

– Po cholerę rozkopali teren? – szepnął Kotuszew. – Co tam takiego jest?

– Poszerzają wykop – powiedziałem, obserwując poganianych ostrymi komendami żołnierzy. – Spieszą się.

– Patrzcie! – szarpnęła mnie za rękaw Wiera. – Tam!

Do jednej z ciężarówek zaczęto znosić kości. Gnaty były rzeczywiście pokaźnych rozmiarów, tyle że nie miały nic wspólnego ze smokami.

– Ty idiotko! – syknął z pogardą Kotuszew. – To krowie kości...

– Jakie?!

– Krowie! Muu, muu... – zabuczał jej cicho do ucha.

– Uspokójcie się! – warknąłem. – Jeszcze tego brakuje, żeby nas ktoś usłyszał.

Co prawda zaległiśmy dobre dwieście metrów od skitu, ale w nocy głos rozchodzi się daleko. Ot i teraz od położonej kilometr dalej wioski dochodziło szczekanie psów. Ponownie przyłożyłem lornetkę do oczu, ale zanim zdołałem cokolwiek dostrzec, poczułem brutalne szturchnięcie.

– W nogi! – zakomenderował Kotuszew.

Nie traciłem czasu na pytania, pobiegłem w ślad za chłopakiem.

– Co się stało? – wysapała Wiera.

– Sprowadzili psy tropiące – oznajmił Tima z mrożącą krew w żyłach pewnością człowieka lasu. – Nie słyszeliście?

Przyspieszyliśmy kroku. Kilkakrotnie pośliznąłem się na oblodzonej ziemi, twarz drapały mi gałęzie, starałem się jednak nie zostawać z tyłu. Panna Turkuł zahaczyła stopą o jakiś pieniek i wyłożyła się jak długa, ale po chwili wstała i pogoniła za nami niczym ścigany jeleń. Tylko Kotuszew przemykał pomiędzy drzewami z wdziękiem baletnicy. Po dziesięciu minutach szaleńczego biegu chłopak zarządził chwilę odpoczynku.

– Skąd się wzięły te psy? – wycharczałem, łapiąc z trudem oddech.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Usłyszałem szczekanie, dochodziło gdzieś od strony wioski. Uznałem, że nie ma sensu czekać.

– Jak myślisz, to nas szukali?

– A kogo innego, *komandir*? No, nie jest tak źle – dodał po chwili. – Wiedzieli, że gdzieś się kręcimy, ale nie mieli dokładnych informacji. Inaczej już dawno byliby w leśniczówce.

– Został nam najwyżej dzień – stwierdziłem posępnie. – Później trzeba będzie zmienić lokum.

Tima przytaknął nieartykułowanym mruknięciem.

– Wracamy – zarządziłem. – Trzeba skontaktować się z naszymi, myślę, że rozwiązaliśmy już połowę zagadki.

– Pomyślmy – rzucił Drozd z grymasem koncentracji na twarzy. – Z waszych obserwacji wynika, że w okolicy skitu zakopano dziesiątki, o ile nie setki padłych zwierząt. Czyli w okolicy musiało dojść do epidemii. Tyle że nie ma o niej żadnej wzmianki...

– A gdzie sprawdzałeś? – spytałem.

– W raportach weterynaryjnych: i naszych, radzieckich, i tych przedrewolucyjnych. Prowadzono je bodajże od tysiąc dziewięćset piątego roku.

– Zostawmy to na razie – zaproponowałem. – Grunt, że odkryliśmy źródło endosporów wąglika. Najwyraźniej jednak Niemcy toczą z nami wojnę biologiczną.

– No nie wiem – odezwał się niezdecydowanym tonem Drozd. – Jakieś to takie... chałupnicze. Myślę, że gdyby to była oficjalna akcja, nie musieliby odgrzebywać krowich gnatów na tym zadupiu.

– Myślisz, że to prywatna inicjatywa jakiegoś świra?

– Kto wie? – Pietka wzruszył ramionami. – Na wojnie jak to na wojnie... Pamiętacie, *komandir*, Buszynina?

– Czy to nie ten pułkownik, który ustawił szwabskich jeńców w kolumnie czwórkowej, a potem wprasował ich w glebę ciężkim czołgiem? – ożywił się Kotuszew.

– Ten sam – mruknąłem. – Dostał później urlop dla poratowania zdrowia. Lekarze stwierdzili, że na skutek frontowych przeżyć cierpi na nerwicę.

– A ja myślałem, że się po prostu wkurwił? – zdziwił się prostodusznie Timka.

– Nieważne. – Machnąłem ręką. – Wiemy, że biorą stąd kości zarażonych zwierząt i wywożą do tej... jak jej tam? Spletnicy?

– Platnicy – podpowiedział Drozd.

– Platnicy. Tylko co dalej? W jaki sposób dochodzi do zarażenia?

– To jest to „ciało smoka”? – włączyła się do rozmowy panna Turkuł. – Te krowie kości?

– Prawdopodobnie – odparłem.

– A „głowa smoka”?

– Być może ofiary epidemii chowano w dwóch miejscach? – zasugerował Kotuszew.

– Być może. Dobrze by było to zweryfikować, zanim złożymy meldunek.

– Tylko jak? – mruknął Drozd.

– Wiecie, *komandir*... – zaczął niepewnie Tima. – Kiedy braliśmy tego staruszka, zauważyłem u niego w izbie książkę...

– I cóż z tego? Znaczy umie czytać...

– Na okładce był smok – odparł Kotuszew, kuląc się pod moim wzrokiem. – W pierwszym momencie pomyślałem, że to dla dzieci, ale jak teraz sobie przypomnę... To było spore tomiszcze w skórzanej oprawie. Wyglądało na stare.

– Ciekawe, skąd ci przyszło do głowy, że książka jest stara! – parsknął Drozd. – Czytałeś ją?

– Nie. Skórzana okładka wyglądała na starą – wyjaśnił z godnością Kotuszew.

Popatrzyliśmy po sobie z Pietką: Tima Kotuszew nie należał do intelektualistów, ale jeśli mówił, że skóra wydawała mu się

stara – znaczy była stara. Możliwość pomyłki nie istniała. Tima był nie tylko znakomitym myśliwym, ale też we wszystkich sprawach związanych z polowaniem i lasem posiadał coś w rodzaju szóstego, a może nawet siódmego zmysłu. Jeśli był czegoś pewien, słuchaliśmy go ślepo. Nie raz i nie dwa ocaliło nam to życie.

– W porządku – stwierdziłem z namysłem. – Stary bredził o smoku i ma książkę ze smokiem... Wyjdziesz zaraz i ją przyniesiesz. Póki jeszcze ciemno. Myślę, że staruszek nawet tego nie zauważy. Chociaż te psy...

– Spokojna głowa – zapewnił chłopak. – Wycofaliśmy się, zanim nas zwęszyły, ktokolwiek je przyprowadził, przewidywał kłopoty, ale tylko w sensie ogólnym, na pewno nie miał konkretnych namiarów. Szukał nieproszonych gości, jednak nie miał pewności, że ktoś niepowołany akurat teraz kręci się po okolicy.

– Może to rutynowe zabezpieczenie? – spytałem z nadzieją. – Wiesz, tej całej operacji z kośćmi?

– Raczej nie – pokręcił głową chłopak. – Rutynowe zabezpieczenie to dodatkowi strażnicy, nie psy tropiące. Oni spodziewali się jakiejś grupy dywersyjnej albo zwiadowczej. Jednym słowem: nas...

Zakląłem cicho – jeszcze psów nam brakowało...

– Jesteś pewien, że nas nie zwęszyły?

– Oczywiście, gdyby trafiły na ślad, inaczej by brzmiały.

Podrapałem się po głowie; osobiście nie odróżniłbym ujadania podwórkowego burka od szczekania psa tropiącego...

– No dobra – przyzwoliłem. – Znikaj! A ty – zwróciłem się do Wiery – łap za radiostację, zamelduj, co ustaliliśmy.

– Nie poczekamy na tę książkę?

– Nie, najwyżej później uściślimy...

Panna Turkuł posłusznie pomaszerowała na stryszek. Nie widziałem powodu, aby ją informować, że nasza bezproblemowa egzystencja w Aleksandrowce właśnie dobiega końca. W momencie kiedy Niemcy przechwycą transmisję, rozpocznie się obława. O ile już się nie rozpoczęła. Te psy nie znalazły się tu przypadkiem. Czy zdążymy wrócić do swoich, czort jeden wie...

Minęła dobra godzina, zanim Wiera zeszła na dół, co prawda meldunek, jaki mieliśmy przekazać do Moskwy, był krótki, ale musiała go zaszyfrować. No i odkodować odpowiedź. Nie wątpiłem, że ta nastąpiła niemal natychmiast – wiadomości od nas oczekiwała specjalna, dyżurująca całą dobę ekipa. Niedługo miała rozpocząć się ofensywa, kwestią, czy przeciwko zgromadzonym do natarcia dywizjom zostanie użyty wąglik, interesowało się najwyższe dowództwo. Epidemia mogła przeszkodzić planom Stawki.

Panna Turkuł zmarszczyła brwi, widząc stół zawalony bronią. Cóż, trzeba było jakoś zabić czas, a lepiej sprawdzić sprzęt przed akcją. Domyślaliśmy się z Drozdem, jaka będzie odpowiedź dowództwa...

– Kazali nam dotrzeć do Platnicy i sprawdzić, w jaki sposób dochodzi do zakażenia. Dodatkowo, o ile będzie to możliwe, mamy wyjaśnić, czy to robota jakiegoś wariata, czy też cała ta sprawa ma poparcie niemieckiego sztabu – powiedziała z odcieniem oburzenia w głosie dziewczyna.

– Rozumiem, że do Platnicy mamy dotrzeć za wszelką cenę, a nie „o ile to będzie możliwe”? – spytał z westchnieniem Drozd.

– Tak, to rozkaz samego generała Iliczowa...

– No to żegnajcie, dziewczęta – wymamrotał Drozd, składając wprawnymi ruchami pistolet. – A miałem już ugadaną taką czarnulkę...

– Co ty tak smęcisz? – trąciła go w bok panna Turkuł. – Mamy lewe dokumenty, damy radę. Wrócisz jeszcze do swojej czarnulki.

– Szanse są niewielkie – wyjaśniłem. – Widać, że dowództwo spisało nas na straty... Do Platnicy kawał drogi, co kilkadziesiąt kilometrów posterunki. Co z tego, że mamy dobre papiery? Wystarczy, że ktoś zażyczy sobie wykazu kontrolowanych wozów z kilku takich punktów między Aleksandrowką i Platnicą. Po drodze są dwa... nie, trzy rozjazdy. Jak myślisz: ile osób będzie się powtarzać w tych wykazach? Parę? Parenaście? A ile czasu zajmie sprawdzenie naszych tożsamości? Co za problem zadzwonić do tego twojego doktorka czy „naszej" brygady pancernej? Godzina i będą nas mieli jak na widelcu... A do tego wszystkiego trzeba pamiętać, że oni o nas wiedzą. Przecież Aleksandrowkę i Platnicę próbowało rozpracować przed nami kilka innych grup. Niemcy świetnie się orientują, że prędzej czy później przyjdzie następna. I tak mieliśmy szczęście, najwyraźniej Szwaby dopiero niedawno zorientowali się, gdzie leżą te kości. Stąd te nocne wykopki. Boją się, żeby im ktoś nie przeszkodził. Sprowadzili co prawda psy tropiące, ale nie zdążyli jeszcze przesłuchać miejscowych wieśniaków. Myślisz, że uwierzą w krewniaków leśniczego Bubina? Wolne żarty! Kilka godzin i będą w leśniczówce.

– Co zrobimy? – spytała cichutko Wiera.

– A cóż nam pozostaje? – Wzruszyłem ramionami. – Wypełnimy rozkaz.

– Mimo wszystko?

– Mimo wszystko. Jesteśmy żołnierzami, a rzecz idzie o życie tysięcy ludzi. Nic dziwnego, że się z nami nie pieszczą.

– No i jakoś głupio ginąć z rąk swoich – dodał cynicznie Drozd. – Gdybyśmy wrócili, nie wykonawszy rozkazu... – zawiesił wymownie głos.

Na dźwięk otwieranych drzwi trzy lufy momentalnie skierowały się w stronę wejścia.

– Co wy tacy nerwowi? – wyszczerzył zęby Kotuszew. – Mam książkę.

Nie wstając z krzesła, kopnąłem Timę w tyłek. Pewnie skradał się specjalnie, żeby nas zaskoczyć. Inaczej usłyszelibyśmy, jak podchodzi pod dom – w newralgicznych miejscach umieściliśmy potykacze z puszek po konserwach. Ot, matoł!

– To kronika klasztoru – powiedział Drozd, zawłaszczywszy księgę. – Wspominają tu o smoku, tylko konkretniej: piszą o „smoku zarazy". Taaak... Teraz wszystko jasne...

– To może byś się podzielił swoją głęboką wiedzą? – zaproponowałem.

– Chwileczkę, *komandir*. – Pietka powstrzymał mnie gestem. – Momencik.

Przewróciłem oczyma – tak to jest, jak porucznik Drozd dorwie się do lektury...

– No? – ponagliłem.

– W wyniku epidemii zginęło około pięciuset osób i padło parę tysięcy sztuk bydła. Ludzi pochowano w wiosce Gołowa... No to już wiemy, skąd się wzięła „głowa smoka"... A ciała zwierząt zakopano tutaj. Mnich, który nadzorował pochówek, miał spalić zwłoki, ale najwyraźniej tego nie zrobił. W rok później jakiś kundel rozkopał grzebowisko padłych zwierząt, a wysoka z racji powodzi woda pewnie wypłukała przetrwalniki... Zwierzęta zjadły skażoną trawę, stąd i kolejna fala epidemii. Ta wyludniła klasztor, przeżyło jedynie kilku

mnichów. A wiecie, jak się nazywał ten leniwy braciszek? Mitrofan, onże Mykoła Jurczuk...

– Oni te bakterie uzyskiwali z ludzkich szczątków? – spytała z wyrazem obrzydzenia na twarzy panna Turkuł.

– Na to wygląda. No, teraz przyszła kolej na bydło. Widać tamten cmentarz zdążyli wykorzystać... I wiadomo już, dlaczego nie znalazłem żadnych wzmianek o epidemii. Nie przypuszczałem, że należy szukać wzmianek z dziewiętnastego wieku. A tu mamy datę: tysiąc osiemset siedemdziesiąty ósmy rok. Pewnie wtedy nawet lekarze nie wiedzieli, co to wąglik, stąd te zabobony. Tylko czy endospory mogły tyle przetrwać? To jednak kawał czasu...

– Jeśli wrócimy, pogadasz sobie z akademikiem Gurinem – burknąłem. – Pan profesor z iście naukową precyzją wspomina, że przetrwalniki mogą być aktywne, cytuję: „przez długi czas". Ale teraz nie pora na teoretyzowanie, trzeba się zbierać do Platnicy...

– A to dlaczego? – zdziwił się Tima.

– Dostaliśmy rozkaz, mamy wyjaśnić, jakim sposobem dochodziło do zarażenia – poinformowałem.

– To takie buty... – wymamrotał z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Czego jeszcze?! – warknąłem.

– Cóż – odparł ze złośliwym błyskiem w oczach – być może wujek Tima rozwiąże wasze problemy. Ale najpierw zatańczcie. Lezginkę – uściślił. – Dobrze wam wychodzi. Wszyscy troje – zażądał.

Nieoczekiwanie poczułem przypływ optymizmu: jeśli Kotuszew miał ochotę na wygłupy, znaczy sytuacja nie była taka zła. Bo przecież doskonale wiedział, co oznacza rozkaz wyjazdu do Platnicy... Ot, jakiś urzędas będzie mógł zapisać w szykowanym dla towarzysza Stalina raporcie, że „podjęto

wszelkie środki”, żeby wyjaśnić sprawę. A że przy tym wysłano na pewną śmierć grupę *wojennoj razwiedki*? Nie pierwszą przecież i nie ostatnią...

Wycinaliśmy hołubce przez dobre kilka minut, zanim Kotuszew dał nam spokój. Rozsiedliśmy się zdyszani, czekając na wyjaśnienia.

– Cóż – rozpoczął z mądrą miną – kiedy tak dumałem nad naszym problemem...

– Nie dumałeś, nie byłbyś w stanie – zgasił go Drozd. – Za mało substancji mózgowej między uszami. Gadaj, co zobaczyłeś czy podsłuchałeś!

– Od razu podsłuchałeś...

– Podporuczniku Kotuszew! – przywołałem Timę do porządku.

– No dobrze, niech wam będzie – oznajmił z naburmuszoną miną. – W wiosce jest samochód z Platnicy.

– Nawet, kurwa, kilka! – wrzasnąłem wściekły, zrywając się na równe nogi. – Przyjechały po kości! I co? Mamy je zaatakować? Ochrania je kilkudziesięciu chłopa! I pewnie żaden z nich nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. A oficera nie dostaniemy, nie damy rady! No i lada moment ruszy obława. Z psami!

– Spokojnie, *komandir*! – zawołał wystraszony Tima. – Ja nie o tym samochodzie. A psami nie ma co się martwić.

Poluźniłem kołnierzyk pod szyją, usiadłem. Kolana miałem jak z galarety. Nerwy, cholera...

– Psy wyłączyłem na kilkanaście godzin – poinformował Tima rzeczowym już tonem. – Nie ma żadnych śladów, podrzuciłem im do kojców takie ziele... Stracą węch na długo.

– Jakie ziele? Toż mamy koniec listopada!

– Suszone. Miałem przy sobie – wzruszył ramionami chłopak. – Pomyślałem, że może się przyda, i wziąłem na tę naszą

wycieczkę.

– Co z samochodem? – spytałem już spokojniej.

– W knajpie podsłuchałem dwóch Niemców. Mówili, że jadą z Platnicy do Mitrunów. Ciężarówką. Wspominali, że ruszą dalej z samego rana.

– No i co z tego?

– Nie rozumiecie? W Mitrunach jest lotnisko polowe. To tuż za linią frontu, po szwabskiej stronie. Może wiozą tam wąglik? Załadują go do samolotów, a później...

– ...zrzucą nam na spadochronach morderczą galaretę – dokończyłem z ironią.

– Jaką galaretę?! Co wam, *komandir*?

– Nieważne, zbieramy się. Tak czy owak, trzeba sprawdzić tę ciężarówkę. Droga na wschód jest tylko jedna, przyczaimy się z dziesięć kilometrów od wioski.

– Bierzemy radio?

– Nie, za duże obciążenie. A i trudno udawać wieśniaków lub Hiwi z czymś takim na plecach.

Pół godziny później byliśmy już w drodze. Nie przejmowaliśmy się specjalnie ewentualnym pościgiem – wyglądało, że Kotuszew skutecznie unieszkodliwił psy. Zostawiliśmy kilka niespodzianek w chałupie i zamieniliśmy przy potykaczach puszki po konserwach na granaty. Mały prezent dla niezwyciężonej armii niemieckiej z pozdrowieniami od *wojennoj razwiedki*. A jeśli leśniczówkę odwiedzi jakiś wścibski wieśniak... Cóż, przecież mamusia mówiła, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Prawda?

Sprawdziłem silnik samochodu, skontrolowałem opony. Wydawało się, że wszystko gra. No i dobrze – wóz mógł nam się jeszcze przydać. Podobnie jak dwa niemieckie mundury. Miałem ze sobą plik dokumentów in blanco, w tym rozkazy wyjazdu – mały bonus od starego fałszerza. Wystarczyło wpisać miejscowość i nazwiska... Nawet jeśli w ciężarówce nie było niczego szczególnego, będziemy mieli przynajmniej transport do Platnicy.

Za plecami usłyszałem chrzęst świeżego śniegu – chłopcy i Wiera wracali z lasu. Myślałem, że któryś z poruczników załatwi sprawę z jeńcami, ale to właśnie panna Turkuł uzupełniała magazynek.

– Co to ma znaczyć? – spytałem. – Kazali ci czy co?

– Nie – odparła, patrząc mi prosto w oczy. – Ja sama.

– Ale dlaczego?

– Nie chcę, żebyście mnie chronili.

– Chronili?! A kto cię chroni, na litość boską, dziewczyno?!

– No, nie w walce, wiem. Ale w takich sytuacjach. Znowu któryś z was wziąłby grzech na duszę. Żebym ja nie musiała...

Westchnąłem głęboko: chyba przydałoby się porozmawiać z panną Turkuł na temat marksizmu-leninizmu, zabobonów religijnych i takich tam... Tyle że to mogło poczekać. Nasza misja – nie. Choć lepiej było się upewnić, że Wiera zabiła Szwabów rzeczywiście z obowiązku, a nie dla przyjemności. Dwa lata temu mieliśmy takiego przyjemniaczka w ekipie. Przy pierwszej okazji zastrzeliliśmy go jak wściekłego psa.

– Jak się czujesz?

– Chyba będę rzygała – oznajmiła blada jak ściana. – Tylko się nie śmiejcie – poprosiła, odchodząc na bok.

W chwilę później wprowadziła zapowiedź w czyn. Nikt się nie śmiał.

– Może sprawdzimy, co wieźli? – zaproponował Drozd.

– Za moment. Niech Wiera... dojdzie do siebie.

Tymczasem panna Turkuł otarła usta śniegiem i wróciła do nas z lekko zawstydzoną miną. Zuch dziewczyna! Niespodziewanie poczułem przypływ dumy: nie wiedziałem, czy przeżyję najbliższe dwie godziny, ale jeśli umrę, to w towarzystwie przyjaciół, ludzi, których szanuję i którym mogę ufać jak samemu sobie.

– Zaczynamy! – zezwoliłem.

Kotuszew podniósł plandekę. Naszym oczom ukazały się schludnie upakowane skrzynie. Co za cholerstwo? Przecież to nie wąglik... Nie trzeba być biologiem, żeby dojść do wniosku, że drewniane skrzynki to nie najlepszy sposób przewożenia bakterii. A może wewnątrz są probówki albo jakieś inne ustrojstwo? Eee... Brednie, nie możliwe.

Tima wyciągnął nóż i podważył wieko jednej ze skrzynek, potem następnej. Osłupieliśmy na widok pudełka pasty do butów i pomadek „TeŻe”.

– Ja pierdolę... – wymamrotał unikający zazwyczaj mocniejszych określeń Drozd. – Co jest, kurwa?! Ktoś okradł perfumerię?

– Na to wygląda – stwierdziłem.

Mimo porywów mroźnego wiatru – temperatura wyraźnie spadła poniżej zera – nagle zrobiło mi się gorąco. Witaj, Platnico... „Szanowni towarzysze, ogłaszamy sezon wycieczkowy do Platnicy, w programie przewidziano liczne atrakcje: tropienie i ucieczka w śniegu, strzelanie do ruchomych celów, próba likwidacji wartowników i wdarcia się na teren strzeżonego ośrodka badawczego, dodatkowo, tylko dla stałych klientów, możliwe zarażenie wąglikiem...” Ech, chuj by to strzelił!

– Zbieramy się! – zakomenderowałem.

Przebraliśmy się z Drozdem w szwabskie mundury, zostawiając pod spodem rosyjskie uniformy. Zapewne gówno nam to pomoże; jeśli nas złapią, i tak postawią pod ścianą, nie ma cudów, ale zawsze jakoś lżej człowiekowi. Rozdałem jeszcze nowe papiery – stare mogły być już spalone, wypisałem dokumenty podróżne, po czym ruszyłem do szoferki. Drozd zasiadł za kółkiem, panna Turkuł i Kotuszew załadowali się na pakę. Na wypadek kontroli mieliśmy przygotowanych kilka wersji legendy uzasadniającej naszą podróż do Platnicy, przed wyjazdem nauczyliśmy się na pamięć wszystkich wariantów. Na patrole drogowe powinno podziałać, ale jak nas złapią w pobliżu ośrodka...

– Wariactwo – wymamrotał Drozd, zawracając. – Rabować pastę do butów...

– Idiotyzm – zgodziłem się, przeglądając dokumenty dowodzącego do niedawna konwojem świętej pamięci Hansa Lipke.

Rozkaz wyjazdu, kwit magazynowy, książeczka wojskowa... Nic ciekawego. Wyrzuciłem wszystko przez okno, po cholerę nam papiery zabitych Szwabów? Zaraz! Jaki, do diabła, kwit magazynowy?!

– Hamuj! – wrzasnąłem.

– Co się stało? – zapytał przestraszony moim tonem Drozd.

– Poczekaj!

Wyskoczyłem z wozu, pognałem na pobocze. Gdzieś tu powinny być papiery nieboszczyka, gdzieś tu... Podniosłem książeczkę wojskową, po chwili znalazłem i kwit z magazynu. Dobrze, że ich nie podarłem przed wyrzuceniem...

– *Komandir?* – usłyszałem zaniepokojony głos Pietki.

– Popatrz! – Podsunąłem mu pod nos dokument.

– No, kwit jak kwit. – Chłopak wzruszył ramionami. – Wydano z magazynu dnia... bla, bla, bla... Dostawę potwierdzić

własnoręcznym podpisem. Rozkaz wydał *Obergruppenführer* Max Blofeld. *Obergruppenführer?* – powtórzył z namysłem. – Czy to nie za wysoki stopień, żeby interesować się wysyłką takiego chłamu?

– Owszem, za wysoki – przytaknąłem. – To przecież odpowiednik generała w Wehrmachcie. Ale nie tylko o to chodzi. Zobacz tutaj.

– Przekazanie ładunku potwierdzić własnoręcznym podpisem, w obecności oficera dyżurnego jednostki... Ki czort? Przecież nie troszczyliby się tak o głupie pomadki i pastę?

– Bo to nie są głupie pomadki – oznajmiłem z zadowoleniem. – Pamiętasz, że większość zachorowań miała postać płucną? Trzeba się było nawdychać tego cholerstwa.

– No tak...

– Pasta i pomadki! – krzyknąłem. – Jeszcze nie rozumiesz? Już przed pierwszą wojną Niemcy uzyskali maź, która przemieszana z przetrwalnikami wąglika, ulatniając się, powodowała wyrzucenie endosporów w powietrze. Tyle że na nic im się to wtedy nie przydało.

– No tak, mordercza galareta, pamiętam – mruknął. – Nie sprawdziło się w bombach i pociskach.

– A w pomadce albo paście do butów? To działa kilkanaście godzin, przez ten czas zarazi się nie tylko każdy, kto użyje takiej pasty, ale i pewnie paru jego kumpli. Bo to cholerstwo ulatnia się w promieniu kilku metrów. Podobnie z pomadką. A jeśli jeszcze baba kogoś pocałuje...

– No tak, podrzucić coś takiego do magazynów to żaden problem, w końcu to nie składy broni, albo i rozdać pomadki przodującym robotnicom w fabryce czołgów. Jesteście genialni, *komandir*!

Chłopcy zawyli radośnie, poklepując mnie po plecach, jedynie panna Turkuł stała jak słup z dziwnym wyrazem

twarzy.

– Co jest? – spytałem, uciszając podwładnych gestem.

– Ja ten wąglik... Ja...

Wyjęła z kieszeni płaszcza dwie pomadki.

– Mam nadzieję, że nie pomalowałaś ust?!

– Nie zdążyłam...

– Całe szczęście! Wywal to w cholerę i jedziemy! – rozkazałem.

– Do Platnicy?

– Nie, do swoich. Rozwiązaliśmy zagadkę!

Otyły sierżant przejrzał bez specjalnego zainteresowania nasze dokumenty, kuląc się pod nawałą coraz gęściej padającego śniegu. Jego kompan palił papierosa w odległej o kilkanaście metrów budce. Niedaleko majaczyły w białym tumanie jakieś zabudowania.

– W porządku – burknął, oddając papiery. – Ale musicie poczekać pół godziny. – Machnął ręką w stronę najbliższego budynku.

– A co się stało? – spytałem z ciekawością.

– Nic specjalnego – ziewnął. – Zabezpieczamy trasę, zaraz będzie tędy jechał *Obergruppenführer* Blofeld. Sam rozumiesz...

– Zostawić wóz tutaj czy...

– Zabieraj się stąd! – zawołał zaniepokojony. – Żeby tego twojego pudła nie było nawet widać! Staniesz przy tej chałupie, o, tam! To dawna stajnia. Co prawda okna są powybijane, ale przynajmniej będziecie mieli jakiś dach nad głową. Jazda!

Drozd posłusznie wycofał wóz i skręcił w polną drogę. Kątem oka widziałem, jak Niemiec wraca biegiem do swojej budki.

– Staniemy tam? – upewnił się chłopak.

– Staniemy – potwierdziłem. – Przez następne dwadzieścia kilometrów nie powinno być żadnych patroli, więc za pół godziny przejedziemy jeszcze kawałek szosą, później trzeba już będzie przez las.

– Trafił nam się ten śnieg – zauważył Drozd, uśmiechając się.

– Ano trafił. Żaden pies nie podejmie tropu w takiej zawierusze. Przy odrobinie szczęścia będziesz już jutro ze swoją czarnulką.

Pietka wyszczerzył zęby, zahamował.

Wyskoczyliśmy z samochodu, biegiem ruszyliśmy do stajni. Przez rozbite okna widać było płonące wewnątrz ognisko, doszedł nas zapach pieczonych kiełbasek. Widać nie my pierwsi zostaliśmy zatrzymani ze względu na przejazd Blofelda. Wyjąłem z kieszeni płaszcza półlitrową butelkę bimbru – *Kameradschaft* zobowiązuje. A i przyda się nieco rozgrzać, pewnie było ze dwadzieścia stopni poniżej zera. Jednym słowem: kurewski ziąb. Tylko Kotuszew nie narzekał na chłód, w zimie na Syberii czterdzieści stopni poniżej zera to dzień jak co dzień. Przy minus dwudziestu chłopaki nacierają się śniegiem. Pewnie zacząłby się niepokoić, dopiero gdyby zamarzł spirytus...

Strzał zabrzmiał niegłośno, przypominał klaśnięcie, ale grymas bólu na twarzy Wiery świadczył, że trzymający parabellum mężczyzna nie żartuje.

– Rzucić broń! – rozkazał, nie podnosząc głosu. – I żadnych sztuczek! Bo drugą kulę wpakuję jej nie w nogę, ale w brzuch.

Natychmiast pozbyłem się noża i pistoletu. O sztuczkach nie było co myśleć, otaczało nas kilkunastu żołnierzy w mundurach Waffen-SS. MP-40, trzonkowe granaty za pasem – frontowi żołnierze. A niech to szlag! Przetarłem podrażnione śniegiem oczy, przyjrzałem się starszemu mężczyźnie w eleganckim

futrze. Jedynemu cywilowi w pomieszczeniu. Skąd ja go znam? Chuda, wilcza twarz, monokl, szrama na policzku... Dankell! Stary mistrz sekty Doskonałych! A jednak nie zginął w leningradzkim porcie!

– Na wszelki wypadek pozwolę się przypomnieć: znaliście mnie jako profesora Dankella, choć moje prawdziwe nazwisko brzmi von Ziethen.

Nie wiem, czy udało mi się utrzymać pokerowy wyraz twarzy, dobrze, że nie jestem chory na serce – pewnie padłbym na miejscu. Von Ziethen... To już wiadomo, skąd pomysł z wąglikiem, jasne też, że niemieckie dowództwo najprawdopodobniej nic nie wiedziało o inicjatywie mistrza Doskonałych. Wątpiłem, by ten liczył się z kimkolwiek. Biorąc pod uwagę to, co robili jego akolici w Leningradzie, miał nie po kolei w głowie. A i rozpierducha w Moskwie to pewnie jego dzieło.

– Jakieś pytania? – Uśmiechnął się dobrotliwie. – Zanim definitywnie zakończymy naszą znajomość?

– Nie zabijajcie nas! – pisnęła Wiera, podnosząc się z ziemi. – Powiem wszystko! Nasza czwórka ma do spełnienia ważną misję!

– Wiem wszystko o waszej misji – zapewnił ją Dankell. – W końcu to moje skromne działania tak zaniepokoiły towarzysza Stalina, że ten przypomniał sobie o majorze Razumowskim. Jak w Leningradzie. – Zgrzytnął zębami. – Tylko tym razem finał będzie inny...

– Nie chodzi o wąglik! – zawołała Wiera. – Otrzymaliśmy specjalne polecenie od Genkoma Berii! Cała nasza czwórka!

Co ona tak o tej czwórce? Już drugi raz... Kod! Czyżby panna Turkuł odwoływała się do naszego kodu? Na wypadek bliskiego kontaktu z wrogiem opracowaliśmy kod liczbowy, gdzie każda cyfra oznaczała konkretną frazę. Trudno wrzeszczeć podczas

walki: „Zacięła mi się broń!”. Bo ktoś może znać rosyjski i wykorzystać informację. „Cztery” oznaczało: „Uciekajcie, osłaniam was!”. Czyżby Wiera chciała...

W oczach Dankella zabłysło zainteresowanie, podszedł do dziewczyny, ale ta niespodziewanie upadła, łapiąc się za przestrzeloną nogę. Niemiec gwałtownym gestem nakazał esesmanom podnieść pannę Turkuł.

– Kocham was! – krzyknęła załamującym się głosem Wiera, trzymając wyciągnięty któremuś z Niemców granat.

Runęliśmy do okien, w sekundę później usłyszałem krótką serię, zaraz potem rozległ się wybuch. Zza węgła wybiegł ogłuszony eksplozją esesman. Zanim odbezpieczył broń, uderzyłem go podstawą dłoni w podbródek, poprawiłem kantem w krtań.

– Uciekajcie! – zawołał Kotuszew, schylając się po karabin Szwaba. – Uciekajcie!

Popędziłem przed siebie jak ścigany zając, mimochodem dostrzegając krew na kurtce chłopaka. Ech, Tima, Tima... Zza pleców doszedł mnie jeszcze krzyk Drozda: „Cztery!”, „Cztery!”. Siłą woli wyrzuciłem z głowy wszelkie myśli o chłopcach i Wierze. Biegłem. Ktoś musiał zawiadomić naszych, w jaki sposób dochodzi do zarażenia wąglikiem. Za wszelką cenę. Po kilkunastu minutach zacząłem spływać potem, ale nie zatrzymywałem się – za plecami słyszałem krzyki i strzały. Ścigano mnie. Las nie obiecywał schronienia, na śniegu pozostawał wyraźny trop. Nie miałem wątpliwości, że lada moment moi prześladowcy wyjdą na ślad. Zadymka jak na złość słabła.

Pośliznąłem się na oblodzonym korzeniu i upadłem, boleśnie uderzając w głowę. Zanim doszedłem do siebie, skoczył na mnie ktoś odziany w maskującą biel. Krzyknąłem trafiony nożem w ramię, w chwilę później zawył mój przeciwnik, kiedy

wcisnąłem mu kciuk w oczodół. Przez dłuższą chwilę przetaczaliśmy się po ziemi, warcząc jak zwierzęta, wymierzając na oślep ciosy i kopiąc. Na szczęście grube ubranie uchroniło mnie przed głębszymi ranami. Przez czysty przypadek trafiłem gościa w krocze. Kiedy zwiotczał, złamałem mu kark.

Przetarłem twarz śniegiem, starając się nie zwracać uwagi na poranione przedramiona i bark. Wszystkie ścięgna miałem całe, ostrze nie przecięło żadnej arterii – dlatego jeszcze żyłem. Mogło być gorzej. Dużo gorzej. No, i tak niewiele brakowało... Ściągnąłem z Niemca strój maskujący, zabrałem pistolet maszynowy i nóż. Wyglądało, że akcją zatrzymania naszej grupy dowodził ktoś z dużo większym doświadczeniem bojowym niż Dankell. To właśnie ta osoba zatroszczyła się o to, żeby dwójka „zwyczajnych" żandarmów skierowała nas do stajni, wystawiła wokół budynku wartowników, ot tak, na wszelki wypadek, wreszcie zorganizowała pościg i zasadzkę w lesie. Nie ulegało wątpliwości, że moim przeciwnikiem jest wysokiej klasy zawodowiec.

Rozejrzałem się wokół, nie bardzo było gdzie uciekać, a odgłosy pogoni świadczyły, że jestem otoczony. No cóż – grunt, że zdobyłem broń, przynajmniej nie wezmą mnie żywcem. Nie miałem zamiaru zdychać na raty w jakiejś szwabskiej katowni. Przyklęknąłem za zwalonym drzewem, zawsze to jakaś ochrona...

Zaalarmował mnie gwałtowny ruch gałęzi na zboczu nieodległego pagórka, o mało nie nacisnąłem spustu. Wiewiórka. Ech, szkoda, że nie mogę tak jak ona wymknąć się obławie... Zmrużyłem oczy – dopiero teraz dostrzegłem przysypany śniegiem otwór. Wilcza nora? Wejście do niedźwiedziej gawry? Może warto spróbować? I tak mogą mnie zabić tylko raz, a zawsze to jakaś szansa...

Stękając z wysiłku, przerzuciłem przez plecy zwłoki Niemca, przeniosłem jakieś sto metrów dalej, przysypałem śniegiem. Pobieżnie zatarłem ślady sosnową gałęzią – i tak będzie je widać, ale przynajmniej trudno się zorientować, kto i w którą stronę przechodził. Chyba że posypie jeszcze ze dwie, trzy godziny. I pościg mnie nie zauważy...

Wcisnąłem się z trudem w norę, cały czas zacierając za sobą ślady. Na szczęście po paru metrach korytarz wyraźnie zrobił się szerszy. Wreszcie dotarłem do obszernej jamy. W płomieniu zapalniczki dostrzegłem poprzerastane korzeniami sklepienie – dość niskie, chociaż gwarantowało swobodę ruchu. Pewnie długo tu nie pozostanę. Jeśli znajdą mnie Niemcy, wystarczy, że któryś wrzuci granat...

Przymknąłem oczy, nagle poczułem ogromne znużenie, powróciły ścigające mnie niczym stado wilków myśli: Wiera i chłopcy nie żyli... Może gdybym pierwszy wpadł na pomysł z granatem, ocaliłbym grupę? Kotuszew nie dałby się złapać Niemcom, wymknąłby się obławie. Razem z Pietką i Wierą. Wiera... Znowu uratowała mi życie, tym razem po raz ostatni.

Strzeliłem, kiedy coś przesłoniło wylot nory. Przeraźliwy krzyk świadczył, że trafiłem. No, chodźcie tu, gnoje! Chodźcie!

Nikt jednak nie zaczął szturmować mojego schronienia, zamiast tego usłyszałem dźwięk niemieckich komend rzucanych nieznoszącym sprzeciwu, autorytatywnym tonem, po czym ten sam mężczyzna przeszedł na rosyjski.

– Możemy porozmawiać? – spytał.

– Czego?! – warknąłem.

– Opór nie ma sensu – zapewnił nieznajomy. – Gdybym chciał pana zabić, wystarczyłby granat. Ale przecież pan o tym wie, majorze Razumowski. Chciałbym porozmawiać, omówić pewne... opcje.

– I zagwarantować bezpieczeństwo? – zadrwiłem.

– To także. Proszę wybaczyć, zapomniałem się przedstawić: jestem Max Blofeld. *Obergruppenführer* Max Blofeld.

No to, kurwa, już wiem, kto zorganizował zasadzkę i wybił moją grupę. No i stało się jasne, jakim cudem Dankell zdołał zrealizować swoje plany z wąglikiem – bez wsparcia kogoś wysokiego rangą guzik by zdziałał. A tu proszę, generał Waffen-SS. Tylko po co SS ten cyrk z sektą Doskonałych? Na chuj im ten cały mistycyzm?

– O ile sobie przypominam, szanowny profesor Dankell, przepraszam, von Ziethen, chciał się ze mną ostatecznie pożegnać. Trudno, żebym wierzył...

– Przepraszam i za to – przerwał mi Blofeld. – Spóźniłem się na nasze... spotkanie. Rozstawiałem posterunki w lesie. Jak się okazało, nie była to nadmierna ostrożność... Cenię sobie zdanie profesora von Ziethena, jednak obawiam się, że nie podzielam jego niechęci do pańskiej osoby. Myślę, że jest ona nie tyle efektem logicznego rozumowania, co wynikiem negatywnych doświadczeń z przeszłości.

– Po czorta wam ta historia z wąglikiem i Doskonałymi?

– Co do pierwszego pytania, to chyba już się pan domyślił? Chcemy powstrzymać waszą ofensywę. Co prawda do tej pory Armia Czerwona niespecjalnie się popisała, jednak nie wszyscy lekceważą jej potencjał. Tę drugą kwestię wyjaśnię, kiedy wyjdzie pan już z dziury.

Nie odpowiedziałem, zastanawiałem się, co robić. Ech, gdybym miał choć jeden granat, esesman musiał być tuż przy wylocie nory.

– Przecież zdaje pan sobie sprawę, że „święta choroba” powoduje szereg ciekawych zmian. Jedną z nich są wizje. Jak pan myśli, skąd wiedzieliśmy, gdzie i kiedy was szukać? – Blofeld przerwał przedłużającą się ciszę. – Nawiasem mówiąc, jedną z przyczyn niechęci profesora do pańskiej osoby jest fakt,

że zlekceważył pan dar. Bo wiemy, że go pan otrzymał. To co, możemy porozmawiać w bardziej komfortowych warunkach?

Ożeż kurwa, wizje! Znaczy, że nie było żadnej zdrady w GRU, nikt nie zaznaczał dokumentów, po prostu któryś z Doskonałych – kto wie czy nie sam von Ziethen – miał wizje. I podzielił się nimi z kim trzeba. Bo jeśli i mnie zdarzało się zobaczyć przyszłość, to co dopiero komuś, kto jest zarażony od przynajmniej pół wieku? O tym też powinni się dowiedzieć nasi. Tylko jakim cudem? Z mojej nory nie było wyjścia. No i już widziałem, jak raportuję generałowi Iliczowowi, a może i samemu towarzyszowi Berii, że wszystkie grupy wyłapano, bo Niemcy mają jasnowidza... Pewnie w ciągu godziny byłbym już w psychuszce.

– Czekam – Blofeld podjął temat. – Jaka jest pańska decyzja?

Odpowiedziałem mu – wyczerpująco i w detalach, używając słów powszechnie uznanych za obelżywe.

– Tak czy owak, bardziej przyda nam się pan żywy – odparł chłodno. – Tylko że nasza współpraca oparta będzie na innych zasadach, niż chciałem panu zaproponować. Profesor się ucieszy... Bo nie sądzi pan chyba, że zabiła go ta wasza Turkuł? A za dwa dni nie będzie pan mógł nawet podnieść ręki. Nie przy tym mrozie. Po prostu poczekamy.

– Spróbujcie, skurwysyny! – ryknąłem, popierając swoje słowa krótką serią.

Usłyszałem tylko chrzęst śniegu. Blofeld odszedł.

Początkowo zimno przenikało mnie do szpiku kości, później zaczęły drętwieć mięśnie. Próbowałem napinać muskuły, zmieniałem pozycję, masowałem się. Bez większego rezultatu.

Wycieńczony wysiłkiem i stresem organizm nie dysponował energią, która mogłaby podtrzymać właściwą temperaturę. Wreszcie zacząłem rozważać to, co powiedział Blofeld – miałem nadzieję, że nie pozwoli mi to zasnąć. Wizje? W porządku, sam wiedziałem, że to możliwe, tylko dlaczego nie zdjęli nas zaraz po przekroczeniu linii frontu? Dlaczego tyle czekali? Przecież zdążyliśmy powiadomić dowództwo o tym, co się dzieje w Aleksandrowce, a niewiele brakowało, żebyśmy zameldowali i o sposobach przenoszenia bakterii wąglika. Gdybym kazał wziąć ze sobą radiostację... A może te wizje były takie jak moje? Pojawiały się znienacka i znienacka znikały? Być może nikt ich nie kontrolował? Cóż ja tak naprawdę wiedziałem o efektach „świętej choroby”? Trudno przecież traktować poważnie mistyczny bełkot z księgi Doskonałych.

W miarę upływu czasu zacząłem tracić siły. Najpierw przestałem czuć nogi, później obszar niewrażliwości przesunął się na brzuch i klatkę piersiową. Pogrążony w wygodnym odrętwieniu zasnąłem. W stanie dziwnej, wywołanej chłodem ni to drzemki, ni to hibernacji ujrzałem jeszcze raz, jak wchodzimy do stajni. Widziałem twarze chłopaków i Wiery. Nawet w stanie nieświadomości męczyły mnie jej ostatnie słowa. Co miała na myśli, krzycząc, że nas kocha? O kogo jej chodziło? O nas wszystkich? O mnie? Ech, szlag by trafił ten nasz zwyczaj zwracania się do starszych w liczbie mnogiej...

Coś wyrwało mnie z odrętwienia: leciałem w powietrzu swobodny jak ptak, szybowałem, nie poruszając mięśniami. Z trudem, wbrew sobie otworzyłem ciężkie powieki – chciałbym unosić się w przestworzach w nieskończoność, ale zadziałał instynkt. Ktoś wywlekał mnie z jamy, trzymając za nadgarstek. Szorowałem twarzą po oblodzonej ziemi, nie czułem jednak ani bólu, ani zimna. Znienacka zalała mnie fala wściekłości, sięgnąłem po nóż. Odrętwiałe, sztywne jak drewno

palce zacisnęły się na rękojeści niczym szpony. Pchnąłem na oślep, czując, że ostrze wchodzi w coś miękkiego. W odruchu paniki Niemiec puścił moją rękę i wśliznął się w prowadzący do wylotu z nory korytarz. Dopadłem go, dźgając raz za razem. Po chwili przestał się ruszać. Powoli, na raty, wciągnąłem ciało do legowiska. Wysiłek powodował ogłuszający łomot serca, przed oczyma pojawiała się szara mgła. Wreszcie mogłem obszukać zwłoki. Jednak żołnierz nie miał przy sobie ani grama żywności, żadnej przydatnej rzeczy. Nawet dokumentów. Ach, wy skurwysyny...

Nagle poczułem szarpnięcie, ciało zaczęło przesuwać się do wyjścia. Ki czort? Kolejna wizyta? Przesunąłem rękoma wzdłuż ciała – ciepła, tryskająca z przeciętej tętnicy Szwaba krew przywróciła mi odrobinę czucia w palcach – namacałem przywiązaną do nóg zabitego linę. Chcecie wyciągnąć kumpla, gnoje?! W porządku, tylko może nie tak od razu... Położyłem się na zwłokach, wbiłem nóż w klatkę piersiową Niemca. Naparłem całym ciężarem na ostrze, starając się przeciąć mostek. Jak to się fachowo nazywa? Sternotomia? Słuchałem kiedyś wykładów prowadzonych przez uroczą panią chirurg. Objaśniła mi dość dokładnie, na czym polega przecięcie mostka. Rzecz jasna, nie na sali wykładowej, tylko w czasie prywatnych lekcji. Linię cięcia i inne detale pokazała na sobie...

Rozchyliłem rozkrojoną pierś Niemca, sięgnąłem w głąb. Pan profesor miał mi za złe, że nie zżarłem czyjegoś serca w Leningradzie? No cóż, może dam radę teraz nadrobić to zaniedbanie? Z tryumfalnym rykiem wbiłem zęby w lepki, śmierdzący świeżą krwią ochłap. Teraz możecie zabrać swojego kumpla, skurwysyny! Tylko że następnego ochotnika gotowego wyciągnąć mnie z jamy przyjdzie wam chyba długo szukać. Nie każdemu przypadnie do gustu moja, nomen omen, serdeczna gościnność...

I znowu śniłem. Próbowałem jakiś czas czuwać z gotową do strzału bronią, jednak – jak i poprzednio – pokonało mnie zmęczenie. Tym razem sen nadszedł wraz z falą ciepła, rozluźniając podstępnie mięśnie, mamiąc rozum i zmysły. Jakaś część mojego umysłu pozostawała świadoma całego procesu, obserwowała go z chłodnym, naukowym zainteresowaniem, jednak kontrolę nad sytuacją przejęło śmiertelnie znużone ciało. Nie miałem złudzeń, wiedziałem, że mogę się już nie obudzić. Tak czy owak, lepsze to, niż gdyby mieli mnie dorwać Niemcy. Ci by mnie dopiero rozgrzali... Przez moment zastanawiałem się, czy samemu nie załatwić sprawy? Wystarczyłoby przecież wsunąć lufę pod brodę i nacisnąć spust. Jednak było coś, co odwiodło mnie od tego kroku, uświadomiłem sobie to dopiero teraz, w stanie onirycznego transu: zemsta. Dopiero teraz zrozumiałem motywy, jakie kierowały chłopakami i Wierą, pojąłem, dlaczego, nie porozumiewając się przecież między sobą, zrobili wszystko, żeby umożliwić moją ucieczkę. Pamięć podsuwała mi wspomnienia, przewijała je niczym operator w kinie, uwypuklała wybrane epizody. Jak przez szkło powiększające widziałem ich gesty, spojrzenia, bohaterskie czyny i małe intrygi. Tak, nie miałem już żadnych wątpliwości: oni wszyscy walczyli dla mnie. Nie dla towarzysza Stalina, nawet nie dla kraju – tylko dla mnie... Jak mogłem być tak głupi? Tak ślepy? Nie zauważyć, że mimo nie tak znowu wielkiej różnicy wieku traktują mnie jak ojca? Dlatego kiedy śmierć przyszła po mnie, oddali życie, aby mnie ocalić. Wszyscy bez wyjątku. Moje dzieci umarły, żebym przeżył... W jakimś zakamarku umysłu słyszałem krzyk rozpaczy podobny do wilczego wycia. Ktoś mi

za to zapłaci! Zapłaci za wszystko... Nieważne, czy jest Bóg, czy go nie ma, nieważne, czy istnieje życie pozagrobowe, czy śmierć kończy wszystko. Nie pozwolę zepchnąć się w nicość, nie poddam wywołanemu mrozem odrętwieniu. Powrócę choćby z samego piekła. Dla zemsty, dla nich... Ja, żołnierz *wojennoj razwiedki*, morderca i kanibal.

Powrócę!

Koniec

Posłowie

WIERSZE, PIOSENKI, TŁUMACZENIA I CIEKAWOSTKI

Rosyjski wywiad wojskowy GRU – spopularyzowany przez Suworowa termin GRU (*Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije*), Główny Zarząd Wywiadu, używany jest od lutego 1942 roku, kiedy to rosyjskiemu wywiadowi wojskowemu nadano nazwę *Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije Gienieralnogo Sztaba Krasnoj Armii* (Główny Zarząd Wywiadu Sztabu Generalnego Armii Czerwonej). Co prawda jeszcze w tym samym roku zmieniono ją na *Uprawlenije Wojskowoj Razwiedki Gienieralnogo Sztaba Krasnoj Armii* (Zarząd Wywiadu Wojskowego Sztabu Generalnego Armii Czerwonej), ale poprzednia nazwa chwyciła i mimo kolejnych zmian była używana.

Stopnie w NKWD – w rzeczywistości rangi podpułkownika i pułkownika zostały wprowadzone do NKWD dopiero w 1943 roku, jednak żeby nie robić zbędnego zamieszania, zdecydowałem się nieco uprzedzić wypadki.

Wiersz Charles'a Baudelaire'a „Spleen" – w tłumaczeniu Bolesława Wieniawy Długoszowskiego.

Na kijewskom wokzalie…

Na kijowskim dworcu
kurwą mnie nazwali.
Co ze mnie za kurwa,
jak mnie nie jebali?
(tłum. aut.)

Kto to spizdił…
Ktoś tam zwinął bałałajkę,
na patefon nasrał chwacko,
wziął wyjebał gospodynię,
a o stół kondomem pacnął!
(tłum. aut.)

Służu Sowietskomu… – „Służę Związkowi Radzieckiemu!". Formułka, jaką wypowiadał nagradzany żołnierz zgodnie z przepisami UWS-37 (*Ustaw Wnutrienniej Służby*), Regulaminu Służby Wewnętrznej z 1937 roku.

Zek – pozbawiony wolności, więzień, słowo to pochodzi od wpisywanego w dokumentach od lat dwudziestych zeszłego wieku oznaczenia Z/K (*zakliuczennyj krasnoarmiejec* – pozbawiony wolności czerwonoarmista). Później zaczęto tak nazywać wszystkich więźniów.

Sztrafbat – skrót od słów sztrafnoj batalion, batalion karny. Oddział, do którego wysyłano oficerów winnych wojskowych, jak i kryminalnych przestępstw. Żołnierze i podoficerowie byli wysyłani do *sztrafrot* (kompanii karnych).

Gawniuk – zasraniec.

Gop-stop, my wyszli iz za ugła… („Gop-stop, wyszliśmy zza węgła…") – fragment piosenki „Gop-stop" śpiewanej przez Aleksandra Rozenbauma, autora wielu kultowych utworów, między innymi nieoficjalnego hymnu rosyjskich żołnierzy z Afganistanu, „Czarnego tulipana" (kryptonimem „Czarny Tulipan" oznaczony był samolot transportujący do Rosji ciała poległych żołnierzy). Słowo „gop-stop" w kryminalnym żargonie oznacza uliczny napad, „gopnik" – bandytę albo chuligana. Oczywiście w czasach drugiej wojny światowej piosenka jeszcze nie istniała (choć istniał *gop-stop*). Słowo to powstało jeszcze przed rewolucją 1917 roku, kiedy w Rosji istniały GOP-y (*Gorodskoje Obszczestwa Prizrenija*), Miejskie Stowarzyszenia Troski, do których kierowano między innymi bezdomne dzieci i nieletnich popełniających wykroczenia. Pod koniec XIX wieku w Petersburgu zorganizowano *Gosudarstwiennoje Obszczestwo Prizrenija*, Państwowe Stowarzyszenie Troski (w miejscu dzisiejszego hotelu „Październikowy"), a po rewolucji *Gosudarstwiennoje Obszczeżytije Proletariata* (Państwowy Dom Proletariatu) – instytucję o tych samych celach i identycznym skrócie.

TeŻe – po rewolucji 1917 roku i zwycięstwie bolszewików wszystkie rosyjskie perfumerie zostały znacjonalizowane i zamieniono je w wytwórnie mydła dla żołnierzy Armii Czerwonej. Czasy raczej nie sprzyjały dbałości o siebie – wszelkie zabiegi zwiększające osobistą atrakcyjność (poza związanymi z elementarną higieną) uznano za burżuazyjny przeżytek. Sytuacja zmieniła się dopiero w 1921 roku, na początku ery NEP-u (Nowej Ekonomicznej Polityki). Rozbestwiona wprowadzeniem elementów gospodarki rynkowej ludność zapragnęła nagle nie tylko mydła, ale i perfum, pudru, szminek – jednym słowem, tego, co przed

rewolucją... W ten sposób powstał trust „Żirkost'" (nazwa pochodzi od słowa „żir" oznaczającego tłuszcz), skupiający także zakłady o profilu „drogeryjnym". W skład monopolu weszła między innymi słynna perfumeria Brocarda znana z kompozycji „Ulubiony Bukiet Cesarzowej" – perfum stworzonych z okazji trzechsetlecia domu Romanowów. Z czasem rosyjską nazwę „Trest Żirkost'" zamieniono na brzmiący bardziej po proletariacku „Żirtrest", później skrócono do liter „ŻT", wreszcie zamieniono kolejność i zaczęto wymawiać jak „TeŻe". Pod patronatem „TeŻe" wytwarzano i sprzedawano pełną gamę kosmetyków, czasem wykorzystując – bez specjalnego rozgłosu – dawne, „burżuazyjne" receptury. Na przykład mało kto wiedział, że popularne wśród radzieckich ślicznotek perfumy „Krasnaja Moskwa" („Czerwona Moskwa") to ta sama kompozycja, którą wielki mistrz Henri Brocard stworzył na cześć małżonki ostatniego cara...

Biesprizornik – bezdomny, często dziecko nieutrzymujące więzi z rodziną, bez jakiejkolwiek opieki. W czasie wojny sieroty często uciekały z domów dziecka ze względu na panujące tam warunki. Nocowały na ulicy, zdobywając środki do życia za pomocą kradzieży i żebractwa.

Dura – idiotka.

Wiersz Iona Degena... – utwór przetłumaczyła Barbara Leszczuk, cyt. za: Aron Shneyer „Dwa oblicza zdrady. Między NKWD a SS". Instytut Wydawniczy ERICA, str. 26–27. Degen to niezwykle barwna postać: pisarz, poeta, lekarz, doktor nauk medycznych, czołgista. Powołano go do wojska w 1941 roku, dostał przydział do batalionu strzeleckiego sformowanego z uczniów dziewiątych i dziesiątych klas (szkoły w ZSRR były

dziesięcioklasowe). Później dowodził oddziałem zwiadu, został ranny w trakcie „wypełniania zadania bojowego na tyłach wroga”. W 1944 roku, po ukończeniu szkoły wojsk pancernych, został dowódcą czołgu. Po letniej ofensywie na Litwie i Białorusi otrzymał od kolegów przezwisko „Szczęściarz”. Był jednym z „asów” w wojskach pancernych, dowodzony przez niego czołg zniszczył między innymi „Tygrysa”, osiem „Panter” i kilka dział samobieżnych. Odznaczono go wieloma orderami (również polskimi: Virtuti Militari, Krzyżem Grunwaldu i Odrodzenia Polski). Dwukrotnie przedstawiono go do tytułu „Bohatera Związku Radzieckiego” i dwukrotnie odrzucono wniosek ze względu na żydowskie pochodzenie Degena. W 1945 roku został ciężko ranny. W latach siedemdziesiątych wyemigrował do Izraela. Jako jedyny radziecki czołgista został wpisany na listę izraelskich pancerniaków, którzy odznaczyli się męstwem na polu bitwy.

Worowat’ nie po czinu… – kraść ponad miarę (więcej, niż na to pozwala pozycja społeczna) niebezpiecznie…

Napliewat’ – gwizdać na to!

CZP – *Czeriezwyczajnoje Proisszestwije* – Nadzwyczajne Wydarzenie, popularny skrót oznaczający, że zaszło coś nieoczekiwanego, wykraczającego poza przyjęte normy, katastrofa.

Kobiety snajperki – wspomniana w książce Ludmiła Pawliczenko jest postacią autentyczną – po wybuchu wojny zgłosiła się do armii na ochotnika, ze względu na swoje predyspozycje (wcześniej uprawiała strzelectwo) została snajperką. Brała udział w walkach w Mołdawii, w obronie

Odessy i Sewastopola. Zastrzeliła trzystu dziewięciu Niemców, w tym trzydziestu sześciu snajperów wroga. Niektóre źródła wspominają, że jej towarzysz (rosyjscy snajperzy często pracowali w parach), snajper Alieksiej (albo Leonid) Kicenko, był jej mężem. Kicenko zginął wiosną 1942 roku w walkach pod Sewastopolem, na oczach Ludmiły. Kiedy w czerwcu 1942 Pawliczenko została ranna, ewakuowano ją na tyły, później wysłano z misją agitacyjną na Zachód – chodziło o nakłonienie sojuszników do szybszego otwarcia drugiego frontu. Misja się udała, jedno ze spotkań z Amerykanami, w Chicago, Pawliczenko z iście bolszewicką bezpośredniością rozpoczęła słowami: „Panowie, mam dwadzieścia pięć lat, do tej pory zdążyłam zabić trzystu dziewięciu Niemców. A wy? Nie sądzicie, że już zbyt długo chowacie się za moimi plecami?”... Kiedy wróciła, władze wyznaczyły ją do prowadzenia kursów snajperskich dla młodzieży. Do końca wojny nie brała już udziału w walkach. W 1943 roku otrzymała Złotą Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego. Po wojnie skończyła studia, zmarła w 1974 roku. W czasie drugiej wojny światowej po stronie Związku Radzieckiego walczyło ponad tysiąc kobiet snajperek. Zabiły kilkanaście tysięcy niemieckich żołnierzy.

Naczialnik – szefie, panie władzo. Zwrotu tego do dzisiaj często używają więźniowie lub byli więźniowie w odniesieniu do przedstawicieli władzy.

Legawy (*liegawyj*) – żargonowa nazwa milicjanta w Rosji. Obecnie rzadko już używana.

Operacja „Maskarada” – pomysł wykorzystania pracowników wywiadu wojskowego do likwidacji kryminalnego podziemia nie jest taki fantastyczny, jak by się wydawało na pierwszy rzut

oka. Podobno tuż po wojnie w opanowanej przez grupy przestępcze Odessie przeprowadzono (przy współudziale, a może i pod osobistym kierownictwem marszałka Żukowa) operację „Maskarada”, w której miano wykorzystać między innymi przebranych po cywilnemu oficerów. Na podstawie tej operacji powstał rosyjski serial „Likwidacja”. Historycy wskazują, że nie ma żadnych dokumentów, które potwierdzałyby przeprowadzenie takiej akcji, z drugiej strony, gdyby rzeczywiście coś takiego miało miejsce, utajniono by wszelkie akta na ten temat. Odeski historyk Wiktor Sawczenko twierdzi, że przebrani po cywilnemu oficerowie prowokowali wszelkie podejrzane indywidua i – w razie agresji z ich strony – strzelali, aby zabić. Zastanawia także fakt, że na początku lat siedemdziesiątych minister spraw wewnętrznych Szczołokow nagrodził Żukowa odznaką Zasłużony Pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR. Przypuszcza się, że w ten właśnie sposób upamiętniono wkład „Marszałka Zwycięstwa” w oczyszczanie Odessy z elementów kryminalnych, z czasów kiedy kierował on Odeskim Okręgiem Wojskowym. Żukow został zesłany do Odessy z konkretnych powodów (a wbrew szerzonej przez niektórych romantycznej legendzie) – mianowicie okazał się złodziejem i mitomanem przypisującym sobie cudze osiągnięcia. Sam Stalin ujął to następująco: „przypisywał sobie przygotowanie operacji, w których nie brał udziału”. W trakcie śledztwa znanego w rosyjskiej historiografii jako *trofiejnoje dieło* (sprawa łupów wojennych) zarekwirowano u Żukowa między innymi: siedemnaście złotych zegarków, trzy zegarki wysadzane drogimi kamieniami, piętnaście złotych wisiorków, ponad cztery tysiące metrów rozmaitych tkanin, trzysta dwadzieścia trzy skóry zwierzęce, czterdzieści cztery luksusowe dywany i gobeliny, pięćdziesiąt pięć obrazów, pięćdziesiąt pięć skrzyń z zastawą stołową, broń

myśliwską... Sam Żukow nie wypierał się kradzieży, pisał do ówczesnego sekretarza partii komunistycznej Ždanowa: „...czuję się winnym, że nie zdałem tego całego niepotrzebnego mi chłamu, myśląc, że nikomu się on nie przyda. Daję twarde słowo bolszewika – nie dopuszczać się (w przyszłości) podobnych głupot i omyłek. Jestem przekonany, że przydam się jeszcze Ojczyźnie, wielkiemu wodzowi towarzyszowi Stalinowi i partii".

Gospoda oficery... – panowie oficerowie, uratujemy władcę.

Wory w zakonie**, rosyjskie więzienia i tatuaże** – słowo „wor" oznacza po rosyjsku złodzieja, jednak w środowisku rosyjskich przestępców określenie „wor" niekoniecznie dotyczy kogoś, kto dokonuje kradzieży – choć zdarzają się w tym gronie i tacy – generalnie rzecz biorąc, to termin zarezerwowany dla elity bandyckiego świata. Natomiast *wor w zakonie* to zwrot nieprzetłumaczalny, oznaczający bandyckiego herszta. Aby ktoś został *worem w zakonie*, inni – wcześniej posiadający ten tytuł – muszą go „koronować". *Wor w zakonie* może być pozbawiony tytułu, o ile sam o to poprosi (tytuł ten wiązał się dawniej z koniecznością przestrzegania bardzo surowego kodeksu, na przykład *wor w zakonie* nie mógł mieć żony i „legalnych" dzieci, prywatnego majątku...) albo jeśli udowodni mu się naruszenie złodziejskich zasad. Prawdopodobnie pierwszym *worem w zakonie* był niejaki Miszka Japończyk (Mojsiej Winnicki). Skazano go na katorgę w 1908 roku, jeszcze za cara, oswobodzono w 1917 na mocy amnestii Kiereńskiego. Walczył za władzę radziecką w dywizji Jakira, ponoć dosłużył się stopnia pułkownika. Nazywano go „królem Odessy", bo opanował świat przestępczy tego miasta. Został rozstrzelany przez bolszewików, ale przed śmiercią zdążył położyć

podwaliny kodeksu, którym do dziś (w jakimś tam stopniu) kierują się rosyjscy przestępcy „zawodowi”. Według danych rosyjskiego MSW w Rosji jest obecnie około pięciuset *worow w zakonie*. Zasady obowiązujące w świecie *błatnych* mają zarówno charakter ogólny, wręcz filozoficzny (na przykład: nikogo się nie bój, nikogo o nic nie proś, nikomu nie ufaj), jak i szczegółowy, regulujący każdy aspekt życia bandyty. Podporządkowane są jednemu celowi – uprawianiu bandyckiego fachu. Wszystko inne jest na drugim planie. Stąd na przykład podstawowa, bezwzględnie przestrzegana zasada: *za bazar nado otwieczat’* (za gadkę trzeba odpowiadać). I nieważne, czy dotyczy to zupełnie niewinnych rozmów, czy spraw śmiertelnie poważnych: ten, kto się pomyli, skłamie, przesadzi, nie dotrzyma słowa – nawet w zupełnie błahej kwestii – zapłaci za to wysoką cenę... Wbrew temu, co przedstawia się w książkach i filmach, w świecie *błatnych* nie toleruje się nadmiernej brutalności. Brutalność to przejaw emocji, a emocje trzeba trzymać na wodzy. Także dlatego, że wśród *błatnych* nawet najmniejszą obrazę można zmyć tylko w jeden sposób – krwią. Dlatego *poniatija* (zasady) regulują wszystko: od kolejności korzystania z kibla w dwudziestoosobowej celi poprzez sposoby odnoszenia się do współwięźniów i strażników aż po stosunki z kobietami. *Błatnemu* na przykład nie wolno całować kobiety poniżej pępka. Ten absurdalny, zdawałoby się, nakaz związany jest ściśle z kodeksem opracowanym przez bandyckich hersztów: w świecie *błatnych* kobiety stanowią zagrożenie, mogą stać się słabym punktem, dlatego traktuje się je wyłącznie instrumentalnie.

Od początku istnienia ZSRR administracja więzienna nieoficjalnie popierała *błatnych* na zonach i w więzieniach, gdyż w innym wypadku utrzymanie porządku

w przepełnionych celach czy barakach byłoby trudne, o ile w ogóle możliwe. Do dzisiaj tam, gdzie rządzą *błatni*, jest mniej pobić, morderstw i samobójstw, ponieważ zgodnie z opracowanymi przez *worow w zakonie* zasadami nawet siedzącego po raz pierwszy więźnia nie można bez powodu uderzyć, obrazić czy czegoś mu zabrać. Stąd – mimo zmiany ustroju – *błatni* nadal cieszą się w Rosji względami więziennej administracji, choć, rzecz jasna, wiele opracowanych dawniej zasad zostało złagodzonych lub zupełnie porzuconych. Władza *błatnych* nie obejmuje już obecnie wszystkich miejsc odosobnienia, bywają i takie, gdzie więźniowie współpracują z wymiarem sprawiedliwości (licząc na przykład na wcześniejsze zwolnienie), co dawniej byłoby nie do pomyślenia, są i inne, gdzie rządzą „nowi bandyci" nieprzejmujący się żadnymi zasadami.

Najbardziej widocznym wyznacznikiem pozycji w świecie *błatnych* były i są specyficzne tatuaże. Niektóre „zamawiają" sami więźniowie (te mówią o ich profesji, odbytych wyrokach, stosunku do otoczenia, władz czy wreszcie obrazują ich miejsce w hierarchii), inne – przemocą – wykonuje się więźniom, którzy naruszyli bandyckie zasady. Dzieciobójczynie, gwałciciele, pedofile, donosiciele, więźniowie niedotrzymujący słowa czy okradający towarzyszy niedoli napiętnowani są do końca życia. I odpowiednio traktowani przez *błatnych*, gdziekolwiek by się znaleźli...

Szoł Stołypin...

„Stołypin" po żelaznej drodze mknął,
w celi za czarną, brudną siatką
jechała dziewczyna z Kurganu,
wyrok – pięć lat – wiozła do Magadanu.

I jechał z nią po sąsiedzku młody chwat,
którego życie skończyć miał kat.
Gryps jej napisał i czekał, co odpowie,
i tak ze śmiercią był już po słowie.

Przyszła odpowiedź od dziewczyny:
– Jak chcesz przytulić mnie na pryczy,
gadaj z konwojem, nie powiem „nie”,
mój los i twój niech złączą się.
(anonimowa piosenka *błatnych*, tłum. aut.)

Moskiewskie metro – tunele moskiewskiego metra rzeczywiście wykorzystywano w czasie wojny jako schrony przeciwlotnicze, ich zaplecze pozwalało na długotrwały pobyt pod ziemią setek tysięcy mieszkańców stolicy. Jednym z obiektów tego systemu była znajdująca się na stacji Kurskaja biblioteka. Część tuneli i obiektów wykorzystywało wojsko i NKWD, znajdowały się tam też schrony przeznaczone dla Stalina i Stawki (początkowo podziemną siedzibą Stawki była stacja Kirowskaja, później przeniesiono punkt dowodzenia do bunkra pod Kremlem). Moskiewskie podziemia do dziś wykorzystywane są przez ludzi, którzy nie chcą lub nie mogą mieszkać na powierzchni. Niedawno rosyjskie gazety poinformowały, że znaleziono „podziemne miasto” zamieszkałe głównie przez nielegalnych imigrantów. „Miasto” znajdowało się w starym, poradzieckim schronie w zachodniej części Moskwy. Podobne osiedle znaleziono niedaleko stacji Kijewskaja. Do dziś położenie wielu rozlokowanych pod Moskwą obiektów jest utajnione i nikt – przynajmniej oficjalnie – nie posiada mapy obejmującej całość podziemi. Czasem eksplorują je poszukiwacze skarbów i filmowcy (na przykład jeden z tajnych obiektów, położony w okolicy Czystych Prudów

punkt dowodzenia obrony przeciwlotniczej, sfilmowała nielegalnie ekipa rosyjskiej telewizji NTW), jednak najwięcej na temat „podziemnej Moskwy" wiedzą jej mieszkańcy. Tyle że ci z nikim nie dzielą się tymi informacjami...

Pepinierka – wychowawczyni.

Oddziały inżynieryjno-szturmowe – weszły do akcji dopiero w 1943 roku. Żołnierze tych formacji wyposażeni byli w specjalne stalowe napierśniki, przeważnie typu SN-42. Skrót był rozwinięciem słów: *Stalnoj Nagrudnik* (stalowy napierśnik), cyfra oznaczała rok produkcji. Grube na dwa milimetry, ważące trzy i pół kilograma napierśniki, znakomicie sprawdziły się w bojach, szczególnie w sytuacjach, gdzie trzeba było walczyć w niewielkiej odległości od przeciwnika, nie mając możliwości ukrycia się.

Walce – walc „Na wzgórzach Mandżurii" (*Na sopkach Mandżurii)* nawiązuje do decydującej bitwy w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Obie strony poniosły ogromne straty (Rosjanie stracili osiemdziesiąt dziewięć tysięcy, Japończycy – siedemdziesiąt jeden tysięcy żołnierzy). Mimo wielkiego poświęcenia żołnierzy Rosjanie przegrali bitwę z powodu nieudolnego dowodzenia (dowódcą był generał Kuropatkin). Pierwotny tytuł walca brzmiał „Mokszański pułk na wzgórzach Mandżurii". Kompozytor, Ilia Szatrow, zadedykował go poległym towarzyszom broni. W trakcie bitwy Mokszański pułk, w którym kapelmistrzem był Szatrow, znalazł się w okrążeniu; zginął dowódca pułku, żołnierze byli wyczerpani, amunicja się kończyła... Wówczas zagrała orkiestra pułkowa pod batutą Szatrowa, wzywając do boju. Pułk wyrwał się z okrążenia, ale przeżyło jedynie siedmiu muzykantów.

Wszystkich nagrodzono Orderami Świętego Jerzego (jednym z najwyższych odznaczeń bojowych imperium rosyjskiego), Szatrowa – Orderem Świętego Stanisława. Bardzo szybko utwór stał się światowym przebojem.

Walc „Fale Amuru" (*Amurskije wołny*) skomponował Maks Kiuss (Max Kyuss), kapelmistrz Jedenastego Pułku Wschodniosyberyjskiego. Kiuss poświęcił utwór tajemniczej W. N. Historycy niewiele wiedzą na temat muzy Kyussa. Prawdopodobnie muzyk spotkał ją w pociągu Sankt Petersburg – Władywostok. Nawiązali znajomość, zakochali się... Nic dziwnego, podróż trwała miesiąc. Ukochana kompozytora, Wiera Nikołajewna, nie była wolna. Jej małżonek, pułkownik Sztabu Generalnego, był od niej starszy o dwadzieścia pięć lat. Po latach Kiuss nie potrafił nawet opisać wyglądu tajemniczej W. N. Zapamiętał jedynie jej oczy w kolorze morskich fal. Mimo iż fascynacja była obopólna, kobieta pozostała wierna mężowi. Kiedy na balu oficerskim Kiuss wykonał po raz pierwszy walc „Fale Amuru", dedykując go W. N., mąż Wiery Nikołajewny zatroszczył się o to, żeby zakochani nie spotkali się nigdy więcej...

Pociski smugowe do pepeszy – w rzeczywistości pociski smugowe do pepeszy oznaczone jako PT (*pula trassirujuszczaja*) zostały przyjęte na uzbrojenie dopiero w 1943 roku, choć pod koniec poprzedniego roku zapewne już istniały.

Gołowa – głowa.

Przetrwalniki wąglika – są w stanie bardzo długo zachować żywotność. W 1970 roku w Parku Narodowym Krugera w Afryce specjaliści wyizolowali laseczki wąglika z kości zwierząt, które przebywały w ziemi dwieście pięćdziesiąt lat.

ADAM PRZECHRZTA

Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, sztuk walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał pięć powieści oraz tom opowiadań. Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa, poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną, aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.

foto © Adam Przechrzta

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011

WYDANIE III

ISBN 978-83-7574-617-4

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Sergei Shikin

PROJEKT OKŁADKI Konrad Kućmiński | Grafficon

ILUSTRACJE Paweł Zaręba

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska, Agnieszka Pawlikowska, Katarzyna Pawlik

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

swiatksiazki.pl

ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

С. С. С. Р.
ГОСУДАРСТВЕННЫЙ
ЭНДОКРИНОЛОГИЧЕСКИЙ ИНСТИТУТ
№ 58
ЛЕНИНГРАД.
Вас. Остр., 2-я линия, № 23.
ADAM PRZECHRZTA
DEMONY
LENINGRADU
KOSZMAR, KTÓRY DUSI GROZĄ
NAWET ZIMNE, BEZLITOSNE
SERCE ŁAWRENTIJA BERII.
Ulicami udręczonego głodem, oblężonego Leningradu przemyka wcielona Śmierć.
Coś więcej niż oszalali z rozpaczy kanibale, żerujący na trupach poległych towarzyszy. Coś, co nawet w ludziach, którzy przetrwali stalinowskie czystki oraz furię dywizji Wehrmachtu czy Waffen-SS, powoduje skrajne przerażenie.
KIEDY RYCZĄ DZIAŁA, BUDZĄ SIĘ DEMONY.
Istoty, których istnienie nie mieści się w bolszewickiej ideologii. Tam, gdzie nie wystarcza rozkaz Stalina, furia Berii i bestialstwo katów z NKWD, wkraczają do akcji drużyny GRU – wojennoj razwiedki.
fabrykaslow.com.pl
/fabryka
/fabrykaslow